

# DOODER LAND



## SZTORM

Maria Adolfsson

MARIA  
ADOLFSSON

# **DOGGERLAND. SZTORM**

Przełożyła Agata Teperek



Tytuł oryginału: *Stormvarning*  
Copyright © Maria Adolfsson, 2019  
First published by Wahlström & Widstrand, Stockholm, Sweden  
Published in the Polish language by arrangement with Bonnier Rights, Stockholm,  
Sweden and Macadamia Literary Agency, Warsaw, Poland  
Copyright © for the Polish edition by Grupa Wydawnicza Foksal, MMXXI  
Copyright © for the Polish translation by Agata Teperek, MMXXI  
Wydanie I  
Warszawa MMXXI

Niniejszy produkt objęty jest ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że wszelkie udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, upublicznianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

# Spis treści

[Motto](#)

[Prolog](#)

[1](#)

[2](#)

[3](#)

[4](#)

[5](#)

[6](#)

[7](#)

[8](#)

[9](#)

[10](#)

[11](#)

[12](#)

[13](#)

[14](#)

[15](#)

[16](#)

[17](#)

[18](#)

[19](#)

[20](#)

[21](#)

[22](#)

[23](#)

[24](#)

[25](#)

[26](#)

[27](#)

[28](#)

[29](#)

[30](#)

[31](#)

[32](#)

[33](#)

[34](#)

[35](#)

[36](#)

[37](#)

[38](#)

[39](#)

[40](#)

[41](#)

[42](#)

[43](#)

[44](#)

[45](#)

[46](#)

[47](#)

[48](#)

[49](#)

[50](#)

[51](#)

[52](#)

[53](#)

[54](#)

[55](#)

[56](#)

[57](#)

[58](#)

[59](#)

[60](#)

[61](#)

[62](#)

[63](#)

[64](#)

[65](#)

[66](#)

[67](#)

[68](#)

[69](#)

[70](#)

[71](#)

[72](#)

[73](#)

[74](#)

[75](#)

[76](#)

[77](#)

[78](#)

[79](#)

[80](#)

[81](#)

[82](#)

[83](#)

[84](#)

[85](#)

[86](#)

[Epilog](#)

*Pobożny modli się przy flaucie,  
grzesznik przy przeciwnym wietrze,  
a rybak przy sztormie  
– doggerlandzkie przysłowie*



## Prolog

Patrzy na komórkę z wyrazem lekkiego obrzydzenia. Odchyła się do tyłu, jakby już sam widok telefonu stanowił zagrożenie. Podnosi się i robi pół rundki wokół stołu, staje w progu kuchni i spogląda na salon. Potem rundka w drugą stronę. Okrążając stół po raz kolejny, unika wzrokiem telefonu, udaje, że nie widzi niemych wezwań czarnego wyświetlacza.

W drodze do przedpokoju zatrzymuje się w pół kroku i stoi tak, wlepiając puste spojrzenie w okno. Jakże prosto by było najzwyczajniej odpuścić. Posłuchać uwodzicielskiego głosu, który szepcze jej, że nie musi, że w zasadzie nie powinna. Że to niewłaściwe. Ten głos upomina ją teraz trochę surowiej, żeby była rozsądna, ryzykuje, że wszystko trafi szlag.

Waha się. Odwraca się i zerka na spizarnię. Tak kuszącą, chciałoby się po prostu wziąć z niej butelkę czerwonego wina, usiąść przed telewizorem i spróbować zapomnieć o tym całym koszmarze.

Oczywiście, tak byłoby najlepiej. Tak byłoby właściwie.

Mimo wszystko wie, że zaraz sięgnie po komórkę i wykona ten przeklęty telefon. Telefon, który – jeśli ktoś się o nim dowie – będzie ją kosztować utratę pracy. Telefon, który będzie ją kosztować dużo więcej, jeśli ten, kto go odbierze, dojrzy w tym szansę, żeby pozbyć się innego problemu. Jej.

Nie, nie jest to właściwe, myśli komisarz kryminalna Karen Eiken Hornby i podnosi komórkę.

Zdecydowanie niewłaściwe, ale to jedyna szansa.

## Cztery tygodnie wcześniej Dzień Bożego Narodzenia

Jest tylko kilka stopni na minusie, mimo to zimne powietrze rozsadza płuca i Gertrud Stuub musi się zatrzymać, żeby zaczerpnąć powietrza przez szalik. Przerażona spostrzega, jak bliska była tego, żeby zakląć, i wykonuje znak krzyża. Jej wzrok, coraz bardziej spanikowany, błądzi między lasem, grzbietem górskim a wąską zwirową drogą, po której się wspina. Szybkie spojrzenie w przeciwnym kierunku. W stronę tego, o czym ledwie ma odwagę pomyśleć.

Tylko ci się wydaje, upomina samą siebie i czuje, jak żelazna obręcz wokół klatki piersiowej trochę się rozluźnia. W zasadzie Fredrik wcale nie obiecywał, że się zjawi, wychodziłaś tylko z założenia, że przyjdzie. I teraz latasz tu jak stara wariatka. Gertrud zmusza się, żeby stać spokojnie, bierze jeszcze kilka oddechów przez wełniany materiał, potem – najszybciej, jak tylko się waży – pędzi dalej po wyboistej drodze, gdzie kałuże wody zastygły w lustra zdradzieckiego lodu.

Na lewo wznosi się zbocze z nagimi pniami drzew, między nimi widać niebieski zarys Getryggen. Strome i niedostępne dla kogoś w jej wieku. Dla kogoś w wieku Fredrika. Aż tak głupi by chyba nie był, przekonuje samą siebie Gertrud i stara się unikać tej myśli. To, co po drugiej stronie drogi, jest jeszcze gorsze. Kilka metrów dalej na prawo ziemia gwałtownie się urywa.

Gertrud niechętnie odwraca głowę. Tak długo, jak trzyma wzrok utkwiony przed sobą, wygląda to jak zwykłe, przyjazne jezioro, rozciągające się w pierwszych bladych porannych promieniach grudniowego słońca. Lekko zmrożone jezioro pośrodku lasu. Ale jeśli zejdzie z drogi i zrobi ledwie kilka kroków, wyciągnie szyję i spojrzy w dół, ściany kopalni opadną stromo i niemiłosiernie,

prosto w ciemną czeluść. Gertrud nie zbacza ze ścieżki. Nic jej nie skłoni, żeby dobrowolnie zbliżyła się do brzegu.

– Przecież on chodzi tędy każdego dnia – mówi do siebie i wstydy się, gdy słyszy swój słaby głos i martwą ciszę, która pożera jej słowa. Nie jest w stanie zawołać go po imieniu, nie chce słyszeć, jak by to zabrzmiało. Jeśli tutaj jest, ona i tak go znajdzie.

On przecież zna te tereny, przekonuje samą siebie. Wie doskonale, gdzie stawiać stopy, Sammy tak samo. Zapewne wrócili już do domu, Fredrik siedzi oczywiście w ciepłej kuchni z kawą i resztkami szafranowego ciasta z wczoraj. Bezbożnie, wcale się nie przejmując niebem i piekłem. To byłoby właśnie w jego stylu. Nie, zawracam i kończę z tymi wygłupami, myśli Gertrud i rzuca okiem przez ramię na przebytą drogę. Niechętnie jednak uświadamia sobie, że droga powrotna jest równie długa co rundka wokół szkody górniczej.

Głęboko wzdycha i idzie dalej, jeszcze raz się żegna, w głębi duszy przeklina brata za jego ogólny brak troski o cokolwiek, w szczególności za kompletne wyzucie z bogobojności. Fredrik nie przekracza progu kościoła, tego jest aż nazbyt świadoma, zwykle jednak przychodził chociaż na *julottan*. Z jakiegoś powodu nawet najwięksi bezbożnicy – ci, których stopa nie postanie w domu bożym przy innych okazjach jak tylko podczas ślubów i chrzcin – zjawiają się na porannej mszy w dniu Bożego Narodzenia. Może najzwyczajniej zasnął.

Trochę dalej przed sobą widzi zawrotkę, gdzie zaczyna się szersza droga prowadząca do szosy krajowej. Zaczyna się lub kończy. Wiele lat minęło, odkąd docierały tu transporty, ale z roku na rok pęknięcia na asfalcie robią się coraz większe i szersze. Nie ma najmniejszego powodu, żeby reperować tę drogę w górach; używają jej jedynie ci, którzy wyrzucają śmieci i graty przy zawrotce, zamiast skorzystać z punktu odbioru odpadów w Valby. Skąpi, nieuczciwi ludzie, którzy robią wszystko, żeby zaoszczędzić kilka marek i szylingów. Ale nawet oni nie ośmielają się przyjeżdżać tutaj w samo Boże Narodzenie, myśli Gertrud. Nikt nie jest aż tak głupi, żeby się tu zapuszczać, nikt poza Fredrikiem. Zdaje się, że zakazana kąpiel w szkodliwej dla zdrowia wodzie w rowie nie pociąga dzisiejszej młodzieży już nawet w lecie. Gertrud maca instynktownie ręką po kieszeni kurtki, sprawdza, czy wciąż ma komórkę. Nikt by

jej tu nie znalazł, gdyby się wywróciła i uderzyła, zwłaszcza o tej porze roku.

W zasadzie Fredrik powinien dostać porządną nauczkę, przewrócić się i zrobić sobie krzywdę, myśli Gertrud. Nic poważnego, tylko tak, żeby wreszcie do niego dotarło, że jest za stary na drałowanie samemu po pustkowiu. Odruchowo Gertrud znów podnosi rękę do piersi jakby w ramach pokuty za tę zakazaną myśl i woła:

– Halo! Fredrik!

Sekundę później staje jak wryta.

Nieszczęśliwe zawroждение czy też ujadanie sprawia, że zimny pot występuje jej na czoło. W chwili, gdy Gertrud dostrzega kawałek dalej biało-czarnego border collie, dopuszcza do siebie tę myśl. Długa smycz ciągnie się po ziemi, a Sammy zrozpaczony biega tam i z powrotem przy brzegu kopalni, kładzie się na kilka sekund, potem znów podnosi i dalej człapie bez wytchnienia, niebezpiecznie blisko, wystarczyłoby źle postawić łapę. Przez moment wygląda to tak, jakby pies miał zamiar zejść po urwisku, ale na dźwięk zbliżającego się człowieka nadstawia uszy i unosi głowę. Sekundę później dostrzega Gertrud i szczekając, biegnie jej na spotkanie. Z wygiętym w łuk grzbietem nieszczęśliwy pies mizdrzy się do Gertrud i biegnąc między nią a urwiskiem, popędza ją. Gertrud niechętnie idzie za nim, a pod nosem głośno prosi:

– Dobry, łaskawy Boże, nie odwracaj się teraz ode mnie.

Z drogi, na której stoi, przyciskając rękawicę mocno do ust, nie może dojrzeć brata. Przez zawrotny ułamek sekundy przesywa ją zwodnicza nadzieja – może to nie Fredrik leży tam na dole. Może to tylko stara, pogryziona piłeczka tenisowa Sammy’ego, którą ten uparcie ze sobą nosi. Może Fredrik rzucił ją niedbale w przeciwnym kierunku, nie w górę zбочa, jak zwykł to robić. I kiedy Gertrud Stuub z łomoczącym sercem zbliża się do krawędzi i wyciąga szyję, dalej nic nie widzi.

Dopiero gdy z ostatnią daremną modlitwą na ustach kładzie się na brzuchu, ostrożnie przysuwa do krawędzi i spogląda w dół urwiska, gaśnie jej ostatnia nadzieja.

Karen Eiken Hornby zamyka za sobą drzwi i szuka w kieszeni kurtki paczki papierosów. Opierając łokcie o zimną poręcz schodów, głęboko się zaciąga i czuje, jak puls powoli spowalnia. Ślepo wpatruje się przed siebie.

Zapadła już ciemna noc, choć dochodzi dopiero wpół do piątej, a grudniowe powietrze jest niezwykle łagodne. Strumień światła wylewający się z kuchni przez okno pada na ziemię pod dużą jarzębiną. Z zeszlotygodniowych dziesięciu centymetrów śniegu ostało się ledwie kilka plam topniejących w okamgnieniu. To, co te kilka stopni mrozu da radę ściąć w nocy i we wczesnych godzinach rannych, topi się równie szybko pod tą szarą warstwą samodziąłu, którą niebo przypominało w ostatnich dniach. Z domu przez zamknięte okno dobiega dzwonienie talerzami, śmiechy i kolejna zaśpiewka do toastu.

Gdy rybaka suszy,  
ryba się w morzu dusi,  
niczym wybawienie  
przychodzi Boże Narodzenie  
– wesołych świąt!

Nie oglądając się za siebie, Karen wie, że te siedem osób przy stole w głębi unosi teraz kieliszki na wysokość oczu, a potem je opuszcza i równocześnie wychyla. Czeką na hałas, z którym kieliszki znów trafiają na stół. I ten nadchodzi.

Jak ja wytrzymam, do cholery, jeszcze dwa dni, zastanawia się.

W domu nie ma możliwości, żeby gdzieś się ukryć i побыć samej, w spokoju. Jej matka i Harry zajęli dużą sypialnię, Karen z mieszanymi uczuciami odstąpiła im podwójne łóżko. Sama przeniosła się do pokoju gościnnego za ścianą i niedługo – trzecią noc z kolei – będzie starać się ignorować odgłosy zza ściany.

Zdawało się, że to dobry pomysł, gdy przed kilkoma tygodniami planowali to wspólnie przy winie w pubie Kopalnia w Dunkerze. Wigilia i pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia w domu u Karen w Langevik, obchodzone wspólnie z najbliższymi przyjaciółmi. Mama i tak miała przyjechać z Harrym, a im więcej ludzi, tym weselej. Marike zaklinała się, że może spać na sofie w salonie i że przywiezie kruchy pieczony schab i czerwoną kapustę. Kore i Eirik mieli zająć rozkładaną sofę w budynku gospodarczym u Leo i przynieść śledzie w chrzanie, wędzonego łososia i domową musztardę. Mama obiecała przez telefon, że upiecze ciasto szafranowe i żytni chleb, gdy tylko znajdzie się na miejscu. Samej Karen przypadło więc tylko zrobienie dużej partii piwa jałowcowego i ziołowej wódki. Miały to być dwa dni objadania się smakołykami w miłym towarzystwie z przerwami na długie spacerunki po śniegu, bo ten przecież musi w końcu spaść!

Teraz Karen przysłuchuje się śmiechom z głębi domu. Oj tak, jest dokładnie tak miło, jak zakładali. Wszystko jest tak, jak powinno być. Poza tym, że ona chciałaby być sama. Że – choć na krótką chwilę – chce się wsłuchać w ciszę.

Jeszcze tylko jedna noc, dasz radę, przekonuje samą siebie i kolejny raz głęboko się zaciąga. Prawdopodobnie Kore, Eirik i Marike pojedą jutro zaraz po śniadaniu. Ale mama i Harry zostaną jeszcze na jedną noc, przypomina sobie. Ich samolot do Hiszpanii odlatuje dopiero pojutrze. Jeszcze dwa poranki i będzie mogła przestać udawać, że nie widzi, jak Harry delikatnie i czule poklepuje jej mamę po pupie, że nie słyszy odgłosów skradanych pocałunków, gdy tylko odwróci się do nich plecami. Jeszcze półtora dnia dławienia w sobie gorzkich komentarzy, które grożą, że wymskną się z jej ust za każdym razem, gdy matka mówi o blisko siedemdziesięciodwuletnim Harrym Lampardzie jako o swoim nowym „chłopaku”.

I jeszcze Sigrid.

Dlaczego ta smarkula nie mogła zostać w domu u swojego ojca? Teraz, kiedy wreszcie znów zaczęła z nim rozmawiać po latach utrzymywania chłodnych stosunków. Jest przecież, do diabła, Boże Narodzenie, powinno się siedzieć w domu z rodziną, myśli

poirytowana Karen i tak mocno zaciąga się papierosem, że parzy sobie czubki palców.

– Nie zostanę długo – zapierała się Sigrid radosnym głosem, gdy niezapowiedziana zjawiała się w kuchni blisko trzy godziny temu. – Chciałam tylko zajrzeć na chwilę.

I ten gorąc, który oblał Karen, zanim zdążyła go powstrzymać. Niemądra, przerażająca radość, która ogarnia ją całą, gdy spotyka Sigrid. To wszystko, na co w jej życiu nie ma już miejsca.

„Nie zostanę długo”. W to, jak Sigrid – po dwóch kuflach piwa jałowcowego i przynajmniej jednym kieliszku wódki – ma zamiar pokonać dwa kilometry do swojego domu po drugiej stronie wsi, Karen nie zamierza się mieszać. Tego wieczoru nie jest policjantką. Jest tylko zmęczona.

I jeszcze to przekłete kolano. Stale ćmiące wspomnienie o tym, co się stało i co mogło się stać. Karen przenosi ciężar ciała na prawą nogę i czuje, jak ciągnie ją w biodrze. Już ponad dwa miesiące, a wciąż nie wróciła do formy. Cztery tygodnie w szpitalu w Thysted, a potem rehabilitacja w domu. Bolesne wizyty na fizjoterapii w Dunkerze trzy razy w tygodniu. Robiła dokładnie to, co jej kazano, wykonywała dwa razy dziennie ćwiczenia w domu. Niech to wszystko szlag, nadal nie może obciążać lewej nogi na dłużej niż kilka krótkich chwil. Karen męczy to, że musi ukrywać prawdę przed tymi, którzy siedzą teraz w ciepłej kuchni. To wyczerpujące noszenie maski, przez które sztywnieje jej szyja, stale ćmiący ból, wybór między kolejnym proszkiem przeciwbólowym a kieliszkiem wódki do śledzia, konwulsyjny uśmiech, nie, już nie boli, tylko wciąż jest trochę sztywne. Podejrzliwe spojrzenia mamy.

Karen ma zwolnienie do Trzech Króli, jeszcze tylko dwanaście dni bycia zamkniętą w czterech ścianach z nadmiarem myśli. Od razu po weekendzie wróci do pracy, o ile tylko tam dokuśtyka. Lekarz napomykał coś o przedłużeniu zwolnienia, ale na szczęście udało się jej go powstrzymać. W każdym razie kłamanie idzie mi nieźle, ocenia.

Hałas wzmagą się na kilka sekund, kiedy ktoś otwiera drzwi, a potem je zamyka, trochę zbyt mocno, tak że w oknie kuchni drży szyba. Nie odwracając się, Karen wie, że to Leo. Kącikiem oka widzi płomień zapalniczki, słyszy, jak Leo głęboko się zaciąga, przez

chwilę zatrzymuje dym, a potem go wypuszcza. Podaje jej paczkę i Karen bierze papierosa.

– Czas leci – mówi Leo. – Możesz się tym pocieszać.

Czy to aż tak oczywiste? Zastanawia się. A ja myślałam, że mam twarz pokerzysty.

– Oho, filozoficznie – mamrocze Karen. – Jeszcze jakieś mądrości chowasz w rękawie?

– Alkohol, rzecz jasna, też pomaga. Czas i alkohol. Czy nie taki jest właśnie sens Bożego Narodzenia? – drwi Leo.

Karen szybko podchwytuje jego wzrok, powstrzymując uśmiech.

– Tak, ty coś o tym wiesz, lepiej niż ktokolwiek inny – mówi oschle. – Czy to właśnie alkoholem i nieubłaganym biegiem czasu pocieszałeś się, gdy mieszkałeś pod rampą załadunkową?

– Tak, kobiet i śpiewu tam nie było.

Pałą w ciszy. Karen odwraca głowę i widzi, że Eirik i Marike zaczęły zbierać rzeczy ze stołu, a Harry wlewa wodę do ekspresu nieumytym dzbankiem. Wzdycha.

– Jest spoko – mówi Leo. – Twój nowy ojczym.

Aż świszczy, kiedy Karen prychnie dymem.

– Ojczym! Mógłbyś naprawdę sobie...

– A Eleanor jest szczęśliwa – ciągnie Leo.

– Wielkie dzięki, sama zauważyłam. Cienkie ściany.

Leo zaciąga się i w ciszy spogląda prosto w ciemność.

– Przecież możesz się jutro do mnie przenieść, jak już Kore i Eirik odjadą – dodaje po chwili.

– Do *ciebie*?

– Tak, podobno kanapa jest naprawdę wygodna, jeśli na stalowych rurkach, które wbijają się w krzyż, położy się kilka poduszek. W najgorszym razie zmieścisz się też w moim łóżku.

Zdziwiona posyła mu ukradkowe spojrzenie; to niepodobne do Leo. W ogóle do niego niepodobne zdaje się obchodzenie świąt Bożego Narodzenia, wznoszenie toastów ze śpiewem na ustach i przysłuchiwanie się wywodom Harry'ego o tym, jak przebudować poddasze czy ocieplić komórkę, żeby mieć więcej miejsca. Napeniając kieliszki i zupełnie nie zdając sobie sprawy z narastającej irytacji, Karen, Leo i Harry snuli plany, jak przebudować jej dom. Jak powinna się do tego zabrać, ile by ją to



kosztowało, jak podnieść wartość, kiedy stare siedziby rybackie w Langevik zaczęły właśnie tracić na wartości. Szczególnie takie jak ta Karen, z własnym pomostem i szopą.

Tego typu rozumowanie jest zapewne całkowicie naturalne dla Harry'ego Lamparda: według jej matki przed przejściem na emeryturę i przeprowadzką na słoneczne hiszpańskie wybrzeże z powodzeniem prowadził firmę budowlaną w Birmingham. Ale żeby Leo Friis siedział tam i słuchał tego z zainteresowaniem...

Co on, kurna, wie o izolacji, dachówkach i ścianach nośnych? – myśli Karen, gasząc wypalonego do połowy papierosa o poręcz. Jednak chwilę później przechodzi jej przez myśl: co ona właściwie wie o Leo Friisie? Ledwie kilka miesięcy temu brakowało mu dachu nad głową i włączył się po Dunkerze z wózkiem sklepowym, szukając pustych butelek.

– A więc proponujesz, żebym się wprowadziła do *ciebie*? – mówi.  
– Ostatnio, kiedy sprawdzałam, wciąż jeszcze był to mój dom.

Leo wzrusza ramionami, jakby wspaniałomyślnie się z nią zgadzał.

– Który ja od ciebie wynajmuję, tak. Oczywiście za marne grosze i nie żebym miał jakąś prawdziwą umowę – przyznaje Leo. – Ale zakładam, że nie chcesz w to mieszać kontrolerów podatkowych...

Karen gwałtownie łapie powietrze.

– Wyluzuj – dodaje szybko Leo na widok jej przestraszonej miny.  
– To był żart, Karen.

I Karen przez sekundę się zastanawia, czy ma na myśli to o łóżku, czy o kontrolerze podatkowym.

Potem Leo gasi papierosa o odwróconą do góry dnem glinianą doniczkę, która stoi obok drzwi.

– Wejdziemy?

Karen niechętnie puszcza poręcz.

– Czas i alkohol – wzdycha.

Dwadzieścia minut później zmywarka jest pełna, kawa podana, a szafranowe ciasteczka stoją na stole w salonie. Kore i Eirik wrócili po szybkim wypadzie do budynku gospodarczego, a Marike, kiedy widzi, jak nie mogą się od siebie odkleić, napomyka coś o „znalezieniu przestrzeni” i myśleniu o przyjaciółach, którzy mają w życiu mniej farta.

Harry posyła w ich kierunku pospieszne spojrzenie. Jego wzrok świadczy o tym, że w równej mierze jest zaniepokojony co zaciekawiony.

Sama Marike wydaje się w nadzwyczaj dobrym nastroju, tego wieczoru ledwie można wychwycić jej duński akcent. Karen wie jednak, że tę wersję przyjaciółki od przerażającej harpii, syczącej coś w niezrozumiałym północnojutlandzkim szwargocie, dzieli tylko jedno nieudane wypalenie w piecu. Ale tego wieczoru Marike Estrup promienieje, nie widać u niej choćby cienia nerwowości, która z pewnością nadciągnie stopniowo, im bliżej będzie do wernisazu w Nowym Jorku. Karen odchyła się na fotelu. Tu i teraz. Czas i alkohol.

Ktoś wyciągnął butelkę whisky Grotha i drugą likieru z jarzębiny, wszystkim udało się gdzieś znaleźć miejsce – na zielonej sofie albo na którymś z wysiedzianych foteli uszaków, albo na starej skrzyni posagowej, której Karen wciąż nie zataszczyła na strych. Usunięcie stąd tej kobyły było pierwszą rzeczą, którą miała zrobić, kiedy przejęła dom po matce. Od tamtej pory minęło dziewięć lat.

Sigrid siedzi na podłodze po turecku i opiera się łokciami o stół przy sofie. Karen obserwuje jej długie czarne włosy (farbowane tyle razy, że już całkiem straciły blask), gęsto zdobione tatuażami cienkie ramiona, kolczyk w nosie. Kolczyk błyszczy w świetle świec płonących na mosiężnym świeczniku, kiedy Sigrid energicznie przytakuje czemuś, co mówi Kore. Z wyglądu ona i Kore są w zasadzie zaskakująco podobni, stwierdza Karen. Przynajmniej jeśli

chodzi o odcień cery, tatuaże i piercing. Ojcu Sigrid nie spodobałoby się, gdyby to usłyszał, myśli i z satysfakcją sączy trunek z kieliszka.

Eirik z kolei jest istnym przeciwieństwem swojego partnera. Z okazji świąt założył różowy sweterek na białą koszulę i dobrał do tego krawat w szare paski. Kant jego szarych spodni jest ostry jak nóż. Jak zawsze. Stary dobry Eirik, myśli Karen. Równie niezawodny, jeśli chodzi o dobór stroju co o przyjaźń: bez niego bym tu dzisiaj nie siedziała. Ścisła ją w gardle i wędruje wzrokiem dalej. Wzdryga się, gdy stwierdza, że mama i Harry znów włożyli jednakowe swetry, tym razem z motywem świątecznym w formie udekorowanego krzaka jałowca. W każdym razie wydają się szczęśliwi, stwierdza Karen.

Fala irytacji gaśnie i zastępuje ją jakaś bezsilna tkliwość. Teraz, w następstwie złości i frustracji, w ciepłe świece i przy whisky, z rozwalonym na kolanach kotem, nie da rady już dłużej być w ciągłej gotowości do obrony. Nie da rady walczyć z tym wszystkim, o czym wie, że stanie się jej zgubą, jeśli nie będzie uważać.

„Ona nie jest twoją córką, pamiętaj o tym”.

Ostatnie słowa Susanne Smeed wciąż dzwonią jej w uszach.

W ciszy przygląda się córce, która nie jest jej, dziewczynie, którą przygarnęła pod swoje skrzydła ledwie kilka miesięcy temu. Mokra i gorączkująca Sigrid siedziała na schodach przed domem, który musiała przejąć niespodziewanie i wbrew swojej woli. Nie mając nawet siły protestować, pojechała wtedy z Karen do niej, dała się jej napić ciepłą herbatą, nakarmić sucharami i paracetamolem, aż grypa odpuściła.

I w pewien sposób nigdy się tak naprawdę stąd nie wyprowadziła.

Oficjalnie mieszka wprawdzie w odziedziczonym po matce domu, ale kiedy nie śpi, wciąż większość czasu spędza u Karen. Niby zawsze wpada tylko na chwilę, ale zostaje do późna i zajmuje pokój gościnny tak często, jak tylko odważy się spytać o pozwolenie. Jak kot, którego raz się wpuści, a następnego dnia znów siedzi na schodkach ganku.

Tak jak ty, myśli Karen i głaszcze po brzuchu szarego kocura, znajduje kołtun i rozkojarzona rozczesuje go paznokciami. Rufus też pojawił się ot tak i postanowił zostać. Leo zaprosiła tutaj sama

w roli opiekuna domu i kota przed wyjazdem na wakacje. W podróż, którą trzeba było odwołać. Ale zdaje się, że jemu też się nie spieszy z wyprowadzką. Chociaż on nie ma za dużo możliwości do wyboru.

Jak to się właściwie stało? Kiedy mój dom zmienił się w cholerne schronisko dla bezdomnych? – zastanawia się Karen i bierze łyk whisky.

Sama nie słyszała dzwonienia. Marike z kolei poszła do toalety i teraz stoi w drzwiach kuchni z komórką Karen w ręce.

– Miałaś ją w kurtce. Może powinnaś odebrać. – Znacząco zerka na wyświetlacz, a potem podaje jej telefon.

– Jounas Smeed – udaje się Karen przeczytać, zanim dzwonienie ustaje.

Wzdycha ciężko.

– Nie mów tacie, że tu jestem – prosi Sigrid, na co Karen przystaje skinieniem głowy.

– Do ciebie też próbował się dodzwonić? – pyta.

Sigrid wyciąga swoją komórkę z tylnej kieszeni spodni i kręci głową.

– Nie, nie mam żadnych nieodebranych połączeń – jęczy. – Czego on *znów* może chcieć? Kurna, *byłam* u niego i wczoraj, i dzisiaj!

– Może chce ci życzyć wesołych świąt – próbuje spokojnie Eleanor.

– Poza tym przecież jutro jedzie do Tajlandii – ciągnie Sigrid. – Już od trzech tygodni głądził mi, żebym z nim pojechała! Czy nie wystarczy, że razem obchodziliśmy święta? Muszę jeszcze siedzieć z nim na plaży pod jakąś cholerną *palumą kokosową*. Co z nim, do cholery, *nie tak*?

Sigrid rozkłada ręce i wybałusza szeroko oczy, żeby dodatkowo podkreślić, że zrobiła naprawdę wszystko, czego – w granicach rozsądku – można by wymagać od córki w ramach naprawiania nadszarpniętych relacji z ojcem.

Wygląda raczej na jedenaście lat, a nie na blisko dziewiętnaście, myśli Karen.

Wzdychając, podnosi się i idzie do kuchni. Zwleka dwie sekundy, potem naciska „oddzwoń”. Jeśli nie dotyczy to jego córki, to istnieje tylko jeden powód, dla którego szef Wydziału Kryminalnego Policji

w Doggerlandzie mógłby dzwonić do Karen Eiken Hornby w Boże Narodzenie. I to wcale nie po to, żeby życzyć jej wesołych świąt.

Nie, musi podejść do tego spokojnie, myśli dwie minuty później. Jounas Smeed pewnie nigdy w życiu nie odczuwał pokory. Ale jego głos po drugiej stronie słuchawki wyraża lekkie zwątpienie, jest zupełnie pozbawiony pouczającego tonu, do którego Karen przywykła.

– Cześć, Eiken, dzięki, że oddzwoniasz. Naprawdę przykro mi, że zakłócam ci Boże Narodzenie. Strzeliłaś już sobie świątecznego kielicha?

– W zasadzie nawet dwa. A ty?

Jounas Smeed jakby jej nie słyszał lub uznał, że to pytanie nie zasługuje na odpowiedź.

– Obiło mi się o uszy, że twoi rodzice wpadli w odwiedziny – ciągnie i teraz Karen zdecydowanie słyszy coś wymuszonego w jego głosie.

– Taa – przyznaje oschle. – Szczerze mówiąc, mój ojciec nie żyje od wielu lat, więc się akurat nie zjawił, ale mama przyjechała ze swoim... dobrym przyjacielem.

– Aha, więc tak się sprawy mają. Rozumiem, że pewnie właśnie świętujecie...

Karen czeka na to, co jeszcze powie, ale wydaje się, że szef uznał, że teraz jej kolej, żeby poprowadzić konwersację.

– Tak – odpowiada. – Ale zakładam, że nie po to dzwonisz, żeby skontrolować zawartość alkoholu w mojej krwi ani moje stosunki rodzinne.

Jounas Smeed się śmieje. Potem chrząka i wraca do zwykłego tonu.

– Oczywiście, że nie – mówi krótko. – Mamy na głowie morderstwo. I to nie byle gdzie, bo na północy, na Noorö.

– Noorö. Hmm, tam pewnie tradycyjnie chodzi o jakieś zabójstwo po pijaku? Czymś takim może się chyba zająć miejscowa policja?

– Najwyraźniej nie. Ofiarą jest stary nauczyciel, jeśli dobrze zrozumiałem, i do morderstwa doszło w czasie *julottan*.

Karen wysuwa krzesło i ciężko na nim siada.

– W kościele? Jak, do cholery, mogło do tego dojść?

– Nie, nie, nie na samej mszy, ale w tym samym czasie. W każdym razie wczesnym rankiem. A potem tamtejszy lekarz najwyraźniej zobaczył coś, co skłoniło go do tego, żeby nas wezwać. Nie znam jeszcze wszystkich szczegółów.

– A jaki to ma związek ze mną? Jak wiesz, nadal jestem na zwolnieniu.

Zadaje to pytanie, choć już domyśla się odpowiedzi. Chce się jednak nad nim trochę popastwić. W nagrodę słyszy po drugiej stronie głębokie westchnienie.

– Problem w tym, że chwilowo mamy w wydziale nagłe braki personalne. Połowa ludzi leży z grypą, druga połowa wyjechała na święta i Nowy Rok. Szczerze mówiąc, ja sam lecę jutro do Tajlandii. W każdym razie tak planowałem – dodaje zrezygnowanym głosem.

Karen podnosi się i spogląda w mrok za oknem kuchni. Słyszy, jak gałęzie jarzębiny uderzają o szybę, i myśli, że musi pamiętać, żeby je przyciąć, nim nadciągnie kolejny sztorm.

– A więc chciałbyś, żebym poprowadziła śledztwo – podsumowuje. – Uważasz, że powinnam szybciej wrócić do pracy ze zwolnienia i zawiesić na kołku dalsze świętowanie.

Nic w jej głosie nie zdradza ulgi, jaka ją przepelnia. Niech Jounas Smeed sobie wierzy w to, że Karen wyświadcza mu wielką przysługę, może to zaprocentować w przyszłości. Przez moment zastanawia się, czy jednak trochę nie przeholowała.

– Tak, myślę, że warto przynajmniej spróbować – odpowiada jej szef, surowo i bez śladu wcześniejszego ciepła w głosie. Ale oczywiście zrozumieć, jeśli nie...

– Nie ma problemu – przerywa mu Karen. – Wezmę to.

Przez kilka sekund po drugiej stronie panuje kompletna cisza.

– Poważnie? Jesteś tego pewna? Bo mogę jeszcze odwołać wyjazd i sam się tam udać.

Jasne, że możesz, myśli Karen, ale zamiast tego dzwonicz do mnie, chociaż jestem prawdopodobnie ostatnią osobą na świecie, przed którą chciałbyś się płaszczyć. Musisz być potwornie spragniony drinków z parasolkami, jeśli jest to warte tego, żeby wisieć mi przysługę.

– Jedź na wakacje – zapewnia go Karen. – Wezmę to. Ale mówisz poważnie, że nikt inny z kryminalnych nie jest dostępny? Nikt ze mną się tam nie wybierze?

– Żaden śledczy, ale oczywiście rozmawiałem z Brodalem i Larsenem, dzięki Bogu obaj są w domu, zdrowi jak ryby.

Karen wzdycha w głębi duszy. Ani lekarz sądowy, ani szef Sekcji Techniki Kryminalistycznej nie będą szczęśliwi, gdy zostaną oddelegowani na Noorö w trakcie świętowania. Szczególnie Kneought Brodal, myśli Karen. Oj, nie będzie miło z nim tam jechać.

– Wyruszą jutro bladym świtem – ciągnie Smeed. – Nie jest to idealne rozwiązanie, ale teraz i tak jest ciemno, a zgodnie z otrzymanymi informacjami miejsce zdarzenia ogrodzono i jest pod nadzorem. Ciało przewieziono do lokalnego komisariatu policji w Lysvik, gdzie najwyraźniej mają chłodzić. Trochę to dziwne.

– Tak sądzisz? Dlaczego? Muszą ją chyba mieć na wypadek, gdyby prom nie pływał – mówi Karen. – Tam, na północy, mogą być w zasadzie odcięci od świata przez wiele dni.

– Z pewnością – przyznaje Jounas Smeed. – Ale dużo czasu musiało minąć, odkąd zdarzyło się to po raz ostatni. A tak w ogóle, czy ty nie masz tam rodziny? Coś mi świta, że kiedyś o tym wspominałaś.

– Tak, tata stamtąd pochodził, a ja w dzieciństwie często bywałam na Noorö u krewnych, ale dawno już u nich nie byłam. Nie widziałam ich od... hmm, tak czy inaczej od dawna.

– Hmm, to się chyba świetnie składa, że pojedzie ktoś, kto zna tę okolicę – mówi Jounas Smeed, jakby chciał przekonać samego siebie, że po raz kolejny podjął racjonalną decyzję. – Jak prędko możesz się tam udać?

– Tak jak Kneought i Sören, bladym świtem, nie wcześniej. Oczywiście, jeśli nie chcesz wysłać samochodu, który mnie tam zabierze. Mówiłam już, że piłam.

A więc miałeś powód, żeby mnie przesłuchiwać, czy wniosłam już świąteczny toast, myśli Karen. Cholerny Smeed.

– Nie, wystarczy, jeśli pojedziesz tam jutro – szybko zapewnia ją szef. – Do tego czasu miejscowi będą musieli radzić sobie sami. Przy okazji, odezwij się do Thorsteina Bylego, naczelnika policji odpowiedzialnego za region Noorö. Jeśli możesz, zadzwoń do niego



jeszcze wieczorem. Będziesz musiała się zadowolić Bylem i jego ludźmi, zanim znajdę dla ciebie jakieś wsparcie z komendy głównej. To znaczy, o ile się okaże, że to morderstwo.

– Okej, coś jeszcze muszę wiedzieć?

– Tak, mimo że wyjeżdżam, chciałbym, rzecz jasna, żebyś informowała mnie na bieżąco. Zawsze mam włączoną komórkę, więc możesz dzwonić o każdej porze.

– Okej, coś jeszcze?

Karen słyszy, jak szef bierze głęboki wdech, potem znów na kilka sekund zapada głucha cisza. Wreszcie Karen mięknie.

– Sigrid zajrzała na chwilę, ale zaraz ma się zbierać do siebie – mówi. – Pozdrawia cię, tak w ogóle.

Jounas Smeed wypuszcza powietrze.

– Też ją pozdrów – odpowiada. – I... dzięki, Eiken. – Odkłada słuchawkę.

– Ależ dobry Boże, nie mają nikogo innego, kogo mogliby tam posłać? Zbyt mało już przeszłaś? I musisz jeszcze jechać w samo Boże Narodzenie!

Eleanor Eiken siada na łóżku i przygląda się córce, która przenosi paczkę granatowych T-shirtów z półki w garderobie do dużej torby na łóżku. Karen pracuje szybko i z determinacją, jej długie ciemne włosy, które związała w koński ogon, smagają ją po twarzy za każdym razem, gdy odwraca się między szafą a łóżkiem.

– Wszyscy są albo chorzy, albo na wyjeździe – mówi, upychając staniki i majtki obok kosmetyczki. – W tej chwili tylko ja jestem dostępna.

– Dostępna! – Poirytowana Eleanor wypluwa z siebie to słowo. – Nie jesteś dostępna, jesteś, do jasnej ciasnej, na zwolnieniu lekarskim. Sądziś, że nie widzę, że wciąż cię boli?

Karen zatrzymuje się w pół ruchu i patrzy na matkę. Już ma zaprzeczyć, ale mama jej przerywa, zanim w ogóle się odezwie.

– O nie, moja mała owieczko, tak łatwo nie wykiwasz starej owcy. Jeśli nie będziesz uważać, dostaniesz lumbago od ciągłego opierania się na prawej nodze. Ja sama dostałam dyskopatii od noszenia cię cały czas na jednym biodrze, jak byłaś mała, więc coś o tym wiem.

Karen opada na łóżko obok matki.

– Niech ci będzie, nadal mnie czasem pobolewa – mówi. – Ale każdego dnia jest coraz lepiej. A wy i tak już pojutrze jedziecie do domu, więc stracimy tylko jeden dzień razem.

Eleanor ciężko wzdycha.

– Tak, tak, nie należę do tych, którzy rozpamiętywaliby coś takiego, ale nie podoba mi się, że wciąż cię boli. Poza tym wydajesz mi się zdecydowanie zbyt szczęśliwa – dorzuca.

Karen odwraca głowę i patrzy na nią z uniesionymi brwiami.

– Zbyt szczęśliwa?

– Dobrze wiesz, o co mi chodzi. Chciałabyś wyjechać stąd jak najszybciej. Zostawić tu tych wszystkich, którzy się o ciebie

troszczą, i znaleźć się zupełnie sama w pokoju hotelowym.

Karen wzrusza ramionami.

– Wiesz przecież, jaka jestem.

– Nie jaka jesteś, chcesz powiedzieć: jaka się stałaś.

– Ale wiesz dlaczego – ucina krótko Karen.

– Tak, Karen. Wiem to doskonale. Ale powoli nadchodzi już najwyższa pora, żeby coś z tym zrobić. Jeszcze nie umarłaś.

Nie, ja nie, myśli Karen. Ja z tego wyszłam. Podnosi się i wraca do pakowania.

– Jeśli koniecznie musisz jechać do tej zapadłej dziury, zajedź przynajmniej do Ingeborg i Larsa – dodaje po chwili Eleanor. – Inaczej ona ci tego nigdy nie wybaczy. Mnie zresztą też nie.

– A od kiedy ty się niby tak przejmujesz tym, co myśli ciotka Ingeborg? O ile dobrze pamiętam, przeprowadziłaś się na drugi koniec kraju, żeby unikać kontaktów z krewnymi taty z Noorö.

– Bardzo dobrze wiesz, że...

– ...przeprowadziliście się do Langevik, bo tata odziedziczył ten dom i prawo połowu ryb po ojcu swojej matki. Ale przyznaj, że była to dla ciebie ulga!

Eleanor mimowolnie się uśmiecha.

– Tak, dobry Boże, to, co się tam działo – mówi. – Dłużej bym już nie wytrzymała... Wyobraź sobie, że musisz mieszkać pod jednym dachem z teściami i zaledwie trzysta metrów od szwagierki. Gdziekolwiek się obrócisz, jest tam jakiś Eiken. Drobnymi oszućmi, cała rodzinka, i chyba zdrowo pędzili samogon w budynkach gospodarczych, ale przy stole zawsze trzeba się było pomodlić, no bo jakże, i do kościoła też musieliśmy chodzić, co niedziela. Najpewniej rzuciłabym się do morza, gdybym nie opuściła tego przeklętego miejsca.

Karen przygląda się matce z uśmiechem na ustach. Eleanor Eiken z domu Wood, w trzech czwartych Brytonka, w jednej czwartej Skandka. Będąc córką prowincjonalnego lekarza z Ravenby, prawdopodobnie nie mogła sobie nawet wyobrazić, jaka czeka ją mordęga, kiedy wyjdzie za Waltera Eikena. Mimo to Karen przez cały okres dorastania nie słyszała ani razu, żeby mama narzekała na los żony rybaka z Langevik. Ze stoickim spokojem zносиła czyszczenie ryb i naprawianie pogryzionych przez foki sieci.

Jesienne sztormy, mroźne zimy ani niedochodzące do skutku połowy i stały niepokój o finanse nie skłoniły jej do tego, by dać wyraz niezadowoleniu. Ale okazało się, że pierwsze lata z rodziną Waltera po mieczu, na Noorö, to najwyraźniej więcej, niż była w stanie znieść.

– Pozdrowię od ciebie ciotkę Ingeborg i powiem, że chciałabyś, żeby cię odwiedziła w Hiszpanii – mówi Karen, uśmiechając się szeroko.

– Tylko spróbuj. Kiedy jedziesz?

Karen ugniata zawartość torby, dociska ją dodatkowo jeszcze raz i zasuwa suwak.

– Jutro z samego rana, zanim wstaniecie. Ale teraz wrócimy do pozostałych i będziemy świętować tę resztkę świąt, która nam została.

Kiedy kilka godzin później Karen – po wypaleniu ostatniego papierosa – zamyka za sobą drzwi i spogląda na zegarek, uświadamia sobie, że nie zostało jej zbyt wiele godzin snu. Mama i Harry poszli na górę się położyć blisko godzinę temu i Karen ma nadzieję, że do tej pory już usnęli. Leo, Eirik i Kore zniknęli u siebie i Karen słyszy cichą muzykę dochodzącą z budynku gospodarczego.

Ściąga kurtkę, podchodzi do blatu i wypija szklanek wody. Tuż przed zgaszeniem światła w kuchni zagląda do salonu. Z sofy dochodzą równe oddechy przemieszane z cichym pochrapywaniem w dwóch tonacjach. Po pewnych namowach Sigrid przekonała Marike, żeby ta podzieliła się z nią ciasną przestrzenią, i teraz płaci za to cenę – stopy Sigrid z pomalowanymi na czerwono paznokciami ma przyciśnięte do karku.

Karen zatrzymuje się w progu, a później zamyka przesuwane drzwi. Ostrożnie, żeby nikogo nie obudzić, wchodzi na górę po skrzypiących schodach.

Karen Eiken Hornby rzuca okiem na deskę rozdzielczą i wjeżdża na autostradę. Jest dopiero za piętnaście siódma, wyjechała wprawdzie godzinę później, niż planowała, ale po dodatkowej godzinie ciągłego przestawiania budzika czuje się zadziwiająco wypoczęta. Na drogach nie ma śniegu ani lodu po tygodniowej odwilży, a drugiego dnia świąt o tej porze właściwie nie można mówić o jakimkolwiek ruchu. Jeśli w Thorsvik będzie miała szczęście z promem, na miejscu w Lysvik na Noorö powinna znaleźć się przed lunchem.

Włącza w samochodzie radio i kiedy z głośników dobiega dzingiel stacji, natychmiast wyciąga rękę, żeby zmienić częstotliwość. Po kilku sekundach szukania znajduje coś, co jest w stanie znieść, pogłośnia i znów się opiera. Palcami stuka w rytm początkowych riffów w *Start Me Up* i zagłuszając Micka Jaggera, dodaje gazu.

Ogarnia ją poczucie wolności. Dwa miesiące przymusowego nicnierobienia, pętania się po domu z bolącym kolaniem, radzenia sobie z konsekwencjami połamanych żeber i ciężkiego wstrząśnienia mózgu przywodziły myśli i uczucia, które przeważnie ją zanudzały, czasem jednak tak ją przerażały, że nie mogła w nocy spać. Zaledwie w ciągu kilku miesięcy jej uporządkowana egzystencja zmieniła się nie do poznania. Monotonne życie z całymi dniami spędzanymi w pracy, sporadycznymi wypadami do miejscowego pubu i samotnymi wieczorami w domu zastąpiła stała obecność innych i narastające poczucie obłąkania. Sigrid unika własnego domu i nawet nie stara się tego maskować, a o tym, jak długo Leo zamierza u niej zostać, jeszcze w ogóle nie rozmawiali. Sama nie pytała z lęku przed odpowiedzią, bez względu na to, jaka by była. Karen nie jest już sama. Nie wie, czy chce być sama.

Od kilku miesięcy słyszy w domu odgłosy wydawane przez innych, nie tylko przez siebie. Ktoś dzwoni talerzami w kuchni, ktoś przygotowuje kąpiel, przez podwórze dobiega z budynku gospodarczego muzyka. Ktoś z kimś plotkuje w pokoju obok. I zapachy. Świeżo parzona kawa, którą nie ona nastawiła, jedzenie,

którego nie przygotowała, pot, który nie jest jej, zapach szamponu z czyichś świeżo umytych włosów. Obecność innych. Małe ukłucia szczęścia. I przyprawiający o zawroty głowy strach, jeśli w porę się przed nim nie obroni. Stałe przypomnienie, że kiedyś miała to wszystko w swoim życiu, a potem to straciła. Tak łatwo wszystko znów może zostać jej zabrane.

Telefon Jounasa Smeeda pojawił się jak wysłana jej szalupa ratunkowa. Wymęczona wolnym czasem powitała powrót do pracy, jakby był to bardzo długo wyczekiwany urlop. Konkretne zadanie, coś, nad czym może zapanować. Wciąż nie odczuwa niepokoju w związku z czekającym ją śledztwem. Te szczątkowe informacje, które dostała o tym, co się stało w Noorö, są zbyt skąpe, żeby na ich podstawie wysnuć jakąś teorię lub obawy. Wciąż utrzymuje się ta oszałamiająca ulga.

Droga otacza miękkim łukiem północną część Dunkeru i Karen korzysta z okazji, żeby popatrzeć na światła stolicy i portu, zanim widok zasłonią jej wysokie, przypominające koszary budynki w Gaardzie i Moerbecku. Przez moment ma przed oczami zdjęcia z napadów, do których doszło tam jesienią. Serii gwałtów z elementami sadyzmu, w wyniku czego jedna z kobiet zmarła w drodze do szpitala w Thysted. Na razie nie złapano sprawcy, ale w ostatnich dwóch miesiącach nie odnotowano kolejnych przypadków. To ostatnie jest zapewne tylko kwestią czasu. Ta świnia prawdopodobnie znów się uaktywni, gdy tylko przyjdzie wiosna, myśli Karen. Jounas Smeed wypowiedział to, o czym wszyscy wiedzieli: „Na mrozie potrafią utrzymać ptaszka w spodniach”. Ona sama nie uczestniczyła w tamtym śledztwie. Zamiast tego prawie zginęła, goniąc mordercę Susanne Smeed.

Wspomnienia tamtych zdarzeń dopadają ją, nim zdąży stłamsić uczucie, że tym razem uratowały ją raptem sekundy i milimetry. Kolejny cień psuje jej wyśmienity przed chwilą humor, gdy widzi tablicę przed zjazdem do Glitne. Może znów powinna zadzwonić do Aylin. Nie poprzestawać na tej jednej próbie dzień przed Wigilią, gdy nacięła się na pocztę głosową, ale nie zostawiła wiadomości. Zamiast tego wysłała esemesa z życzeniami „Wesołych Świąt” i „do zobaczenia w sylwestra u Eirika i Korego”. Ostatnie słowa – „Pozdrów Bo” – usunęła tuż przed wysłaniem wiadomości. Nie życzy

mu wesołych świąt, właściwie nie życzy mu niczego wesołego. Wystarczy, że będzie musiała spotkać tego dupka w sylwestra, myśli. Siedzieć z nim i robić dobrą minę. Ukradkiem przyglądać się Aylin, żeby znaleźć ślady tego, czemu ta tak uporczywie zaprzecza.

– Oczywiście, że jej nie bije.

Może to prawda. Może nie.

Karen spogląda na tablicę przy drodze, która informuje, że do terminalu portowego w Thorsvik zostało jej sto dziewięćdziesiąt kilometrów. Zmusza się, żeby wrócić myślami do tego, co ją czeka. Wczoraj późnym wieczorem skontaktowała się z szefem policji na Noorö Thorsteinem Bylem i uzgodnili, że spotkają się w przychodni w Lysvik o dziewiętej. Z jego głosu wywnioskowała, że wyczekiwał telefonu, dokładnie tak, jak się tego spodziewała. Koledzy z regionu reagują zwykle irytacją połączoną z ulgą, gdy dochodzenia przejmuje doggerlandzka komenda główna. Decyzja, że poważniejsze przestępstwa mają być rozpracowywane pod zwierzchnictwem Wydziału Kryminalnego Policji w Doggerlandzie, WKPD, zapadła jedenaście lat temu. Media relacjonujące tę wiadomość jak zawsze opowiedziały się po „stronie decentralizacji”, ochoczo przytaczając prorocтва demagogów o urażonych policjantach z prowincji. Grożono utratą lokalnego zakotwiczenia, liczba wyjaśnianych spraw również miała spaść. Powszechna opinia głosiła, że to wszystko jest wymysłem urzędników, którzy ledwie wystawiają nosy poza granice Dunkeru, a wzrok przesłaniają im oszczędności.

Naprawdę jednak decyzja ta była podyktowana katastrofalnie niskim odsetkiem wyjaśnianych spraw. Pijackie bójki, rozboje i zabójstwa pod wpływem alkoholu i narkotyków rozwiązywano wprawdzie w dziesięciu przypadkach na dziesięć i jeśli chodzi o ten typ przestępczości, osadzenie lokalne miało duże znaczenie dla pracy policji. Ale typowe morderstwa z premedytacją zdarzały się tam akurat tak rzadko, że wśród lokalnych zasobów brakowało wystarczających kompetencji. Poza tym – i to okazało się mieć kluczowe znaczenie przy podejmowaniu tej kontrowersyjnej decyzji – jeden z naczelników regionalnej policji świadomie ukrywał informacje w sprawie dotyczącej molestowania seksualnego trójki

dzieci w wieku przedszkolnym z Frene trochę na południe od Ravenby. Później okazało się, że sprawcą był jego siostrzeniec.

Krytyka medialna ustała z czasem także dlatego, że według statystyk po przeprowadzeniu reorganizacji procent rozwiązywanych spraw wzrastał z roku na rok. Niestety liczba ciężkich przestępstw podwoiła się w tym samym okresie, co nie dalej jak tydzień temu zaowocowało artykułem w „Kvellsposten” o sporej liczbie niezłapanych przestępców, którzy chodzą wolno po Wyspach Doggerlandzkich. Nawiązanie do starej, wciąż podtrzymywanej bujdy o tym, że Doggerland był niegdyś przystanią dla zbirów uciekających z Wysp Brytyjskich i Skandynawii, było oczywiste, a liczba sprzedanych egzemplarzy prawdopodobnie poprawiła właścicielowi gazety nastrój przed świętami.

Wciąż jednak na prowincji tlił się opór przed nowymi regulacjami i kolegami ze stolicy, którzy przyjeżdżają i obwieszczają rzeczy oczywiste jak prawdy objawione. Karen nie ma złudzeń co do tego, że to dochodzenie nie będzie tu wyjątkiem. Gdyby była w pracy, sprawdziłaby Thorsteina Bylego w intranecie i przygotowała się na wszelkie możliwości. Teraz muszą jednak wystarczyć jej własne uprzedzenia i pobieżne wrażenie po wczorajszej rozmowie telefonicznej: typ ze starej szkoły, jeśli sądzić po tym, jak wypowiadał spółgłoski, mieszkaniec Noorö z dziada pradziada. Wyrażał się bez najmniejszej skazy, ale głos zdradzał, że czuł się zażenowany tą sytuacją.

Mniejsza o to, myśli Karen, byle tylko grał w otwarte karty.

W tej samej chwili dzwoni jej komórka. Karen zdejmuje nogę z gazu i nie patrząc na wyświetlacz, wkłada do ucha słuchawkę. Przekonana o tym, że dzwoni jej mama, odpowiada, podając samo imię. W głosie po drugiej stronie nie ma śladu matczynej troski, rozmówca nie traci czasu na zbyteczne powitania.

– Mówi Brodal. Jak daleko już zajechałaś?

Karen rzuca okiem na mijaną właśnie tablicę i odruchowo odpowiada.

– Właśnie przejeżdżam obok zjazdu na Ferring. A co? Nie mów, że już jesteście na miejscu?

Od razu żałuje, że nie zwlekła się z łóżka wcześniej i nie wyjechała godzinę temu.



– No to musisz zawrócić. Nie mogę uruchomić swojego pieprzonego grata, więc musisz mnie zabrać. Co to za cholerny hałas?

Karen przycisza radio i klnie cicho.

– A co z Larsenem? – próbuje. – On też jest chyba w drodze.

– Jest już w Thorsvik. Wiesz, gdzie mieszkam?

– Coś mi świta, że gdzieś w Lemdal.

– Fyrviksgatan 18, na samym rogu z Sandevägen. Będę czekać przed domem.

– Okej, będę tam za kwadrans – mówi przez zęby Karen i znów rozkręca radio na maksa. *You make a grown man cry*, wyje Jagger.

Resory się uginają i samochodem kołysze, kiedy Kneought Brodal, głośno postępując, zajmuje miejsce na siedzeniu obok Karen. Mamrocząc poirytowany, ciągnie za pas bezpieczeństwa. Karen zwleka chwilę, a później pochyla się, żeby mu pomóc dostosować długość. Nie pamięta, kto jako ostatni siedział na tym fotelu, ale bez względu na to, na pewno był połową lekarza sądowego. W końcu udaje się jej naciągnąć pas wokół jego brzuszyska.

– Okej, no to jedziemy – mówi Karen i słyszy przesadną wesołość w swoim głosie.

Kneought Brodal nie odpowiada.

Karen próbuje dwadzieścia minut, potem się poddaje. Zazwyczaj nie ma problemów, żeby znieść Brodala. Po blisko dziesięciu latach przywykła do krótkich opryskliwych odpowiedzi na pytania mające związek z dochodzeniami toczącymi się w sprawach ze skutkiem śmiertelnym, wyrobiła w sobie rodzaj odporności na te złe nastroje. W jego sposobie traktowania ludzi jak idiotów nie ma nic osobistego, tym samym tonem mówi do wszystkich, od posterunkowych poczynając, na szefie policji kończąc. Kneought Brodal czerpie jakiś pożytek jedynie z rozmów z szefem Sekcji Techniki Kryminalistycznej Sörenem Larsenem. Nie, zazwyczaj Karen nie ma najmniejszego problemu z Brodałem, ale bycie zamkniętą z nim w samochodzie na autostradzie, gdy czeka ich kilka godzin jazdy, to inna bajka.

Po kilku wprowadzających pytaniach o to, skąd podejrzenie, że emerytowany nauczyciel został zamordowany, Karen dochodzi do wniosku, że Brodal nie wie więcej od niej i że wolałby wiedzieć jeszcze mniej, bo wtedy – o czym nie omieszkał jej poinformować rozgoryczonym tonem – mógłby delektować się świąteczną jagnięciną i nalewką na liściach woskownicy, zamiast ganiać po jakimś pustkowiu.

– Ale taka jest kara za to, że człowiekowi udało się ustać na nogach, nie jak ci młokosi, których rozkłada nawet najmniejsza

pierdoła. Wszyscy nagle twierdzą, że dopadła ich grypa. Tak jest, cholera, najwygodniej, jeśli chcesz znać moje zdanie.

Karen zongluje tematami, ale pogawędka staje się coraz bardziej wymuszona. Usiłuje skłonić opryskliwego lekarza, żeby odpowiadał bardziej wylewnie niż chrząknięciami. Jednak nawet niezwykle łagodna jak na tę porę roku pogoda ani wiadomość o hojnych środkach na koncie reprezentacyjnym ministra spraw wewnętrznych czy plotki o zbliżającej się reorganizacji policji zdają się go nie interesować. A ponieważ żaden z tych tematów nie interesuje też Karen Eiken Hornby, ta w końcu milknie.

Kiedy zerkając na zegarek, naciska przycisk, żeby włączyć audycję informacyjną w radiu, i już zbiera się w sobie, żeby spytać Brodala, czy słuchał dziś wiadomości, a jeśli tak, to czy była w nich mowa o morderstwie w Skreby, z siedzenia pasażera dobiega ją chrapanie.

Karen jedzie skupiona tak szybko, jak tylko ma odwagę, akompaniując jej ciężkie pochrapywanie lekarza sądowego, przy czym każdy jego bezdech senny sprawia, że Karen niespokojnie patrzy w bok, aż znów rozlegnie się świszczanie. Dopiero w Thorsvik, gdy wtaczają się na pokład, Kneought Brodal wzdryga się i budzi. Przez osiemnaście minut pozostające do odejścia promu Karen udaje się omijać wzrokiem stróżkę śliny, która ściekła z lewego kącika ust lekarza i wylądowała na pasie, zostawiając po sobie obleśny ślad. Teraz Brodal wydaje różne dźwięki świadczące o dezorientacji po przebudzeniu połączonej z bólem zeszywniałego karku. Ostrożnie rozciera tył głowy i ziewa.

– Niech mnie, ale niewygodny ten samochód.

– Nie aż tak, żebyś nie mógł w nim drzemać przez ponad dwie godziny – odpowiada oschle Karen. – Ale zaraz będziemy już na miejscu, przepłynięcie przez cieśninę zajmuje kwadrans. Skorzystam z okazji i zaczerpnę trochę świeżego powietrza.

Nie czekając na odpowiedź, odpina pas i wysiada z wozu. Słyszy, jak Brodal otwiera drzwi po swojej stronie, i z wdzięcznością stwierdza, że nie próbuje nawet wyjść z samochodu. Nie dam już dzisiaj więcej rady zapinać tego gigantycznego bobasa, myśli Karen i zatrząskuje za sobą drzwi.

Poza jej samochodem na promie są tylko dwa pojazdy: czarne renault i motocykl. Kierowca jednoślada siedzi dalej na harleyu--davidsonie, mocno ściskając wygiętą kierownicę. Karen rozpoznaje logo na jego czarnej skórzanej kurtce: OP.

Wie, że ta kombinacja liter celowo ma podwójne znaczenie: *Odin Predators* albo *One Percenters*. Żadną tajemnicą nie jest też to, że ten gang ma kwaterę główną na zachodnim wybrzeżu Noorö. Czymś niezwykłym jest z kolei widok pojedynczej sztuki, myśli Karen, przyglądając się długiemu siwemu warkoczowi, który opada na plecy motocyklisty.

Może był na samotnej misji i śmiertelnie wystraszył jakiegoś biedaka, który nie umiał mu się postawić, przychodzi jej do głowy. A może najzwyczajniej spędzał Boże Narodzenie u swojej matuli. Bez względu na to, czy typ z przodu postrzega siebie jako drapieżnika mającego powiązania z dawną wiarą w Asów, czy chlubi się tym, że należy do jednego procentu subkultury motocyklowej, która odpowiada za poważną przestępczość, gdzieś prawdopodobnie musi mieć nieszczęsną matkę. Kogoś, kto ucieszy się na jego widok przy świątecznym stole. Może to mamusia pomogła mu zapleść ten warkocz, myśli Karen, wygląda niezwykle porządnie.

Podchodzi do dziobu i opiera się o żółty reling. Przed nią piętrzy się łańcuch górski na Noorö, z minuty na minutę coraz bardziej imponujący, ale za bakburtą wciąż rozpościera się otwarte morze. Na wschodzie blade grudniowe słońce właśnie zdążyło wgramolić się nad horyzont i zdaje się, że już dało za wygraną w starciu z wałami chmur, które nadciągają z drugiej strony. Karen walczy z odruchem, żeby wyciągnąć z kieszeni paczkę papierosów. Może tego nie widać, ale rzuciła. W zasadzie. W każdym razie w ciągu dnia. Ależ kurde, jak by było przyjemnie, myśli sobie i sięga ręką do kieszeni.

Z tego ruchu wrywa ją głośnie trąbienie, odwraca się poirytowana do czarnego renault, które stoi za nią. Kierowca rozkłada ręce w geście świadczącym o tym, że to nie on za nie odpowiada, i kiwa głową w stronę jej forda rangera. Kilka szybkich kroków i już jest przy samochodzie.

– Co ty, kurna, wyrabiasz? Dlaczego trąbisz?

Kneought Brodal wzrusza ramionami i wskazuje leżącą na fotelu kierowcy komórkę Karen.

– Twój telefon piknął. A tak w ogóle, czy jako policjantka nie powinnaś go zawsze mieć przy sobie? To naprawdę mogłoby być coś ważnego...

Esemes od mamy.

*Pozwoliłam Sigrid wprowadzić się do pokoju gościnnego na kilka dni.  
Wszyscy cię pozdrawiają.*

Karen nawet nie odpisuje.

Wszystko wydaje się dużo mniejsze, niż Karen zapamiętała. Wprawdzie była tutaj kilka razy, już jako dorosła, ale mimo to wspomnienia z dzieciństwa wciąż kształtują jej wyobrażenie o tym, jak wygląda Lysvik: port rybacki z doggerlandzkimi łodziami, kutrami, włokami i wędzarniami. Promy towarowe i wielkie płyce hałdy węgla w porcie z kontenerami. Dzisiaj nikt już tu nie wędzi śledzi, łupaczy ani węgorzy, a z hałd węgla, które niegdyś stąd wywożono, widać tylko czarną sadzę wciąż zabarwiającą fasady budynków na brudnoszary kolor. Jakby miało się nie dać tego nigdy zeszkrobać.

Karen jedzie powoli główną ulicą ciągnącą się z portu przez całą osadę. Gabinet prowincjonalnego lekarza w żółtym drewnianym domu koło targu z warzywami dawno zastąpiła nowoczesna przychodnia, położona – jak się okazuje – w jednej z dwóch tutejszych nowoczesnych dzielnic. To samo wejście prowadzi do biur pomocy społecznej, Rady Rybackiej, wydziału budowlanego i władz prowincji z lokalami na ostatnim piętrze budynku. Naprzeciwko znajduje się komisariat miejscowej policji. Karen parkuje przed nim, wzdycha i odwraca się do Kneoughta Brodala, który niecierpliwie szarpie pasem bezpieczeństwa.

Thorstein Byle spełnia jej oczekiwania. Wysoki, z przerzedzonymi włosami, ogorzały mężczyzna po sześćdziesiątce o silnym uścisku dłoni i lodowoniebieskim spojrzeniu, które zagubione błądzi między Karen a imponującą figurą Kneoughta Brodala, kiedy wchodzi do poczekalni przychodni lekarskiej. Za nim pojawia się nieco pulchny, posiwiały mężczyzna. Jest swobodnie ubrany w beżową kurtkę sportową, a w rękę trzyma dzbanek z kawą.

– Witam! Sven Andersén, jestem tu lekarzem – mówi z uśmiechem i wyciąga rękę.

Karen przedstawia samą siebie, a po krótkim wahaniu również Kneoughta Brodala, który nie wygląda, jakby miał ochotę w ogóle

otworzyć usta.

Mijają recepcję, gdzie ktoś starał się stworzyć świąteczny nastrój, wieszając nad ladą antyalergiczne girlandy z plastikowych gałązek jałowca, i idą dalej do małej kuchni. Na stole pokrytym ceratą w czerwoną kratkę stoją cztery kubki i półmisek ciasteczek. Odsuwają krzesła i gdy w ciszy przysuwają je do stołu, te szurają o podłogę z linoleum.

– Hmm, i jak chcecie to rozegrać? – pyta po chwili Thorstein Byle i przesuwa półmisek w stronę Karen, która bierze ciastko, chociaż nie ma na nie najmniejszej ochoty.

– No więc Kneought przyjechał tutaj, żeby przeprowadzić sekcję i ustalić przyczynę zgonu. Ja zaś będę prowadzić śledztwo, jeśli wynik sekcji potwierdzi, że jest ono potrzebne. Z tego, co zrozumiałam, wynika, że zwłoki zostaną przewiezione na sekcję do Ravenby już jutro?

– Tak, to prawda – potwierdza Sven Andersén. – Transport wyruszy stąd jutro rano, w wydziale medycyny sądowej jesteście umówieni na jedenastą. Mówię my, ponieważ mam nadzieję, że będę mógł w tym uczestniczyć. Oczywiście za twoim pozwoleniem.

Sven Andersén nalewa wszystkim kawy, spoglądając pytająco znad okularów na Kneoughta Brodala, który po kilku sekundach wreszcie jakby budzi się do życia.

– Ach, tak, tak, oczywiście, że możesz, jeśli masz ochotę – mamrocze i wyciąga rękę po parę ciasteczek.

– Ty i ja będziemy ściśle współpracować – mówi Karen, zwracając się do Thorsteina Bylego. – Trochę potrwa, zanim dostaniemy posiłki z Wydziału Kryminalnego, a więc bardzo liczę na twoją pomoc. Macie tu na północy pod dostatkiem ludzi?

– Jest nas siedmiu chłopów na tym komisariacie, włącznie ze mną. To znaczy są wśród nas dwie kobiety. Jest jeszcze lokalny posterunek w Skreby i jeden w Gudheim, w każdym po kilkoro ludzi, ale w czasie świąt są zamknięte. Wszyscy mieszkają tu, na wyspie, i oprócz jednej osoby, która przebywa na Kanarach, w zasadzie są do dyspozycji. Dwóch oddelegowano do pilnowania miejsca zbrodni lub znalezienia zwłok, tak to może będę określał, zanim się czegoś dowiemy. Miejsce odgrodzono podręcznikowo –

dodaje. – Otrzymało w każdym razie akceptację waszego technika, kiedy go tam zaprowadziłem ponad godzinę temu.

– A jak z miejscem zamieszkania Fredrika Stuuba?

– Tam też umieściłem kilku chłopaków. Tak, to znaczy przed domem, do środka nie wchodziliśmy.

– Wspaniale. To chyba możesz opowiedzieć nam na początek, co wiesz, a potem Sven to uzupełni.

Thorstein Byle chrząka i odzywa się bezdźwięcznym, napiętym głosem, jakby został wezwany do odpowiedzi.

– Ofiarą jest niejaki Fredrik Stuub, emerytowany nauczyciel i wdowiec. Wczoraj rano o dziewiątej jego siostra Gertrud znalazła go martwego w starej, zalanej wodą szkodzie górniczej w Karby. Sam Fredrik Stuub mieszkał w pobliżu, trochę na północ od Skreby.

Niepewnie zerka na Karen. Ta kiwa głową ze zrozumieniem.

– Mam krewnych na wyspie i w dzieciństwie spędzałam tu dużo czasu, więc dość dobrze orientuję się w topografii.

Na twarzy Bylego pojawia się przebłysk czegoś w rodzaju zdziwienia.

– Eiken Hornby, powiedziałaś. A więc jesteś krewną Eikenów z Noorö?

Karen ogranicza się do potwierdzenia tego skinieniem głowy i Thorstein Byle ciągnie, już nieco swobodniej.

– Tak, zatem Fredrika znalazła jego siostra Gertrud Stuub, którą zaniepokoiło to, że nie mogła się do niego dodzwonić. Podobno nie pojawił się na *Julottan*, co miał w zwyczaju robić, i gdy tylko zaczęło świtać, Gertrud pojechała do niego do domu, który znajduje się stosunkowo niedaleko. Kiedy nie zastała tam ani Stuuba, ani jego psa, naprawdę się zaniepokoiła, że mógł się wywrócić i coś sobie zrobić podczas spaceru z czworonogiem. Najwyraźniej każdego ranka robił rundkę wokół kopalni. Tak przynajmniej zrozumiałem to, co mówiła Gertrud Stuub, gdy tutaj przyszła, ale była tak poruszona, że trudno było wydobyć z niej jakieś szczegóły.

Thorstein Byle robi przerwę i upija łyk kawy.

– Tak czy inaczej, poszła i rzeczywiście znalazła najpierw psa, a potem brata. Na szczęście miała ze sobą komórkę i od razu mogła wezwać pomoc. Dyżurujący, który odebrał zgłoszenie, zadzwonił prosto do mnie. Sam mieszkam w Skreby i przybyłem na miejsce



pierwszy za dwadzieścia dziesiąta. Chłopcy z pogotowia pojawili się tuż po mnie. A ty, Sven, przyjechałeś chyba koło dziesiątej?

– Kilka minut po – potwierdza lekarz, kiwając głową, a Byle mówi dalej:

– Fredrik Stuub spadł z krawędzi. Jego ciało leżało na występie w ścianie szkody górniczej tuż nad powierzchnią wody. Gdyby spadł dziesięć metrów dalej, runąłby do wody i przepadł jak kamień. Chłopcy z pogotowia zeszli do niego od razu z noszami i go wyciągnęli. Mają w tym pewną wprawę z gór.

Karen waha się przez chwilę, a później zwraca do Svena Anderséna:

– Nie ma żadnych wątpliwości co do tego, że był już wtedy martwy? To znaczy, zanim go wyciągnęli.

– Najmniejszych – potwierdza z naciskiem Andersén. – Miał roztrzaskaną czaszkę i część substancji mózgowej z niej wypłynęła. Udało mi się to stwierdzić jeszcze na miejscu. Właśnie go wyciągnęli, gdy przyjechałem.

– A kiedy zmarł? Wedle twojej oceny – pyta Karen.

– Powiedziałbym, że ze dwie godziny wcześniej. Plus minus góra pół godziny. Gdyby wpadł do wody, byłoby to trudniej określić.

– Okej – mówi Karen. – To oznacza, że umarł między wpół do ósmej a wpół do dziewiątej. Czyli niedługo przed tym, jak znalazła go siostra.

W pokoju panuje cisza, nikt nie kwapi się, żeby skomentować to podsumowanie. Kneought Brodal bierze jeszcze jedną garść ciasteczek, dwa wkłada sobie do ust, po czym zabiera głos.

– A co w takim razie skłoniło was do tego, żeby odciągnąć nas od uciech świątecznego stołu? – pyta niewyraźnie, przeżuwając. – Facet mógł się chyba poślizgnąć i wywrócić?

– Dwie rzeczy – zaczyna Sven Andersén. – Powiesz ty czy ja?

– Mów ty – odpowiada Thorstein Byle.

– Kiedy przywieźliśmy go tutaj na pogotowie i dokonałem pierwszych oględzin, od razu stwierdziłem, że ma zadrapania na obu dłoniach. Następnie moją uwagę zwrócił brak lewego buta, który mógł się w zasadzie zsunąć przy upadku; nie mówimy tu o zimowych butach, ale o takich na grubych zelówkach.

Zauważyłem jednak, że skarpetka się zmarszczyła i trzyma się na śródstopiu, a na pięcie są wyraźne ślady zadrapań.

Wokół stołu daje się wyczuć ciche wyczekiwanie. Wszyscy domyślają się, do czego zmierza Sven Andersén.

– Także na ubraniach i na pięcie buta, który się ostał, widać wyraźne ślady – ciągnie lekarz. – Zaraz sami zobaczycie, ale w mojej ocenie zaciągnięto go tam na plecach. Kiedy to odkryłem, przerwałem oględziny i zadzwoniłem do Thorsteina.

Byle przytakuje.

– Właśnie odgrodziłem to miejsce. Nie dlatego, że podejrzewałem, że było to coś więcej niż nieszczęśliwy wypadek, ale chciałem dać dobry przykład. Mamy kilku nowych chłopaków na komisariacie i to oni, rzecz jasna, sprawowali dyżur w święta. Kiedy Sven zadzwonił parę godzin później, zaczęliśmy szukać drugiego buta i po jakimś czasie go znaleźliśmy. Był na bloku skalnym, niedaleko miejsca, gdzie leżał Stuub. Jednemu z chłopaków udało się go wyciągnąć sznurkiem z kawałkiem drutu kolczastego z ogrodzenia koło zawrotki. Może nie do końca zgodnie z zasadami, ale bałem się, że wiatr go zdmuchnie do wody, jeśli go tam zostawimy. Tak czy inaczej but miał zdartą piętę, dokładnie tak, jak Sten opisał ten drugi. To wtedy postanowiłem się z wami skontaktować. Nie wiem, czy słusznie czy nie, w każdym razie zgodnie z wytycznymi.

– Jak najbardziej słusznie – mówi Karen z uspokajającym uśmiechem.

Zawiadomił centralę już koło drugiej, myśli. A Smeed zadzwonił do mnie dopiero kilka godzin później. Naprawdę musiałam być dla niego ostatnią deską ratunku, jeśli nie chciał odwoływać wyjazdu do Tajlandii.

– Oznacza to, że w zasadzie minęła doba, odkąd Gertrud Stuub znalazła brata – mówi.

Także tym razem stwierdzenie to nie zostaje w żaden sposób skomentowane. Słysząc jedynie przeżuwanie Brodala. W końcu to jednak on przerywa milczenie.

– Aha – mówi, podśmiewając się oschle. – A ilu ciekawskich mieszkańców Noorö dreptało do tej pory po potencjalnym miejscu zbrodni? Sören Larsen nie będzie zadowolony...

Nic w głosie Thorsteina Bylego nie zdradza irytacji, którą daje się wywnioskować z zaciśniętej szczęki.

– Żaden – odiera. – Z kolei Gertrud Stuub mogła naturalnie zniszczyć ewentualne dowody. I pies, rzecz jasna. Zapewne są tam też odciski moich butów. Z drugiej jednak strony nie dało się zobaczyć ciała w linii prostej, to znaczy z miejsca, z którego spadł. Trzeba było odejść kawałek na bok, żeby spojrzeć w dół, więc to raczej tam znajduje się większość odcisków. I to tamtędy zeszli ludzie z pogotowia. Musieli trochę go podciągnąć w bok.

– Tak, zobaczymy to, kiedy tam dotrzemy – mówi Karen.

Ale Kneought Brodal się nie poddaje.

– I gwarantujesz, że teren był cały czas odgradzony? – pyta. – Że twoi chłopcy nie skorzystali z okazji, żeby wyskoczyć do domu do żoneczki i skosztować pieczonego łba owcy, gdy tylko odwróciłeś się plecami?

Wściekła czerwień podnosi się z szyi Thorsteina Bylego i rozlewa się mu po policzkach, kiedy patrzy prosto w puste kubki po kawie i zbiera się do odpowiedzi.

Karen go uprzedza.

– Daj spokój, Kneought – mówi ostro. – On ma już takie poczucie humoru – dorzuca w stronę Bylego. – Innymi słowy, ani trochę. Zerknijmy więc może szybko na Fredrika Stuuba, a potem pojedziemy do kopalni w Karby?

Fredrik Stuub leży pod płachtą cienkiej folii. Nadal jest w ubraniu i widać jedynie skórę na jego twarzy, szyi, dłoniach i jednej stopie. Głowę ma przekreconą na bok, a twarz niemalże całą pokrytą krwią. Prawdopodobnie przez niedawne słowa Brodala Karen kojarzy się to z zapakowaną w plastik głową owcy, którą ma u siebie w zamrażarce w piwnicy. Pod wpływem tego – oraz temperatury w chłodni położonej w głębi małego komisariatu – na skórze przedramion pojawia jej się gęsia skórka. To wszystko formalność; lekarz sądowy i prowadzący śledztwo powinni przyjrzeć się zwłokom możliwie jak najszybciej po zgonie. Jedynym, który odtąd może dotykać ciała, jest lekarz sądowy. Dopiero rano w Instytucie Medycyny Sądowej w Ravenby Kneought Brodal przeprowadzi pełną

sekcję, także w obecności prowadzącego śledztwo. Karen nie czeka z utęsknieniem na kolejny dzień.

Sven Andersén ostrożnie podnosi folię i głową daje znak Brodalowi, żeby podszedł.

– I co powiesz? – pyta, gdy Brodal, szybko obejrzawszy głowę Stuuba, przekreślił jego lewą piszczel, żeby przyjrzeć się równoległym zadrapaniom biegnącym z tyłu od kostki aż do pięty.

Kiwnięciem głową Brodal daje znak Svenowi Andersénowi, żeby ten znów naciągnął folię, a potem zdejmuje z rąk rękawiczki.

– Taa, nie wiem, jakie macie tu na północy nawyki co do spacerów, ale wedle mojej wiedzy takie ślady znaczą zazwyczaj tylko jedno. Oczywiście niczego nie da się wykluczyć definitywnie, dopóki nie przeprowadzimy sekcji i oględzin miejsca znalezienia zwłok, stawiam jednak kilka pilsnerów, że masz rację. Ktoś go sprzątnął.

– Innymi słowy, morderstwo – mówi Karen i przejeżdża dłonią po czole. – Albo w każdym razie zabójstwo.

I po raz pierwszy, odkąd Jounas Smeed do niej zadzwonił i uwolnił ją od dalszego obchodzenia świąt, Karen czuje dobrze znany niepokój, jak potoczy się dalej to śledztwo. Wczoraj przez telefon Smeed obiecywał, że postara się przysłać jej posiłki, ale do tej pory nie słyszała nic, co by wskazywało na to, że mu się udało.

– Tak, szczęśliwego nowego roku, Eiken. – Karen słyszy Kneoughta Brodala, w jego głosie pobrzmiewa coś jakby radość z cudzego nieszczęścia. – Wydaje się, że dłuższy pobyt na tym odludziu będzie nieunikniony.

Droga krajowa numer dwanaście przecina dystrykt Noorö, prowadząc z Lysvik, przez Skreby daleko na północ, aż do Gudheim. Po lewej stronie drogi wznosi się łańcuch górski Skalvet, chroniący wyspę przed wiatrami znad Atlantyku, z drugiej strony krajobraz coraz bardziej się wypłaszcza ku wschodowi, gdzie piętrzy się jeszcze jeden masyw górski. Już nie tak wysoki jak Skalvet, ale na tyle wysoki, że chroni wsie, które wydają się z pozoru przypadkowo porozrzucane w środkowej części wyspy.

Kneought Brodal został w Lysvik, Karen jedzie teraz za czarnym volvem Thorsteina Bylego. Na północy, tuż za zjazdem do Skreby, skręcają z szosy krajowej na wprawdzie asfaltową, lecz kiepsko utrzymaną drogę. Zanim Karen zaczyna podskakiwać za Bylem, udaje się jej nawet dostrzec, co jest napisane na wykrzywionej przydrożnej tablicy: KOPALNIA KARBY. DROGA WEWNĘTRZNA.

Już wcześniej widziała tę tablicę, jako dziecko przejeżdżała tędy wiele razy i sądziła, że ta nazwa ma w sobie coś zgubnego. Coś zakazanego i pociągającego. Słyszała, jak jej kuzyni przechwalali się, że byli tutaj i się kąpali, choć było to zakazane. I to z pewnością mogła być prawda. Życie Finna, Einara i Odda w dużej mierze polegało na tym, żeby rzucać sobie i swoim kolegom wyzwania i robić jedną głupotę za drugą. Im coś było niebezpieczniejsze, tym lepiej. Zakład o to, kto się odważy skoczyć do skażonej i lodowatej wody w rowie, był w ich stylu. I robili, co mogli, żeby ją wychować podczas długich letnich wakacji. Rozochoceni podziwem w jej wybałuszonych oczach i może tym, że z braku sióstr postrzegali ją jak małe rozkoszne zwierzątko, uczyli ją strzelać do pordzewiałych puszek konserwowych, skręcać karki kurom i zagadywać sprzedawcę tytoniu w Vesle tak, żeby Finn mógł się wślizgnąć za kasę i ukraść papierosy. Nauczyli ją palić i tłumić odruch wymiotny, dotykać językiem krowich placków oraz stać na straży, gdy oni kradli barana sąsiadowi. Nauczyli ją się bić i przyjmować cięgi bez grymasów. Kochała ich nad życie.

Może dlatego, że Finn był o sześć lat starszy od niej, Einar o cztery, a Odd o trzy, może dlatego, że była z południa, albo dlatego, że była dziewczyną, albo może mimo wszystko mieli w swoich zagubionych chłopięcych mózdkach pewną granicę, w każdym razie nigdy nie zabrali jej ze sobą na kąpiel do kopalni Karby.

Thorstein Byle zjeżdża na zawrotkę, parkuje pod przewróconym ogrodzeniem z drutem kolczastym i tablicą z tekstem: WYRZUCANIE ŚMIECI ZABRONIONE.

Karen parkuje tuż za nim i przygląda się stertom gratów za powalonym ogrodzeniem. Połamane deski z pordzewiałymi gwoździami, popękane kartongipsy, mokre kartony, dwa stare wózki dziecięce, puste puszki po farbie, ufajdane czymś plastikowe baniaki, popsuty rower, sterta potłuczonych dachówek.

– Przypuszczam, że tak to wygląda, odkąd punkt odbioru odpadów zaczął pobierać opłaty – mówi Karen, otworzywszy drzwi i stanąwszy koło Bylego.

Miejscowy policjant przytakuje.

– Władze prowincji zdecydowały, że będą tu sprzątać co roku, ale już kilka miesięcy później znów to tak wygląda. Czasem tu zajeżdżamy, ale do tej pory udało nam się złapać tylko garstkę śmiejących na gorącym uczynku. Musimy iść dalej pieszo – dodaje, kiwając głową w stronę zwirowej drogi, która bierze swój początek po drugiej stronie zawrotki. Dałoby się podjechać jeszcze kawałek samochodem, ale technicy się wkurzą. Potem jest to tak zarośnięte, że i tak trzeba by się wycofać.

– No to prowadź – mówi Karen, nie wiedząc, co mogłaby właściwie powiedzieć.

Idą dalej, oddalając się od wypłaszczenia zawrotki. Droga jest zadziwiająco szeroka, ale opada raptownie w dół, a asfalt, który aż do zawrotki był wprawdzie fragmentami zapadnięty i popękany, tutaj jest widoczny tylko jako niepowiązane ze sobą bryły zaszpachlowane błotem pośniegowym. Przy każdym kroku Karen zagryza zęby z bólu.

– To tędy przywożono z kopalni węgiel wózkami, żeby przeładować go na zawrotce – woła Thorstein i idzie dalej, stawiając

długie kroki. – A więc masz krewnych na wyspie? – dodaje po krótkiej przerwie.

Karen chwilę zwleka.

– Tak, ale od lat ich nie widziałam.

On oczywiście dobrze wie, jaka krew płynie w jej żyłach. W przeciwieństwie do samej Karen Byle miał wystarczająco dużo czasu, żeby sprawdzić ją w intranecie. I wie, rzecz jasna, że niegdyś, kilka pokoleń temu, Eikenowie stanowili wysoce szanowany ród na wyspie. Bogobojni i pracowici dziadkowie jej ojca – lub przynajmniej ich dziadkowie – wyruszali w morze zarówno podczas sztormu, jak i flauty, i pokornie co niedzielę pochylali głowy w kościele. Ich groby w Gudheim są tego świadectwem: czarne żeliwne kotwice zamiast kamiennych tablic. Kotwice te nie należą wprawdzie do największych, nie są wysokości człowieka i nie mają łańcuchów jak te u pilotów morskich, ale mimo wszystko oni także mają kotwice w miejscu wiecznego spoczynku zamiast zwykłych płyt, którymi musieli się zadowolić chłopci i reszta prostego ludu. To prawo kiedyś przysługiwało Eikenom. Już go jednak nie mają.

– Eikenowie, tak... – mówi zamyślony Byle, jakby szukał czegoś w pamięci, i Karen postanawia wyłożyć karty na stół. Nie wszystkie, tylko niektóre.

– Obawiam się, że część moich krewnych może być na bakier z policją. Wydaje mi się, że coś słyszałam o polowaniu z reflektorami kilka lat temu w Gudheim, skończyło się to kilkumiesięczną odsiadką dla jednego z moich kuzynów.

Z obrzydzeniem myśli o dużych terenówkach, które jeżdżą nocą po wrzosowiskach z silnymi reflektorami na dachu, i znudzonych facetach, którzy strzelają do wszystkiego, co porusza się na czterech nogach i pojawi się w snopie światła. O pędzonym po kątach alkoholu i machlojkach podatkowych nic nie wspomina. Byle i tak pewnie wie.

Thorstein Byle odwraca się, nic nie odpowiedziawszy. Bez słowa podaje rękę Karen, która ześlizgnęła się z mokrej skały. Ta z wdzięcznością przyjmuje jego pomoc i czuje, jak rwie ją w kolanie, gdy z pomocą kolegi obchodzi grzbiet góry. Kiedy go puszcza i unosi wzrok, musi się powstrzymać, żeby nie jęknąć.

A więc to jest Karby. Niegdyś niegościnne miejsce pracy dla mężczyzn z pochylonymi plecami i bolącymi ramionami. Teraz jezioro otoczone sosnami, nagimi pniami drzew liściastych, krzaczorami i masywem niebieskoszarej góry. Jest tu baśniowo, mrocznie, niestosownie pięknie.

– Getryggen – mówi Byle, śledząc jej wzrok utkwiony w górze. Z drugiej strony leży zatoka Skrebyvik, ale to już pewnie wiesz. Twoi ludzie powinni chyba niedługo kończyć – dodaje, zerknąwszy na zegarek na ręce, i delikatnie kiwa głową w stronę starej kopalni.

Biało-czerwona taśma łopocze lekko na wietrze. Na odgrodzonym terenie stoi dwóch policjantów pogrążonych w rozmowie. W białych kombinezonach ochronnych wyglądają jak kosmici. Mimo że są zwrócenii do nich plecami, Karen wie, że jednym z nich jest Sören Larsen, a drugim kolega, który – jak się jej wydaje – nazywa się Arvidsen. Larsen sięga mu do ramion. Gdy nie ma na sobie stroju ochronnego, Sören Larsen ucieka się do pomocy masywnych buciorów na grubych podeszwach, żeby wzbić się nieco nad powierzchnię ziemi. Im grubsze, tym lepsze. Buty na miękkiej podeszwie, które musi nosić pod tego typu kombinezonem, nie dodają mu tak bardzo potrzebnych centymetrów. Nie ma tu też pożytku z fryzury – kręcone blond włosy, które zwykle jak aureola sterczą mu dookoła głowy, leżą płasko pod kapturem.

Dwóch posterunkowych znajdujących się przed taśmą usiadło na pniakach. Teraz, kiedy gwałtownie się zrywają i salutują, Larsen odwraca się i dostrzega Karen.

– No, najwyższa pora – woła z uśmiechem i przenosi ciężar ciała na palce stóp.

Karen szybko wita się z oboma policjantami, kiwa do Arvidsena i podchodzi do taśmy.

– Cześć, Sören, jak tam? Znaleźliście coś przydatnego?

– Obawiam się, że nie tyle, ile byś chciała. Ślady ciągnięcia, ale nie ma tu wyraźnego odcisku buta. Rano było kilka stopni na minusie, więc ziemia była twarda, a w nocy padał śnieg z deszczem, więc to niemalże wykluczone. Może gdyby zadzwonili wcześniej...

Sören Larsen wykonuje gest w stronę Thorsteina Bylego, który stoi kawałek dalej z posterunkowymi.



– Myślę, że robili, co tylko mogli – mówi Karen. – I tak nikt z nas nie zdążyłby tu dojechać wczoraj przed zmrokiem.

– Tak, tak. W każdym razie zabezpieczyliśmy fragmenty odcisków buta w glinie przy krawędzi, ale są tu głównie odciski psich łap. Biedaczysko musiało być zdezorientowane, biorąc pod uwagę, jak biegało tam i z powrotem. Ale w tej brei ani na tłuczniu powyżej nie da się zabezpieczyć żadnych odcisków.

– A ślady opon?

– Tutaj nie. Wyżej przy zawrotce są ich setki. Od razu daliśmy sobie spokój.

– Włosy, skóra, paznokcie? – Karen uśmiecha się, zadając te pytania, w pełni świadoma, jaką usłyszy odpowiedź.

– Masz na myśli CSI Noorö? Zapomnij.

Sören Larsen wykonuje zapraszający gest ręką.

– Proszę bardzo, sama możesz przyjść i poszukać włosów w glinie. W gruncie rzeczy my już skończyliśmy.

– Dzięki, daruję sobie. Ale chętnie zobaczyłabym miejsce, w którym leżały zwłoki.

– *Be my guest* – mówi Larsen i szarmancko podnosi taśmę policyjną.

Karen idzie za nim i patrzy na ślady ciągnięcia i odciski, które pokazuje jej kolega. Bez jego wskazówek ledwie zwróciłaby na nie uwagę albo nie zrozumiałaby, co widzi.

– Tutaj spadł, ale musisz odejść kilka metrów, żeby zobaczyć, gdzie leżał – instruuje ją Larsen, wskazując miejsce.

Kręci się jej w głowie, gdy wyciąga szyję i wygląda znad krawędzi. Lęk wysokości pojawił się u niej z wiekiem; w każdym razie nie pamięta, żeby tak ssało ją w żołądku, gdy była młoda. Czuje strach przed tym, że straci kontrolę i się rzuci. Resztki krwi, a prawdopodobnie nawet substancję mózgową, o której wspominał Sven Andersén, nadal widać niczym ciemny cień na szarych kamieniach.

– Miał pecha – rozlega się za nią głos Sörena Larsena. – Mówię o mordercy.

Karen wodzi wzrokiem po ścianach szkody górniczej. Poza kilkoma wyjątkami ściany stromo opadają wprost do wody. Wysunięte partie i wystające skały widzi tylko w kilku punktach.

Osoba zepchnięta niemalże z każdego innego miejsca wylądowałaby prosto w zimnej wodzie. Cienka skorupa lodu, która zdążyła się wytworzyć tej łagodnej zimy, pękłaby i ciało szybko zniknęłoby pod powierzchnią. Kiedyś prawdopodobnie by wypłynęło, ale do tego czasu musielibyśmy przeszukać całe jezioro, żeby je znaleźć, myśli Karen.

– Może. Fredrik Stuub też w każdym razie nie miał wiele szczęścia  
– mówi bez emocji.

Dom Fredrika Stuuba przypominał jej własny. Dwukondygnacyjny szary budynek z wapienia z czarnym łupkiem na dachu. Takie same znajdowały się wszędzie na Wyspach Doggerlandzkich. Tutaj jednak fasady były ciemniejsze i nosiły ślady węglowego pyłu, którego cienka warstwa pokrywała całą wyspę. Już nawet jako dziecko Karen zwracała uwagę na to, że wszystko jest tu ciemniejsze niż w domu. Że cała wyspa Noorö oddycha jakby sadzą, pyłem i mrocznymi cieniami gór. Wtedy wydawało się jej to emocjonujące, niemal egzotyczne. Teraz ją przytłaczało.

W pobycie tutaj kryje się też pewna lekkość, Karen o tym wie. Wysoko w górach i w zatokach poniżej nie panuje duchota, a na samej północy, koło Gudheim, jest oszałamiająco pięknie. Tutaj jednak w środkowej części wyspy, gdzie są ciasno zlokalizowane kopalnie węgla i nie czuć w ogóle obecności morza, Karen dopada przygnębienie. Z wymuszonym uśmiechem odwraca się do Thorsteina Bylego, żeby je stłamsić.

– Od jak dawna Fredrik był wdowcem, wiesz może? – woła, wyciągając z kieszeni kurtki parę lateksowych rękawiczek i przy okazji zatrzaskując drzwi samochodu.

Z Thorsteinem pojechali jako pierwsi do domu Fredrika Stuuba, przysięgłszy uprzednio na wszystkie świętości Sörenowi Larsenowi, że przed jego przyjazdem „nie dotkną nawet muszega gówna”. Teraz Karen kiwa głową do stojących na posterunku policjantów, żeby zrobili sobie wolne, i szybkim krokiem kieruje się do domu.

– Nie dopiero co – mówi Byle, kiedy udaje mu się ją dogonić. – Musiało już minąć wiele lat. Jego żona zmarła zaledwie kilka lat po śmierci ich córki, a było to co najmniej dwadzieścia lat temu.

Karen ściska w żołądku.

– Ile miała lat? Chodzi mi o córkę – mówi najłżejszym tonem, na jaki ją stać.

– Była tuż przed trzydziestką, tak mi się zdaje. Żółtaczka, jak mówią. Podobno nie oszczędzała się, kiedy była młodsza, i długo

żyła z tą chorobą. Miała na imię Ulrika. Jej syn Gabriel był kolegą ze szkoły mojej najmłodszej córki, stąd wiem.

– A więc Fredrik miał wnuka – mówi Karen. – Kto jest w takim razie ojcem Gabriela?

– Tego nie wiem. Nikt, z kim by była po ślubie. Ale mogę się spróbować dowiedzieć, to znaczy, o ile sama w ogóle wiedziała, kto był ojcem.

– Wstrzymaj się z tym trochę. Z poruszaniem nieba i ziemi zaczekajmy do sekcji.

– A więc twoim zdaniem to nie morderstwo?

Karen zatrzymuje się z ręką na klamce.

– Hmm, niewątpliwie bardzo wiele na to wskazuje, ale nie możemy być w stu procentach pewni, dopóki nie poznamy wyników sekcji.

Naciska klamkę, otwiera drzwi i wchodzi do środka. W tej samej chwili jest już całkowicie pewna.

Kiedy pół godziny później czarna furgonetka Larsena i Arvidsena zatrzymuje się na wjeździe, Karen i Byle siedzą na kamiennych schodkach przed domem Fredrika Stuuba.

– Zapomnieliście klucza? – drwi Larsen, wysiadając z samochodu.

Jego jasne, kręcone włosy znów się uniosły jak hełm. Nie czekając na odpowiedź, zaczynają z Arvidsenem wypakowywać torby ze sprzętem, aparat i nowe kombinezony ochronne. Karen czeka, aż podejdą.

– Od razu się wycofaliśmy – mówi. – Weszliśmy raptem do przedpokoju. Sam zobaczysz.

– Taa, albo stary nie przepadał za sprzątaniami, albo ktoś mu pomógł zrobić taki bajzel – stwierdza Larsen jakąś minutę później, gdy sam rzucił okiem na dom.

Tak jak Karen zobaczył wyciągnięte szuflady i książki powyrzucane z regałów. Stoi teraz na schodkach i mruży oczy w bladym słońcu.

– Raczej nie jest to zwykłe włamanie, prędzej przeszukanie, jeśli chcesz znać moje zdanie – dodaje. – Hmm, a więc to znów robota dla nas. Zdajesz sobie sprawę, że nie możesz tam wejść, prawda?

– A jak myślisz, dlaczego zawróciłam w progu? Nie pierwszy raz się w to bawię – odpowiada ostro Karen. – Jak myślisz, ile czasu ci

to zajmie?

– Nie mam pojęcia. Prawdopodobnie cały dzień. Ale cholera, powinni nam za to podwójnie zapłacić – mamrocze Sören Larsen. – Do tej roboty przydałoby się co najmniej czterech chłopów.

– Pogadaj z Viggiem Haugenem, z pewnością już czeka, żeby coś ci ochoczo dorzucić – mówi Karen z drwiącym uśmiechem.

Sören Larsen posyła jej mroczne spojrzenie. Skąpstwo szefa policji zdecydowanie wykraczało ponad to, co dałoby się umotywić decyzjami politycznymi. Zdawało się, że doroczne uchwalanie budżetu było dla Vigga Haugena raczej okazją do bicia rekordów.

– Tak, równie dobrze mogę spróbować wycisnąć krew ze skały – prychna Larsen. – Zadzwoń, jak skończymy, ale nie spodziewaj się, że będzie to przed wieczorem. Na razie musisz sobie znaleźć inną zabawę.

Jadą do Skreby. Karen jest wdzięczna Bylemu za to, że zaproponował, żeby skoczyć na lunch. Dochodzi pierwsza i poza jednym wyschniętym ciasteczkiem Karen nie jadła nic od śniadania w Langevik wczesnym rankiem. Jeszcze raz jadą powolną karawaną, on pierwszy, ona za nim. Ruch drugiego dnia świąt wciąż jest nieznaczny, mijają ich pojedyncze samochody, a Karen przelatuje przez głowę myśl, że Byle jedzie prawdopodobnie spokojniej niż zazwyczaj.

Skreby wyrosło wokół Skrefiorhten, długiego fiordu utworzonego przez uskoki, który rozłupał na dwie części najbardziej wysunięte na wschód góry na Noorö. Wieś graniczy z Getryggen od północy i z Halfen od południa. I chociaż góry unoszą się niebezpiecznie wysoko nad tutejszą społecznością, w porównaniu z pasmem na zachodnim wybrzeżu Noorö wydają się tylko odrobinę bardziej imponujące niż dwie hałdy węgla. Żaden z dwóch szczytów po przeciwległych stronach Skreby nie sięga wyżej niż pół kilometra nad fale Morza Północnego, najwyższy punkt Skalvet znajduje się za to ponad tysiąc dwieście metrów nad poziomem morza.

Karen odpręża się, podąża za samochodem Bylego i korzysta z okazji, żeby przyjrzeć się okolicy. Rozkojarzona zwraca uwagę, że słońce wygrało wreszcie walkę z chmurami i stworzyło złocistą mgiełkę nad surowym grudniowym krajobrazem. Przejeżdżają obok sennych obór i stajni, zamarzniętych pastwisk, leżących odłogiem pól i stacji benzynowej.

Gdy skręcają z drogi krajowej w Skrebyvägen, gospodarstwa pojawiają się coraz częściej. Domy mieszkalne z małymi, wąskimi działkami, stanowiącymi niegdyś dodatkowe źródło utrzymania dla rybaków i tych, którzy nie mieli własnych łodzi. Zagony, o które dbały przede wszystkim kobiety, gdy mężczyźni harowali na morzu na kutrach innych. Mężczyźni, którzy na grobach mieli tylko małe kotwice.

Z czasem szosa coraz bardziej przypomina wiejską drogę otoczoną prostymi szeregowcami z lat dwudziestych i trzydziestych dwudziestego wieku, wzniesionymi w złotej erze górnictwa. Karen szybko rzuca okiem na z pozoru opustoszałe boczne uliczki. Pewnie połowa budynków stoi pusta, myśli i czuje ukłucie melancholii, gdy przygląda się temu marazmowi. Nad osmolonymi domami unosi się jakiś ciężar i poczucie beznadziei. Wprawdzie Noorö zawsze było najsłabiej zaludnioną wyspą, ale Karen nie pamięta, żeby kiedyś było tu aż tak pusto. Nawet w drugi dzień świąt Bożego Narodzenia.

Wyludniająca się osada. Tak to właśnie wygląda, myśli. W przeciwieństwie do głównej wyspy Heimö i malowniczej Frisel, gdzie w ostatnich latach udało się zatrzymać trend emigracyjny i gdzie zapuszcza korzenie coraz więcej Doggerlandczyków powracających ze Skandynawii, Wielkiej Brytanii i z kontynentu, sytuacja na Noorö rozwija się w przeciwnym kierunku.

Bez pośpiechu jadą główną drogą w stronę portu. Przejeżdżają obok zamkniętych sklepów, kawiarni i pubu z ciemnymi oknami. Mijają starszą parę spacerującą pod rękę, zamkniętą aptekę, mężczyznę, który zatrzaskuje za sobą drzwi samochodu i z gazetą pod pachą idzie szybkim krokiem w stronę bocznej uliczki. Pewnie był po nią na stacji benzynowej, myśli Karen. Wydaje się, że tutaj wszystko jest zamknięte. Dopiero teraz dopadają ją wątpliwości, czy uda im się znaleźć jakieś miejsce z jedzeniem. W jej okolicy sklepy i centra handlowe zaczęto już wiele lat temu otwierać w niedzielę, obecnie można było nawet w Wielki Piątek iść na piwo i kupić zaimpregnowane drewno. Tutaj jednak wydaje się, że ludzie w drugi dzień świąt siedzą w domach. Karen nie wie, czy to z powodu głęboko zakorzenionego szacunku do Kościoła czy braku klientów, ale bez względu na powód zdaje się, że żadne miejsce, które mogłoby im zapewnić jakiś lunch, nie jest tu dziś otwarte. Nic nie wskazuje na to, żeby w porcie było lepiej, spostrzega Karen; rybacy wrócą z połowu najwcześniej pojutrze.

Jednak dopiero kiedy kierunkowskaz w samochodzie Thorsteina Bylego zaczyna migać i kolega skręca w jedną z ulic z domkami jednorodziennymi, dociera do niej, co miał na myśli.

Rodzina Byle mieszka na końcu bocznej uliczki, po której obu stronach stoją domy z parterem z szarego kamienia i drewnianą dobudówką na piętrze. Pierwotnie domy były czarne jak smoła, ale z czasem pokryły się srebrnoszarą patyną. Domy i ich kolory są typowe dla Noorö i Karen po raz kolejny czuje, jakby cofnęła się w czasie.

Solveig Byle wita ich na schodkach. Jest srebrzystą blondynką w porządnym drewniakach i z pięknym uśmiechem. Wyciąga do Karen rękę, drugą przytrzymuje sweter, który narzuciła sobie na ramiona. Thorstein musiał do niej zadzwonić z samochodu, myśli Karen i ściska wyciągniętą dłoń z wdzięcznością przemieszana z chęcią, żeby stąd uciec. Wolałaby posiedzieć w jakimś pubie nad talerzem gulaszu jagnięcego i dużym piwem. W spokoju przejrzeć notatki lub po prostu przewertować gazetę, którą ktoś zostawił. Zamiast tego będzie musiała zadawać uprzejme pytania, słuchać z zainteresowaniem, wychwalać jedzenie i dać się przekonać – najpierw „dziękuję, nie”, a wreszcie kapitulacja – do dokładki. I nie może zapomnieć podziękować trzy razy, jak nakazuje tradycja. Albo – co jeszcze gorsze – będzie musiała odpowiadać na pytania o nią samą.

Jest jednak zupełnie inaczej.

– Dzieciaki i ja już jedliśmy, więc będziecie mieć spokój – mówi Solveig. – Domyślałam się, że macie sporo do omówienia. Nakryłam dla was w kuchni, nic szczególnego, tylko trochę resztek z wczoraj.

Kiedy Karen siada przy kuchennym stole u rodziny Bylego, ma przed sobą talerz wypełniony po brzegi śledziami z tartą pietruszką, podsmażanym jarmużem, pachnącą goździkami kaszanką, cienkimi plastrami steku jagnięcego i galaretką jarzębinową. Przy żadnej innej okazji niż Boże Narodzenie nie przyszłoby jej na myśl mieszanie tego wszystkiego na jednym talerzu.

Solveig Byle wyłożyła podłogę koło kuchenki gałązkami jałowca, wyjęła materiałowe zielone serwetki i zapaliła siedmioramienny mosiężny świecznik na stole, chociaż był środek dnia. Karen czuje, jak ściska ją w gardle w związku z tą troską. Drzwi do przedpokoju są otwarte i z głębi domu dochodzą wesoła muzyka i piskliwe głosy lektorów z kreskówki. Sprawia to niesamowicie przytulne wrażenie.



– Macie małe dzieci? – pyta Karen, starając się ukryć zdziwienie.

Thorsteinowi musiała stuknąć sześćdziesiątka z niewielkim marginesem błędu, a Solveig nie wyglądała na dużo młodszą od niego.

Byle, który właśnie nalał im z dzbanka napój jałowcowy, patrzy na nią kilka sekund, jakby nie rozumiał, potem parska śmiechem.

– Chodzi ci o „dzieciaki”? Niech mnie, ona mówiła o wnukach. Nasza córka miała wczoraj i dzisiaj też ma dyżur w szpitalu w Langevik, więc dziewczynki przyjechały tu na całe święta. Trine odprawiła wiosną męża z kwitkiem i nie zrobiła tego ani o jeden dzień za wcześnie.

Nie rozwija tematu i Karen nie pyta.

Przez chwilę jedzą w ciszy. Resztki, które Solveig opisała jako „nic szczególnego”, były najwyraźniej przygotowywane od podstaw i z wielką pasją.

– Ale to niesamowicie smaczne – mówi po chwili Karen.

– Tak, Solveig jest wspaniała.

– Podsumujemy? – proponuje Karen. – Mów ty, bo jadasz takie pyszności na co dzień, a ja będę dalej przeżuwać.

– Hmm, na ciele oraz na miejscu znalezienia zwłok są dość wyraźne ślady ciągnięcia, więc możemy wyjść z założenia, że chodzi o przestępstwo. Fakt, że ktoś wywrócił dom Fredrika do góry nogami, tylko potwierdza tę tezę.

Karen kiwa głową.

– Tak, chyba wiele by trzeba, żeby mnie przekonać, że było inaczej. Pytanie więc, kto mógł coś zyskać na odebraniu życia Fredrikowi Stuubowi. Masz jakąś teorię?

– Żadnej poza tą oczywistą. Przypuszczam, że to syn jego córki dziedziczy.

– Gabriel, tak się nazywa? Jak ma na nazwisko?

– Stuub. Nosi nazwisko po matce, była niezamężna.

– No tak, mówiłeś, że ojciec nieznany?

– Chodzą plotki, że to niejaki Allan Jonshed, i jak przypuszczam, sporo by to wyjaśniało.

– Ten Allan Jonshed?

Byle przytakuje. Jakimś cudem Karen nigdy nie była zaangażowana w sprawę mającą bezpośrednie powiązania

z gangiem motocyklowym. Ale to, że Allan Jonshed jest prezydentem OP, rzecz jasna, jej nie umknęło.

– Gdzie dokładnie na wyspie osadziło się OP?

– Ich gospodarstwo znajduje się pod Tyrfallet, w górach Skalvet po drugiej stronie wyspy. A co? Nie masz chyba zamiaru tam jechać?

Karen wzrusza ramionami.

– Nie w tej chwili, ale Jonshed siedział za co najmniej dwa zabójstwa i jeśli ma jakikolwiek związek z ofiarą, trudno będzie uniknąć przesłuchania.

– Gdyby nie fakt, że Jonshed znów siedzi od kilku miesięcy – odpiera Byle bez emocji. – Poza tym chyba jest poważnie chory, wydaje mi się, że dość mocno się kłóca, kto ma przejąć schedę po prezydencie.

A więc Jonshed znów siedzi w pudle, ta nowina umknęła Karen.

– Co masz na myśli, mówiąc, że sporo by to wyjaśniało, gdyby Gabriel był synem Jonsheda? On też jest członkiem OP?

– Oficjalnie nie. Ale współpracują z grupą „cywilów”, którzy w pewien sposób są z nimi powiązani.

Byle wykonuje znak cudzysłowu palcami w powietrzu. Karen tłumy w sobie dreszcz.

– Zostało to potwierdzone czy są to tylko pogłoski?

– To drugie, niestety...

– I Gabriel miałby być takim cywilnym członkiem?

– Tak, albo kimś w rodzaju *hang around*. Dość sporo młodych chłopaków wdzieczy się tam i próbuje wkraść w łaski bossa. Gabriel jest właśnie w trakcie batalii o prawa rodzicielskie, więc obstawiam, że stara się nie ujawniać z członkostwem, przynajmniej do zakończenia rozwodu. Jednak zarówno ja sam, jak i chłopaki wpadaliśmy na niego wiele razy w OP, więc któryś palec w tym macza.

Karen wyciera sobie usta, odchyła się i patrzy na kolegę.

– Wielki Boże, czy ty wiesz wszystko o tej wyspie? Jesteś prawdziwą kopalnią wiedzy.

Thorstein Byle stara się ukryć uśmiech zadowolenia.

– Bądź co bądź spędziłem tu całe życie i sama wiesz, że będąc policjantem, człowiek widuje to mniej chlubne oblicze ludzi. Ale

takie plotki znam w zasadzie tylko o tych, którzy mieszkają wokół Skreby. A do tego, jak już mówiłem, Gabriel był kolegą z klasy naszej Trine.

– Gdzie pracuje?

– Na północy, u Grotha. Wydaje mi się, że odpowiada za butelkowanie czy coś takiego.

Karen uśmiecha się do siebie. Wycieczka do destylarni whisky Grotha w Gudheim wydaje się jej zdecydowanie bardziej pociągająca niż wyjazd w góry i spotkanie z mężczyznami z długimi siwymi warkoczami.

– Tak, rodzina Hussów doprawdy mocno się stoczyła – mówi zamyślony Byle i podnosi się, żeby podać im kawę. – Stary Albin nie byłby zachwycony, gdyby wiedział, że jego krewny pracuje u Grothów.

Karen próbuje wyłowić coś z pamięci.

– Mówisz o Albinie Hussie, baronie z kopalni? – pyta.

Byle kiwa głową i nalewa im kawy do filiżanek.

– To Gertrud i Fredrik są spokrewnieni ze starym Hussem? – dopytuje. – To chyba oznacza, że w grę wchodzi pieniądze?

Thorstein Byle kręci głową i się uśmiecha.

– Nie tyle, ile sądzisz. Kiedyś duże dochody przynosiła przecież działalność kopalni, ale stary Huss miał same córki, które nie mogły przejąć interesu. Aż do śmierci kierował wszystkim sam żelazną ręką. Kiedy jego biedny wnuk Ivar przejął biznes w połowie lat siedemdziesiątych, okres potęgi należał już przecież do przeszłości. Wydaje mi się, że wystarczyło osiem, dziesięć lat i kryzys stał się faktem, potem wszystko szybko się zawaliło. A Ivar Tryste miał przecież przeciwko sobie koniunkturę, ceny importu i kurczące się złoża, ale na niego spadła cała wina za zamknięcie kopalni.

Ivar Tryste. Karen mgliście kojarzy to nazwisko z wywiadów i artykułów z połowy lat osiemdziesiątych. Przez głowę przelatuje jej niewyraźne wspomnienie pomarszczonego mężczyzny o smutnych oczach. Ale kontury obrazu są nieostre, miała wtedy dwadzieścia kilka lat i mnóstwo innych spraw na głowie.

– Nie, dużych pieniędzy już z tego nie było – ciągnie Byle. – Ziemi jednak wciąż mają pod dostatkiem, ale nie leży ona przecież ani nad

morzem, ani nie jest urodzajna. Część z pewnością sprzedali na pastwiska, ale ceny tu na północy nie są takie jak na Heimö.

– Kiedy zamknięto ostatnią kopalnię? Pamiętasz?

– Dwie kopalnie działały jeszcze w latach dziewięćdziesiątych, to znaczy Karby i ta na północ, w Hovnes, za to ostatnią kopalnię w górach zamknięto w osiemdziesiątym dziewiątym, dobrze to pamiętam. Bądź co bądź pół wioski straciło przecież pracę i zaczął się koszmar. Rozwody i nędza przyszły jak list pocztą. Dotknęło to moją siostrę i szwagra, podobnie jak wielu innych. Kiedy zamknięto kopalnię, szwagier stracił wszystko i zaczął pić. Odebrał sobie życie cztery lata później, miał czterdzieści sześć lat.

– Tak, pamiętam, słyszałam o kilku próbach wdarcia się do domu właściciela, żeby złoić mu skórę. A więc chodziło o Ivara Trystego, wnuka starego Husa?

Byle kiwa głową.

– Tak, Ivar nie miał lekko. Tak w ogóle to wciąż żyje. O ile można nazwać to życiem. Przebywa w domu opieki w Lysvik i podobno całkiem mu się pomieszało w głowie. Alzheimer, tak mówią.

Karen stwierdza, że Byle zrobił się zdecydowanie bardziej rozmowny przez ten krótki czas, który razem spędzili. Zdaje się, że poranny nietakt Kneoughta Brodala odszedł w zapomnienie i Karen z wdzięcznością zauważa, że wiedza Bylego o mieszkańcach Noorö może okazać się cenna. Tłumi irytację wywołaną tym, że kolega używa słowa „przecież” w porę i nie w porę. Jakby wszystko, o czym mówił, należało do wiedzy ogólnej. I tak zapewne jest – dla tych, którzy tu mieszkają, myśli Karen.

W tym samym momencie przelatuje jej przez głowę wspomnienie i zanosi się śmiechem.

– Wciąż jeszcze jest? To znaczy Kompleks. To chyba tam mieszkali Hussowie.

Dopiero gdy podrosła, zrozumiała dwuznaczność nazwy nadanej posiadłości właściciela kopalni przez mieszkańców Noorö, którym trudno zaimponować. W dzieciństwie fascynował ją wystawny budynek przypominający raczej zamek niż prywatny dom. Zamiast tradycyjnego wapienia, którym zadowalali się pozostali mieszkańcy wyspy, stary Huss kazał przywieźć tu z Frisel żółtawobiały piaskowiec. Zamek z bajki – myślała Karen, kiedy jako dziecko

przyciskała nos do szyby samochodu, podziwiając ten twór. Szyderczy śmiech wuja i ciotki rozbrzmiewał za każdym razem, gdy go mijali, a ona w głębi duszy uważała, że śmiech jest tu całkowicie nie na miejscu. Dopiero wiele lat później zrozumiała, że Kompleks odnosił się raczej do potrzeby Albina Husa, żeby dodawać sobie powagi pod postacią kompleksu architektonicznego.

– Oj tak, wciąż jeszcze tam stoi z tymi wszystkimi blankami i wieżyczkami. Ale jest w dość opłakanym stanie, jak przypuszczam. Utrzymanie go musi kosztować krocie.

To, że ofiara morderstwa, Fredrik Stuub, jest wnukiem mężczyzny, który niegdyś rządził połową Noorö, Karen zrozumiała, ale poza tym zdążyła się pogubić w odgałęzieniach rodu właściciela kopalni i postanawia odpuścić sobie ten temat. Jeśli te poplątane związki rodzinne będą mieć znaczenie dla śledztwa, poprosi Bylego, żeby zaczął jeszcze raz od początku. Najpierw muszą się jednak zastanowić nad czymś innym.

– Tak, musimy zacząć od rozmowy z siostrą Fredrika – mówi Karen. – Daleko mieszka?

Odpowiedź jest – jak się okazuje – oddalona o niecały kwadrans jazdy samochodem. Po wyrażeniu słów uznania dla Solveig Byle i szczerzej odpowiedzi „chętnie” na pytanie, czy Karen zechciałaby wpaść któregoś wieczoru na kolację, znów wsiadają do samochodów. Jadą krótką karawaną z powrotem do drogi krajowej, skręcają na północ, a później, przejechawszy wiaduktem nad rzeką Skreån, odbijają w prawo. Gdy powoli wjeżdżają na działkę Gertrud, Karen dochodzi do wniosku, że po drugiej stronie rzeki musi prześwitywać dach domu Fredrika. Prawdopodobnie jakaś kładka łączy te dwie nieruchomości.

Dom Gertrud Stuub jest kopią domu jej brata i Byle wyjaśnia, że każdemu z rodzeństwa przypadła rozparcelowana część tego, co kiedyś należało do jednego majątku.

– Stary Huss posiadał w zasadzie wszystko, co leżało na północ od Skreby aż do granicy z dystryktem Gudheim – mówi, idąc żwirową ścieżką. – Córki Husa odziedziczyły po połowie. Gertrud i Fredrik z czasem odziedziczyli swoje części tej połówki, która należała do ich matki, druga połowa przeszła na rodziny Tryste. W tym domu, podobnie jak u Fredrika, mieściły się kiedyś prawdopodobnie mieszkania służbowe. Chociaż raczej nie dla górników, ale dla brygadzystów.

To nie Gertrud Stuub we własnej osobie otwiera im drzwi. Zamiast niej spotykają mężczyznę po siedemdziesiątce z wysokimi zakolami pod gęstą szarą czupryną. Jego poorana zmarszczkami twarz mogłaby świadczyć o ciężkim życiu na morzu, gdyby nie biała koloratka wystająca spod czarnej koszuli. Karen odruchowo się prostuje, a potem się przedstawia.

– Karen Eiken Hornby, policja, badam sprawę śmierci Fredrika Stuuba – mówi, podając rękę mężczyźnie.

– Erling Arve – odpowiada pastor i podaje jej pulchną grabę.

Uścisk jest mocny, na granicy twardego.

– Cześć, Thorstein – mówi mężczyzna, kiedy chwilę później odrywa wzrok od Karen i przenosi go na Bylego. – Czekaliśmy na ciebie.

Przesuwa się w bok, żeby wpuścić ich do środka.

– Jak się czuje? Była wczoraj dość mocno wyczerpana, kiedy spotkałem się z nią na górze, koło kopalni – mówi Byle, gdy Erling Arve zamknął już za nimi drzwi.

– Pierwszy szok zaczął chyba przechodzić, ale jak sam rozumiesz, rozpacz jest ogromna, nie spała za dużo w nocy.

– Był tutaj ktoś z przychodni? Może potrzebowałyby czegoś na uspokojenie?

Arve powoli kręci głową.

– Nie chciała widzieć żadnego lekarza, tylko mnie – mówi. – Przyjmuje pomoc wyłącznie od Boga. Czasem, drogi bracie, wydaje mi się, że jej wiara jest silniejsza od twojej czy mojej.

Wypowiadając te ostatnie słowa, Erling Arve pochyla się z lekkim uśmiechem do Bylego. Karen, która znalazła się poza tą rozmową, dyskretnie chrząka.

– Chcielibyśmy zamienić kilka słów z Gertrud – wtrąca się. – Wiem, że to trudne, ale powinniśmy z nią porozmawiać, póki wciąż ma świeże wspomnienia.

– Tak jak już mówiłem, czekaliśmy na was – mówi Arve i idzie przodem przez przedpokój, w którym wysokie lustro przykryto czarnym pokrowcem. Na przynależnym do lustra stoliku stoi wazon z trzema białymi różami, a obok leży drewniany krucyfiks. Pastor zatrzymuje się przed drzwiami i wygląda tak, jakby brał głęboki wdech. Potem delikatnie puka w futrynę i ostrożnie naciska klamkę.

Za drzwiami stoi czarno-biały border collie z defensywnie spuszczonej łbem.

– Oj, Sammy – mówi Arve. – Nic się nie dzieje.

Pies cofa się i człapiąc, odchodzi, kładzie się i opiera łeb o przednie łapy wyciągnięte obok kobiety o stalowosiwych włosach ściętych na pazia i czerwonych oczach. Gertrud Stuub siedzi na samym brzeżku fotela. W jednej ręce mocno ściska zgniecioną chusteczkę do nosa, drugą trzyma miękko na otwartej Biblii. Karen podchodzi do niej i podaje jej dłoń.

– Proszę przyjąć moje kondolencje – mówi, kiedy już się przedstawi. – Utrata bliskiego zawsze jest bolesna, a to, przez co musiała pani wczoraj przejść, dodatkowo wszystko utrudnia. Otrzymała pani potrzebną pomoc?

– Tak, dziękuję – mówi Gertrud, poklepując Biblię. – Pociesza i prowadzi mnie nasz Pan. I ojciec Arve – dodaje z nikłym uśmiechem skierowanym do pastora.

– Cóż, nasza Gertrud zawsze miała bezpośredni kontakt z Bogiem – odpowiada Arve. – Obawiam się, że moim najistotniejszym wsparciem jest parzenie herbaty. Napijcie się?

Głównie po to, żeby pobyć chwilę z Gertrud na osobności, Karen przystaje na tę propozycję i Erling Arve znika w drodze do kuchni. Policjanci tłoczą się na małej, niewygodnej sofie i przeprosiwszy za to, że przeszkadzają, wyjaśniają, jak ważne jest to, żeby omówić szczegóły wczorajszego dnia. Karen prosi Gertrud Stuub, żeby ta opowiedziała jej swoimi słowami przebieg wszystkich zdarzeń od początku.

– Proszę zacząć od tego, co sprawiło, że się pani zaniepokoiła – mówi.

– *Julottan* – odpowiada bez wahania Gertrud. – Fredrik nie chodził do kościoła tak często, jak powinien, ale zjawiał się przynajmniej raz w roku na porannej mszy. Poza tym powiedział, że przyjdzie.

– Aha? – mówi wyczekująco Karen.

– Tak, w każdym razie wzięłam za pewnik, że to miał na myśli. Te jego ostatnie słowa: widzimy się jutro...

Głos przechodzi w słaby szept i w oczach Gertrud Stuub pojawia się pewna dezorientacja, jakby dopiero teraz dotarło do niej to, co niepojęte – że nigdy więcej nie porozmawia z bratem.

– A kiedy po raz ostatni widziała pani Fredrika żywego? – pyta Karen. Zdaje się, że tym pytaniem przywołuje Gertrud z powrotem do tego, co da się pojąć.

– W Wigilię. Wpadł koło pierwszej i jak zwykle razem zjedliśmy obiad. Nic wielkiego, tradycyjne świąteczne jedzenie.

– Tylko pani i Fredrik?

– Nie, zjrzał też Gabriel z dziećmi. Tak, Katji oczywiście nie było, nie widziałam jej, odkąd... odkąd są w separacji.



Zmuszona do wypowiedzenia tego zniechęcającego słowa Gertrud Stuub podnosi rękę i wykonuje znak krzyża.

Karen szuka w pamięci tego, co mówił jej Byle. A więc kobieta, z którą Gabriel toczy boje o prawo do opieki nad dziećmi, nazywa się Katja. Zapewne z nią też będziemy musieli porozmawiać, myśli.

– Nikt więcej?

– Oczywiście wpadli także William i Helena, są tacy kochani, ale nie zostali, żeby coś zjeść. Chcieli tylko złożyć życzenia i zostawić kwiaty. Siostra Heleny miała najwyraźniej przyjechać ze szwagrem w odwiedziny.

Karen zerka szybko na Thorsteina Bylego. Tym razem nawet nie usiłuje jej pomóc.

– William i Helena to sąsiedzi czy krewni?

Gertrud patrzy zdziwiona na Karen.

– I jedno, i drugie, oczywiście. Syn i synowa kuzyna Ivara. Ale od siebie z domu mają tu kawałek, więc przyjechali samochodem. W dzisiejszych czasach ludzie są tacy wygodni.

Karen decyduje się iść dalej.

– Czy Fredrik sprawia wrażenie, jakby był czymś zaniepokojony?

Gertrud Stuub wygląda tak, jakby się zastanawiała.

– Nie bardziej niż zwykle – mówi. – Fredrik nie należał do lekkoduchów. Zawsze się czymś niepokoił, jak nie tym, to tamtym. Ale tak już jest, gdy człowiek nie pokłada ufności w Panu.

W tej samej chwili wraca Erling Arve z tacą brzęczącą od filiżanek. Stawia ją na stole i siada na fotelu obok Gertrud.

– Rozmawiamy o Fredriku. Powiedziałaś, że zawsze znalazł sobie coś, czym mógłby się niepokoić. Nie mam racji?

Erling Arve przytakuje, pochyla się i zaczyna zestawiać z tacy filiżanki i spodeczki.

– Hmm, można chyba tak powiedzieć. Chociaż inni powiedzieliby raczej, że się angażował.

– A w co takiego się angażował? – pyta Karen, biorąc filiżankę.

– Hmm, na pewno nie w Kościół – mówi Gertrud z nutą dezaprobaty w głosie. – Na ogół w różne mniejsze i większe sprawy. Środowisko, rzecz jasna, nieczystości i zanieczyszczenia, zmniejszająca się populacja ryb i tym podobne. I jeszcze to, co stało się w Gudheim. Fredrik był tym bardzo poruszony.

– W Gudheim? – powtarza Karen. – Cóż takiego się tam stało?

Gertrud wykonuje odmowny gest, jakby nie miała siły o tym mówić, i pastor uspokajająco kładzie rękę na jej ramieniu. Karen patrzy pytająco na Bylego, który odpowiada na jej pytanie.

– Kamienny krąg w kształcie łodzi – wyjaśnia. – Ktoś najwyraźniej znalazł sobie zabawę i wywiercił dziury w kilku kamieniach. Prawdopodobnie jakieś dzieciaki. Nie pierwszy raz to miejsce padło ofiarą wandalii. W zeszłym roku wiosną grupka chłopaków próbowała przewrócić jeden z kamieni, wszyscy oczywiście pijani jak bele. Ale powstrzymało ich kilku turystów. O ile dobrze pamiętam, dość mocno też mazano po tych kamieniach.

Jest różnica między mazaniem a wierceniem dziur w kamieniach sprzed kilku tysięcy lat, myśli Karen. Musieli mieć ze sobą wiertarkę udarową.

– Wróćmy może do Wigilii – proponuje. – Jak długo był tu Fredrik?

Gertrud Stuub jakby szukała w myślach.

– Nie wiem dokładnie, ale kiedy pojechali, zrobiła się chyba trzecia, wpół do czwartej, nie później. To był obiad, jak już wspominałam. Gabriel chciał zdążyć na czas z dziećmi do domu, tak mówił, ale ja wiem, że to wódka go ciągnęła. Tutaj nie dostanie ani kropelki tego trunku. zaproponował, że podrzuci Fredrika. Nie sądził chyba, że stary wyjdzie się przejść o zmroku.

W tym momencie wspomnienie o ostatnim spacerze brata dopada Gertrud, która zanosi się szlochami i wygląda tak, jakby zapadła się w fotelu. Karen robi przerwę, rozlega się dzwoniący dzwonek porcelany, gdy wszyscy sięgają po swoje filiżanki.

– Czuje się pani na siłach? – pyta po kilku minutach i napotyka wzrok Gertrud.

Ta wyciera nos i kiwa głową.

– Przeskoczmy do pierwszego dnia świąt. Wspominała pani, że była na *julottan* i zaniepokoiło panią to, że Fredrik się nie pojawił.

– Nie miałam stu procent pewności co do tego, że nie przyszedł. Zwykle zjawiał się na ostatnią chwilę i siadał na samym końcu. Prawda?

Gertrud patrzy na Erlinga Arvego, który kiwa głową.

– Tak, akurat na *julottan* kościół zwykle pęka w szwach – przyznaje, a Karen ma wrażenie, że słyszy w jego głosie nutkę goryczy.

Najwyraźniej cios religijności zadano nawet na Noorö. Mimo wszystko Arve ma zapewne zdecydowanie większe grono słuchaczy w czasie nabożeństw niż kapłani na Heimö, myśli Karen i przypomina sobie słowa matki: „Wprawdzie w budynkach gospodarczych pędzono bimber, ale przy stole trzeba było się pomodlić, no bo jakże inaczej, i iść co niedziela do kościoła”.

– A po *julottan*? Kiedy zdała sobie pani sprawę, że brat nie przyszedł do kościoła, próbowała się z nim pani skontaktować?

– Tak, kilka razy dzwoniłam do niego z domu. Myślałam, że najzwyczajniej zasnął. Szczerze mówiąc, szukałam go głównie po to, żeby mu wygarnąć, co o tym myślę. Ale po kilku próbach, gdy nadal nie odpowiadał, zaniepokoiłam się i postanowiłam pojechać tam na rowerze.

– Na rowerze? – zapytała Karen, nie kryjąc zdziwienia.

Ta podłamana istota, która siedziała teraz przed nią, miała najwyraźniej niespożyte siły, gdy nie dręczył jej smutek. Prawdopodobnie była znacznie młodsza, niż na to wyglądała.

– Tak, w zasadzie nie ma śniegu, więc to żaden problem, w innych okolicznościach zwykle sobie odpuszczam. Na skos przez mokradła zajmuje to raptem kilka minut, ale trzeba, rzecz jasna, jechać po pomocy.

– I potem już w domu Fredrika. Weszła pani do środka?

– Oczywiście, że tak – mówi Gertrud, a w jej głosie zdziwienie miesza się z niepewnością. – Najpierw oczywiście zapukałam, ale potem weszłam. Tak robimy.

Karen dostrzega kątem oka, że Byle pochyla się, równie świadom jak ona, że to ważne.

– Czy w środku wszystko było tak jak zawsze? – pyta Karen spokojnym głosem. – Nie zwróciła pani uwagi na nic szczególnego?

– Nie, na co miałabym niby zwrócić uwagę? Było jak zwykle brudno i panował bałagan, na stole w kuchni stały kubki po kawie i masło było wyjęte na blat, ale to nic niezwykłego. Fredrik już taki był.

– Chodziła pani po domu i go szukała?

Gertrud dziwi to pytanie.

– Nie, dlaczego miałabym to robić? Od razu się zorientowałam, że wyszedł; w przedpokoju na wieszaku nie wisiła smycz.

Przenosi wzrok na psa, który nadal siedzi tuż przy jej nogach, wyciąga wolną rękę i głaszcze miękką sierść. Drugą rękę wciąż trzyma na Biblii.

– Poza tym Sammy od razu by do mnie przybiegł, gdyby byli w domu – ciągnie Gertrud. – Domyśliłam się więc, że Fredrik zabrał go na ich tradycyjną przechadzkę.

– I wtedy się pani zaniepokoiła? Myślała pani, że co mogło się stać?

– W zasadzie nie wiem, co mnie skłoniło, żeby go szukać. Tylko przeczucie, jakbym czuła podświadomie, że coś jest nie tak.

Gertrud Stuub wbija wzrok w kolana, jakby otwarta na nich Biblia miała udzielić jej odpowiedzi. Potem marszczy czoło i ostrożnie przejeżdża dłonią po gęsto zapisanych stronach, a Karen dostrzega lekki uśmiech.

– Nie myślałam o tym wcześniej – mówi Gertrud, unosi wzrok, a na jej twarzy maluje się nowo obudzony wyraz. – Oczywiście to sam Pan musiał do mnie przemówić. To on sprawił, że poszłam szukać Fredrika.

Zdezorientowany wyraz twarzy zostaje w mgnieniu oka zastąpiony czymś, co przypomina spokojne przekonanie. Karen napotyka jej wzrok i zmusza się do odwzajemnienia uśmiechu. Głęboka religijność może nieść pociechę ludziom w potrzebie, co często – i nie bez zazdrości – dane było jej stwierdzić. Jednak te same przekonania religijne mogą dać ludziom błędne poczucie, że są nieomylni. Pretekst, żeby za fasadą pobożności ciągnąć dla siebie korzyści. Wydaje się, że wiara w Boga Gertrud Stuub nie jest udawana. Ryzyko polega tu raczej na tym, czy nie zacznie mówić językami, myśli zaniepokojona Karen, spoglądając na uśmiechniętą kobietę.

Pytanie tylko, czy oczy Gertrud zachowają ten błogi wyraz, gdy dotrze do niej, jak bliska była tego, żeby natknąć się na mordercę swojego brata.

Kiedy Karen wjeżdża na parking przy terminalu promowym w Lysvik, boli ją krzyż. Zapewne znalazłaby wolne miejsce bliżej centrum, ale wie, że pracujący na zmiany personel armatora, którego lokale mieszczą się tuż obok, ma samochody na oku.

Ostrożnie wysiada, sięga na tylne siedzenie i wyjmuje dużą torbę, którą zapakowała wczoraj wieczorem. Potem opiera ręce o drzwi samochodu, prostuje plecy i czuje promieniujący ból w prawym biodrze. Godziny za kierownicą połączone z nierównym obciążeniem w momentach, gdy była na nogach, pozostawiły po sobie ślad. Szczególnie na śliskich płytach skalnych na górze przy kopalni kolano dawało o sobie znać, a ona nieudolnie starała się je możliwie jak najmniej obciążać. Zerka na zegarek i rusza do głównej ulicy. Rano, kiedy przejeżdżali tędy z Kneoughtem Brodalem po drodze do przychodni, widziała pub w jednym z narożnych budynków. Wtedy był zamknięty, ale teraz miała nadzieję, że dostanie w nim długo wyczekiwaną pintę piwa. Albo dwie.

Pcha drzwi i zagląda do dużego, prawie kwadratowego lokalu, uderza ją słaby aromat jedzenia. Przy barze i stolikach siedzi około dwudziestu mężczyzn, niektórzy sami, inni w grupkach. Wszyscy mają wzrok skierowany w telewizor, który przymocowano trochę wyżej na ścianie. Karen wybiera wolny stolik przy oknie, opuszcza torbę na podłogę i posyła spojrzenie na ekran telewizora. Manchester United kontra Sunderland, stwierdza, innymi słowy, marna stawka za wytypowanie zwycięstwa gospodarzy. Podchodzi do baru i wyjmuje portfel z kieszeni.

Kobieta za barem wygląda, jakby zbliżała się do siedemdziesiątki. Promienieje od niej coś w rodzaju zwiędłej piękności w typie seksbomby i spokojnego macierzyństwa. Popielate blond włosy są idealnie ułożone, usta starannie umalowane, a w wycięciu sweterka, między sztywno podtrzymywanymi piersiami, dynda złoty krzyżyk na cienkim łańcuszku. Kiedy Karen się zbliża, na twarzy kobiety

pojawia się tak czarujący uśmiech, że nawet mała plamka wiśniowej pomadki na prawym przednim zębie nie psuje efektu.

– Witaj, owieczko, co mogę dla ciebie zrobić? – pyta kobieta, a Karen czuje, że na jej twarzy maluje się równie szeroki uśmiech. Mimo bólu i zmęczenia nie sposób się nie uśmiechnąć.

Pospiesznie przelatuje wzrokiem po rzędzie kranów z piwem, szukając swojego ulubionego, i je znajduje.

– Poproszę spitfire – mówi. – A do tego jeszcze pięćdziesiątkę grotha – dodaje.

W ramach małego researchu, bo mam jechać do gorzelni, przekonuje samą siebie. W zasadzie Smeed powinien za to zapłacić.

– Który z nich sobie życzysz, kochanie? Mamy chyba wszystkie istniejące gatunki.

Kobieta wykonuje zamaszty gest w stronę półki za barem, na której stoi w rzędzie mnóstwo różnych butelek z dobrze znanym logo.

– Oj, nie wiem – mówi Karen i przygląda się ofercie. – Albo dobrze, wezmę Old Stone Selection.

To zdecydowanie research, myśli, zerkając na obrazek kamiennego kręgu w Gudheimie na etykiecie butelki.

– Możesz usiąść, za moment podam.

Wdzięczna Karen wraca z zeszywniałymi plecami na miejsce pod oknem. Pochyla trochę głowę, gdy przechodzi między mężczyznami a telewizorem, żeby nie zakłócić im ani sekundy gry.

Opada na krzesło i rozgląda się po lokalu. Typowy doggerlandzki pub wyraźnie inspirowany brytyjskim pierwowzorem. Zamiast obrazów z końmi, rogami myśliwskimi i psami ściany zdobią jednak motywy marynistyczne i sprzęty rybackie. Pod sufitem wisi obowiązkowa łódź, a jedną ze ścian dekorują skrzyżowane wiosła, także obowiązkowa sieć rybacka ze szklanymi bojami wisi na tradycyjnym miejscu nad barem. Równie dobrze mógłby to być Zajac i Wrona w Langevik albo inny z tysiąca pubów wciąż działających na Wyspach Doggerlandzkich.

„Najlepsze, co Brytoni wnieśli do tego kraju”, zwykł powtarzać jej ojciec.

Nie on jeden był tego zdania. Nawet najbardziej reakcyjni ramole zbzikowani na punkcie Skandynawii, którzy pomstowali na silne

wpływy Zachodu, przeważnie prezentowali swoje lamente w lokalnych pubach. Niektórzy z nich wciąż uparcie używali starej nazwy Doggerlandu, Vestmarkland, wlewając w siebie kolejną pintę piwa i szklaneczkę whisky.

Jednak ta kultura nie jest niezagrożona: w centrum Dunkeru i Ravenby pojawia się coraz liczniejsza konkurencja dla pubów pod postacią winebarów i pijalni w mikrobrowarach, które w hipsterskich dzielnicach rosną jak grzyby po deszczu. O wiele świeższe i bez charakterystycznego zapachu pleśni spod cerat zamarynowanych w rozlewanych od dziesięcioleci trunkach. Jednak to właśnie w tego typu starych pubach Karen czuje się najlepiej. Wśród starców, którzy ledwie unoszą powiekę, gdy się wchodzi. Można tam spokojnie posiedzieć, bo przy stoliku nie zjawi się zaraz jakiś spragniony towarzystwa facet z pełnym nadziei: „Wydajesz się samotna, mogę się przysiąc?”.

Karen wyjmuje dwa notatniki. Mały i cienki, który mieści się w kieszeni kurtki, i duży w okładce imitującej skórę, który ma w torbie. W tej samej chwili barmanka stawia przed nią na stole tacę z pintą, ale też szklaneczką jasnożółtej whisky i miską frytowanych krasnorostów. Karen unosi wzrok.

– Dziękuję. Czy mogę zapytać o jedną rzecz? Czy tu, w Lysvik, działa o tej porze jakiś hotel? Albo pensjonat godny polecenia?

– Tak, jest Rindlers na Lotsgatan, ale jeśli potrzebujesz tylko wygodnego łóżka i czystej pościeli, to będę miała dla ciebie wolny pokój. Za trzysta marek, śniadanie w cenie. W Rindlersie zapłacisz co najmniej trzy razy tyle.

– Biorę – mówi Karen. – Możliwe, że zostanę kilka dni, jeśli to nie problem. Karen Eiken Hornby – przedstawia się i wyciąga rękę.

– Ellen Jensen. Żaden problem. Mogę spytać, co cię sprowadza na północ? Słyszę, że jesteś z południa.

– Sprawy zawodowe – ucina krótko Karen, ale zmienia zdanie i dodaje: – Jestem z policji, badam śmiertelny przypadek tutaj na wyspie.

– Fredrik Stuub, ach tak, tak właśnie myślałam. Słyszałam o tym rano. A więc nie był to nieszczęśliwy wypadek?

– Jeszcze za wcześnie, żeby o tym wyrokować. Zawsze badamy tego typu zdarzenia, by mieć pewność, co tak naprawdę się stało.

– Hmm, trudno mi sobie wyobrazić, któż mógłby chcieć odebrać życie temu kochanemu staruszkowi.

– Znałaś go?

Ellen Jensen kręci głową.

– Zaglądał tu czasem po pracy. Przez wiele lat przyływał promem równo o wpół do szóstej. Zachodził do mnie na jednego w drodze do domu, tak jak wielu innych.

– Był emerytowanym nauczycielem z tego, co zrozumiałam – mówi Karen. – A więc nie pracował w szkole tutaj, w Lysvik?

Ellen Jensen odchyła do tyłu głowę i śmieje się serdecznie.

– Oj, nie byłby zachwycony, gdyby to usłyszał. To by uwłaczało jego dumie, mimo wszystko był w końcu Hussem z dziada pradziada. Nie, wykładał na Uniwersytecie w Ravenby. Chemię, biologię albo coś takiego. W każdym razie nie uczył gówniarzy czytać tutaj na wyspie.

Znów się zaśmiała i podniosła pustą tacę.

– Daj znać, jak będziesz chciała, żeby pokazać ci pokój. Mam nabić wszystko na jeden rachunek?

– Tak, proszę – mówi Karen.

Dyskusja ze Smeedem to kwestia przyszłości.

Kiedy godzinę później Karen siada w pokoju na łóżku, stwierdza, że jest ono – tak jak obiecywała Ellen – wygodne, a pokój czysty i zadbane. I okropnie paskudny. Poza wykładziną w brązowe wzory, tapetą w medaliony i zielonym jak awokado czajnikiem każdą wolną przestrzeń wypełniają przedmioty dekoracyjne. A to sztuczne kwiaty, a to para porcelanowych psów na malutkim biurku, a to coś, co wygląda jak stary róg myśliwski przy obrazie z motywem zachodzącego słońca w krzykliwych kolorach, tak obrzydliwym, że Karen aż odwraca wzrok. Nad zagłówkiem łóżka wisi na ścianie niemalże obowiązkowa dekoracja we wszystkich doggerlandzkich przybytkach: serce otoczone po bokach kotwicą i krzyżem, tutaj odlane z różowawego gipsu. Wiara, nadzieja i miłość. W tym momencie Karen nie czuje, żeby przepeniała ją któraś z tych cnót. Dlaczego, na miłość boską, nie wzięłam Rindlersa, zastanawia się.

Podnosi się i robi trzy kroki do okna. Zapadła już ciemność, ale światła terminalu zdradzają, że dostała w każdym razie pokój



z widokiem na morze. Wyciąga telefon i wybiera numer matki. Eleanor odpowiada po czwartym sygnale i wydaje się radośnie zdyszana.

Karen nie pyta po czym.

Wysłuchawszy nowin z domu: „Nie, nie, nic im nie dolega, zjedli resztki z wczorajszego dnia. Tak, wszyscy pojechali, to znaczy oprócz Sigrid i Leo, rzecz jasna. Nie, nie będzie problemu, Sigrid ma samochód i obiecała odwiedzić nas na lotnisko. Co mówisz, kochanie? Tak, Harry gorąco cię pozdrawia. A jak u ciebie na północy? Długo zostaniesz?”, Karen rozłącza się i szuka numeru Jounasa Smeeda. Właśnie ma do niego zadzwonić, żeby zdać raport z dzisiejszego dnia i spytać o perspektywy otrzymania wsparcia, gdy rozlega się sygnał przychodzącego połączenia. Na ekranie wyświetla się *Sören Larsen* i Karen, odbierając, czuje ukłucie wyrzutów sumienia. Nie ma jeszcze wpół do siódmej, a ona – nie meldując tego Larsenowi – zakończyła dzień pracy.

– Siema, Eiken – mówi wesoło Sören Larsen. – Gdzieś ty się podziała?

– Jestem w Lysvik. Właśnie się zameldowałam w pokoju nad pubem na Skeppargatan. A ty gdzie jesteś? Nie mów tylko, że dalej w domu Stuuba.

– Jeszcze czego. Siedzimy z Kneoughtem w restauracji w hotelu, właśnie zamówiliśmy. Dlaczego mieszkasz nad pubem? Rindlers jest całkiem spoko, serio. Mają podobno saunę i taki basen z bąbelkami. Nawet się zastanawiamy, czy nie wykąpać się po jedzeniu.

Karen przeklina swój los, ciężko wzdychając. Myśl o tym, żeby siedzieć w jacuzzi z Flipem i Flapem wprawdzie jej nie pociąga, ale jej plecom z pewnością dobrze by zrobiło pół godziny w gorącej saunie. Zamiast tego siedzi w kwiecistej celi i nad migającymi światłami wpatruje się w opuszczony terminal.

– Wzięłam pierwsze lepsze lokum – mówi apatycznie.

– Dobra, ale wpadnij tu chociaż, do cholery – ciągnie Larsen. – Możesz chyba przynajmniej zjeść coś porządnego.

Kwadrans później Karen przysiada się do stolika, gdzie Larsen i Brodal właśnie dostali po kawałku parującego turbota. Obok ryby ustawiono misy z gotowanymi ziemniakami i tartym chrzanem oraz

sosjerkę wypełnioną po brzeg klarowanym masłem. Jej ulubione danie. Jednak Karen czuje ciężar lunchu u Solveig Byle i decyduje się na coś lżejszego.

– Wezmę tylko kanapkę z krewetkami – mówi do kelnerki.

– A do picia?

– Napiję się kieliszek od nich, dziękuję – odpowiada, zerknąwszy na butelkę wina, która stoi w kubelku z lodem owiniętym ścierką.

– W takim razie weź jeszcze jedną taką samą – mówi Kneought Brodal.

– Zakładam, że załatwiliście to ze Smeedem? – Karen wykonuje zamaszty ruch ręką nad talerzami, sosjerkami i coolerem do wina.

– Nie, to będzie wesoła niespodzianka – odpowiada oschle Brodal.

– Jest, do cholery, Boże Narodzenie, możemy chyba zjeść coś porządnego?

Czekając na jedzenie, Karen wsłuchuje się w wyrażające rozkosz mlaskanie Larsena i Brodala i nalewa sobie kieliszek wina. Dopiero kiedy zostaje przed nią postawiona domniemana kromka chleba ukryta pod górą świeżo czyszczonych krewetek, Karen spostrzega, że naprawdę znów zgłodniała.

– No więc do czego doszedłeś? – pyta, kiedy już popije pierwszego gryza łykiem wina.

Zbyt późno zauważa, że to chablis lepszego gatunku, zapewne nieprzyzwoicie drogie. Szef zdecydowanie nie będzie zachwycony. Karen postanawia, że pozwoli, żeby Kneought Brodal wziął na siebie cały rachunek; Smeed nawet nie waży mu się postawić.

– Taa – wzdycha Larsen. – Nie ma najmniejszych wątpliwości, że ktoś przeszukał dom Fredrika Stuuba, ale to już chyba wiesz.

– Da się powiedzieć coś o tym, czy czegoś brakuje?

– Nic a nic.

– To znaczy? Chyba możesz jednak coś powiedzieć?

– Niczego nie brakuje. Albo może brakuje, ale nie wiemy czego. Ten, kto to zrobił, nie był zainteresowany starociami, srebrami ani sztuką. A trzeba ci wiedzieć, takich rzeczy w jego domu jest na pęczki. Zdaje się, że facet był jakimś zbieraczem albo sporo odziedziczył.

– Znaleźliście może jego komórkę? Jego siostra twierdzi, że miał telefon.

– W domu go w każdym razie nie było. Prawdopodobnie zabrał go ze sobą, kiedy szedł do lasu, i wypadł mu gdzieś, kiedy się wywrócił. Leży teraz pewnie na dnie kopalni. Tak czy inaczej, dostaniemy billingi.

– Porozmawiam z dyżurnym prokuratorem, żeby złożył wniosek do TelAB – mówi Karen. – Ale nie będzie łatwo się teraz z kimś skontaktować.

– Niepojęte, cały naród jednocześnie zrobił sobie chyba długi weekend – dziwi się Larsen.

Brodal mamrocze coś potakująco i sięga po sosjerkę.

Karen wzdycha i odkłada sztućce.

– Nie znaleźliście komputera? – pyta dalej. – Więc ktoś go musiał zabrać.

– Nie znaleźliśmy, ale w takim razie może tego właśnie tam szukano. To znaczy, jeśli denat w ogóle takowy miał.

– Myślę, że możemy przyjąć, że miał. Właśnie się dowiedziałam, że Fredrik Stuub pracował jako wykładowca akademicki w Ravenby.

Kneought Brodal prychnął.

– Masz chyba zdecydowanie zbyt dobre zdanie o umysłach ścisłych, Eiken. Spotykałem ludzi z Ravenby, którzy ledwie umieli wysłać maila. Nie tych młodych, rzecz jasna, ale Stuub był w końcu od lat na emeryturze. Mężczyzną ze starej gwardii, według Svena Anderséna, tylko lekko stukniętym na stare lata. Właściwie fajny z niego facet.

– Skąd wiesz? Rozmawiasz już nawet ze zwłokami? – szydzi Sören Larsen.

Brodal wygląda przez moment na zdezorientowanego.

– Mówię o Andersénie, rzecz jasna. Byłem u niego kilka godzin. Nie jest tak cholernie głupi jak na kogoś z Noorö.

Sören i Karen wymieniają spojrzenia. To wyjątkowa sytuacja, bo lekarz sądowy rzadko ma coś pozytywnego do powiedzenia o innym człowieku. W każdym razie nie o kimś wciąż żywym.

– Chodzi mi tylko o to – ciągnie Brodal – że nawet jeśli Stuub zajmował wysokie stanowisko, nie musi to wcale oznaczać, że miał w domu komputer. Kiedyś ludzie radzili sobie bez wpatrywania się na okrągło w ledowy ekran i dobrze się im wiodło.

– Czego by więc twoim zdaniem szukali u niego w domu? Wygląda na to, że niczego nie brakuje – mówi Karen i bierze łyk wina.

– A skąd ja mam to, kurna, wiedzieć. To twoje zadanie, żeby to ustalić.

Ciężko wzdychając, Karen zwraca się do Larsena.

– Wiesz, że muszę cię o to zapytać. Znalazłeś coś jeszcze w domu, o czym nie wspominałeś? Odciski palców, butów, jakiś włos? Cokolwiek?

– Tego wszystkiego było tam pod dostatkim. – Larsen uśmiecha się z ustami pełnymi ryby. – Jeśli będziesz miała szczęście, może coś z tego nie należy do Stuuba i jego psiaka. I może znajdziemy jakiś ślad sprawcy jutro podczas sekcji. Zakładam, że się z nami wybierasz?

Karen się krzywi.

– Nie mam wyboru. Ale nie masz nic, co mógłbyś mi podsunąć już teraz?

Larsen wyciera sobie strużkę stopionego masła ściekającą mu z kącika ust i sięga po butelkę wina. Wtem zatrzymuje się w pół ruchu i odstawia butelkę na obrus.

– Żadnych dowodów technicznych, tylko przeczucie – mówi. – Nie wiem nawet, czy powinienem cokolwiek mówić.

– Daj spokój – ponagla go Karen. – Powiedz po prostu, co myślisz.

Sören Larsen nie spieszy się, napełniając im kieliszki. Karen patrzy niecierpliwie, jak ostrożnie wciska pustą butelkę do kubelka z lodem.

– Miałem wrażenie, to znaczy tylko bardzo mgliste poczucie, nic ponadto, że to wszystko było trochę zbyt... uporządkowane.

Karen pozwala wybrzmieć tym słowom, słuchając, jak Brodal gryzie. „Uporządkowane” nie było słowem, którego użyłaby do opisanego chaosu, jaki dostrzegła z progu.

– Zaaranżowane? – mówi. – To chcesz powiedzieć?

Larsen wzrusza ramionami.

– Hmm, nie wiem. Wszystko było wyciągnięte, powywracane i zamienione w jeden wielki, cholerny mętlik, sama widziałas. Miałem jednak wrażenie, że ten, kto to zrobił, w zasadzie niczego

nie szukał. Raczej starał się stworzyć obraz włamania, nie wiedząc właściwie, jak coś takiego powinno wyglądać.

Pozwala, żeby drzwi zamknęły się z kliknięciem. Nie zostawia nawet małej szczeliny, żeby Mikkel widział światło z klatki schodowej, kiedy się obudzi. Szczeliny, która – jak obiecywała – zawsze miała tam być. Oszustwo sprawia, że musi pospiesznie nabrać powietrza przez nos i stłamsić odgłos dłonią. Stoi w ciszy z czołem opartym o zamknięte drzwi. Przykłada głowę do obrazka, który przed południem narysowała Tyra. Jej młodszy brat pochłapywał z zazdrości, gdy mama czterema pinezkami przymocowywała rysunek, potem usiedli w kuchni, żeby także mógł narysować obrazek, który zawisnie na drzwiach. Jednak gdy tylko świecówki i papier znalazły się na stole, Mikkel stracił tym zainteresowanie i pobiegł do salonu przed telewizor.

Myśli o tym, że musi teraz zejść na dół, by nie pogarszać sprawy, odwołując to, co nieuniknione. Zostaje jednak z czołem przy rysunku różowego domu, zielonego trawnika i żółtego psa. Czuje jedną z pinezek u nasady włosów i odpędza myśl o gęstym mętliku czarnych kresek nad różowym domem. O ciemnej chmurze, która od pół roku nieustannie znajduje się na rysunkach Tyry.

Przełyka ślinę i stara się oddychać głęboko, podczas gdy ucisk w gardle powoli się rozluźnia. Z wprawą blokuje bezsensowne myśli i głos, który szepcze jej, że musi opuścić ten dom, zanim będzie za późno. Tym razem głos jest uparty; słowa pełzną jej po kręgosłupie, wciskają się pod skórę, niemal się w nią wrzynają. Folguje sobie, pozwala im na to do chwili, gdy z salonu dobiegają dźwięki, na które się wzdryga.

Wyłączył wiadomości w telewizji i włączył wieżę. Pierwsze łagodne tony ósmej symfonii Schuberta dochodzą z parteru aż na górę. Starannie dokonał wyboru. Zaraz te tony pochłoną wszystkie inne dźwięki.

Ten wewnętrzny głos zamilkł, dał za wygraną i zostawił ją samą. Przez najbliższe dwie godziny jej zadanie jest proste. Ma nie prowokować, nie opierać się. Po prostu to znosić, aż skończy.

I nie pozwolić, żeby dzieci coś usłyszały.

Bierze głęboki wdech i wstępnie podlicza. Pół butelki wina do jedzenia i whisky, którą wlał w siebie, gdy poszła na górę położyć dzieci. Prawdopodobnie zdążył wypić co najmniej jeszcze jedną, gdy starała się je uśpić. Tyra marudziła, chciała, żeby mama została, położyła się w łóżku obok niej.

Pół butelki wina, dwie whisky, może trzy. Za mało, żeby się chwiał, za mało, żeby ciosy były powolne i niecelne. Tylko tyle, żeby stłamsić wybuch tej cichej wściekłości, która narastała w nim, odkąd wrócił. Milcząca nienawiść, która przybierała na sile z każdą sekundą, w której poruszał się po domu. Spojrzenia, gdy stwierdził, że dzieciaki wciąż siedzą w kuchni i jedzą, chociaż już prawie siódma, że ona kupiła nie takie wino, że nie posprzątała zabawek z podłogi w salonie. Ani słowa, tylko hałas z głębi domu, gdy tak mocno kopnął samochodzik Mikkela, że plastik pękł po uderzeniu o ścianę. Potem wrócił do kuchni i z uśmiechem zwichrzył włosy syna.

– Musisz przypominać mamie, żeby utrzymywała w domu porządek, mój mały – polecił. – O tak wielu rzeczach ostatnio zapomina.

Widziała na twarzy syna zdezorientowaną mieszankę niepokoju i ulgi, szukała wzroku Tyry, żeby posłać jej uspokajające spojrzenie, ale córka wpatrywała się w talerz. Nigdy nie podniósł ręki na dzieci, powiedziała sobie. One nic nie wiedzą.

Teraz, powtarzając w duszy jak mantrę tę pocieszającą myśl, zaczyna powoli schodzić.

Dzieci nic nie wiedzą.

Kampus uniwersytecki w Ravenby na zachodnim wybrzeżu Heimö znajduje się wysoko na płaskim szczycie, które dało nazwę miastu. Z Ravenberget akademicy wszystkich fakultetów przyrodniczych z wywyższonej samotności spoglądają na mniej uzdolnionych – lub przynajmniej mających mniej szczęścia – mieszkańców Ravenby. Obszar stale ewoluuje, odkąd jedenaście lat temu oddano go do użytku. Budowa drugiego uniwersytetu w Doggerlandzie wynikała z podziału: fakultety przyrodnicze skupiały się odtąd w drugim największym mieście, Ravenby, nauki humanistyczne dalej mieściły się na dawnym uniwersytecie w stolicy, Dunkerze. W Ravenby poza budynkami do nauczania i badań oraz przynależnym kampusem był też szpital uniwersytecki z oddziałem medycyny sądowej.

Adres, stwierdza Karen, jest mało zaskakujący: Analysvägen 2. Z ciężkim sercem parkuje przed wejściem.

Kiedy pół godziny później, ubrana w zielony strój ochronny i biały czepek, przygląda się rzędowi nierdzewnych ław i narzędzi pod metrowym plafonem, usztywnia się. Przepisy stanowią, że ma być obecna, nie musi jednak tryskać przy tym energią.

Ciało Fredrika Stuuba leży na stole prosektoryjnym w głębi pomieszczenia.

Oprócz lekarza sądowego Kneoughta Brodala i szefa wydziału technicznego Sörena Larsena obecny jest również technik prosektoryjny. W roli obserwatorów są także Sven Andersén i ona sama, ale w przeciwieństwie do Anderséna Karen postanawia trzymać się na stosowną odległość od stołu.

Pierwszą część: rozcinanie ubrań i wkładanie ich do plastikowych torebek, które zostaną wysłane do dalszej analizy, oraz zabezpieczanie paznokci i jamy ustnej ofiary ogląda się zazwyczaj bez większego obrzydzenia. Kolejne godziny Karen znosi, skupiając się na czymś innym niż naprzemienny dźwięk piły przecinającej zebra, mostek i czaszkę oraz ssące cmoknięcia wydawane przez organy, wyjmowane i umieszczane w stalowych nerkach. Stara się



interpretować to, o czym rozmawiają obaj lekarze i co Brodal nagrywa na dyktafon. Po wieloletnich studiach kryminologii w Londynie i dziesięciu latach jako śledcza Karen jest dobrze obeznana z najczęstszymi greckimi i łacińskimi pojęciami, ale nigdy nie ważyłaby się wyciągać wniosków z własnych domysłów. Jak zwykle Kneought Brodal podsumuje wszystko we wręcz przesadnie pedagogiczny sposób, tak żeby – jak twierdzi – nawet policjanci zrozumieli.

Tym razem też tak robi.

– Ach tak – mówi, nakazawszy młodemu technikowi, żeby „wpakował do środka te podroby i zaszył kotleta”. – Może wyjdziemy, żeby Eiken odzyskała trochę kolorów na twarzy?

Siadają w sąsiadującej z pomieszczeniem sali konferencyjnej z panoramicznym widokiem na zatokę Ravenbyvik. Nikt nie ma ochoty na kawę, za to karafka z wodą krąży wokół stołu i Karen widzi, jak Brodal z braku czegokolwiek innego wkłada do ust kostkę cukru. Czeka w ciszy.

– No dobra – Brodal w końcu zwraca się do Karen. – Mówmy normalnym doggerlandzkim, żeby wszyscy zrozumieli. Facet został zamordowany. Potrzebujesz czegoś więcej?

Zamiast odpowiedzieć, Karen uśmiecha się wymuszenie i myśli o tym, że w ciągu ostatniej doby przyjęła zdecydowanie za duże dawki kontaktów z lekarzem sądowym. Po krótkiej, teatralnej pauzie Brodal ciągnie:

– Dobra, wszystko wskazuje na to, że Stuub otrzymał silny cios z lewej strony w żuchwę, w mojej ocenie był to zapewne najzwyczajniejszy cios pięścią. Później upadł i odebrał kolejne ciosy, prawdopodobnie solidne kopnięcia w głowę. Mówię kopnięcia, bo na tym etapie Stuub był już nieprzytomny i leżał. Zgadza się?

Sven Andersén i Sören Larsen potakują. Brodal ssie głośno rozmoczoną kostkę, cukier chręści mu między trzonowcami, a on kontynuuje:

– Później ciągnięto go na plecach, poświadczają to krwiaki pod pachami i obrażenia, o których mowa była już wcześniej. Taa, potem pewnie został najzwyczajniej w świecie zepchnięty z krawędzi, wskazują na to delikatne siniaki na prawym ramieniu

i biodrze. Kiedy do tego doszło, bardzo możliwe, że był już nieprzytomny lub przynajmniej solidnie zamroczony, ale głównym powodem śmierci jest to, że jego głowa roztrzaskała się o występ skalny, na którym wylądował po krótkim locie. Dalej wszyscy są zgodni?

– Jak najbardziej – potwierdza Sören Larsen. – Sądząc po tym, co wcześniej widziałem na butach i ubraniach, właśnie tak się to potoczyło. Dokładnie tak, jak wczoraj przypuszczaliśmy. A więc nic nowego.

– I brak jakichkolwiek obrażeń wskazujących na to, że się bronił – ciągnie Brodal. – Co prawdopodobnie świadczy o tym, że został zaskoczony. Innymi słowy, nie spodziewaj się, że jakieś fragmenty naskórka spod paznokci zdemaskują sprawcę.

– Okej – mówi zawiedziona Karen. – A co możesz powiedzieć o jego ogólnym stanie zdrowia? Jakies wyraźne odstępstwa?

– Hmm, wątroba była lekko nadwerężona, ale w tym kraju tak zwykle bywa u większości normalnych facetów w jego wieku. Nic poważnego. Żadnych zawałów, miał wyjątkowo gibkie naczynia. Posłałem kilka próbek do analizy, ale na wyniki trzeba będzie poczekać, bo teraz każdy, kto tylko mógł, skorzystał z okazji, żeby iść na zwolnienie. Na twoim miejscu nie liczyłbym jednak na nic ciekawego. Mógł żyć pewnie jeszcze piętnaście, dwadzieścia lat, gdyby troszkę spasował z zagładaniem do kieliszka i nikt nie zepchnął go do tej kopalni.

– A ty? – Karen pyta Sörena Larsena. – Znalazłeś coś, co może się przydać?

– Jak już zostało powiedziane, pod paznokciami nic nie było, sporo plam i włosów na ubraniach, prawdopodobnie głównie jego i psa. Ale znów...

– ...potrwa to kilka dni. Wiem.

– Zapewne nawet dłużej. Przez te przeklęte święta w technicznym też brakuje ludzi. Nie liczyłbym na jakąś definitywną odpowiedź przed Nowym Rokiem.

– Ależ, do diabła, chyba mogą zostać po godzinach.

– Załatw to z Viggiem Haugenem. Nie jestem pewien, czy uzna, że także przy tym śledztwie warto sięgnąć głębiej do portfela. Szalenciec z Moerbecku pochłonął większą część budżetu na nadgodziny.

Karen wzdycha. Na napady zakończone gwałtem w północnym Dunkerze w pełni zasadnie przeznaczono duże środki. Niestety, bez jakichkolwiek rezultatów. Nagle płonną nadzieją wydaje się jej to, że w tym przypadku będą mieli więcej szczęścia z dowodami technicznymi. Odciski palców z domu Fredrika Stuuba wprawdzie szybko przekazano dalej, ale z nich też nie będzie zbyt dużego pożytku, jeśli zostawił je ktoś niefigurujący w rejestrze.

– Aha – powiedział Brodal i uderzył obiema dłońmi w stół, jakby chciał podkreślić, że jeśli o niego chodzi, spotkanie uznaje za zakończone. – Teraz musisz radzić sobie sama, Eiken. Ja w każdym razie zamierzam się spakować i udać w stronę domu. Mogę zabrać się z tobą, Sören?

Karen rozgląda się po salonie i odczuwa zmęczenie, jakby ktoś walnął młotkiem tuż przed jej oczami. Szuflady komody wyciągnięto i wywrócono do góry nogami, na podłodze leży sterta książek i gazet, obrazy wiszą krzywo. Podłogę pokrywa to, co prawdopodobnie wcześniej leżało w szufladach: kwitki, opłacone rachunki, zdjęcia. W kuchni i sypialni to samo – wszystko porzucane, jakby do domu Fredrika Stuuba wpuszczono buldożery. Sören Larsen zapewne ma rację, myśli Karen. Jest w tym pewna przesada, coś niemal teatralnego w pozostawionym bałaganie.

Technicy skończyli, w domu i tuż przed nim zabezpieczyli odciski palców, włosy, odciski butów. Zanim się rozstali po sekcji zwłok, Larsen wręczył Karen komplet kluczy do nowego zamka i dał zielone światło na wchodzenie tu.

– Hmm, zrobiliśmy swoje, teraz twoja kolej, żeby sprawdzić, czy znajdziesz coś ciekawego. *Knock yourself out!* – powiedział.

Wielkie dzięki, myśli teraz, ruszając palcem u nogi stertę reklam. Będę musiała przysłać tu kilku posterunkowych, żeby pozbierali i skatalogowali te wszystkie śmieci. I potrzebne mi będą, do cholery, posiłki z Wydziału Kryminalnego. Thorstein Byle jest przemiły i pomocny, ale cały czas cholernie poprawny i ostrożny. Potrzebuję kogoś, kto potrafi mi się sprzeciwić i ma własne poglądy.

Karen wie, że jest niesprawiedliwa. Bez lokalnego obeznania Thorsteina Bylego w ogóle do niczego by nie doszła, nawet gdyby przyjechali tu wszyscy koledzy z komendy głównej i wzięli udział w tym śledztwie. Byle nie robił nic innego, tylko próbował jej pomóc, a poza tym otworzył przed nią swój dom. W ramach pokuty za swoje myśli Karen zwraca się do kolegi z uśmiechem:

– Hmm, przypuszczam, że nie ma sensu tego odwlekać. Zaczynamy?

Byle kiwa głową, ale dalej stoi i rozgląda się wokół niezdecydowany.

– Zrobimy teraz szybki przegląd i zobaczymy, czy coś znajdziemy, a później przejrzymy wszystko bardziej metodycznie – zarządza Karen.

– Zasadniczo możemy chyba wyjść z założenia, że nic, co znajdziemy w tym bałaganie, nie jest interesujące – mówi Byle. – W takim przypadku już by tu tego nie było.

– W zasadzie to prawda. Ale może być tu coś, co pośrednio wskazuje na jakiś interesujący fakt w życiu Stuuba. Larsen miał wrażenie, że to wszystko zostało zaaranżowane. Jak ty to widzisz?

Byle siada na brunatnej sofie, pochyla się i niemrawo podnosi stertę papierów.

– Może – przyznaje. – Trudno powiedzieć.

No jasne, myśli Karen.

W ciszy zaczynają szukać czegoś, choć nie wiedzą czego. Papiery, rachunki, listy. Podnoszą je i czytają, przelatują po nich wzrokiem, odkładają na bok.

– Jak myślisz, sprawdzili skrytkę? – pyta po chwili Byle.

Karen podnosi wzrok znad sterty rachunków i patrzy na niego zdezorientowana.

– Skrytkę?

– Tak, skrytkę albo schowek, jakkolwiek to nazwać. Takie stare domy zawsze mają gdzieś skrytkę, najczęściej w kuchni. Wy tam na Heimö nie macie takich?

Przez głowę Karen przelatuje mgliste wspomnienie z dzieciństwa: kuzyni pokazujący jej coś za boazerią w kuchni ciotki. Sekretny, zakazany schowek, który Finn zaprezentował jej z konspiracyjną powagą, podczas gdy Odd i Einer stali na czatach przy drzwiach. Bez dotykania czegokolwiek Finn pozwolił jej zerknąć na ukryty skarb: brązową kopertę, plik banknotów przewiązany grubą czerwoną gumką, parę złotych kolczyków i kilka pierścionków. Ręce i nogi Karen drżały z rozkosznego napięcia, że wtajemniczono ją w ten sekret, a zarazem świetnie zdawała sobie sprawę, że porządnie złoją im skórę, jeśli ciocia Ingeborg dowie się, co właśnie porabiają.

Jeden raz dane jej było zobaczyć skrytkę ze skarbem, nigdy więcej. Nigdy by nie pomyślała, że tego typu osobliwe kryjówki

znajdują się też w innych domach.

– Nie, z tego, co wiem, to nie – mówi. – Chcesz powiedzieć, że we wszystkich domach na Noorö są schowki?

Byle się śmieje.

– Oczywiście, że nie we wszystkich, ale jest to naprawdę dość powszechne, nawet jeśli dzisiaj już tak często się ich nie używa. Straciły swoją funkcję, odkąd policjanci i celnicy wiedzą, kto gdzie je ma. Jednak starsze osoby wciąż ich używają, bo narkomani, którzy w pośpiechu szukają, co da się sprzedać, mogą mieć trudności z ich znalezieniem.

Narkomani albo technicy kryminalistyczni z południa, myśli Karen.

Dziesięć minut później Byle opukał już ściany, przyjrzał się deskom na podłodze, obmacał boazerie, przejechał po niej palcami, porównując miarę wewnętrzną i zewnętrzną, Karen w tym czasie obserwowała go zafascynowana ze swojego miejsca na krześle w kuchni.

Teraz Byle odwraca się do niej i wzdycha.

– Przykro mi, chyba naobiecowałem zbyt wiele. Albo nie ma tu schowka, albo jest cholernie dobrze ukryty.

Karen pierwszy raz słyszy, jak jakieś przekleństwo opuszcza usta Thorsteina Bylego, i czuje, jak opadają jej ramiona. Podczas spotkania z pastorem, Erlingiem Arvem, uświadomiła sobie, że Byle nie tylko jest kolegą, którego trzeba utrzymywać w dobrym humorze, żeby zapewnić sobie chęć współpracy wśród lokalnych policjantów, lecz także stałym bywalcem kościoła. To chyba męczące, żeby ciągle być miłym: stale pilnować języka i zagryzać zęby, nawet gdy słyszy się najgorsze przekleństwa ciskane prosto w twarz. Chwilę później Karen coś gwałtownie wrywa z zamyślenia.

Thorstein Byle stoi na czworakach przed dużą dębową szafką pełną talerzy i szklanek. Już raz ją przeszukał, ale teraz wodzi palcami głębiej pod szerokim cokołem na samym dole i ciągnie.

– Bingo!

Cały cokół szeroki na dziesięć centymetrów wysuwa się na zewnątrz i pociąga za sobą coś, co wygląda jak stolnica skrzyżowana

ze spodem szuflady. Karen tak energicznie się podnosi, że promień bólu przechodzi jej z kolana, przez udo, do pachwiny. Razem zaglądną do skrytki Fredrika Stuuba.

Przez kilka sekund słycać jedynie cykanie zegara na ścianie nad stołem, potem Karen przerywa milczenie.

– Niczego nie dotykaj – mówi i kładzie dłoń na ramieniu Bylego. – Mógłbyś przynieść torbę na dowody z samochodu? Weź jedną dużą.

Potem sama wyciąga gumowe rękawiczki z kieszeni, zakłada je i ostrożnie chwyta laptopa.

Zastanawia się, czy powinna najpierw zadzwonić. Powiedzieć, że jest na Noorö, i spytać, czy może wpaść. Decyduje się tego nie robić. Uprzedzenie ciotki nieuchronnie spowoduje, że ta będzie nalegać na zorganizowanie przyjęcia rodzinnego. Prawdopodobnie rzuci się na telefon i zadzwoni do wszystkich, których łączą z Karen jakiegokolwiek więzy krwi: do kuzynów, dzieci kuzynów, kuzynów jej rodziców, a wreszcie do ich żon i dzieci. Nie może jednak tego dłużej odkładać i musi wreszcie zajechać do Ingeborg i Larsa. Kwestią czasu pozostaje tylko, kiedy dowiedzą się, że przebywa na wyspie, i jeśli ich nie odwiedzi, nigdy jej tego nie wybaczą.

Poza tym musi przyznać, że czeka z utęsknieniem, żeby znów po tylu latach zobaczyć ich i ich ogród. Mimo wszystko właśnie tutaj spędziła dużą część swojego dzieciństwa.

I może dlatego, że nie była tu tyle lat, jej wspomnienia są niczym zakonserwowane w słoikach wypełnionych formaliną. Szklane słoje z obrazami z przeszłości, które może wziąć i się im przyjrzeć. Przekreślić słoje, a jego zawartość pozostanie bez zmian. W pamięci wszystko jest wciąż takie, jak było niegdyś.

Barany, te zwyczajne, szare i jej ulubione biało-czarne z miękkim, kręconym futrem. Jagniątko, które pomagała karmić z butelki; zawsze trafiła się tu jakaś owca do głaskania podczas jagnienia, zawsze któryś z kuzynów znalazł jakieś na wpół żywe małe, wychudzone i opuszczone biedactwo na pastwisku.

Te wieczory, gdy wypływała łodzią z wujem Larsem i kuzynami. Ojciec, który w przeciwieństwie do szwagra żył z darów morza, nigdy jej nie zabierał na ryby. Ale tutaj mogła z nimi pływać, łowić ryby między szkierami koło Gudheim. Dopiero wiele lat później zrozumiała, że już wtedy łowienie na wężerze było zabronione.

A Ingeborg, surowa siostra taty, która mogła zabić wzrokiem, gdy ktoś zaczął jeść przed końcem modlitwy albo jadł jagody prosto z krzaka. Ciotka Ingeborg, która klepała też po policzku szorstką dłonią i mówiła:



– Co powiesz na to, Krakan, żebyśmy razem upiekły przepyszne ciasto czekoladowe? Przynieś cztery jajka od kury, a ja wyjmę mąkę. Tylko weź cztery najmniejsze, słyszysz?

Jajka. Karen niemal wciąż czuje ich smak, kiedy o nich myśli. Zwykle kurze jajka, prosto z kurnika. I jeszcze te gęsie wielkości dłoni. Pomagała je zbierać, ale nie pamięta, żeby kiedykolwiek je jadła, gęsie jajka i duże kurze trafiały na targ w Thorsvik.

Targ. Nie ten stary, tradycyjny w Lysvik, ale ten duży. Co niedzielę obok portu po drugiej stronie cieśniny. Na promie wiatr we włosach i upomnienia, żeby nie wspinać się na reling. Długie drewniane stoły, na których farmerzy i rybacy układali rzędami towary i przekrzykiwali się, obwieszczając swoją ofertę nie do przebicia, żeby skusić podejrzliwych południowców i naiwnych turystów skorych głęboko sięgnąć do kieszeni. Nawoływania i krzyki, zawsze z przesadnym północnym akcentem o spółgłoskach ostrych jak nóż. Z jakiegoś powodu tak się lepiej sprzedaje, tłumaczył jej Finn.

Skrzynie z lodem i dorszami, zębaczami, śledziami, halibutami, łupaczami, molwami i brosmami. Motki gręplowanej i uprzedzonej wełny – szarej, czarnej i niemal całkiem białej. Grube skarpety i rękawiczki, garbowane skóry. Butelki z sokiem z czarnej porzeczki, łubianki z owocami i grzybami, które można było sprzedawać: z malinami, jagodami, porzeczkami i kurkami. Agrest i naziemki jedli sami. I jeszcze to, czego nigdy nie wykładano na stół, co sprzedawano z bagażników i przyczep: części samochodów, „antyki”, i upchnięte najgłębiej białe kanistry z napisem „sok z Noorö”, który nawet nie leżał obok porzeczek.

I te zapachy. Wszystkie jej wspomnienia zdają się spowite zapachem dziegiu, diesla, ryb, owczej skóry i ciepłych malin.

Teraz, kiedy Karen przejeżdża między słupkami bramy i wodzi wzrokiem po podwórzu, czuje się tak, jakby spotkała starą przyjaciółkę z dzieciństwa, i stwierdza, że czas naprawdę niedelikatnie się z nią obszedł. Przy stodole stoi pordzewiały wrak samochodu i traktor, który wygląda tak, jakby nie był używany od wielu lat, obok piętrzy się sterta desek i złomu. Trawa wokół rupieci jest tak wyrosnięta, że trzeba by ją ciąć kosą, żeby tam podejść.

Jedynie zabudowa wygląda dokładnie tak, jak Karen ją zapamiętała. Dwukondygnacyjny dom z szarego kamienia oflankowany wolno stojącymi budynkami tej samej wysokości i z tego samego materiału. Całość wieńczy dach z czerwonej dachówki, w miejsce tradycyjnych czarnych łupków.

Jako dziecko Karen uważała, że to podwórze wygląda dostojnie, niemal jak w pałacu, dzięki prostopadłym skrzydłom budynków i osobliwemu czerwonemu dachowi, nie nudnemu, czarnemu jak u niej w domu. Teraz, kiedy się zbliża, widzi, że wielu dachówek brakuje, a kilka z nich leży rozbitych obok beczki przed domem. Nie ma nic dworskiego w lepiance z porośniętym trawą dachem, w pomieszczeniach gospodarczych, kurniku, stodole i przyległej do nich ziemi. A do tego groźnie wznosi się za tym wszystkim masyw Skalvet. Jak niedostępny mur przeciw znajdującemu się za nim morzu. Karen nigdy nie lubiła gór, nawet kiedy była mała, a zwłaszcza kiedy błyskało. I gdy teraz spogląda na nie, zauważa, że w obliczu tego potężnego bezdechu wciąż nachodzi ją nieprzyjemne uczucie.

Już tego żałuje.

W tej samej chwili drzwi się otwierają i zanim Karen zdąży dojść do połowy działki, nadbiega w jej kierunku wielki owczarek, głośno szczekając. Karen, nie mając nawet czasu na zastanowienie, kuca.

– No co tam, Heisick? – mówi i od razu uświadamia sobie popełniony błąd.

To oczywiście nie może być Heisick. Musiałby mieć już ze czterdzieści lat.

Głos z domu jest jak strzelenie batem.

– Spokój!

Wielki pies natychmiast kładzie się posłusznie na brzuchu i wysuwa głowę. Ze wzrokiem utkwionym w gościu cicho powarkuje. Karen powoli się podnosi, serce jej łomocze, a kątem oka widzi odsłonięte zęby, stara się nie patrzeć w oczy gotowemu do ataku wilczurowi.

– W czym mogę pomóc?

Głos z domu brzmi podejrzliwie i nieprzychylnie. I niewątpliwie znajomo.

Karen, która już stoi w pozycji wyprostowanej, chwilowo odrywa wzrok od psa i spogląda w kierunku domu. Mężczyzna w drzwiach trzyma jedną rękę na klamce, drugiej używa jako daszku przed silnie świecąca lampą nad drzwiami. W oknie obok majaczy sylwetka jeszcze jednej osoby, która zdaje się zainteresowana tym, co dzieje się na podwórzu.

Karen waha się. Jeśli odkrzyknie, zaryzykuje, że pies przejdzie do kolejnego ataku. Cięż w oknie znika. Sekundę później mężczyzna zostaje odepchnięty i rozlega się szorstki kobiecy głos.

– No przesunę się, Lars! Nie widzisz, kto to jest? Do nogi, Jacko! Dobry Boże, nasza mała Karen, czy to naprawdę ty?

Jacko człapie gdzieś poza pole widzenia i kilka minut później Karen otoczona silnymi ramionami trafia do kuchni.

– Jak długo zostaniesz? Mogłaś chyba najpierw zadzwonić, przygotowałabym dla ciebie coś pysznego. Dobry, dobry Boże, tak rzadko cię widzujemy.

Ingeborg trzyma dłonie Karen w mocnym uścisku i przygląda się jej zatroskanymi oczami. Zastanawia się, co właściwie widzi, myśli Karen z trwogą. Ingeborg zwykle nie owija w bawełnę. Jednak zamiast pytań i zwierzeń pada prędkie polecenie.

– Lars, zejdź do piwnicy i przynieś trochę *hacks* z zamrażarki, i zadzwoń do chłopców, żeby tu zajrzeli. Karen, zdejmij kurtkę i usiądź na ławie w kuchni, dostaniesz zaraz coś do picia.

Lars posłusznie idzie, powłócząc nogami, a Karen zaciska usta, żeby nie uśmiechnąć się na widok światła z piwnicy tworzącego elipsę między krzywymi nogami wuja, gdy ten oddala się w stronę zamrażarki.

To bez sensu, myśli Karen i rozgląda się po kuchni, ściągając z siebie kurtkę i podając ją ciotce. Ku swojej uldze odkrywa to, czego szukała. Czas się nie zatrzymał w tej dużej kuchni, żadnych sentymentalnych wspomnień o babce piaskowej czy gulaszu gotującym się na starej kuchence węglowej. Zamiast tego Karen przebiega wzrokiem po tym, co może świadczyć, że naprawdę uda się jej stąd wyjść o rozsądnej porze. Po kuchence mikrofalowej.

Rozmrożenie *hacks* bez mikrofalówki zajęłoby wieczność, a Ingeborg nie pogodziłaby się z tym, że nie nakarmi swojej

bratanicy.

Karen z wdzięcznością bierze szklanę z sokiem porzeczkowym i odchyła się. Już smak pierwszego łyka przenosi ją do dzieciństwa. Ingeborg wysuwa krzesło i siada naprzeciwko niej.

– No, owieczko, teraz mów. Jak się miewasz? Nie widziałyśmy się od... tak, dobry Boże, ile to właściwie czasu minęło?

Karen nie musi się nad tym zastanawiać. Wie, kiedy była tu ostatnio. Szesnastego czerwca dobre jedenaście lat temu. Wie, że był to czwartek. Z Johnem i Mathisem na tylnym siedzeniu przyplęnęła promem z Harwich do Ravenby wczesnym przedpołudniem i postanowili zajechać na Noorö, zamiast udać się prosto do matki do Langevik.

Decyzja zapadła spontanicznie. Tak bardzo chciała, żeby Mathis doświadczył choć cząstki tego, co wypełniało jej letnie wakacje. Nawet jeśli tylko przez jeden dzień. Wcześniej kiedy tu byli, miał zaledwie kilka lat i był za mały, żeby pamiętać cokolwiek z tamtej wizyty. Teraz, gdy skończył osiem, miał już zachować te wspomnienia. Karen chciała zapisać część swojego dzieciństwa w banku wspomnień syna. Taka mała przeciwwaga dla tych wszystkich letnich wakacji u rodziców Johna w Surrey i wyjazdów na wakacje do Włoch, Hiszpanii i Francji.

Chciała, żeby Mathis mógł położyć rękę na miękkim owczym futrze, spróbować jajka, które nie zostało zniesione kilka tygodni wcześniej. Chciała zdjąć mu buty i skarpetki, żeby jego stopy na jeden dzień zapomniały twarde londyńskie ulice i szkolne podwórza. I chciała, żeby on i John spotkali jej krewnych, żeby przekonali się na własne oczy, że mówiła prawdę o dłoniach ciotki Ingeborg, tak popękanych, że wyglądały jak rybia łuska, i o wuju Larsie z nogami prostowanymi na beczce do tego stopnia, że nie był w stanie zatrzymać prosiaków. Einara z szeroką szparą między przednimi zębami, Odda z włosami tak rudymi, że ludzie w wiosce nie tylko mieli wątpliwości, kto jest jego ojcem, ale też zastanawiali się, czy czarnowłosa Ingeborg naprawdę może być jego matką. I jeszcze Finna. Najstarszego kuzyna o barkach jak drzwi do stodoły i z równie przenikliwie niebieskimi oczami co jej własne.

Chciała pokazać im góry, chciała, żeby popatrzyli na szczyt Skalvet, a potem chciała ich zabrać nad morze, do zatoki. Żeby zrozumieli, dlaczego wydawało jej się czasem, że Londyn jest za mały.

Z tamtego lata miała więcej wspomnień niż z reszty życia. Wizyta na Noorö i uśmiechnięty Mathis, gdy kładł malutką rączkę na miękkim futrze baranka. Pamięta, jak dzwoniła do domu i jak Eleanor prychnęła, gdy dowiedziała się, że okradli ją z jednego dnia, jadąc najpierw do krewnych na Noorö. Pamięta jej radość, kiedy dzień później, niż planowali, wreszcie przejechali przez bramę przed domem w Langevik. Pamięta rozdzierający serce płacz Mathisa, gdy następnego dnia za budynkiem gospodarczym pogryzły go osy, jak ona sama trzymała go na rękach, John dzwonił na pogotowie, a Eleanor spokojnie przyszła, niosąc nagietki i kostkę cukru, żeby przyłożyć w bolące miejsce.

Pamięta wyjazd na Kretę tydzień później. Mathis, który odkrył oliwki i jadł ich tyle, że z Johnem zastanawiali się, czy mu to nie zaszkodzi. Cykanie świerszczy za otwartym oknem balkonowym, gdy kochali się najciszej, jak mogli, żeby nie zbudzić Mathisa. I pamięta plażę, gdzie krztusili się razem ze śmiechu tamtego dnia, który został uwieczniony na zdjęciu stojącym wciąż na stoliku nocnym w domu w Langevik.

Ma te wszystkie momenty wypalone w swoim wnętrzu. Ostatnie cenne wspomnienia.

Nie chce pamiętać tamtej jesieni, suszenia głowy Mathisowi o odrabianie lekcji i gry telewizyjne ani brei w pierwszych dniach grudnia. Ani kłótni z Johnem tamtego poranka, gdy była na niego zła, że miał kaca, bo oblewał kolejne zwycięstwo Gallagher, Smith & Hornby w prestiżowym sporze biznesowym. Nie, jak zapewniał, oczywiście, że nie zapomniał, naturalnie – zgodnie z obietnicą – po drodze do pracy zawiezie Mathisa do dentysty, musi tylko najpierw napić się trochę kawy, Karen mogłaby się łaskawie przymknąć chociaż do czasu, aż się porządnie obudzi, i gdzie też, do cholery, są proszki przeciwbólowe.

Nie chciała pamiętać, jak poirytowana powiedziała, że w takim stanie nie będzie wiózł nigdzie ani swojego syna, ani siebie. Jak wściekła wsiadała za kierownicę z poczuciem uzasadnionej złości,

bo musi robić za prywatnego kierowcę skacowanego męża, zamiast cieszyć się tym, że wreszcie może dłużej pospać, na co czekała od dwóch miesięcy. Jak na wysokości Waltham Abbey na drodze M25 zignorowała rękę Johna, gdy ten w pojednawczym geście położył ją na jej kolanie. Jak zaledwie trzy sekundy później świat przestał dla niej istnieć.

Stękanie wuja Larsa wchodzącego po schodach z piwnicy przywołuje ją do teraźniejszości. Karen napotyka wzrok ciotki, zdezorientowana, jakby właśnie była w długiej podróży i wróciła do domu.

– Jak sobie radzisz? – pyta Ingeborg i kładzie rękę, szorstką jak rybie łuski, na jej dłoni.

Zjawiają się jeden za drugim. Oczywiście, że się zjawiają. Pół godziny później kuchnia jest pełna ściskających się ze sobą lub podających sobie rękę ludzi – w zależności od tego, czy się wcześniej spotkali czy nie.

Pierwszy przychodzi Finn. Wciąż mieszka w gospodarstwie w jednym z prostopadle położonych budynków, właśnie wrócił do domu po świętach u teściów w Lysvik. Podchodzi do ławy i rozpościera ramiona. Karen podnosi się i znika w misiowatym uścisku.

Stwierdza, że Finn nadal dobrze wygląda. Postarzał się, ale jest równie przystojny, jak go zapamiętała, chociaż jego czarne włosy trochę posiwiały na skroniach i wygląda tak, jakby wciągał brzuch, kiedy położywszy ręce na jej barkach, odsuwa ją od siebie i powoli kręci głową.

– Wielkie nieba, Krakan. Powinnaś mieć dziesięć lat, a nie być taką starą babą – droczy się.

– Ależ Finn... – mówi blondynka, która stoi za nim.

– To Jannike, moja żona – przedstawia kobietę Finn. – Hmm, spotkałyście się już chyba. A to nasz spóźnialski. Albo ostatek, jak mówi mama. Pojawił się, gdy już sądziliśmy, że wreszcie nic nam nie grozi.

Wysuwa przed siebie skwaszonego młodzieńca, który na oko ma trzynaście lat. Karen szuka w pamięci, aż z cichym westchnieniem ulgi przypomina sobie jego imię.

– Jasper, prawda? A wasi dwaj starsi synowie, Daniel i Andreas, Boże, oni będą już chyba lada chwila pod trzydziestkę. Też tutaj są?

– Trzydzieści jeden i trzydzieści trzy. Nie, pracują cały weekend na platformie. Einar także. Nie mogli sobie odpuścić takich pieniędzy. Kurczaki, ależ Einar będzie zły, jak się dowie, że tu byłeś. Wściekał się już, kiedy odjeżdżał, bo stracił święta.

„Platforma” – platforma wiertnicza NoorOylu na północny zachód od Gudheim. Ratunek dla rodzin, które miały to szczęście, że po

zamknięciu kopalni mogły czerpać dochód z innego źródła energii.

– Ciężka sprawa – mówi Karen.

– Tutaj, na północy, nie ma za dużego wyboru – odpowiada Finn.

– Platforma, Groth albo chodzenie z czapką w ręce na pokwitowanie zasiłku, do czego niektórzy zostali zmuszeni.

– Nadal plecy?

Finn kiwa głową.

– Tak, to istne przekleństwo. Nie mogę, do diabła, zupełnie nic zrobić w gospodarstwie, a ojciec sam już nie daje rady. Widzisz chyba, jak to wygląda.

– A co u Odda? Jak mu się wiedzie?

– Sama chyba możesz go zapytać – mówi Finn i kiwa głową do kogoś za nią.

Karen odwraca się i znika na kolejną sekundę w jeszcze jednym uścisku.

– Niech mnie, kogo nam tu wiatr przywia! – woła Odd do brata nad jej głową. – A ja myślałem, że to jakiś nowy wybieg mamy, żeby zmusić nas do odwiedzin.

Po kilku długich sekundach Odd nieco luzuje uścisk, a Karen odchyła głowę do tyłu, żeby na niego popatrzeć. Ogień się wypalił, na siwiejącej czuprynie pozostały tylko pojedyncze rude kosmyki, gładko zaczesane na wysokie, pomarszczone czoło.

– Cholera, Krakan, jak miło cię widzieć.

– Mnie też, *Odd one* – mówi Karen.

Nie spuszczać z niej wzroku, Odd znów ryczy:

– Kurna, Gunnela, chodź się przywitać!

Żona Odda odrywa się z miejsca przy drzwiach, powoli podchodzi i wyciąga rękę.

– Cześć, Karen, ileż to już lat.

Ma matowe platynowe włosy związane w kucyk wysoko na głowie i legginsy w cętki. Jej uśmiech jest nieco chłodny, a uścisk wiotki. Karen zwraca uwagę na to, że Gunnela z jakiegoś powodu wytatuowała sobie imiona dzieci, wnuków i męża na bardzo obfitym dekolcie.

– Cześć, Gunnela, fakt, kopę lat.

Zapada cisza i żeby coś powiedzieć, Karen mruży oczy i odczytuje na głos ozdobne literki.



– „Odd”, „Tina”, „Kevin”, „Liam”. Całkiem praktycznie, też mam kłopoty ze spamiętaniem imion.

Natychmiast żałuje swojego żartu, ale zdaje się, że Gunnela nie dosłyszała sarkazmu.

– Właśnie zostałam babcią, więc niedługo przybędzie jeszcze jedno – mówi z dumą. – Tina urodziła córeczkę. Będzie się nazywała Jasmine.

Bo jakże inaczej, myśli Karen i odrywa wzrok od piersi Gunneli.

W następnej sekundzie kamienieje.

Wbijając wzrok w plecy Odda, który truchta do lodówki, Karen klnie cicho pod nosem. Refleksja ta pojawia się równie szybko, jak jest niemiłe widziana: Karen nie spotyka swojego kuzyna pierwszy raz od jedenastu lat. Widziała go już wczoraj rano: na pokładzie promu w Thorsvik.

Z narastającą niechęcią wpatruje się w długi, cienki, posiwiały warkocz, który opada na jego plecy.

Kiedy Karen wyjeżdża na drogę krajową, jest dwadzieścia po dziewiątej wieczorem. Przelewa się jej w brzuchu po soku z czarnej porzeczki, kawie, połowie piwa i *hacks*, które po godzinie w mikrofalówce wreszcie odtajały, a potem zostały usmażone. Mieszanka wątróbki jagnięcej, kaszy jęczmiennej, cebuli i goździków wyglądała wprawdzie smakowicie, ale nie przypadkiem tradycyjnie talerzowi *hacks* towarzyszyła huczna popijawa, żeby pobudzić trawienie. Dziś Karen musiała zrezygnować z takiej pomocy mimo usilnych nalegań. Jej własny limit promili, na który może sobie pozwolić, jest poniżej tego wytyczonego w kodeksie. I zdecydowanie poniżej tego, co jej krewni uważają za sensowne.

– Ależ Krakan, do diabła, wyjdźże już z roli gliniarza. Bez czegoś, co porządnie oczyści ci żołądek, będziesz trawić całą noc. Chyba się nie zabijesz na drodze...

Ingeborg przychodzi jej z odsieczą.

– Zamknij się, Odd.

Kuzyn natychmiast milknie. Karen nie jest pewna, czy zdał sobie sprawę, że wkroczył na grząski grunt, czy władza rodzicielska Ingeborg wciąż jest tak wielka, że wystarczy jedno jej słowo.

W takim wypadku nie powinno być dla niej nowością, że jej najmłodszy syn należy do przestępczego gangu motocyklistów.

Nie chce od razu poruszać z Oddem tego tematu. Prawdopodobnie będzie musiała zrobić to później, ale jeszcze nie teraz. Zamiast tego pyta Finna, gdy wychodzą na podwórze zapalić.

– Od jak dawna Odd jest w OP?

Finn odpowiada bez cienia zdziwienia.

– Odkąd przeprowadzili się do Tyrfallet, jak zakładam. Nie wiedziałaś?

Karen dostrzega isierkę nieufności w jego oczach.

– Nie, niby skąd? Znam wprawdzie kilka nazwisk, przynajmniej przywódców, ale oni nie mają w internecie listy wszystkich członków. Poza tym nigdy nie pracowałam nad śledztwem, które miałyby jakieś związki z OP – dodaje.

– A właściwie co tu robisz?

Głos Finna przybrał ton, którego Karen nie zna. I po raz pierwszy, odkąd przyjechała, czuje, jak powiew chłodu przedziera się przez ciepło.

– Mówiłam już. Mam poprowadzić śledztwo w sprawie śmierci Fredrika Stuuba.

– Tylko to?

– Tak, tylko to. Skoro uważasz, że śledztwo w sprawie zabójstwa to mało.

– Hmm, trudno mi sobie wyobrazić, jaką korzyść miałyby niby mieć OP z zabicia dziadygi Stuuba, jeśli do tego pijesz.

– Nic takiego nie powiedziałam. Pytałam tylko, od jak dawna Odd jest w OP.

– Jeśli pytasz jako policjantka, to możesz chyba porozmawiać bezpośrednio z moim bratem.

– Pytałam jako kuzynka.

– Nie, Karen. Wcale tego nie robiłaś.

Kiedy chwilę później – po licznych protestach i obietnicy, że niedługo wróci – Karen wsiada do samochodu, wszyscy wychodzą na podwórze, żeby jej pomachać. I gdy w pożegnalnym geście Finn unosi rękę, drugą kładzie na ramieniu Odda.

Budzi ją dzwonek telefonu. Rzut oka na wyświetlacz i Karen uświadamia sobie dwie rzeczy: jest dwadzieścia dwie po piątej rano i dzwoni jej szef. Chwilę później dociera do niej, że nic z tego nie jest przypadkiem. Przez moment zastanawia się, czy odebrać. Potem z trudem siada, chrząka i mówi najwyraźniejszym głosem, na jaki ją stać.

– Cześć, Jounas.

– Śpisz?

– Nie, dlaczego tak sądzisz? Wtedy byś przecież nie dzwonił?

Ironia nie odnosi skutku. Kiedy Jounas Smeed wciąga powietrze przez nos, słychać wyraźnie, że jest poirytowany.

– Dlaczego się nie odzywasz? – mówi krótko. – Czy nie uzgodniliśmy, że będziesz mnie informować?

Karen przeciera dłońmi oczy i szuka wzrokiem tacy na biurku. Wzdychając z rezygnacją, wstaje, bierze czajnik i wychodzi do toalety.

– Tak, i szczerze mówiąc, zamierzałam dziś do ciebie zadzwonić, ale nieco później.

Ze słuchawką wciśniętą między ucho a ramię Karen odkręca kurek, opryskuje lekko twarz zimną wodą i napełnia czajnik.

– Co ty robisz, do cholery? Sikasz?

– Chciałabym zrobić herbatę, jeśli nie masz nic przeciwko temu. I tak, masz rację, spałam. Tam gdzie jesteś, jest już może dawno po lunchu, ale tutaj jest dwadzieścia po piątej rano.

Z czego przecież świetnie zdajesz sobie sprawę, dodaje w myśli.

– Tak, sama jesteś sobie winna. Mogłaś się odezwać, tak jak...

– W porządku – przerywa mu. – Nie miałam na razie zbyt wiele do powiedzenia, chciałam się wstrzymać do wieczora. Ale jeśli chcesz, mogę ci streścić te okruchy, które na razie mamy.

– Dawaj.

Włącza czajnik i siada na brzegu łóżka. Potem sięga po notatnik leżący na stoliku przy łóżku.

– Nie wiem, ile już wiesz, więc najpierw przedstawię fakty. Fredrik Stuub, siedemdziesiąt dwa lata. Znaleziony martwy w szkodzie górniczej wypełnionej wodą, w Karby, trochę na północ od Skreby. Zarówno na miejscu znalezienia zwłok, jak i na samym ciele stwierdziliśmy wyraźne ślady ciągnięcia, a później spychania z krawędzi. Zdaniem Brodala otrzymał wcześniej silne uderzenie w brodę, po prostu solidny cios, potem możliwe, że kopano go po głowie, aż wreszcie przeciągnięto jakieś osiem metrów. Następnie został zepchnięty z krawędzi i jego czaszka roztrzaskała się o wystającą część ściany kopalni, wylądował na półce skalnej. Znalazła go siostra Gertrud Stuub.

– Kontynuuj – mówi krótko Jounas Smeed.

A więc tak zamierzasz to rozegrać, myśli Karen. Zaledwie kilka miesięcy temu jego ton był inny. Drwiący, prowokujący, w każdym razie osobisty. Nawet zbyt osobisty, szczególnie po zakrapianym wieczorze, gdy spędzili razem noc w pokoju hotelowym. Duży błąd zarówno pod względem formy, jak i treści, co jasno Karen dała mu do zrozumienia. Ale po tym, jak z szefem policji i prokuratorką dokonał błędnej oceny sytuacji, co niemalże kosztowało ją życie, Jounas Smeed pokazał jej też inne oblicze. Stonował sarkazm i wbijanie szpilek, a kiedy odwiedził ją w szpitalu, zamigotał nawet cień żalu i pojednania. I rozmyślanie Karen o tym, żeby poprosić o przeniesienie lub po prostu złożyć wypowiedzenie, skończyły się wreszcie tym, żeby miała po powrocie wrócić ze zwolnienia do służby.

Oczywiście podczas długiej rehabilitacji zastanawiała się – nie znajdując odpowiedzi – jak po tym wszystkim, co się stało, będą mogli razem pracować. Wiele wieczorów poświęciła na głowienie się nad tym, jak Smeed zamierza odnaleźć się w roli przełożonego kogoś, z kim się przespał i komu jest coś winien. I do kogo jego własna córka z jakiegoś powodu lgnie bardziej niż do niego samego.

I oto jest odpowiedź, myśli Karen. Będziesz zerkać mi przez ramię. Kontrolować wszystko, co robię. Demonstrować swoją władzę, żądając raportów z każdego mojego kroku, nie czekając, aż sama dokonam oceny, że jest co zaraportować. To będzie twoja słodka zemsta. I dostaniesz dokładnie to, czego chcesz.

Karen sprawdza notatki i powraca do raportowania. Przybiera przesadnie formalny ton.

– Thorstein Byle i służby ratownicze szybko dotarły na miejsce. Mieszkający w Skreby Byle został osobiście zaalarmowany przez dyżurującego. Lekarz, niejaki Sven Andersén, przyjechał na miejsce chwilę po dziesiątej i wtedy Stuub (według jego wstępnej oceny) już nie żył od jakichś dwóch godzin, plus minus pół godziny. Oznacza to, że morderstwa dokonano jakoś między...

– Wpół do ósmej a wpół do dziewiątej – przerywa jej Smeed.

W każdym razie jesteś szybki, myśli i podnosi się, żeby zalać torebkę z herbatą wrzącą wodą. Na spodku leżą dwa zapakowane w plastik owsiane ciasteczka, Karen ostrożnie rozrywa zębami opakowanie.

– To wszystko już wiem – ciągnie Smeed. – Rozmawiałem wczoraj wieczorem z Larsenem. Podaje z grubsza tę samą wersję co ty.

Ty draniu, myśli Karen. Kazesz mi tu siedzieć o wpół do szóstej rano i referować sobie fakty, o których dobrze wiesz. Na głos mówi:

– Tylko z grubsza, naczelniku?

– Tak, powiedział też, że ktoś przeszukał dom Stuuba. Podobno technicy znaleźli laptopa. Ale ty najwyraźniej nie uważasz, że ten drobny szczegół jest na tyle ważny...

Poranny, już i tak niski poziom cukru dodatkowo spada o kilka oczek. Przez moment Karen rozważa, czy powiedzieć, że to wcale nie Sören Larsen znalazł komputer Fredrika Stuuba, ale odpuszcza. Nie zamierza dać Smeedowi tej satysfakcji, żeby mógł zbyć jej protesty, mówiąc, że są małostkowe. Poza tym to nawet nie ona sama go znalazła.

Jak najciszej gryzie kawałek ciastka owsianego.

– Ja również przekazałabym tę informację, gdyby tylko dane mi było skończyć – mówi z wymuszonym spokojem. – Komputer wysłano już do informatyków. Rozmawiałam z dyżurnym prokuratorem, żeby wystąpił o billingi Fredrika Stuuba. Ale jak wiadomo, ciężko jest namierzyć w święta i przed Nowym Rokiem właściwe osoby. Wielu skorzystało z okazji i wzięło wolne...

Cisza po drugiej stronie słuchawki. Jeden zero dla mnie, myśli Karen i dodaje:

– Podstawowe pytanie brzmi: czy sprawca naprawdę szukał komputera Stuuba czy czegoś innego? Gdy tylko znajdziemy na to odpowiedź lub chociaż będziemy mieli jakąś teorię...

– A do czego doszłaś, jeśli chodzi o motyw i sprawcę? – przerywa jej Smeed, który wcale jej nie słucha. – I teraz jeszcze coś jesz? – dodaje poirytowany.

Karen tłumi w sobie odruch, żeby cisnąć komórką o ścianę. Zamiast tego odkłada ciastko i postanawia odpłacić się pięknym za nadobne. Bierze głęboki wdech i kontynuuje monotonnym tonem.

– Razem z naczelnikiem Thorsteinem Bylem rozmawialiśmy z Gertrud Stuub. Rozmowa odbyła się między godziną trzynastą czterdzieści pięć a czternastą dwadzieścia pięć. Uczestniczył w niej także pastor tutejszego zgromadzenia Erling Arve.

Dalej opisuje mu z przesadną dokładnością każdy najmniejszy szczegół tej rozmowy, wie, że musi to być denerwujące, później przechodzi do referowania swoich zamiarów.

– Wczoraj odbyła się również sekcja zwłok. Wnioski już przedstawiłam, pełny raport otrzyma naczelnik, jak zwykle, bezpośrednio od lekarza sądowego Kneoughta Brodala. Dzisiaj mam odbyć naradę z miejscowymi kolegami, a później z naczelnikiem Thorsteinem Bylem mamy się spotkać z wnukiem Stuuba, Gabrielem, nosi to samo nazwisko co denat. Jako spadkobierca zamordowanego jest osobą kluczową i nawet jeśli nie ma nic wspólnego z zabójstwem, to wiemy, że spotkał się z dziadkiem nie dalej jak w wieczór wigilijny. W zależności od wyniku tej rozmowy zamierzam zaplanować dalszy sposób prowadzenia tego śledztwa.

Karen robi przerwę i zerka z wytęsknieniem na kubek z herbatą, ale Jounas Smeed milczy i Karen ciągnie tym samym formalnym tonem:

– Potem poczekamy na odpowiedź techników, co może potrwać dłużej niż zwykle. Sören Larsen uprzedzał, że wyniki dostaniemy najprawdopodobniej nie wcześniej niż po Nowym Roku. Ale naczelnik słyszał to z pewnością już od samego Larsena.

– Odpuść sobie tego naczelnika, Eiken. Zakładam, że nie jest to dla ciebie problem, że chcę być na bieżąco.

– Oczywiście, że nie. Będę streszczać każdy szczegół tego śledztwa w codziennym raporcie. Będziesz miał go na swojej skrzynce

mailowej co wieczór, najpóźniej o dwudziestej zero zero. Czy to wszystko?

Najwyraźniej, domyśla się, kiedy szef się rozłącza.

Dlaczego, do cholery, musiałam się przespać z tym sukinsynem, myśli.

Trzy twarze ze sceptycznymi minami zwracają się do Karen, kiedy ta chrząka i bierze głęboki wdech. Thorstein Byle dał z siebie wszystko, przedstawił ją podwładnym i podkreślił wagę współdziałania oraz to, że sprawa ta wymaga pracy zespołowej.

Jest kilka minut po ósmej, zebrali się w komisariacie w Lysvik na pierwszej wspólnej naradzie. Sądząc po pustych spojrzeniach, które napotyka, „bliska i oparta na zaufaniu współpraca” nie jest tym, jak widzą to miejscowi koledzy.

– Tak, Thorstein powiedział już prawie wszystko, co trzeba było teraz powiedzieć – zaczyna Karen. – Zdaję sobie sprawę z tego, co niektórzy z was zapewne sądzą o tym, że przyjeżdża tutaj ktoś ze stolicy i przejmuje śledztwo. Ale myślę, że wszyscy w tej sali wiedzą, że takie są reguły gry przy poważnych przestępstwach.

Karen robi przerwę i przejeżdża wzrokiem wokół stołu.

– Wczoraj w Ravenby przeprowadzono sekcję zwłok, według lekarza sądowego najpewniej mamy do czynienia z morderstwem – ciągnie.

– „Najpewniej”? Więc na razie nie mamy co do tego pewności, a mimo to otrzymaliśmy wsparcie ze stolicy?

Głos zabiera krótko ostrzyżony mężczyzna w wieku około trzydziestu pięciu lat siedzący po drugiej stronie długiego stołu. Muskularne ramiona skrzyżował na piersi i siedzi odchyłony do tyłu z wyciągniętymi przed sobą nogami. Ktoś parska śmiechem, ale pod wpływem wzroku Bylego zmienia go w chrząknięcie. Karen wzdycha i kilka sekund szuka w pamięci nazwiska, wreszcie znajduje właściwe. Posterunkowy Robert Röse, tak powiedział Byle.

– Nie, jak z pewnością wiesz, w rzeczywistości sprawy rzadko są czarno-białe, nawet jeśli się chciało, żeby było równie łatwo jak w telewizji. Jednak wystarczająco wiele wskazuje na to, że powinniśmy traktować śmierć Fredrika Stuuba jako podejrzenie morderstwa i dalej prowadzić śledztwo.



Karen przechodzi przez wnioski Kneoughta Brodala na temat obrażeń twarzy ofiary, otarć na stopach i siniaków pod pachami. Puszczą wokół stołu gruby plik zdjęć, część pochodzi z miejsca zdarzenia, część z sekcji zwłok.

– Badania techniczne również potwierdzają teorię, że Stuub został zamordowany – ciągnie. – Wyniki z laboratorium otrzymamy prawdopodobnie nie wcześniej niż po Nowym Roku, ale technicy zabezpieczyli na ziemi ślady ciągnięcia, które pokrywają się z obrażeniami na ciele Stuuba. Formalnie sprawa jest klasyfikowana jako podejrzenie popełnienia przestępstwa, ale nie ma najmniejszych wątpliwości, że mamy tu do czynienia z morderstwem lub ewentualnie zabójstwem.

– Znaleziono jakieś ślady stóp lub opon?

Tym razem pytanie pochodzi od mężczyzny, który – po wyglądzie sądząc – mógłby być młodszym bratem Rösego. Taka sama, krótka fryzura i nadmiernie rozbudowane mięśnie ramion. Głos jednak bez cienia arogancji kolegi. Karen znów przechodzi w myślach przez to, co powiedział Byle, kiedy ich przedstawiał. Andersson? Czy tak się nazywa? Röse jest dupkiem, Andersson wydaje się całkiem w porządku, a jak nazywa się cicha policjantka z końskim ogonem. Ella coś tam, Svanberg, nie, Svanemark. Hmm, wydaje się przynajmniej staranna, myśli Karen, rzucając okiem na notes zapisany drobnym maczkiem.

– Zdaniem Larsena nie powinniśmy robić sobie zbyt wielkich nadziei na dowody techniczne – mówi i zwraca się do Anderssona. – Pies Fredrika Stuuba biegał tam i z powrotem, ale oprócz całej masy odcisków psich łap mamy też odciski butów, które prawdopodobnie należą do Gertrud Stuub, i dodatkowo jeszcze jakieś, które także będą analizowane. Gdy dostaniemy informacje o rozmiarze i typie, zaczniemy szukać pasującego obuwia. Mam nadzieję, że w tej kwestii otrzymamy szybszą odpowiedź. Jeśli chodzi o odciski opon, niestety koło zawrotki było ich zbyt wiele, bo ludzie wyrzucają tam śmieci, więc nie było sensu ich badać. Poza tym są tam też odciski stóp i opon tych wszystkich, którzy zjawili się na miejscu pierwsi, czyli pogotowia ratunkowego i lekarza...

– ...i mojego samochodu – dopowiada Thorstein Byle. – Zaparkowałem wyżej przy dzikim wysypisku. Kilka moich odcisków

buta pewnie też się tam znajdzie. Obawiam się, że nie myślałem wtedy o tym, gdzie stawiam stopy...

Przerywa, a w jego głosie słychać rezygnację. Krzesła skrzypią i oczy zwracają się w stronę kubków z kawą i szklanek z wodą. Wyraźnie widać, że wyznanie szefa o jego blamażu wszystkich uwiera.

– Ale dzięki świetnej akcji Thorsteina, szybkiemu zabezpieczeniu miejsca i pilnowaniu go, pozostało ono możliwie nietknięte jak na okoliczności – mówi z naciskiem Karen i dostrzega lekki ruch w jednym z kącików ust Bylego. – Poza tym – dodaje – na wczesnym etapie, w oczekiwaniu na wsparcie i badania techniczne, zabezpieczono miejsce zamieszkania Fredrika Stuuba. Jak się okazało, miało to szczególną wagę, bo udało się stwierdzić, że jego dom został przeszukany, prawdopodobnie przez sprawcę. Przed morderstwem lub po nim, tego jeszcze nie wiemy. Nie wiemy też, czego szukano lub co zginęło. W tej kwestii również czekamy na wieści z badań technicznych dotyczące ewentualnych śladów. Poza tym mogę dodać, że Thorstein i ja byliśmy wczoraj w tym domu i że laptop Fredrika Stuuba nadal się tam znajdował. W tej chwili jest w drodze do Dunkeru.

– Więc jego morderca najwyraźniej nie szukał – wtrąca Ella Svanemark. – Ale dlaczego technicy nie zabrali go ze sobą od razu?

Karen zastanawia się dłuższą chwilę.

– Leżał ukryty w schowku w kuchni. To Thorstein go znalazł.

W sali konferencyjnej rozlegają się rozproszone śmiechy i Karen słyszy, jak Röse mówi coś o „południowcach”.

Szybko rzuca okiem na zegar.

– Tak... jak rozumiecie, czeka nas masa roboty. Wasze zadanie będzie przede wszystkim polegać na pukaniu do drzwi i kontrolowaniu informacji pod kątem ewentualnego alibi. Dalsze instrukcje otrzymacie od Thorsteina i do niego będziecie raportować. Wasza wiedza lokalna, doświadczenie i kontakty mają w tym śledztwie duże znaczenie. Rozwiążemy tę sprawę wspólnymi siłami.

Coś w tej niewielkiej sali się zmieniło. Röse wprowadzie dalej zdaje się bardziej sceptyczny niż zainteresowany, ale pozostali chyba przynajmniej chwilowo zapomnieli, że kobieta przed nimi nie tylko

jest z południa, ale została tu przysłana z Dunkeru przez znieawidzoną komendę główną. To małe zwycięstwo w pracy już chwilę później zostaje przekreślone, gdy Röse znów zabiera głos.

– A ty? – pyta przeciągle. – Czym ty się będziesz zajmować?

Karen prostuje się i przeszywa go wzrokiem. Lekko odwraca twarz, tak żeby przenikliwy błękit z żółtymi brzegami dookoła jej źrenicy stał się jeszcze wyrazistszy w świetle wpadającym przez okno. Ucieka się do spojrzenia, które uciszało potężniejszych mężczyzn niż Robert Röse.

– Ja będę decydować o tym, jakie środki należy podjąć – wyjaśnia. – Prowadzić i rozdzielać pracę. Mówiąc krótko, to ja będę tu decydować. I na początek możesz zacząć od tego, że będziesz się do mnie zwracać „pani komisarz Eiken Hornby”. Ewentualnie szefowo.

– Ile ziemi właściwie należy do nich? – pyta Karen, wyglądając przez okno z siedzenia pasażera.

Kolejny raz pokonują ponadczterdziestokilometrową trasę z Lysvik na północ przez jałowe wrzosowiska i obok zamarzniętych torfowisk. W oddali, za partią lasu, rysuje się kontur wysokich gór, ale bliżej drogi rozległy płaskowyż przełamują tylko karłowate jałowce i z trudem wzniesione kamienne mury. Thorstein Byle zjeżdża z drogi krajowej, tym razem kierując się na zachód. Dom Gabriela Stuuba znajduje się po tej samej stronie rzeki Skrebyån co dom jego dziadka, ale po przeciwnej stronie drogi krajowej.

Zamiast jechać kolumną, siedzą teraz razem w oznakowanym radiowozie, który ma do dyspozycji policja na Noorö. Pytanie Karen jest retoryczne, Byle już jej mówił, że posiadłości rodziny Hussów ciągnęły się niegdyś od Skreby aż do granicy z dystryktem Gudheim. I Karen wie, że teraz ta ziemia jest rozparcelowana i rozdzielona, ale wciąż większość należy do potomków dawnego barona z kopalni. Zamiast odpowiedzieć, Byle kiwa głową w stronę domu po prawej.

– To w każdym razie chałupa Gabriela. Nie tego się spodziewałaś, co?

Dom zbudowano z żółtego drewna, wygląda, jakby miał najwyżej dziesięć lat. Wokół działki biegnie pomalowany na biało płot, który zdaje się tu nieco zbyteczny, bo od najbliższego sąsiada dzieli go co najmniej kilkaset metrów. To zapewne nie jest jedyny drewniany dom na Noorö, w większych osadach Lysvik, Skreby i Gudheimby stare kamienne domy mieszają się z nowoczesnymi willami z drewna i cegły, ale w warunkach wiejskich dom i ogród Gabriela Stuuba wyróżniają się na tle otoczenia.

– Dlaczego, na miłość boską...

– Mnie nie pytaj – mówi Byle i wyciąga kluczyk ze stacyjki. – Znajdował się tu piękny stary dom z kamienia, który zburzyli, żeby zrobić miejsce dla tej nędznej chałupy.

Otwierają furtkę i zwirową ścieżką idą w stronę domu. Karen zwraca uwagę na przykryty mały basen, dwa różowe flamingi z plastiku i huśtawkę z jednej strony działki. Z drugiej strony jest podwójny garaż z czymś, co przypomina przynależny do niego warsztat. Wszystko jest eleganckie i zadbane. I całkowicie tu nie pasuje. Jakby ktoś wyciął prostokąt z willowego przedmieścia Dunkeru albo Ravenby i na chybił trafił cisnął go na środek wiejskiego obszaru.

Potrzeba blisko czterech minut i wielu dzwonek domofonem, żeby Gabriel Stuub otworzył drzwi, po dodatkowych trzech sekundach Karen orientuje się, że mężczyzna przed nią nie tylko dopiero co się obudził, lecz także jest na potwornym kacu. Jasne rudawe włosy leżą płasko z jednej strony twarzy i sterczą na baczność z drugiej, oczy są spuchnięte i Gabriel mruży je w świetle. Kwaśna woń wczorajszego alkoholu wydobywa się z jego ust, gdy od niechcienia usiłuje stłumić ziewnięcie. Ma nagi tors, świadczący o wielu godzinach treningu siłowego. Mężczyzna próbuje zapiąć jedną ręką wciągnięte w pośpiechu dżinsy, drugą mocno trzyma telefon.

– Dzień dobry – mówi Karen i szeroko się uśmiecha. – Jesteśmy z policji. Możemy wejść?

Nie odpowiedziawszy, Gabriel Stuub odwraca się i idzie przodem w głąb domu. Byle zamyka drzwi i rusza za nimi w milczeniu przez przedpokój. Salon wygląda mniej więcej tak, jak Karen go sobie wyobrażała. Dwie czarne skórzane sofy, stolik kawowy ze szkła i obrotowe fotele z podnózkami, regały pełne dekoracji i modeli samochodów, statków i samolotów oraz kilka pojedynczych książek i zdjęć. Karen i Byle siadają na dwóch krańcach sofy.

Gabriel już ma usiąść w fotelu, gdy nagle zatrzymuje się i szybkim krokiem wychodzi do przedpokoju. Byle wykonuje ruch, jakby chciał za nim iść, ale Karen kręci głową i go powstrzymuje. Nawet jeśli Gabriel planuje ucieczkę, to ma najpierw do załatwienia pilniejszą sprawę.

Karen wyjmuje notatnik, przewraca oczami do Bylego, przygląda się swoim paznokciom i odgryza zadzióra, wsłuchując się cierpliwie w czkania z toalety. Po kilku minutach rozlegają się kolejno odgłos spuszczonej wody, szum z kranu, dźwięk otwieranych drzwi

i ciężkich kroków zmierzających do kuchni, odgłos otwieranych drzwi lodówki, a potem syczenie kapsła, i już sekundę później Gabriel Stuub materializuje się w progu, teraz z mokrymi, zaczesanymi do tyłu włosami i aluminiową puszką z napojem energetycznym w dłoni.

– Możemy zacząć? – pyta z uśmiechem Karen.

Gabriel niespiesznie siada w fotelu i kładzie nogi na podnóżku. Odchyła się do tyłu i bierze łyk z puszki.

– Dawajcie – odpowiada. – Co was sprowadza?

– Jesteśmy tu, jak pan z pewnością rozumie, z powodu śmierci pańskiego dziadka. Proszę przyjąć nasze kondolencje.

Gabriel kiwa głową, ale nie odpowiada.

– Najpierw potrzebowałibyśmy kilku informacji o panu.

Karen przechodzi przez wstępne pytania w szybkim tempie i Gabriel udziela jej odpowiedzi z miną wyrażającą znużoną rezygnację. Trzydzieści pięć lat, dwoje dzieci, sześciolatek Loke i czteroletnia Leva, w separacji z żoną Katją od paru miesięcy. Katja przeniosła się do rodziców do Thorsvik na Heimö. Nie, właściwie nie jest z Noorö. Dlaczego to ona się przeniosła, a nie on? Bo wszystko, rzecz jasna, należy tu do niego. To on odziedziczył ziemię po matce i sam zbudował ten dom. Katja nie dołożyła się do tego nawet szylingiem. Nie ma, kurna, zielonego pojęcia, co ona planuje, i w zasadzie ma to gdzieś, o ile tylko nie kłóci się o dzieci. Ma je mieć u siebie co drugi weekend, ani mniej, ani więcej. Tak, został powiadomiony o śmierci dziadka jeszcze tego samego dnia, i przez policję z Noorö, i przez pastora. Tak, z tego, co mu wiadomo, jest najbliższym krewnym dziedziczącym po Fredriku, nie, nie wie, czy Fredrik zostawił po sobie coś wartościowego, nie utrzymywali szczególnie bliskich kontaktów. Dlaczego? Taa, Fredrik nie uważał go chyba za idealnego wnuka.

– Mimo to spotkali się panowie dzień przed morderstwem? – Karen podchwytuje jego wzrok spod uniesionych brwi.

Gabriel zwleka, jakby naprawdę szukał tego w pamięci.

– Tak, ale to była, do cholery, Wigilia – odpowiada, rozkładając ręce.

– A więc miał pan na tyle bliski kontakt z Fredrikiem i jego siostrą Gertrud, że spotykali się państwo od czasu do czasu?

– Hmm, normalnie to nie, to znaczy na co dzień... o to mi chodzi... ale jasne, czasem się widywaliśmy. Głównie od święta. Nie, no kurde, jesteśmy przecież rodziną i mieszkamy raptem kilka kilometrów od siebie.

– A więc pojechał pan w Wigilię do Gertrud? Uzgodniliście to wcześniej?

– Zadzwoiła przed południem, a że dzieciaki tu były, więc... tak, zajechaliśmy. Pomyślałem, że dzieci powinny się spotkać też z moją rodziną, nie tylko z rodziną mojej żony. Miałem je odwiedzić do Thorsvik i zostawić u niej następnego dnia rano.

– Zrobił pan to? Chodzi mi o to, czy zostawił pan dzieci u Katji?

Gabriel Stuub upija duży łyk napoju energetycznego i wyciera usta wierzchem dłoni.

– Tak – odpowiada.

– Która była wtedy godzina? To znaczy, o której wyjechaliście z domu?

– Hmm, czy ja wiem? Chwilę po ósmej, może kwadrans. W każdym razie zdążyliśmy na prom o dziewiątej, ale i tak rozpętało się straszliwe piekło.

– Co chce pan przez to powiedzieć?

– Katja. Albo raczej jej rodzice. Obiecałem odwiedzić dzieciaki najpóźniej o dziewiątej, a spóźniłem się pół godziny.

– Bardzo się państwo kłócili? Chodzi mi o to, czy byli państwo na siebie źli?

– Jak to? To nie ma, kurna, nic a nic wspólnego z tą sprawą.

– Gdzie pan pracuje?

Taktyka skutkuje. Przez moment Gabriel Stuub jest zupełnie zbity z tropu w związku z nagłą zmianą tematu. Jego oczy biegają między Karen a Bylem, jakby szukał stałego punktu.

– U Grotha – odpowiada potulnie. – Butelkowanie i przewóz.

– A kto jest pana bezpośrednim przełożonym?

Gabriel wygląda tak, jakby się przez chwilę zastanawiał.

– Jens, tak przypuszczam. Jest chyba kimś w rodzaju szefa sprzedaży czy jak go tam tytułują, ale pracujemy raczej dość niezależnie.

– A nazwisko?

– Groth, rzecz jasna. Jens Groth, syn Björna, właściciela całego interesu.

Karen robi notatki.

– Która była godzina, kiedy odwiózł pan dziadka?

Tym razem zmiana kierunku ma wręcz czysto fizyczne działanie. Lekko zielonkawy kolor ogarnia jego kości policzkowe, a Gabriel mocno chwyta podłokietniki, żeby się przytrzymać. Przez moment Karen obawia się, że znów będzie wymiotował. Ten jednak wyciera sobie czoło i oczy, a potem powoli kręci głową.

– Nie rozumiem, o co chodzi. Niby kiedy, kurde?

– W Wigilię po południu. Jeśli dobrze się orientuję, odwiózł pan dziadka do domu. Czy był pan może tam jeszcze kilka razy od tamtej pory?

Z pewną ulgą Karen dostrzega, jak kolor twarzy Gabriela wraca do normy. Mężczyzna patrzy jej prosto w oczy.

– Nie, nie było mnie tam. Wysadziłem go na podjeździe i wróciłem z dziećmi do domu. Nie mam pojęcia, która była godzina, ale zgadywałbym, że jakoś koło wpół do czwartej. I nie, od tamtej pory go nie widziałem.

– W jego domu też pan nie był? Może czegoś pan tam szukał?

– Szukał? Czego mógłbym, kurna, chcieć od niego z domu?

– Może komputera?

Gabriel zanoszą się śmiechem. Trochę zbyt głośnym, ocenia Karen.

– Jest pani pewna, że on w ogóle posiadał coś takiego? Miał przecież wciąż, do cholery, gruby telewizor i radio tranzystorowe.

– Rozumiem, ale pana dziadek wykładał na uniwersytecie. Zapewne prowadził sporo badań. Chce pan powiedzieć, że wykonywał pracę długopisem na kartce?

– Nie no, jasne, że musiał mieć komputer w pracy. Pewnie w domu też miał jakieś stare pudło.

– Ma pan teorię, gdzie może się znajdować ten komputer?

– Ja tam nie widziałem żadnego cholernego kompa. Staruszek gdzieś pewnie go ukrył. Szczerze mówiąc, wydaje mi się, że pomieszało mu się we łbie po śmierci mojej matki.

– Jak się to przejawiało? Chce pan powiedzieć, że pana dziadek miał demencję?



Gabriel posyła jej poirytowane spojrzenie, kiedy spostrzega tę subtelną korektę.

– Nie wiem. Wydawał się po prostu cały czas skupiony na tej cholernej wyspie i masie historycznych bzdur. Głędził o tym, jak tu było kiedyś i jak ludzie w dzisiejszych czasach szukają tylko okazji, żeby zarobić, i wszystko inne mają gdzieś. Był nieco zapominalski, i tyle.

Brzmi to raczej jak jasność umysłu niż zapominalskość, myśli Karen.

– Czy swoją złość kierował przeciwko czemuś konkretnemu? – pyta.

– Nie wiem, opuszczałem klapki na uszy, kiedy zaczynał. Ale niech mnie szlag, on nie był wcale głupi – dodaje nagle Gabriel. – Tylko stary, chciałbym, żeby miała pani co do tego jasność.

Karen słyszy jego ton, widzi wzrok i czuje, jak psuje się jej nastrój. Czy ten facet, który na papierze zdawał się mocnym kandydatem na sprawcę, naprawdę mógł zabić swojego dziadka? Hmm, to możliwe, ale w takim razie odebrał życie komuś, kogo bardziej kochał, niż był skłonny się do tego przyznać nawet przed samym sobą.

Karen postanawia zmienić temat.

– Z tego, co się orientuję, pana matka zmarła wcześniej.

Gabriel śmieje się gorzko.

– Tak, rak wątroby spowodowany żółtaczką typu C. Brudne igły nie cieszą się zbyt dobrą opinią jako powód śmierci. Można winić samego siebie.

– Pana matka była narkomanką?

Wzruszenie ramion potwierdza i tworzy dystans.

– Heroina, odwyk, powrót do nałogu i cały ten syf. Przez ostatnie lata była w gruncie rzeczy czysta, ale wtedy było już za późno.

Milknie, zawiesza jakby wzrok na jakimś punkcie pośrodku dywanu. Karen przygląda mu się w milczeniu i czuje cień współczucia. Za mięśniami i arogancją dostrzega syna ćpającej matki, wnuka, który sprawił zawód dziadkowi. Czy to może być motyw? Zabójstwo w afekcie wywołane brakiem zainteresowania dziadka?

– A pana ojciec...?

- Tak, co z nim?
- Myślałam raczej o tym, kto to.
- Nasłuchiwała się pani bzdur i zastanawia się, czy to Allan Jonshed?

Karen wyczekuje, kątem oka widzi, jak zaniepokojony Byle zmienia pozycję.

- Tak, to by wam było na rękę – mówi Gabriel z namiastką pozbawionego radości śmiechu. – Gdyby ofiara miała jakiś związek z prezydentem OP. Ale tyle szczęścia nie macie, przykro mi.

Najwyraźniej ani trochę, myśli Karen.

- A kto to? To znaczy, kto jest pana ojcem – precyzuje.
- Taa, według mojej matki był to albo jakiś grajek z Newcastle, albo typek, którego spotkała na promie. Nie wiem, kurwa. I to też mam gdzieś.

Uniósłszy brwi, Karen posyła Bylemu szybkie spojrzenie, sygnalizujące: „Chciałbyś jeszcze o coś zapytać?”. Zgodnie z oczekiwaniami Byle kręci głową i Karen cicho wzdycha. Thorstein Byle może i jest sympatyczny i skory do pomocy, ale zdaje się, że nie można liczyć na to, że stanie się tu jakąś siłą napędową. Muszę szybko dostać wsparcie z Dunkeru, myśli Karen. Karl Björken, Cornelis Loots, Astrid Nielsen, ktokolwiek, nawet ten przekłety Johannisen by się tu przydał. No może jednak nie, nie Evald Johannisen, mimo wszystko nie on.

- Dobrze – mówi. – Ostatnie pytanie. Kojarzy pan kogoś, kto mógłby źle życzyć pańskiemu dziadkowi? Kogoś, kto by coś zyskał na jego śmierci?

– To znaczy poza mną? Nie, nikogo.

Żadna niespodzianka, myśli Karen. Czy nie powinien wychodzić z założenia, że to nieszczęśliwy wypadek? I jakby Gabriel domyślał się, nad czym się zastanawia, dodaje:

- Ale o co właściwie chodzi? Myślałem, że staruszek się poślizgnął.

- Chyba będziemy musieli przejechać się jutro do gorzelni – mówi Karen, kiedy dziesięć minut później znów siedzą w samochodzie.

– Myślisz o Williamie Trystem?

– Tak, są w końcu spokrewnieni i też spotkał Fredrika w Wigilię w domu jego siostry. Z tego, co mówiła Gertrud, William i jego żona Helena zajechali tam podobno z kwiatami. Poza tym chętnie zamieniłabym słówko z kimś, kto pracuje z Gabrielem w destylarni. Coś mi nie gra w tym typie.

Nastrój przerwy świąteczno-noworocznej otula pub Latarenka niczym kołdra, Karen siada przy wolnym stoliku pod oknem. Rozgląda się po dość tłoczonym lokalu, gdzie ze czterdziestu mężczyzn w różnym wieku zajrzało na chwilę relaksu. Spokojny gwar wyraża ulgę, że po wypełnieniu świątecznych obowiązków mogą uniknąć towarzystwa żony, dzieci, wnuków, teściów i krewnych, których teraz („Uchowaj nas, Boże”) nie będą musieli oglądać przez najbliższy rok – jeśli na drodze nie stanie im jakiś ślub lub pogrzeb („Oszczędź nas, Panie”). Tego wieczoru do Latarenki przyszło również kilka kobiet na chwilę dobrze zasłużonego odpoczynku. Mówiąc dokładniej, dwie, jeśli wliczyć w to Karen. Prawdopodobnie samotna, myśli komisarz kryminalna, przyglądając się kobiecie w średnim wieku, która siedzi w kącie w towarzystwie połowy butelki czerwonego wina i czyta książkę. Boże Narodzenie oznacza radość dla dzieci i harówkę dla kobiet, ale lęk przed tym, że się kończy wolne, i potrzeba relaksu zdają się wyraźnie domeną mężczyzn.

Wbrew woli Karen nasuwa się wspomnienie świąt obchodzonych w wystawnym domu rodziny Hornbych w Surrey. Sztywne, tradycyjne i rozrzutne. Tak różne od świąt spędzanych przez nią w dzieciństwie w Langevik. Tak różne od tego, jak ona, John i Mathis sami obchodzili Wigilię na skandynawską modłę. Karen zawsze zapraszała matkę – i ta zawsze odmawiała.

– Nie będę jechać do *Anglii* świętować Boże Narodzenie, skoro wreszcie mogę poleżeć w spokoju z nogami wysoko. Ale chętnie wpadnę na wiosnę.

Karen zaciskała zęby, broniąc się przed zranieniem, bo wszystkie tradycje, które sama starała się podtrzymywać, dla jej matki oznaczały najwyraźniej tylko przymus, i teraz odczuwała przede wszystkim ulgę, że nie musi ich kontynuować. Eleanor Eiken nigdy nie była nostalgiczna i zdecydowanie nie była religijna.

Tak więc Wigilia należała w Londynie tylko do nich, do Karen, Johna i Mathisa. Z biegiem lat stworzyli sobie własne zwyczaje: długie, późne śniadanie, spacer wigilijny, narzekanie Karen na brak śniegu, narzekanie Johna na brak słońca i narzekanie Mathisa, że w ogóle muszą *spacerować*. Na obiad były śledzie na różne sposoby, a na kolację wędzone żeberka jagnięce i czerwona kapusta. Żadnego tradycyjnego kwasu z Heimö – tam John postawił granicę. Karen była mu po cichu wdzięczna, że zamiast tego będzie mogła popijać jagnięcinę dobrym czerwonym winem. Wieczór z rozdawaniem prezentów, a później spore puzzle w kuchni (Mathis grał chyłkiem pod stołem na game boyu), duże kubki z gorącą czekoladą, solidnie zaprawione rumem dla niej i Johna i obficie obsypane piankami dla Mathisa. Boże Narodzenie i drugi dzień świąt należały do rodziny Hornbych, ale Wigilia była tylko ich.

Rodzice Johna odnosili się do niej zawsze uprzejmie. Zawsze było jednak pewne ale, wrażenie, że Karen nie do końca tam pasuje, świadomość, że nie jest taką synową, o jakiej marzyli. Pobłażliwe uśmiechy z powodu jej dziwnego akcentu, który stawał się tym wyraźniejszy, im bardziej się denerwowała. Uprzejme pytania o doggerlandzkie zwyczaje świąteczne, skinienia głową i oceny „niesamowicie autentyczne” i „jak cudownie proste”, kiedy opowiadała. Dyskretnie wymieniane spojrzenia, które zdradzały, że w zasadzie mają na myśli „prymitywne” i „chłopskie”.

– Wmawiasz sobie – twierdził John, a ona pozwoliła mu wierzyć, że ma rację. Nie dlatego, że była dobra, ale dlatego, że wiedziała, że on nie może powiedzieć nic innego.

Pierwsze lata były najgorsze, z czasem miłość teściów do Mathisa rozkruszyła najgorszą sztywność. Okazało się, że ojciec Johna ma drętwe poczucie humoru, które Karen nauczyła się cenić, a jako emerytowany prokurator szczerze interesował się jej studiami na kryminologii. Na przekór matce Johna był pozytywnie nastawiony do tego, że podjęła przerwane studia, gdy Mathis podrósł na tyle, żeby iść do przedszkola, i Karen podejrzewała, że szepnął o niej dobre słówko, gdy ubiegała się o przyjęcie do projektu badawczego na temat potencjalnych różnic powiązanych z sytuacją ekonomiczną w wyrokach sądowych przy gwałtach. Rzadko się ze sobą zgadzali, ale umieli prowadzić naprawdę ciekawe dyskusje.

Później jednak ani słowa. Nawet na pogrzebie ta odziedziczona w genach uprzejmość nie dała rady skłonić Richarda i Theresy Hornbych do tego, żeby popatrzyli w oczy kobiecie, która według nich pozbawiła życia ich jedyne go syna i wnuka.

Karen odczuwa na równi wdzięczność i irytację, gdy z zamyślenia wyrzywa ją dzwoniący telefon. Rzuca okiem na zegarek: dziesięć po siódmej. Obiecała Smeedowi przesłać raport z dzisiejszego dnia najpóźniej o ósmej. A może powiedziała siódma? Jeśli dzwoni, żeby się o niego upomnieć, nie dam rady być miłą, przelatuje jej przez głowę, gdy wygrzebuje telefon z kurtki wiszącej na oparciu krzesła. Z ulgą stwierdza, że na wyświetlaczu nie ma nazwiska Jounasa Smeeda.

– Cześć, Aylin! – odbiera i się odchyła. – Nawet nie wiesz, jak bardzo się cieszę, że to ty.

– Ach, tak, w zasadzie nie wiem, dlaczego dzwonię. Mam wolną chwilę i pomyślałam...

Szybki dreszcz smutku. Jakby coś, co Karen chce przytrzymać, rozwiewało się i znikało z pola widzenia. Czy zaszło to aż tak daleko, że muszą mieć konkretny powód, żeby do siebie zadzwonić? Po dziesięciu latach przyjaźni. Poznały się, gdy tylko Karen, rozbita żalobą, przeprowadziła się z powrotem do Doggerlandu. Aylin właśnie rozwiódła się z bratem Eirika. Po czterech latach bezowocnych prób zajścia w ciążę odkryła, że jej mąż zakochał się w norweskiej stewardesie, którą udało mu się zapłodnić już przy pierwszym podejściu. A Eirik prowadził walkę na trzech frontach, mocno zdeterminowany, żeby przywrócić Karen do życia i pocieszyć byłą szwagierkę, jednocześnie samemu borykając się z odrazą własnych rodziców do tego, co – jak sami nazywali – było „wybrany przez niego stylem życia”. Wszyscy troje, zranieni i przeczołgani, byli dla siebie nawzajem wsparciem jak chwiejny stółek na trzech nogach.

Kilka lat później do ich paczki dołączyła Marike, a później Kore wywrócił życie Eirika do góry nogami. W ten sam sposób ich egzystencję postawił na głowie Bo Ramnes. Jednak jego pojawienie się w życiu Aylin – zamiast nowego narybku w ich kręgu – oznaczało, że to ona się od nich oddaliła. Bo Ramnes nie okazywał

żadnego zainteresowania spotkaniami z parą gejów ani z duńską artystką czy policjantką. A uczucie to było odwzajemnione.

Może powinnam była dać z siebie więcej, zastanawia się teraz Karen, mocno przyciskając komórkę do ucha, żeby odciąć się od gwaru i odgłosów telewizora.

– I słusznie myślałaś – mówi. – Dawno nie gadałyśmy. Nie widziałyśmy się chyba od moich urodzin jesienią?

– W zasadzie się widziałyśmy, raz. Byłam u ciebie w szpitalu, ale mocno nie kontaktowałam.

– A no tak, racja. Teraz sobie przypominam. Świetna książka, ta, którą mi przyniosłaś.

– Wiem, że powinnam była odzywać się częściej, ale było tak...

Jeszcze raz Aylin pozwala, żeby słowa zamarły w pół zdania.

– Nie ma sprawy, rozumiem, że masz sporo na głowie. Chyba wracasz teraz do pracy, skoro dzieciaki poszły już do przedszkola?

– Hmm, taki był plan, ale zdecydowaliśmy, że zostanę jeszcze trochę w domu. W każdym razie do końca lata.

„My”, myśli Karen i przypomina sobie, jaka szczęśliwa była Aylin, kiedy jej opowiadała, że wreszcie będzie mogła wrócić do pracy. To oczywiście Bo chce ją przykuć do kuchenki, on za to będzie się piął coraz wyżej, przechodząc z branży prawniczej do polityki. Jako nowy kandydat konserwatywnej Partii Postępu zyska zapewne kilka dodatkowych głosów, chełpiąc się żoną, która poświęca życie mężowi i dzieciom.

Karen wcale nie zdziwiło to, że Bo Ramnes zdecydował się wejść do polityki ani jaką partię wybrał. Z kolei ryzyko, że w krótkim czasie zajdzie wyżej, niż się tego spodziewała, wydaje się nagle możliwe do ziszczenia. Po dwóch kadencjach wiszącej okresowo na włosku koalicji socjaldemokratów i liberałów i po medialnym skandalu z udziałem ministra sprawiedliwości i Rady Rybackiej Partia Postępu złapała nagle wiatr w żagle.

I to, myśli ponuro Karen, pewnie wystarczy, żeby wielu Doggerlandczyków przymknęło oko na to, co dla tej partii naprawdę oznacza postulat „zdrowych wartości, prawa i porządku”.

– Hmm – mówi Aylin. – Zastanawiałam się, czy jesteś w domu jutro przed południem. I czy mogłabym zajrzeć do ciebie na chwilę.

Pytanie pada tak niespodziewanie, że przez kilka sekund Karen nie wie, co powiedzieć. Minęło wiele lat, odkąd Aylin ostatni raz zaproponowała, żeby spotkały się, ot tak, na kawę. Od wieków nie widywały się tylko po to, żeby po prostu pogadać. Czy będą miały o czym rozmawiać? – przelatuje jej przez głowę. Potem pojawia się radość. Aylin się odezwała i chce się spotkać, jasne, że mają masę spraw do omówienia.

– Byłoby niesamowicie miło – przyznaje szczerze. – Ale jestem na Noorö. Mamy śmiertelny przypadek, który trzeba zbadać, więc musiałam wyjechać.

– Pracujesz? Myślałam, że dalej jesteś na zwolnieniu.

– Niby tak, ale szczerze mówiąc, uznałam, że świetnie się składa, że mam szansę umknąć przed świętowaniem. Chociaż zaczynam powoli tego żałować, tu, na północy, nie jest za wesoło.

– No nie, mogę to sobie wyobrazić.

Na moment zapada cisza.

– Chciałaś porozmawiać o czymś konkretnym? – pyta Karen. – Ostatnio nieczęsto udaje ci się znaleźć chwilę, żeby do mnie zajechać – dodaje i w tym momencie pragnie cofnąć te słowa. Nie chce, żeby brzmiało to jak oskarżenie, skoro Aylin może się wyjątkowo wymknąć mężowi i się z nią spotkać. Wyjaśnienie pada w kolejnym zdaniu.

– Tak, wiem, ale Bo wyjechał na kilka dni, więc pomyślałam, że dobrze się składa. Jak już mówiłam, chciałam się w zasadzie napić tylko kawy i usłyszeć, co u ciebie.

– U mnie wszystko w porządku, oprócz tego, że kolano wciąż mnie czasem pobolewa, a mój szef ubzdurał sobie, że chce dostawać codzienne raporty. Ale właściwie co u ciebie? Nie wydajesz się tryskać radością.

Aylin wybucha śmiechem.

– Jestem tylko zmęczona. Dzieci miały grypę, a mnie samą też męczy ból głowy i telepie mną zimno, jest więc szansa, że teraz moja kolej.

– Ojej, mnie się jakoś, dzięki Bogu, udało przetrwać...

– Słuchaj – przerywa jej Aylin. – Widzę, że Bo próbuje się do mnie dodzwonić, musimy kończyć. Ale do zobaczenia na sylwestrze u Eirika i Korego.



Karen nie ma szans powiedzieć, że prawdopodobnie się wtedy nie zobaczą, bo Aylin już zdążyła zakończyć rozmowę.

Sylwester. Pierwsza duża impreza, którą Eirik i Kore urządzą w ogromnym, niedawno kupionym domu w Thingwalli. Przyjęcie, na które z niecierpliwością czekała przez te tygodnie morderczo nudnej rehabilitacji. A teraz istnieje realne niebezpieczeństwo, że będzie musiała witać nowy rok sama w pokoju hotelowym na Noorö. I to Bo musiał oczywiście przerwać ich rozmowę, gdy Aylin wyjątkowo się odezwała.

Z głośnym westchnięciem Karen odkłada telefon i otwiera laptopa. Tak czy inaczej, nie miałaby teraz czasu siedzieć i plotkować z Aylin, jeśli ma się wyrobić przed ósmą z wysłaniem tego przeklętego raportu.

– Jeśli macie czas, mogę was oprowadzić, kiedy już zadacie pytania. Niestety, podczas przerwy świąteczno-noworocznej i poza sezonem niewiele się dzieje, ale chętnie zabiorę was na wycieczkę.

Mężczyzna spogląda na nich z uśmiechem pełnym oczekiwania, kiedy podaje im rękę. Jest wysoki, nieco zbyt chudy, ubrany swobodnie w dzinsy i niebieski sweter, który z uderzającą dokładnością oddaje kolor jego oczu. Włosy ma zaczesane we fryzurę, która mogłaby uchodzić za oznakę początków tracenia włosów, gdyby nie to, że centymetrowa szczecina pokrywa każdy skrawek głowy Williama Trystego. Wygląda niewymuszenie dobrze, stwierdza Karen.

Destylarnia Grotha położona jest w dystrykcie Gudheim, po wschodniej stronie podłużnego cyplu, który wcina się na północ w morze. Jako dziecko Karen przejeżdżała tędy wiele razy. Każdego lata, gdy rodzina Eikenów zabierała ją na duży cmentarz przy kościele Gudheim, robili przy okazji wycieczkę do kamiennego kręgu na najbardziej na północ wysuniętym krańcu. W dzieciństwie Karen wydawało się, że te dwie atrakcje są nierozłączne. Teraz dociera do niej, z czterdziestoletnim opóźnieniem, że te wykopaliska odwiedzali, rzecz jasna, z jej powodu. Całkiem możliwe, że miejsce to przyciąga grupy nastolatków, wyznawców New Age i jednego czy drugiego turystę, ale raczej nie zwykłych mieszkańców Noorö. Przy otwartym oknie i wiejącym w twarz słonym powietrzu Karen fascynowały w dzieciństwie budynki z czerwonej cegły – mijana po drodze destylarnia Grotha, nigdy nie było jednak mowy o wizycie u producenta whisky. Przynajmniej kiedy ona była z nimi.

– Brzmi ciekawie, ale niestety nie mamy dziś czasu. Może innym razem – dodaje Karen z uśmiechem.

Wchodzą przez szerokie podwójne drzwi do dużego lobby z recepcją, planszami wystawowymi i stojakami na broszury, kierują się wąskim korytarzem z szeregiem zamkniętych drzwi po obu stronach, przechodzą przez serce gorzelni z ogromnymi

miedzianymi kadziami w kształcie gruszek i chwilę później docierają do miejsca, które wygląda jak skrzyżowanie sali konferencyjnej i miejsca pracy. Tuż na lewo stoi długi stół z dwunastoma krzesłami, dwie ściany pokryte są regałami od podłogi do sufitu, pomiędzy nimi dwa wysokie okna, przed którymi stoi stare masywne biurko z blatem obitym zieloną skórą. Jak ktoś może dobrowolnie siedzieć plecami do takiego widoku, dziwi się Karen i spogląda na bezkresny horyzont. Może dlatego, żeby w ogóle coś tutaj zrobić, przychodzi jej do głowy sekundę później.

Po zapraszającym geście gospodarza Karen i Thorstein Byle siadają na dwóch krańcach długiej ciemnobrązowej skórzanej sofy. William Tryste czeka uprzejmie, aż usiądą, potem podciąga nogawki i siada naprzeciwko na jednym z obszernych foteli Chesterfield. Gruba tafla położona na dwóch przewróconych starych dębowych beczkach tworzy stolik, na nim zaś stoi taca z trzema filiżankami, dzbankiem herbaty i talerzykiem maślanych ciasteczek.

– Może byli już tu państwo? – pyta Tryste.

– Ja nie – przyznaje Karen i się rozgląda. – Ale państwa produkty nie są mi całkowicie obce – dodaje z krzywym uśmiechem. – Byłeś tu kiedyś?

Zwraca się do Thorsteina Bylego, który przytakuje.

– Tak, ale było to chyba dziesięć, może piętnaście lat temu.

– Och, w takim razie dużo się zmieniło – mówi William Tryste i pochyla się, żeby nalać im herbaty. – A zmieni się jeszcze więcej. Mleka?

Wzrok Karen znów wędruje do okien. Nie ma zasłon, które przesłaniałyby widok. Morze jest tak blisko, że wydaje się, jakby siedzieli na dziobie dużego statku. Najwyraźniej również tak może wyglądać miejsce pracy, myśli z zazdrością i oczami wyobraźni widzi własne biurko w komendzie w Dunkerze. Budynek, powszechnie znany jako Bunkier, to architektoniczny koszmarek z lat siedemdziesiątych, równie przerażający z zewnątrz co ponury w środku. Gabinet Williama Trystego w destylarni Grotha stanowi istne przeciwieństwo open space’u na trzecim piętrze Bunkra, gdzie swoją siedzibę ma Wydział Kryminalny Policji w Doggerlandzie.

– W tym kraju nie da się już dotrzeć dalej na północ – mówi Tryste, śledząc wzrok Karen. – Tak, to znaczy, oczywiście jeśli

pominiemy cypel z kamiennym kręgiem. Ale tutaj w każdym razie są najdalej wysunięte na północ budynki na Noorö. Najbardziej wysunięte na północ w ogóle na Wyspach Doggerlandzkich – dodaje z kiepsko maskowaną dumą.

Karen z trudem odrywa wzrok od panoramy i kieruje uwagę na gospodarza.

– Długo pan już tutaj pracuje?

William Tryste kręci głową.

– Raptem jakiś rok. Przez wiele lat pracowałem w kilku różnych gorzelniach w Szkocji, a nawet zrobiłem wypad do Japonii, ale trafiła mi się taka możliwość i grzechem by było z niej nie skorzystać.

Japonia, myśli Karen, ale nie ma czasu wyrazić swojego zdziwienia, bo Thorstein Byle zabiera głos.

– Z tego, co słyszałem, to raczej rodzinie Grothów trafiła się fantastyczna szansa, żeby pana tu zatrudnić – odzywa się z uśmiechem. – Ma pan w branży niezachwianą reputację jednego z najlepszych nosów.

William Tryste rozkłada ręce i odwzajemnia uśmiech.

– Powiedzmy, że wszyscy jesteśmy równie zadowoleni – mówi. – Dla mnie była to okazja, żeby wrócić do domu i stać się częścią tych emocjonujących przemian. Destylarnia Grotha jest wprawdzie bardzo mała w porównaniu z większością konkurentów, ale zawsze stanowiła synonim jakości. A teraz mamy wielkie plany na przyszłość, jak już mówiłem.

– Ach tak? – mówi Byle i pochyła się do przodu.

Karen przygląda mu się zdziwiona. Tak zainteresowanego go jeszcze nie widziała. Nigdy by nie zgadła, że akurat whisky okaże się w jego przypadku czynnikiem wyzwalającym.

– Och tak – mówi Tryste. – Mamy na poważnie podjąć walkę o Szkotów i Japończyków.

– Hmm, mówią, że robią tam teraz dobre rzeczy – przyznaje Byle.

– Ale ja się wzbraniam przed zakupem japońskiej whisky. Albo tej z Tajwanu, jeśli o to chodzi, jakkolwiek dobra by rzekomo była.

– Nie pan jedyny. Jest wielu konserwatywnych miłośników whisky – rzuca Tryste z uśmiechem – którzy nigdy nie kupiliby single malt, której nie wyprodukowali Szkoci. Ale dla wystarczająco

dużej grupy decydująca jest jakość, na całe nasze szczęście tutaj, w Grocie.

Tryste mówi tak, jakby odczytywał właśnie informację prasową, myśli Karen i się odchyła. Czeką, aż Byle zakończy pogawędkę. Nie chce przerywać, teraz, kiedy w drodze wyjątku jej kolega nie siedzi cicho.

– Słyszałem plotki, że będziecie się rozbudowywać – ciągnie Byle.  
– Podwajać produkcję, może nawet coś więcej? Sporo nowych miejsc pracy, tak mówią.

– Nie tylko to. W zasadzie chyba sam Björn Groth powinien opowiedzieć o tych wszystkich planach, ale niestety nie ma go dzisiaj. Ale jeśli tak to państwa interesuje, mam sporo szkiców i rysunków, które mogę...

Karen decyduje się położyć kres dalszym pogawędkom o dumie wyspy i sprowadzić rozmowę na właściwy tor.

– Niestety nie mamy na to czasu – przerywa. – Powód, dla którego chcieliśmy się z panem dzisiaj spotkać, jest inny, jak pan wie.

– Tak, naturalnie – przyznaje William Tryste i entuzjastyczny uśmiech od razu niknie. – To, co się stało, jest wstrząsające. Słyszałem o tym od Erlinga Arvego jeszcze tego samego popołudnia. To znaczy od pastora – dodaje w ramach wyjaśnienia dla Karen.

– Spotkaliśmy go – mówi Karen. – W domu u Gertrud Stuub. I to w zasadzie jeden z dwóch powodów, dla których tutaj jesteśmy. Według Gertrud zajechał pan w Wigilię, żeby spotkać się z nią i Fredrikiem. To prawda?

– Tak, zgadza się. Z żoną zabraliśmy też swojego bardzo niechętnie nastawionego syna. Ale nie byliśmy tam długo, może jakieś pół godziny. Siostra Heleny z rodziną miała do nas przyjechać na święta, więc dość szybko musieliśmy się zbierać do domu. To ja nalegałem, żebyśmy tam w ogóle wpadli w odwiedziny. Wiedzą państwo, jak to jest, święta to święta, a rodzina to rodzina.

Karen zerka jednym okiem do notesu z nazwiskami i strzałkami.

– Matka pana ojca była siostrą matki Fredrika i Gertrud, o ile nic nie przekreślam. Mielicie bliski kontakt, pan i Fredrik?

William kręci głową.

– Niezbyt. Po tym, jak moi rodzice się rozwiedli, przeprowadziłem się z siostrą i mamą do Anglii. Mama miała tam rodzinę, więc wyszło to naturalnie. Ale krewni ze strony ojca są mocno związani z tą wyspą. Ojciec matki mojego ojca był właścicielem kopalni i tata z czasem dostał niewdzięczne zadanie przejęcia odpowiedzialności za interes. Kiedy wszystko zaczęło się walić, został tu, żeby ratować to, co się jeszcze ostało z kopalni, ale było to już tylko sztuczne oddychanie, o czym państwo z pewnością wiedzą. Przyjeżdżaliśmy tu z siostrą na wakacje w odwiedziny, potem dość często spędzałem tu urlop, ale dopiero teraz przeprowadziłem się na dobre. Ale odpowiadając na pani pytanie, nie, nie znałem za dobrze Fredrika.

– Rozumiem. Ale wróćmy do Wigilii. Zwrócił pan uwagę na coś niezwykłego w zachowaniu Fredrika? Zdawał się zmartwiony albo czymś zaniepokojony?

Wzrok Williama Trystego wędruje do okien, jakby szukał czegoś w pamięci.

– Nie – mówi powoli. – Nie sędzę. Albo... nie, to zapewne nic takiego.

– Proszę pozwolić nam o tym zdecydować. Co przyszło panu na myśl?

– Miałem wrażenie, że Fredrik i Gabriel kłócili się tuż przed naszym przyjściem. To znaczy nic nie słyszałem, ale było między nimi pewne napięcie, kiedy weszliśmy. Rozmawialiśmy o tym nawet z Heleną w samochodzie, kiedy już odjeżdżaliśmy.

– A więc nie ma pan pojęcia, czego mogła dotyczyć ta kłótnia?

– Najmniejszego. Jak już mówiłem, było to tylko takie wrażenie.

Karen wzdycha. Będzie musiała odbyć kolejną rozmowę z Gertrud i z Gabrielem.

– Gabriel pracuje tutaj w destylarni, prawda?

– Tak. Butelkowanie i przewóz. Ale jeśli chcą państwo wiedzieć, jak się sprawuje, muszą państwo spytać Jensa Grotha. To on się zajmuje kwestiami praktycznymi, odkąd ja się wycofałem. Sędzę nawet, że jest tu dzisiaj, powinien siedzieć w magazynie. Ma tam swoje biuro.

– A dokładnie jaka jest tu pana rola?

– Hmm, odpowiadam za jakość, można tak powiedzieć.

William Tryste się odchyła i zaangażowany opowiada ze szczegółami o tym, że decyduje o przechowywaniu różnych beczek, śledzi roczniki, wskazuje, które zostaną ze sobą wymieszane, a które pójdą jako single barrels, i wreszcie ocenia, czy i kiedy jest pora na butelkowanie.

– Ale pełnię też funkcję kierownika do spraw marketingu dla produktów Grotha w branży. Jeśli chodzi o promocję ukierunkowaną na klientów i czystą sprzedaż, odpowiadają za to Björn i Jens. Björn Groth – dodaje. – To on jest właścicielem tego wszystkiego wraz ze swoimi dziećmi Jensem i Madeleine. Groths to rodzinna firma.

– Dobrze – mówi Karen bez emocji, kiedy William Tryste wreszcie milknie. – W takim razie mam jeszcze tylko jedno pytanie. Czy może pan powiedzieć, gdzie się pan znajdował rano w dniu Bożego Narodzenia między godziną wpół do ósmej a wpół do dziewiątej?

Zajmuje to kilka sekund, nim do Williama Trystego dotrze sens tego pytania.

– Gdzie się znajdowałem? Pytają państwo poważnie?

– Obawiam się, że tak. Ale to pytanie zadajemy wszystkim, z którymi rozmawiamy. Choćby po to, żeby ich wykluczyć. W razie gdyby śmierć Fredrika nie była jednak nieszczęśliwym wypadkiem.

William Tryste wciąż nie wygląda na przekonanego.

– Tak, w takim razie zakładam, że chyba mam szczęście. Normalnie leżałbym i spał, ale tego ranka byłem w Lysvik.

Karen unosi brwi, co jest sygnałem, żeby Tryste kontynuował.

– Nie byłem z państwem całkiem szczerzy. Jednym z powodów, dla których ja i Helena zdecydowaliśmy się przeprowadzić na Noorö, było to, że nasz syn Alvin miał sporo problemów z narkotykami. Przez ostatnie lata w Szkocji mieszkaliśmy w Glasgow, a tam oferta jest szeroka. Nie udało mu się nigdy posunąć naprawdę daleko, ale dotarło do nas, że trzeba zrobić coś drastycznego. Więc kiedy nadarzyła się okazja u Grotha, to się zdecydowaliśmy.

– A jaki to ma związek z Bożym Narodzeniem?

– Chodzi o to, że obiecaliśmy Alwinowi opłacić prawo jazdy i samochód pod warunkiem, że będzie pracował i dobrze się zachowywał. Skłonienie go do nauki okazało się nierealne, przynajmniej na razie. Zamiast tego pracuje w domu opieki

w Lysvik. Tylko jako asystent, pomaga sprzątać, nosi różne rzeczy lub czuwa przy kimś, gdy jest taka potrzeba. Tak czy inaczej, w Boże Narodzenie zaczynał o siódmej rano, a w weekendy nie jeżdżą tam autobusy, więc obiecałem go podrzucić. Albo raczej dałem mu się tam zawieźć. Wystarczy go o to spytać.

– Zaczynał o siódmej, mówi pan? Co robił pan, kiedy już go tam zostawił?

– Odwiedziłem ojca. Ma alzheimera i mieszka w domu opieki, skorzystałem z okazji, żeby do niego zajrzeć, mimo że on raczej się nie orientuje, jaki jest dzień. A jeśli obiecają państwo nic nie mówić personelowi, mogę zdradzić, że wziąłem dla niego coś dobrego.

Przez moment Karen zastanawia się nad smutnym losem Ivara Trystego. Wnuk starego barona z kopalni nie ma najwyraźniej jego siły i wpływów. Krytykowany przez mieszkańców wyspy i obgadywany w mediach za to, że nie udało mu się uratować kopalni przed nieuniknionym zamknięciem. Żona go zostawiła i zabrała ze sobą dzieci za granicę, a kiedy syn wrócił, on cierpi już na taką demencję, że nawet nie zdaje sobie z tego sprawy.

– Oczywiście czasem próbujemy brać tatę do domu – ciągnie William Tryste. – Teraz jednak jest już tak nieobecny, że kiedy zmienia otoczenie, przynosi to więcej szkody niż pożytku. Mimo wszystko jest moim ojcem i uważam, że chociaż w święta zasługuje na śledzika i kieliszek czegoś mocniejszego.

– Śledzik i wódka o siódmej rano?

Karen żałuje tej uwagi. Wprawdzie wątpliwe jest, czy śledź i alkohol na śniadanie wciąż są w tej okolicy na porządku dziennym, dla starszego pokolenia jednak była to raczej norma, upomina samą siebie i widzi przed oczami butelkę wódki stojącą obok dzbanka z mlekiem podczas śniadania na stole w kuchni ciotki.

„Tylko dla dorosłych chłopców” – mówiła Ingeborg, bijąc po wyciągniętych z nadzieją rękach kuzyna Finna.

– Tak, zwyczajnie śniadaniowe z dawnych czasów są trochę ciężkostrawne – mówi William Tryste z uśmiechem. – Ale była akurat pora i pomyślałem, że tacie nie zaszkodzi coś, co przypomni mu o przeszłości. Jak przyszedłem, nie spał z pewnością kilka godzin. Był też przytomny, kiedy wychodziłem, jeśli się pani



zastanawia. Chociaż, rzecz jasna, nie będą mogli państwo go o to spytać, przede wszystkim dlatego, że już nawet mnie nie poznaje.

– Czy ktoś z personelu pana widział? – wtrąca się Thorstein Byle.

– Wątpię. Wszedłem wprawdzie w towarzystwie Alvina, ale potem każdy z nas poszedł w swoją stronę. On pracuje na górze, na oddziale szpitalnym, ale wejście jest wspólne. Oczywiście możliwe, że ktoś mnie zauważył, ale nie miałem żadnego interesu w tym, żeby afiszować się ze swoją wizytą. Nie sądzę, żeby personel był przeschęśliwy z powodu tej wódki, nawet jeśli była to małpka.

– I jak długo pan tam był? – pyta Karen. William Tryste nie miał wprawdzie wyraźnego motywu, żeby chcieć odebrać życie dalekiemu krewnemu, jednak nie ma też niezbitego alibi.

– Może jakąś godzinę. W każdym razie była niemal dokładnie ósma, kiedy wracałem do samochodu. Pamiętam, ponieważ obiecałem zadzwonić do Heleny i ją obudzić.

Karen czuje, że jej podejrzenia słabną.

– Dzwonił pan do domu z Lysvik? Ze swojej komórki?

William Tryste wygląda na naprawdę zaskoczonego.

– Taaak... – mówi z wahaniem, potem nagle dociera do niego znaczenie tej odpowiedzi. – Tak, jasne, możecie to oczywiście sprawdzić.

Aylin Ramnes zdejmuje okrągłe wieczko z palety korektorów. Pod jasnozieloną emulsją prześwituje już dno, a ten w naturalnym kolorze prawie się skończył. Może powinna kupować oddzielne sztyfty w poszczególnych odcieniach, ale praktycznie jest mieć wszystko w jednym opakowaniu. Szczególnie kiedy ma się siniaki w różnym stadium. Muszę pamiętać, żeby kupić nowe, nim te się całkiem skończą, myśli. Ustawia lusterko pod kątem i się pochyla.

Odcisków kciuka na szyi prawie już nie widać, ale krwiaki na policzku jakby nie miały najmniejszej ochoty zniknąć. Wygląda na to, że tylko przesunęły się w dół, tworząc iluzję, że prawa kość policzkowa znajduje się wyżej niż lewa. Aylin patrzy na paletę i zastanawia się, który odcień wybrać, ignoruje przy tym odgłos bijącego w uszach serca. Zapewne któryś z jasnoróżowych na sińce, a ten zielony do zakrycia czerwonych pęknięć na ustach. A może odwrotnie?

„Skoncentruj się. Przecież wiesz”.

Pod wpływem nagłego zmęczenia dłonie wydają się jej ciężkie, jakby nie mogła ich podnieść. Przez moment rozważa, czy nie machnąć na to ręką, teraz, skoro i tak nie jedzie spotkać się z Karen, może to po prostu zostawić. Odstawia okrągłą paletę na brzeg umywalki i ślepo spogląda w powiększające lustro. Potem zdekoncentrowana wpatruje się w zamglony kalejdoskop różnych odcieni beżu, fioleto i złota.

Czy naprawdę wczoraj rozmawiałam z Karen? – zastanawia się. Wydaje się to jej całkowicie nierealistyczne. Albo jakby rozmawiały kilka tygodni temu. Pamiętam, jak Karen się ucieszyła, gdy usłyszała, że to ja. Najpierw była zdziwiona, a potem... tak, szczęśliwa.

Kiedy przetyka ślinę, ściska ją w gardle i coś wewnątrz niej bezsilnie zastanawia się nad tym, czy zaraz zacznie płakać, czy to tylko ucisk palców Bo na jej krtani wciąż daje o sobie znać.

Dlaczego, na Boga, do niej zadzwoniła? To takie bez sensu. Takie niebezpieczne. Zdawała sobie z tego sprawę już wtedy, gdy wyszukiwała Karen w kontaktach w telefonie; jeśli to zrobię, nie będzie odwrotu.

Teraz już nie pamięta, o czym rozmawiały. Pamięta tylko poczucie zawodu przemieszane na równi z ulgą, kiedy Karen powiedziała, że jest na Noorö i nie może się spotkać. Nie, właściwie, myśli sobie, ulga była znacznie silniejsza, nie ma sensu okłamywać samej siebie. Co było później, Aylin nie pamięta. Karen coś mówiła i ona pewnie coś odpowiedziała. Prawdopodobnie jej usta poruszały się w trybie autopilota, może przybrała bez troski ton, ten, w którym była taka dobra, i czekała, aż rozmowa się skończy. Cały czas mocno ściskając kciuk, żeby nie zapomnieć usunąć numeru Karen z listy połączeń w komórce, zanim Bo to sprawdzi. Całkiem jeszcze nie oszalała.

„Co ja sobie myślałam?”

Jeśli rzeczywiście by się spotkały, tym razem Karen skłoniłaby ją do zwierzeń. Jasne, Aylin zdawała sobie z tego sprawę, już kiedy dzwoniła, mimo to zignorowała sygnały ostrzegawcze. Siedziała niemal godzinę z komórką w ręce, zwlekała, zmieniała zdanie i w końcu poddała się tęsknocie, która okazała się zbyt silna. Tęsknocie, żeby usłyszeć głos z przeszłości, z okresu przed tym. Tęsknocie, żeby wyrzucić z siebie całą cuchnącą prawdę o porażce i upokorzeniu. Tęsknocie, żeby wściekłość Karen zapanowała nad Aylin i ją poniosła, teraz, kiedy ona sama nie była już w stanie wykrzesać z siebie nawet odrobiny złości. Pozwolić, żeby Karen płakała jej łzami.

A później...? Nic. Żadnej koncepcji, żadnego planu, żadnej strategii. Żadnych sił. Już nie.

Karen ma to wszystko, myśli sobie. W każdym razie jeśli chodzi o kogoś innego, a nie samą siebie. Z własnymi problemami nigdy nie radziła sobie aż tak dobrze. I ta myśl przynosi jej na sekundę ulgę – nie ona jedna ma problemy, wszyscy je miewają. Potem znów dopada ją rzeczywistość. Nie takie.

„Normalni ludzie tak nie mają”.

Normalni ludzie nigdy nie znaleźliby się w takiej sytuacji. Karen nic nie mogła poradzić na to, co się jej przytrafiło dziesięć lat temu,

ale ja mogę winić tylko siebie. Karen nigdy by tego nie zrozumiała. Łudziłaby się, że jest jakaś droga wyjścia, jakieś rozwiązanie, ratunek.

Jakby ktoś kiedykolwiek mógł wygrać z Bo Ramnesem.

Na tę myśl powraca do rzeczywistości. Szybko spogląda na zegarek. Za pół godziny musi zacząć szykować jedzenie. Pochyliła się jeszcze bliżej lustra i sprawnym okiem analizuje dzisiejsze potrzeby, jeśli chodzi o odcienie i stopień krycia. Przelatuje jej przez głowę, że może szybciej by się to goiło, gdyby nieustannie nie miała na sobie tej tapety. Ale kiedy już pobawi się tą myślą, dociera do niej, że nic z tego, dzieci będą pytać, przynajmniej Tyra. Albo jeszcze gorzej – będą tylko na nią patrzeć milczącym, przerażonym wzrokiem. Nie, to dla nich musi się w tej sytuacji postarać. Poza tym Bo wpadłby w szal, gdyby zmusiła go, żeby patrzył, jak naprawdę wygląda bez makijażu. Szczególnie teraz, gdy zestresowany pracą i tymi wszystkimi żądaniami partii przechodzi przez ten męczący okres.

Prowokowanie go to ostatnia rzecz, jakiej Aylin pragnie.

– Aha, w takim razie da się to łatwo sprawdzić w firmie telekomunikacyjnej – mówi Karen Bylemu przyciszonym głosem, kiedy dziesięć minut później idą przez podwórze pięć kroków za Williamem Trystem. – Dużo gada, nie sądzisz? Nawija jak zjarany sprzedawca jarmarczny.

Thorstein Byle się uśmiecha.

– Tak – przyznaje. – Ale też bym pewnie tak robił, gdybym miał jego robotę. Zakładam, że przyjemniej jest siedzieć i cały dzień sączyć single malt niż wlepić ludziom kary za pędzenie w domu bimbru i łamanie ograniczeń prędkości. I do tego w takiej oprawie – dodaje i kiwa głową w stronę panoramy.

Prowadząc ich przez podwórze, William Tryste dalej opowiada z entuzjazmem i w równych odstępach woła głośno przez ramię, przekrzykując wiatr i szum załamujących się morskich fal.

– U Grotha robimy wszystko na miejscu od A do Z, że tak powiem. Albo od jęczmienia do butelki w naszym przypadku. Wiele destylarni kupuje obecnie gotowy malt, tak, są i tacy, którzy nazywają się producentami whisky, ale nie robią nawet własnego zacieru. My mamy wszystko, czego nam trzeba, dostępne tutaj, na Noorö: jęczmień, woda, torf... Przy okazji, wiedzą państwo, że wciąż używamy tradycyjnych pieńków z grzybami do fermentacji? Z tego, co wiem, robimy to jako jedyni.

Thorstein Byle zadaje kilka dodatkowych pytań o wyniki fermentacji, a Karen korzysta z okazji, żeby się wyłączyć. Entuzjazm Trystego jest jednocześnie sympatyczny i męczący.

Oddalają się od głównego budynku, William Tryste prowadzi ich długim energicznym krokiem w stronę hali magazynu, gdzie zgodnie z jego wiedzą powinien przebywać w tej chwili Jens Groth. Kiedy mijają długą piętrową budowlę, Tryste zatrzymuje się i odwraca do nich.

– Tak przy okazji, tutaj jest słodownia. To tu zaczynałem karierę jako młody chłopak, tylko że w Szkocji, rzecz jasna. Sprawdzałem

temperaturę, mieszałem namoczony jęczmień, otwierałem i zamykałem okna, żeby utrzymać właściwą temperaturę. Zboże musi zakiełkować, ale trzeba przerwać ten proces w odpowiednim momencie, wysuszyć je i uwęździć. Są państwo pewni, że nie mają chwili na małe oprowadzanie?

– Niestety – mówi szybko Karen. – Dzisiaj na pewno nie, ale innym razem chętnie – dodaje.

Dalej dotrzymują kroku szybkiemu marszowi Williama Trystego i zatrzymują się przed jeszcze jednym sporym budynkiem z czerwonej cegły. Duże części fasady też są przykryte czarną sadzą z kopalni, która zdaje się pokrywać niczym cienka folia wszystkie budynki i tablice na wyspie. Tutaj, na północy, wygląda to tak, jakby dawno temu zaniechano wszelkich prób pozbycia się brudu. Kiedy przechodzą przez duże drzwi, Karen mimowolnie wstrzymuje oddech. Długie przejście od ziemi po sufit otoczone jest półkami z dębowymi beczkami, sprawia to oszałamiające wrażenie. Na sekundę ogarnia ją lęk, że to wszystko może runąć i zostaną pochowani pod tonami pachnącej dębem whisky, ale nie rozwija tej myśli. Zdaje się, że Tryste wreszcie porzucił pomysł robienia tu za przewodnika i zamiast tego gna dalej. Zapach jest wilgotny i surowy, mijają jedno skrzyżowanie za drugim, każda droga jest udekorowana półkami z szeregiem leżakujących beczek. W końcu William Tryste zatrzymuje się przed jakimiś drzwiami, a Karen dziwi się, że nie napotkali żadnego pracownika.

– Większość ludzi wzięła wolne między świętami – wyjaśnia William Tryste jakby w odpowiedzi na jej niezadane pytanie. – Ale Jens powinien być na miejscu.

Tryste wybija pospiesznie sygnał, uderzając o futrynę, i otwiera drzwi, nie czekając na odpowiedź.

– Cześć, Jens – mówi. – Jest tutaj policja, chcieliby ci zadać kilka pytań. Czy mają państwo coś przeciwko, żebym się oddalił? – dodaje w kierunku Karen. – Żona chętnie widziałaby mnie w domu o czasie...

– Oczywiście. Odezwiemy się, jeśli będziemy pana jeszcze potrzebować.

Za dużym biurkiem w kształcie litery L siedzi blondyn z okularami na czole. Jego włosy sterczą zwichrzone, jakby właśnie

w przyplýwie szaleństwa przejechał po nich dłonią. Podnosi się i podaje rękę gościom, a na twarzy maluje mu się przyjacielski, nieco pytający uśmiech. Mimo że w pokoju jest chłodno, na szarej koszulce pod pachami widać ciemne kręgi. Kanciasta sylwetka świadczy o bliskiej ewolucji ze stadium, które wciąż można zaliczyć do potężnego młodzieńca, do grubego faceta w przyszłości.

– Jens Groth – przedstawia się. – Zapraszam, oczywiście, chociaż nie do końca rozumiem, jak mogę pomóc.

Mimo że jest jednym z udziałowców, ma o wiele mniej imponujący gabinet niż William Tryste, zauważa Karen, kiedy razem z Bylem siadają na krzesłach naprzeciwko przywalonego stertami papierów biurka. Jens Groth ostrożnie usuwa dwie sterty, tworząc jakby korytarz, przez który może się komunikować z gośćmi.

– W tej branży mamy sporo biurokracji – zauważa z niemrawym uśmiechem. – No więc w czym mogę pomóc?

– Gabriel Stuub – mówi Karen i wyciąga notatnik. – Pracuje tutaj, prawda?

– Tak, zgadza się. Aha, słyszałem o jego dziadku. Dlatego państwo tutaj są? Ale z tego, co zrozumiałem, był to przecież tragicznie zakończony nieszczęśliwy wypadek.

Karen nie odpowiada na to zadane w domyśle pytanie.

– Czy może opowiedzieć nam pan o Gabrielu? – prosi i zwraca uwagę, że teraz wzrok Jensa Grotha przenosi się na Bylego, jakby tam miał znaleźć jakieś wyjaśnienie.

– O Gabrielu? Czy on jest o coś podejrzany?

– Rozmawiamy ze wszystkimi, którzy mają jakieś powiązania z krewnymi Fredrika Stuuba – odpowiada wymijająco Byle.

Niedorzeczność tego stwierdzenia zdaje się wcale nie dziwić Jensa Grotha w stopniu godnym uwagi.

– Aha, w ten sposób – mówi. – Hmm, co więc chcą państwo wiedzieć?

– Od jak dawna Gabriel tu pracuje? – pyta Karen, pstryka długopis i przejeżdża dłonią przez środek zeszytiku. Prawdopodobnie jak zwykle nie będzie zbyt wiele notować, ale doświadczenie podpowiada jej, że widok notesu wyostrza pamięć u tych, z którymi rozmawia.

Groth wzrusza ramionami.

– Całe życie, jak przypuszczam. Tak, to znaczy dorosłe życie – dodaje z uśmiechem. – Nie zatrudniamy dzieci.

Karen odwzajemnia uśmiech, nie komentując.

– Przypuszczam – ciągnie Jens Groth. – Że miał koło siedemnastu, osiemnastu lat, gdy zaczynał. Ja sam byłem wtedy na uniwersytecie, więc nie jestem pewien, ale jeśli to ważne, mogę to oczywiście sprawdzić.

Są pewnie w tym samym wieku, myśli Karen. Jeden uczył się dalej, drugi od razu zaczął w magazynie. Gabriel musiał więc przepracować połowę życia w jednym miejscu i prawdopodobnie czeka go jeszcze drugie tyle, jeśli nie wyprowadzi się z wyspy. Kiedyś to kopalnia dawała tu pracę, teraz został tylko Groth lub platformy wiertnicze i coś jej podpowiada, że NoorOyl z rygorystyczną polityką bezpieczeństwa nie zatrudniłoby Gabriela Stuuba.

– Nie, nie musi być aż tak dokładnie. Ale skoro już tak długo, to zakładam, że są państwo zadowoleni z jego pracy.

– Tak, no... Nie jest to w zasadzie praca wymagająca kwalifikacji, ale jasne, Gabriel wie, co ma robić. On i jeszcze jeden chłopak odpowiadają za butelkowanie i przewóz, ale dzisiaj obaj mają wolne.

W głosie Jensa Grotha jest coś wymijającego. Jakby nie miał wprowadzić żadnych uwag, ale zarazem coś go powstrzymywało przed przyznaniem, że Gabriel Stuub pilnie pracuje.

– Co wie pan o jego życiu prywatnym?

Jens Groth ponownie wzrusza potężnymi ramionami.

– Obawiam się, że niewiele. Ale wiem, że właśnie się rozwodzi. Ma dwoje dzieci, tak sędzę. Mieszka gdzieś na zachód od Skreby.

– Niech pan da spokój, musi pan wiedzieć coś więcej. Pracowali panowie razem przecież tyle lat.

– Co mam powiedzieć? Prywatnie raczej się nie spotykamy.

Karen czuje, jak narasta w niej irytacja. Zdaje się, że Jens Groth uparł się, żeby powiedzieć im jak najmniej. Decyduje się przejść do rzeczy.

– Czy Gabriel Stuub ma jakieś powiązania z OP?

Wyraz twarzy Grotha się nie zmienia, wzrok nie jest rozbiegany, nawet nie drga. Ale mężczyzna kamienieje, jakby ktoś oblał go



wiadrem ciekłego azotu. Na moment Karen ogarnia makabryczne uczucie, że postać przed nią rozsypie się zaraz w pył od najmniejszego poddmuchu.

– Dobrze – mówi. – Uznam to za potwierdzenie.

Nadal żadnej odpowiedzi. Tylko nieznaczny ruch opuszkami palców jednej ręki. Zdaje się, że skamienienie odpuszcza i Jens Groth powoli porusza głową. W następnej chwili słychać gwałtowny wdech.

– Nie!

Przyglądają mu się w ciszy. Wyczekują na dalszy ciąg i w końcu nadchodzi, nieco cieńszy, ale jednostajny ton.

– Nie wiem, czy Gabriel ma z nimi coś wspólnego czy nie, my w każdym razie nie mamy z nimi żadnych problemów. Najmniejszych. I jeśli to wszystko, to wyprowadzę państwa...

Jens Groth kładzie zdecydowanie obie ręce na stole i się podnosi. Karen zwraca uwagę, że ciemne kręgi pod jego pachami powiększyły się dwukrotnie.

– Co o tym sądzisz? – pyta Byle pięć minut później, gdy powoli wyciąga pas bezpieczeństwa.

Wrócili do samochodu i Karen – nie pytając kolegi ani nawet się nad tym nie zastanawiając – zajęła miejsce po stronie kierowcy. Po drodze tutaj to on prowadził, ale teraz bez protestów usiadł na miejscu pasażera i zapiął pas.

– Wydaje mi się, że będziemy musieli uciąć sobie kolejną pogawędkę z młodym panem Stuubem – odpowiada, wlepiając wzrok gdzieś daleko za brudną przednią szybę.

– Tak, przypuszczam, że spośród potencjalnych sprawców jest on najbardziej prawdopodobny. Ma przynajmniej jakiś motyw jako spadkobierca, nawet jeśli Fredrik nie zostawił po sobie znaczącej sumki.

– Dowiedziałeś się o tym czegoś więcej?

– Jeszcze nie. Adwokat wyjechał, ale odpowiada na maile i obiecał, że spróbuje dotrzeć do tych informacji przez swojego asystenta. Pytanie chyba raczej brzmi, czy Gabriel miał okazję, żeby popełnić to morderstwo. Według biura portowego naprawdę

znajdował się na promie z Lysvik do Thorsvik pierwszego dnia świąt o dziewiątej, tak jak mówił.

Ponieważ przewoźnicy spisują wszystkie numery rejestracyjne, otrzymali szybką odpowiedź przynajmniej na to jedno pytanie. Byle – prawdopodobnie dzięki dobrym kontaktom – dostał potwierdzenie zwrotnym mailem.

– W każdym razie był tam jego samochód – przyznaje Karen. – Musimy wystąpić do nich o nagrania i sprawdzić, czy to na pewno on prowadził. Z drugiej strony mógłby zabić dziadka i mimo wszystko zdążyć do Lysvik. Przynajmniej czysto teoretycznie.

– Zostawić dzieciaki w domu, pojechać tam, zabić dziadka, odebrać je, a potem pojechać na prom, tak to widzisz? Czy miał pojechać na dzikie wysypisko, zejść do szkody górniczej i zabić dziadka, a dzieciaki w tym czasie czekałyby w aucie na tylnym siedzeniu?

W ustach Thorsteina Bylego brzmi to równie sceptycznie, jak sama to ocenia. Karen w milczeniu wygląda przez okno. Kilka sekund rozważa coś, ale w końcu postanawia nie wspominać o tym, co niedawno widziała. O tym, na co Byle najwyraźniej nie zwrócił uwagi, kiedy Jens Groth ich prowadził.

Ona sama też tego nie zauważyła, gdy wchodzili przez drzwi do magazynu. Ale podczas ich wizyty słońce zdążyło zmienić kąt, odsłaniając słaby cień na ścianie koło drzwi. Czarną farbę w spreju, którą ktoś próbował zmyć. Zauważyła to, gdy się odwróciła, żeby uścisnąć rękę Jensa Grotha. I ten – w tej samej chwili, kiedy dostrzegł jej wzrok – podjął niezdarną próbę ustawienia się tak, żeby zasłonić widok. Ale ona zdążyła to zobaczyć.

Jedynka i symbol procent.

Odin Predators. Albo One Percenters.

Karen klnie cicho pod nosem i przekręca kluczyk w stacyjce.

– Oho, właśnie się zastanawiałam, kiedy znów się zjawisz. Bo pewnie tego szukasz?

Ingeborg Eiken trzyma w jednej ręce szalik w szkocką kratę, drugą przytrzymuje drzwi.

– Tak, super. Musiałam go ostatnio zapomnieć. Gdzie był?

– Dokładnie tam, gdzie go schowałaś, jak sądzę. Mocno wciśnięty za kozaki w przedpokoju.

Karen bez słowa bierze szalik. Argumentowanie przeciwko ciotce nigdy nie miało sensu. A szczególnie wtedy, kiedy miała rację.

– Zaprosi mnie ciocia na kawę? – pyta zamiast tego.

Kwadrans później dzbanek z kawą stoi na stole razem z dwiema filiżankami i resztkami wypieków świątecznych w długim koszyczku plecionym z kory: ciasta z żurawiną, małe ciasteczka z szafranem i dwa okrągłe ciastka z kruchego ciasta francuskiego.

– Mam nadzieję, że nie przeszkadzam, kiedy ot tak się tu zjawiam. Może nie ma ciocia czasu?

– Nie bądź głupia.

– Z jabłkami? – pyta Karen, patrząc tęsknie na zawiniątka z ciasta francuskiego. – Nie jadłam ich od...

Przerywa i patrzy w milczeniu na ciotkę, która odchyła się z rękami splecionymi przed sobą na niebieskim bawełnianym fartuchu, i nie wykonuje najmniejszego gestu, żeby nalać kawę.

– No, Karen – mówi. – Powiedz wreszcie, co cię tu sprowadza. I nie wciskaj mi kitu o zgubionym szaliku ani o tym, że naszła cię ochota na ciastka z jabłkami.

– No dobrze – wzdycha Karen. – Potrzebuję pomocy.

Na te słowa Ingeborg się podnosi. Bez słowa wyjmuje miseczkę z kostkami cukru z dużej komody, otwiera szafkę nad nią i wyjmuje butelkę bez etykiety. Nie wzięła kieliszków, stwierdza Karen i kręci przecząco głową, gdy ciotka z pytającą miną unosi cukiernicę i butelkę.

– Prowadzę – wyjaśnia Karen. – Poza tym jestem na służbie.

– To chyba nigdy nikomu nie przeszkodziło – ripostuje Ingeborg Eiken i wkłada sobie dwie kostki cukru do filiżanki. Wyciąga korek z butelki i porządnie polewa zawartością cukier, a potem nalewa kawę. Najpierw do filiżanki Karen, potem do swojej. Miesza łyżeczką, pochyla się i siorbie.

– Jesteś pewna? Nie, no jasne, nie pijecie już kawy z prądem tam, na kontynencie. Mogę to zrozumieć, tylko espresso albo kapuchongo, czy jak to się tam nazywa.

Karen uśmiecha się, ale nie poprawia ciotki ani nie komentuje tego, że Heimö trudno raczej nazwać kontynentem. Zdaje sobie sprawę, że Ingeborg to wie. Tak tylko mówi.

– A więc chcesz, żebym ci pomogła – zmienia temat Ingeborg. – A na czym ta pomoc miałyby niby polegać, jeśli wolno spytać.

– Niech ciocia opowie mi wszystko, co wie. Co mówią w domach o ludziach tu, na północy.

– A więc chcesz posłuchać plotek? Hmm, tak właśnie myślałam. Ale nie usłyszysz nic, co ma coś wspólnego z moimi chłopcami. Uprzedzam od razu.

Oczy Ingeborg iskrzą, kiedy Karen odpowiada.

– Nie, tego, co muszę wiedzieć o swoich krewnych, sama się dowiem. Mam na myśli rodziny Stuubów, Tryste, Hussów, Grothów i tak dalej. Nie mogę się połapać w tych wszystkich nazwiskach i w tym, kto z kim jest spokrewniony.

Karen postanawia udawać, że Thorstein Byle nie opowiedział jej już o tym całkiem sporo. Tak czy inaczej, ma trudności, żeby spamiętać to, co mówił.

– Hmm, w takim razie możesz już na początku ograniczyć je do dwóch. Huss to ta sama rodzina co Tryste i Stuub. Stary Huss miał dwie córki. Jedna z nich wyszła za mąż za Skanda o norweskich korzeniach i nazwisku Tryste. Druga wyszła za niejakiego Stuuba. Wydaje mi się, że pochodził z Frisel. Najwyraźniej nikt stąd nie zasługiwał na rękę córek Hussa. Nie do pomyslenia.

– Tak, widziałam, że Kompleks wciąż stoi – mówi Karen i dmucha na kawę.

Ingeborg wydaje z siebie dźwięk przypominający coś pomiędzy uradowanym gdakaniem a prychnięciem.

– Tak, to szkaradztwo przetrwa zapewne dłużej niż kamienie z Gudheim, o ile nikt go nie wysadzi w powietrze. Ale pamiętam, że jak byłaś mała, nie mogłaś od niego oderwać oczu. Cóż, gdybyś wyszła za Williama, sama byś tam teraz mieszkała.

Karen cofa brodę ze zdziwienia, a Ingeborg rechocze zadowolona i sięga po filiżankę.

– Mówisz o Williamie Trystem?

– A o kim innym? Przeprowadził się z powrotem do domu. Nie pamiętasz go? Ganiał z naszymi chłopcami i razem psocili, aż zabroniła mu tego matka. Według niej rodzina Eikenów nie uchodziła za „odpowiednie towarzystwo”, niech Bóg ma ją w swojej opiece.

Karen szuka w pamięci. Nic u entuzjastycznego mężczyzny, którego spotkała w gorzelnii, nie wydawało się jej znajome. I najwyraźniej jemu też nic nie świeciło w głowie, bo byłby wtedy prawdopodobnie jeszcze bardziej serdeczny, myśli.

– Nie, może byłaś za mała, żeby pamiętać wszystkie dzieciaki, z którymi szalałaś po gospodarstwach. Do tego nie widziałaś świata poza Finnem. Tak, wielki Boże, podziwiałaś go, a chłopak był przystojny. Wysoki i postawny jak mój ojciec.

Kiedy Ingeborg myśli o najstarszym synu, jej śmiech wyraża nostalgię przemieszana z dumą. Karen dyskretnie chrząka.

– A więc mówisz, że William bawił się często z chłopakami? Jaki on był?

– Taki jak chłopcy w tym wieku. Pamiętam, że był bardzo wygadany i uprzejmy. Nauki o tym, żeby się pomodlić przed jedzeniem, nie wyniósł wprawdzie z domu, ale zawsze dziękował za posiłek. Mógł wyjść na ludzi, gdyby matka nie zabrała go i jego siostry do Anglii. Widziałam go niedawno w Lysvik, blade i wychudzony. Istny chuderlak, wygląda jak typowy Breton.

– Jak to się stało, że jego matka się wyprowadziła? – pyta Karen i widzi przed sobą postać Williama Trystego.

Chuderlak nie jest słowem, którego sama użyłaby do opisanie tego wysokiego mężczyzny o niebieskich oczach. Irytująco gadatliwy, ale pod względem wyglądu bez skazy.

– Tak, nie było zbyt miło być częścią rodziny Hussów, kiedy wszystko zaczęło się walić – mówi Ingeborg Eiken i robi przerwę,

żeby napić się trochę „prądu”. Potem ciągnie: – Diana zostawiła swojego biednego męża ze wszystkimi problemami i wróciła do rodziców do Essex. Urodzona Bretonka, uchowaj nas, Boże, nie szczędziła okazji, żeby to podkreślić. Taa, zakładam, że średni poziom inteligencji wzrósł znacznie w obu krajach, kiedy wróciła do domu.

Ingeborg rechocze zadowolona z własnej złośliwości, a Karen posłusznie się uśmiecha.

– Dalej żyje, z tego, co słyszałam. To znaczy ojciec Williama – wyjaśnia Karen.

– Ivar, tak. O ile można nazwać to życiem: biedaczysko siedzi od wielu lat w domu opieki w Lysvik. Miał niewiele ponad sześćdziesiątkę, kiedy siadła mu pamięć.

– Brzmi to trochę jak alzheimer.

– Tak, teraz wszystko ma takie dziwaczne nazwy. Zwapnienie starcze, mawiano w moich czasach. Chociaż kiedyś ludzie się starzeli, jeszcze zanim ich to dopadało. Mam wrażenie, że teraz w kółko się o tym słyszy i o młodych ludziach, co ledwie skończyli pięćdziesiątkę.

Ingeborg podsuwa Karen koszyczek.

– Ależ częstuj się, Krakan – mówi. – Zjedz choć jedno ciastko każdego rodzaju.

Karen gryzie ciasteczko szafranowe i zbiera językiem okruszki z kącików ust. Najchętniej od razu zabrałaby się za ciastko z jabłkiem, ale nie chce ryzykować protestów. Trzeba spróbować wszystkiego, co podano. I nie zadawać niewłaściwych pytań. Ale niedoskonałości rodziny Tryste zdają się terenem niezaminowanym.

– Z jakimi problemami? Chodzi mi o to, kiedy mama Williama zostawiła męża.

– Kryzys w górnictwie, rzecz jasna. Biedny Ivar był w końcu wnukiem starego Husa i oczekiwano, że przejmie kopalnię, kiedy stary umrze. Ale znalezienie ropy położyło kres wszelkim dotacjom na górnictwo i zaczęły się strajki. Raptem w kilka lat stracili wszystko. Teraz została im już tylko ziemia, ale wydaje się, że to wystarcza do zadzierania nosa.

Karen myśli o spotkaniu z Williamem Trystem i Gertrud Stuub. Entuzjastyczny znawca whisky i głęboko religijna kobieta w żałobie

po bracie. A potem Gabriel Stuub, skacowany magazynier i członek klubu motocyklowego. Nie zauważyła jakiegoś szczególnego zadzierania nosa u żadnego z potomków starego Husa, których spotkała osobiście. Niechęć ciotki wyraźnie opiera się na zdarzeniach z dalekiej przeszłości i wcześniejszych pokoleń, myśli. I jakby Ingeborg czytała w jej myślach, dodaje:

– Nie, moja owieczko, ta rodzina nie jest wcale taka porządna, jeśli im się dobrze przyjrzeć. Oni też mają swoje za uszami, jak to się mówi. I gdybym chciała, mogłabym ci opowiedzieć o nich niejedno, co zwaliłoby ich z tych wysokich końskich grzbietów...

– Niech ciocia to robi – prosi pospiesznie Karen, na co ciotka mierzy ją surowym spojrzeniem. – Próbuję sobie nakreślić obraz tych osób i ich przeszłości, więc wszystko może mi się przydać. Pomyślałam, że prawdopodobnie ciocia się w tym najlepiej orientuje – dodaje.

Kolejne spojrzenie mówi jej, że ciotka przejrzała to pochlebstwo na wylot. Sekundę później Ingeborg Eiken bierze głęboki wdech i wdychając, wydycha powietrze, mówi jednak dalej:

– Tak, w zasadzie nie mogę powiedzieć, że coś wiem, mój ojciec nigdy nie chciał opowiadać o tym, co widział. W każdym razie nie poza domem, ale kilka razy słyszałam, jak rozmawiał z mamą.

– O czym? Niech ciocia powie wreszcie! Przyjechałam tu przecież, żeby się dowiedzieć wszystkiego, co ciocia wie.

Ingeborg jakby zwlekała przez moment. Potem coś zaczyna iskrzyć w jej wzroku.

– Ojciec podejrzewał, że stary Huss robił interesy z Niemcami podczas wojny. Widział to podobno, gdy wypłynął łodzią. Ale milczał na ten temat aż po grób.

Karen patrzy sceptycznie na ciotkę.

– A to dlaczego? Dziadek nie znosił przecież nazistów.

– Zapewne dlatego, że gdyby wyszło na jaw, czym zajmuje się Huss, odbiłoby się to na całej wyspie. W tamtym czasie byliśmy całkowicie zależni od kopalni i gdyby on poszedł na dno, pociągnąłby za sobą nas wszystkich. Posiadał połowę wyspy, a poza tym siedział zarówno we władzach prowincji, jak i w Radzie Rybackiej.

– Więc dziadek milczał – mówi Karen sceptycznie. – Ależ na Boga, to było przecież chol...

– Ej, ej, nie takim tonem, proszę – przerywa jej ostro Ingeborg. – To były inne czasy i jeśli sądzisz, że teraz lichy tu wszystko wygląda, powinnaś była zobaczyć to wtedy. Poza tym wojna się już kończyła i wówczas nie miało to już aż takiego znaczenia.

Karen milczy.

– Ale myślę, że męczyło go to aż do śmierci – dodaje ciotka. – A ja mogę przyznać, że język świerbił mnie już wielokrotnie.

Karen postanawia zmienić temat.

– Ty i Fredrik Stuub musieliście być chyba w tym samym wieku. Jak dobrze go znałaś?

Ingeborg Eiken sztywnieje z filiżanką w ręce. Potem wykańcza ruch, bierze łyk i odstawia powoli kawę. Porcelana dzwoni o spodek.

– Za dużo o tym gadają. Co takiego słyszałaś? – pyta ostro.

– Nic a nic. W każdym razie nie o tobie i Fredriku Stuubie. Ale znałaś go, tak?

– Tak, oczywiście, kiedy byliśmy młodzi. Ta wyspa nie jest aż taka duża. Tak, mogę chyba przyznać, że mieliśmy mały romans, ale było to na długo przed tym, jak się ożenił. Tak, zanim ja też wyszłam za mąż, ma się rozumieć.

– Widywaliście się czasem w późniejszych latach?

– Oczywiście, że nie. Mówię przecież, że był Hussem z krwi i kości.

– Nie odniosłam wrażenia, żeby Fredrik był jakimś wielkim snobem – Karen ośmiela się zaprotestować. – W zasadzie jego siostra też nie, jest tylko bardzo religijna.

– Pff – prychna Ingeborg. – Gertrud wydaje się, że stoi bliżej naszego Pana niż ktokolwiek inny. Taki już jest tok myślenia pięknych ludzi. Że dostali swoje bogactwo, bo zostali wybrani przez Boga. Możesz mi wierzyć, Krakan, baby w tamtej rodzinie zawsze trzymały nosy wyżej od czoła. Faceci byli, rzecz jasna, lepsi, Ivar zawsze był miły, biedactwo, a Fredrik... on był...

Przerywa, a Karen czeka.

– Dobry chłop był z Fredrika – mówi krótko. – Nie rozumiem, kto mógł chcieć go zamordować.



I coś sprawia, że Ingeborg Eiken szybko odwraca twarz. Potem wstaje i idzie do blatu kuchennego.

– Nie, teraz nie mam już czasu siedzieć i plotkować.

Dziesięć minut później Karen rzuca okiem na zafoliowaną paczkę, która leży na fotelu pasażera. Ciotka nie chciała się z nią podzielić już żadnymi informacjami. Nie było miejsca na jakiegokolwiek pytania o Gabriela Stuuba albo rodzinę Grothów. Ingeborg Eiken bez słowa pozbięła ze stołu, a potem wyjęła z szuflady pod zlewozmywakiem rolkę folii aluminiowej, zawinęła w nią niezjedzone ciastka z jabłkami i podała paczkę bratanicy.

– Nie ma sensu grzebać w tym, co było – powiedziała.

I prawdopodobnie nie ma sensu głowić się nad tym, co przychodzi Karen na myśl i co kiedyś powiedziała jej matka, a Karen to usłyszała.

„Bóg jeden wie, skąd mały Odd wziął rudą czuprynę. Nie ma jej w każdym razie po Larsie”.

Organista już wcisnął pierwsze ryczące tony. Karen przysiada daleko w najdalszym rzędzie ławek, szybko spogląda na tablicę przy chórze i otwiera psalm trzysta drugi: *Kum leth us prise* – „Módlmy się”.

Śpiewa z poczucia obowiązku; niepewna, jak brzmi melodia, pozwala, żeby jej głos podążał za innymi, i dziwi się, że tonacje zawsze są jakby niewłaściwe dla jej głosu. Dla większości innych też nie, myśli i krzywi się, gdy zgromadzenie walczy, żeby podołać najwyższym tonom.

Gdy wszystkie wersy psalmu zostają odśpiewane i głos zabiera pastor, Karen wodzi wzrokiem po rzędach karków. Kościół w Skreby jest tego dnia pełen. Jak stary zwyczaj głosi, członkowie zgromadzenia przyłączają się niezależnie od tego, czy znają zmarłego czy nie. Nikt nie powinien spotykać Stwórcy bez porządnego pożegnania: puste ławy na pogrzebie uchodzą za świętokradztwo. Pogląd ten długo dominował w całym Doggerlandzie, ale Karen wątpi, żeby teraz kościoły na Heimö czy Frisel mogły się poszczycić taką frekwencją. Na pewno nie w środę przed południem.

Termin ten okazał się jedynym możliwym, żeby pochować Fredrika Stuuba w stosownym czasie. Jutro jest sylwester, a czekanie do końca przerwy świątecznej nie byłoby dobrze widziane. Należy się dopasować do zmarłego – nie odwrotnie. Na całe szczęście ani Kneought Brodal, ani Sören Larsen nie mieli żadnych uwag do tej decyzji.

– O ile nie chodzi o otrucie, nie dbam o to, co zrobią z trupami, kiedy już je pozszywam – z pietyzmem skomentował to Brodal.

Kościół w Skreby jest, tuż za tym w Lysvik, największym należącym do Kościoła Państwowego na Noorö. Okazały i bogato zdobiony, przynajmniej w porównaniu z prostym kościołem marynarzy w Gudheim i licznymi kaplicami niezależnych od państwa kościołów, które leżą gęsto porozrzucane po wyspie. Karen wyciąga

szyję, starając się rozpoznać kogoś znajomego. Jej krewni należą do wspólnoty w Gudheim i starannie przestrzegają tej przynależności, ale rodziny Bylego i Trystego mieszkają w Skreby.

I rzeczywiście chwilę później dostrzega Thorsteina i Solveig Byle kilka rzędów przed sobą. Kiedy pochyła się trochę w bok, majaczy jej na samym przedzie po prawej stronie sylwetka Gabriela obok siwoszarego pazia Gertrud Stuub. I jeśli się nie myli, tuż za nimi obok ciemnowłosej kobiety widzi krótko przystrzyżoną potylicę Williama Trystego. Między nimi siedzi szczupły chłopak, którego właśnie strofują. Prawdopodobnie dlatego, żeby wyłączył komórkę, myśli Karen i patrzy, jak młodzieniec wsadza coś nerwowym ruchem do kieszeni na piersi. Alvin. Czy Tryste mówił, że tak ma na imię?

Erling Arve zajmuje miejsce na kazalnicy i Karen stwierdza, że koloratkę, którą nosił w domu Gertrud, zastąpiła teraz tradycyjna kryza.

To z Arvem Karen przyszła się tu spotkać. Po krótkiej rozmowie telefonicznej z samego rana pastor obiecał ją przyjąć na chwilę po uroczystościach pogrzebowych, a cmentarz znajduje się tuż obok.

– Chyba najprościej będzie spotkać się na wzgórzu kościelnym i pójść razem – powiedział. – Wtedy będę mógł usłyszeć, jak się spisałem.

I Karen, która miała zamiar przyglądać się przybywającym żałobnikom z bezpiecznej odległości od kościoła, nie przemogła się i nie powiedziała, że nie zamierzała brać udziału w samym pogrzebie. Tak więc teraz siedzi i słucha słów o rozwadze i przebaczeniu.

Zgromadzenie pochyła głowy w modlitwie *Ojcze nasz*.

*Fathur our, thu er i himla*

*Helgat er namet thit.*

*Let riket thit kom, let will thin råde*

*Her på yortha, sum i himla.*

*Give us bred, okk forgiv os sinnere ore*

*sum vi forgiver othre sinner.*

*Okk let us ikke frestes, men thet evle forsake.*

*For thin er makta okk thet gode, sum i himla okk på yortha. Amen.*

Po godzinie i dziesięciu minutach słuchania chwytającego za serce kazania o wieczności, skrusze i nadziei wbrew ciężkim czasom i kilku krótkich słów o głębokim przywiązaniu Fredrika do Noorö oraz jego zaangażowaniu w sprawy rodzinnej wioski, nieudolnych próbach włączenia się do śpiewanych tego dnia psalmów i wreszcie obserwowaniu, jak najbliżsi krewni pochylają się i żegnają zmarłego nad trumną, Karen pierwsza wychodzi z kościoła.

Świeci słońce, ale powietrze jest chłodne. W drodze tutaj termometr na desce rozdzielczej pokazywał cztery stopnie na minusie, a według porannych wiadomości temperatura miała spaść jeszcze o kilka oczek w ciągu najbliższych dni.

– Białych świąt może w tym roku nie mieliśmy, ale wszystko wskazuje na to, że pogoda zaoferuje nam zimnego i bezchmurnego sylwestra – powiedział pocieszająco meteorolog i pokazał dopiero co wybielone zęby na ekranie telewizora.

Karen przygląda się wiernym, którzy teraz po dopełnieniu obowiązku pospiesznie odchodzą w stronę parkingu. Żadnej konsolacji tutaj nie będzie. Młodsze pokolenia najpewniej przejęły zagraniczne zwyczaje i coraz więcej osób po pogrzebie wyprawia stypę w domu. Tym, którzy kultywują starą doggerlandzką tradycję czuwania w kościele całą dobę, pogrzeb wyznacza koniec pożegnania. Jak należało się tego spodziewać, Gertrud Stuub podtrzymuje ten zwyczaj.

Karen zapina kurtkę i już się zabiera do okręcania się szalikiem, kiedy widzi, jak Thorstein i Solveig Byle wychodzą na schody kościoła w towarzystwie wysokiej trzydziestopięcioletniej kobiety i dwóch małych dziewczynek. Karen poznaje dzieci z wizyty w domu państwa Byle. Wtedy siedziały przed telewizorem z buziami wysmarowanymi czekoladą. Teraz są elegancko ubrane w jednakowe niebieskie wełniane płaszczyki i grzecznie zakładają czapki, które podaje im mama. W tym momencie Thorstein Byle dostrzega Karen i rusza w jej stronę, a jego rodzina podąża za nim. Karen – jak nakazuje zwyczaj – jeszcze raz dziękuje Solveig za ostatnią gościnę i wita się z jej córką, Trine, niemal tak wysoką jak ojciec, która wygląda jak skóra zdjęta z niego. Zamieniają kilka słów o chłodzie, który tym razem pewnie szybko nie odpuści, i o tym, że Karen koniecznie musi wpaść któregoś wieczoru na kolację.

– Byłaś na mszy w kościele czy jesteś tu tylko po to, żeby szpiegować żałobników? – pyta Byle z uśmiechem, który nie daje rady całkiem zamaskować pewnej dozy niechęci.

Karen jest i pozostanie nietutejsza.

– W zasadzie i jedno, i drugie – odpowiada. – Mam się zaraz spotkać z Erlingiem Arvem. Chciałabym usłyszeć, co ma do powiedzenia o rodzinie Stuubów.

Byle waha się przez moment. Szybko rzuca okiem na żonę, córkę i wnuczki, które stoją kawałek dalej, walcząc z szalikami i rękawicami.

– Jeśli chcesz, mogę oczywiście...

– Nie, nie, nie musisz ze mną iść – przerywa mu uspokajająco Karen. – Sama dam chyba radę porozmawiać z pastorem. Ale dobrze by było, gdybyśmy przed moim wyjazdem spotkali się jutro rano na komisariacie – dodaje.

– Jasne. A więc jedziesz na sylwestra do domu? Taa, niewiele tu chyba możemy zrobić, przynajmniej dopóki nie dostaniemy odpowiedzi od techników. A właśnie, masz już coś od nich?

– Nie, ale rozmawiałam wczoraj z Sörenem Larsenem i prawdopodobnie nie dostaniemy tych wyników przed końcem świąt, więc nowy rok przywitam w domu.

Ustalają, że spotkają się o ósmej rano i rodzina Byle oddala się zwartą grupą do samochodu, Karen zaś stoi dalej i trzęsie się z zimna. Jeszcze raz rzuca okiem na drzwi kościoła, przez które wychodzą ostatni żałobnicy, i ostrożnie, z rutyną zdobytą na zdradzieckich resztkach lodu, schodzą po schodach. Kilku zatrzymuje się na wzgórzu kościelnym, inni zaś szybkim krokiem oddalają się w stronę parkingu. Z uśmiechem Karen przygląda się starszym mężczyznom, którzy w wyuczonym odruchu podnoszą czapki, gdy mijają duży jałowiec, a potem skręcają w zwirową ścieżkę w innym kierunku. Wyrażają szacunek i wdzięczność za lecznicze siły i magiczne właściwości, które tym wiotkim iglakom przypisuje się zgodnie ze starodawnym wychowaniem. Wymierający zwyczaj musiał prawdopodobnie zostać na moment obudzony w chwili powagi, jaką jest pogrzeb. Zapewne są nieświadomi bezowocnych prób podejmowanych przez Kościół, żeby wykorzenić

wszelkie przedchrześcijańskie tradycje, które wiązały się z tym kłującym krzakiem.

Zgodnie też z tutejszym zwyczajem jako ostatni kościół opuszczają najbliżsi krewni i Karen widzi teraz Williama Trystego z rodziną, a tuż za nimi Gabriela Stuuba, który przy dźwiękach ponurej muzyki organowej wychodzi blady, mrużąc oczy w słońcu, przez otwarte dębowe wrota. Gabriel rozgląda się po ociągających się żałobnikach i kamienieje na widok Karen. Potem schodzi po schodkach, zeskakując po trzy, i energicznym krokiem idzie na parking, nawet się nie oglądając.

Na samym końcu wychodzi Gertrud Stuub, lekko opierając się o ramię Erlinga Arvego. Chwilę stoją przy schodach kościoła, a Arve wodzi wzrokiem dookoła. Kiwa do Karen, lekko ściska dłoń Gertrud i się rozstają. Z wyrzutami sumienia Karen przygląda się samotnej kobiecie w czarnym wełnianym płaszczu i berecie, kiedy ta powoli odchodzi. Może jej prośba o chwilę rozmowy z Arvem pozbawiła Gertrud tak bardzo potrzebnego jej towarzystwa. Zadaje to pytanie wprost, gdy tylko przywita się z pastorem.

– Nie, o to nie musi się pani martwić – mówi Arve z uspokajającym uśmiechem. – Gertrud chciała побыć chwilę sama.

– Jest pastor pewien? Bo możemy porozmawiać jutro.

– Jestem tego absolutnie pewny. Zajrzę do niej wieczorem. A gdy tylko załatwimy to, co mamy do załatwienia, pojedę do centrum handlowego w Thorsvik po wkrętarkę. Są w promocji.

Na zdziwioną minę Karen reaguje rozbawieniem.

– Tak, najpierw muszę się przebrać – mówi z uśmiechem. – To tutaj może okazać się małą przeszkodą, kiedy się tankuje samochód – dodaje i gestem wskazuje białą kryzę. Ale może pójdzie pani ze mną do domu i tam porozmawiamy.

Arve zamienia kilka słów z kantorem i kościelnym, a potem idą pieszo z Karen na plebanie.

Plebania w Skreby jest mniejsza, niż można by się spodziewać. Dwukondygnacyjny budynek z wapienia na pierwszy rzut oka nie różni się znacznie od pozostałych domów. O tym, że mieszka tu pastor miejscowego zgromadzenia, świadczy w zasadzie tylko spichlerz, w którym niegdyś przechowywano dziesięcinę. Tak jak na

innych plebaniach, jest wysoki i wąski, wyposażony w ciężki, starannie rzeźbiony rygiel, masywny zamek i żeliwny krzyż. Przez moment Karen zastanawia się, czy stoi pusty, czy może Arve znalazł dla niego jakieś praktyczne zastosowanie. W każdym razie nie zawiera on już wypracowanej w znoju przez członków zgromadzenia dziesięciny dla pastora, myśli, gdy Arve wchodzi po schodkach na plebanię.

Wewnątrz również brakuje okazałości, której Karen spodziewała się po plebanii. Poza galerią portretów poprzednich pastorów, które Arve zachował na ścianach, w salonie nie ma nic, co świadczyłoby o wzniosłości jego urzędu.

Arve zostawia ją na wygodnym fotelu obitym intensywnie czerwoną tkaniną, zapewniwszy wcześniej, że za moment wróci.

Żadnych krucyfiksów na ścianach, w ogóle żadnych elementów religijnych, poza Biblią na stoliku przy sofie. Zasadniczo wygląda to jak pierwszy lepszy współczesny salon: sofa, telewizor i zestaw stereo. Karen zerka na kolekcję starych płyt winylowych i CD na regale, ale nie udaje jej się przeczytać ani jednego tytułu, nie jest jednak na tyle ciekawa gustu muzycznego Erlinga Arvego, żeby się podnieść i sprawdzić. Zamiast tego siedzi z zamkniętymi oczami i czuje, jak powoli ustaje ból w kolanie po krótkim spacerze z kościoła.

Pięć minut później Arve wraca. Teraz ubrany w jasnoszare sztruksowe spodnie i kardigan w tym samym kolorze. Kryzę znów zastąpiła mała koloratka pod kołnierzem czarnej koszuli.

– Czy będzie miała pani coś przeciwko, jeśli podgrzeję jedzenie podczas naszej rozmowy? Nic nie jadłem od śniadania – mówi i wykonuje ruch ręką w stronę kuchni. – A może pani też jest głodna?

– Nie, dziękuję, jadłam późne śniadanie – Karen kłamie odruchowo.

Idzie za nim do dużej wiejskiej kuchni z pięknym, choć przestarzałym i niepraktycznym wyposażeniem, odsuwa krzesło od dużego dębowego stołu i siada. W ciszy przygląda się pastorowi wyjmującemu emaliowany garnek i słoik z wekami z lodówki.

– Może mimo wszystko mógłbym zaprosić panią na mały lunch? To resztki z wczoraj, ale naprawdę smaczne. Gulasz z własnoręcznie

zastrzelonego jelenia i zebrane przeze mnie kurki.

– Nie, dziękuję, ale proszę jeść, jak będziemy rozmawiać.

– Jest pani pewna? Mam też konfiturę z jarzębiny domowej roboty – mówi i unosząc brwi, odwraca się ze słoiczkiem w ręce.

Karen się uśmiecha. Część napiętej czujności, którą odczuwała podczas spotkania z tym mężem Kościoła, osłabła, gdy zdjął kryzę i czarną togę. Poza tym dochodzi pierwsza, a ona jest naprawdę głodna.

– Dobrze, więc nie odmówię – przystaje na propozycję. – Mam słabość do jarzębiny.

Erling Arve stawia garnek na kuchence i otwiera szafkę nad blatem kuchennym.

– O czym właściwie chce pani ze mną porozmawiać? – pyta, wyjmując dwa talerze.

– Chciałabym, żeby powiedział mi pastor wszystko, co wie – mówi spokojnie. – O Fredriku, a przede wszystkim o tym, co zdaniem pastora mogłoby wyjaśniać, dlaczego ktoś mógł życzyć mu śmierci. I chciałabym też, żeby opowiedział pastor wszystko, co wie o jego wnuku.

Arve stawia na stole talerzyk i dwie szklanki. Powoli, jakby chciał zyskać na czasie, układa sztucę i papierowe serwetki.

– Wie pani, że mam obowiązek zachowania tajemnicy? – pyta.

– Chciałabym prosić, żeby pastor przedstawił mi swoją opinię jako osoba prywatna. Nie ujawniał niczego, co powierzono pastorowi w zaufaniu podczas wykonywania posługi. Chociaż to też może pastor zrobić, ja nie mam nic przeciwko temu – dodaje z uśmiechem.

Erling Arve powraca do kuchenki. Odwrócony do Karen plecami starannie miesza w garnku i kobieta znów ma wrażenie, że gra na czas.

– Proszę zacząć od Fredrika – ponagla. – Nawet jeśli zwierzył się pastorowi w zaufaniu, to w tej sytuacji nie ma już chyba obowiązku dochowania tajemnicy.

– Niestety nie, jeśli o to chodzi, to nie. Śmierć nie ma tu żadnego znaczenia. Z drugiej strony – mówi i odwraca się do niej – Fredrik nie był takim człowiekiem, który by mi się zwierzał. W przeciwieństwie do siostry nie był z natury religijny. Nie jestem



nawet pewny, czy w ogóle był wierzący. Ale zakładam, że miało to związek z jego pracą zawodową.

– To znaczy jako nauczyciela? Jest chyba mnóstwo nauczycieli, którzy są bardzo religijni. Przynajmniej z tego, co pamiętam z czasów, gdy chodziłam do szkoły.

Niestety, poniekąd, dodaje w myślach Karen i widzi przed sobą wychowawcę z liceum.

Arve zanosí się śmiechem.

– Niby tak, ale Fredrik Stuub nie był pierwszym lepszym belfrem z prowincjonalnej szkoły. Wykładał biologię na Uniwersytecie w Ravenby i nie sądzę, żeby to, czego uczył, dało się połączyć z biblijnym stworzeniem świata.

Karen nie odpowiada, ale odwzajemnia uśmiech.

Erling Arve kładzie na stole podstawkę pod garnek i stawia na niej gulasz.

– Proszę sobie nakładać – zachęca.

Jedzą chwilę w milczeniu i Karen nie może się nadziwić wszystkim zdolnościom pastora poza tymi klerykalnymi. Potrafi co najmniej upolować jelenia, zebrać grzyby i usmażyć konfitury, wylicza.

– Chociaż jeśli chodzi o Fredrika – zaczyna po chwili Arve i wyciera sobie usta. – Nie sądzę, żeby to akurat biologia zajmowała jego myśli w ostatnich latach. Bardzo interesowała go historia Noorö.

Karen patrzy uważnie, jak pastor przeżuwa.

– Ale niestety tu nasze drogi też się nie spotkały – ciągnie Arve. – Fredrika nie interesowało ekumeniczne dziedzictwo kulturowe, ale raczej pogańskie wykopaliska. Gertrud sądzi, że był całkowicie pochłonięty starymi kamieniami runicznymi i spędzał sporo czasu koło kamiennego kręgu w Gudheim. Wielka bezbożność zdaniem jego siostry.

Karen przypomina sobie coś, o czym wspominał Byle.

– Tak, słyszałam, że doszło tam do aktu wandalizmu – mówi. – Ktoś wywiercił dziury w tych starych kamieniach.

Arve przytakuje.

– Tak, to poruszyło, rzecz jasna, nie tylko Fredrika. Oczywiście, zawsze mieliśmy problemy z młodzieżowymi bandami, które

zbierały się w Gudheim i czasem mazały po kamiennych blokach albo je wywracały, ale to jest zdecydowanie poważniejsze.

– Jak dawno temu do tego doszło?

– W zasadzie odkrył to sam Fredrik dzień przed Bożym Narodzeniem, ale oczywiście nie wiadomo, jak stare były te wiercenia. Jeśli chce pani znać moje zdanie, doszło do tego najwyżej kilka dni wcześniej.

– A dlaczego pastor tak sądzi?

– Hmm, wprawdzie to głównie latem jest tam pełno wyznawców New Age, ale zostają nawet do najkrótszego dnia roku, więc powinni byli odkryć te dziury, gdyby zrobiono je już wtedy.

– Zgłoszono to do Rady Ochrony Zabytków?

– Tak zakładam, ale oczywiście nie dam sobie ręki uciąć. Fredrik zgłosił to na policję i o tym, co się działo później, wie pani zapewne więcej ode mnie.

Najpewniej nic, myśli ponuro Karen i przypomina sobie lekceważące słowa Bylego o wybrykach małolatów i wandalizmie. Prawdopodobnie tutejsza policja nie poświęciła zbyt wielu sił, żeby to dalej zbadać. Karen postanawia zmienić temat.

– A co może pastor powiedzieć o Gabrielu? Wiem, że pracuje u Grotha, że dziedziczy to, co Fredrik zostawił po sobie, i że mieszka w nowoczesnym domu, który wygląda, jakby rzucono go na środek pola jęczmienia. I że właśnie się rozwodzi – dodaje.

– Tak, jeśli chodzi o Gabriela, również nie poznałem żadnych tajemnic jako ksiądz, ale jak głosi wieść gminna, ten rozwód to podobno bardzo zainfekowana sprawa. Sąsiedzi mówili o częstych kłótniach i awanturach, aż jego żona zabrała w końcu dzieci i wróciła do rodziców do Thorsvik, podczas gdy Gabriel został w willi. Jedno z nich musi spłacić drugie i kłócą się jeszcze o dzieci, rzecz jasna.

– A co więcej da się o nim powiedzieć? Ma on jakieś... hobby? – pyta Karen i zeszkrobuje resztki z talerzyka. – Boże, ależ to było dobre, tak na marginesie!

– Dziękuję, przekażę – mówi Arve z krzywym uśmiechem. – Hobby? Zakładam, że chodzi pani o ten gang motocyklowy?

– O nic mi nie chodzi, ale z chęcią o wszystkim posłucham. Co pastor wie?

– Właściwie nic, w każdym razie nic ciekawego dla policji. Nie mam w zasadzie żadnych dowodów, ale jeśli wierzyć pogłoskom, Gabriel utrzymuje dość bliskie kontakty z tymi typkami. Najwyraźniej spędza sporo czasu w gospodarstwie w Tyrfallet. I jeszcze... ale do tego musi pani podejść z pewną dozą nieufności...

Erling Arve zwleka moment i wyciera sobie usta serwetką.

– Są tacy, którzy twierdzą, że zaopatruje OP u Grothów – mówi i patrzy jej przy tym prosto w oczy. – No ale to tylko plotka.

Karen wie, że nie będzie mógł jej udzielić odpowiedzi, mimo to zadaje to pytanie.

– A od kogo słyszał pastor tę plotkę?

Zgodnie z oczekiwaniami Arve poprzestaje na posłaniu jej uśmiechu w odpowiedzi.

– Dobrze – mówi Karen. – Orientuje się może pastor, czy sami Grothowie wiedzą coś o tych domniemanych kradzieżach? Czy ktoś wysuwał w stosunku do nich jakieś groźby?

– Tego nie umiem powiedzieć, ale na pani miejscu raczej bym ich zapytał – odpowiada i wstaje. – Teraz niestety muszę panią przeprosić, jeśli nie ma pani więcej pytań. Czy gdzieś panią podrzucić?

– Nie, dziękuję, zaparkowałam samochód pod kościołem. Hmm, w takim razie dziękuję za poczęstunek i za to, co pastor powiedział. Zakładam, że nasza rozmowa zostanie między nami?

– Oczywiście. I mam nadzieję, że będzie się pani ostrożnie obchodzić z plotkami krążącymi po wsi.

Idąc w stronę parkingu, Karen wyciąga telefon komórkowy i wybiera numer, który dodała zaledwie kilka dni temu. Zwleka chwilę. Może byłoby lepiej poczekać trochę, nim uchyli te drzwi. Nie, postanawia, równie dobrze można od razu wziąć byka za rogi.

Głęboko wzdycha i naciska na zieloną słuchawkę.

Neutralny grunt, myśli Karen i rozgląda się po pubie. W głębi przy kontuarze dostrzega platynowe loki Ellen Jensen, a przy stolikach najbliższej telewizora te same twarze co wczoraj. Zdaje się, że teraz ich uwagę przyciąga wyścig Formuły 1, wycie samochodów miesza się ze starymi hitami Abby leącymi z głośników. Ryzyko, że ktoś zainteresuje się nią albo jej towarzystwem, jest tutaj minimalne, spostrzega z ulgą.

Kiedy Karen w końcu dostrzega swojego kuzyna, macha do niego z daleka – siedzi w głębi sali. Karen podchodzi do kontuaru i zamawia, dopiero później siada naprzeciwko niego.

– Dzięki, że przyszedłeś – mówi i ściąga szalik.

Odd Eiken upija łyk piwa, odchyła się i w milczeniu świdruje ją wzrokiem. Całe ciepło i radość, które odczuwała podczas ich ostatniego spotkania, teraz gdzieś wywiało. Z pełną mocą ogarnia ją nieprzyjemne uczucie: to będzie tak trudne, jak sobie to wyobrażała. Postanawia przejść do rzeczy.

– Domyślasz się, dlaczego chcę zamienić z tobą słówko? – mówi.

– Taa, zapewne nie po to, żeby ożywić dawne wspomnienia – odpowiada. – Zdaje się, że już niewiele dla ciebie znaczą. Więzy krwi i takie sprawy, o ile dobrze zrozumiałem.

– Gdyby faktycznie tak było, siedzielibyśmy w tej chwili na komisariacie, a nie w pubie.

– Pieprzenie – odgryza się. – Wydaje ci się, że coś ze mnie wyciągniesz, bo jesteśmy rodziną, ale zapomnij.

W tym momencie przychodzi Ellen Jensen z zamówieniem Karen. Stawia pintę spitfire'a i miseczkę orzeszków ziemnych, po czym oddala się bez słowa. Karen bierze dwa głębokie łyki.

– Masz rację, Odd – mówi. – Przynajmniej po części. Jak wiesz, badam sprawę morderstwa Fredrika Stuuba i nic nie wskazuje tu na jakikolwiek bezpośredni związek z OP. Przynajmniej na razie. Jednak wyszły na jaw pewne powiązania między wami a Gabrielem Stubem.

- Tak sądzisz?
- Możesz to potwierdzić?
- Dlaczego miałbym to zrobić?
- Więc Gabriel nie jest członkiem OP? To właśnie chcesz powiedzieć?

– Nigdy nie słyszałem o tym gościu.

Karen wzdycha i bierze duży łyk. Potem się odchyła i wpatruje kuzynowi w oczy.

– Okej, Odd, zrobimy tak. Powiem ci, co sądzę, a ty dasz mi znać, czy jestem na właściwym tropie. A zrobisz to z tego prostego powodu, że nie chcesz, żebym puściła w ruch całą maszynę. Jedno moje słowo i na wyspie zaroi się od moich kolegów, którzy interesują się waszą działalnością. I chętnie zrobią rewizje lub skorzystają z pomocy speców od przestępstw ekonomicznych, którzy przestudiują każdy świstek w waszych lokalach, w domu u ciebie oraz u innych chłopaków. Normalnie nie mają zasobów, żeby was na wskroś prześwietlić, ale przy okazji śledztwa w sprawie morderstwa...

...prawdopodobnie i tak nie zaowocuje to żadną większą akcją, myśli Karen w głębi duszy. Ale na sekundę cień niepokoju przelatuje przez czoło Odda, co udaje mu się zamarkować beztroskim uśmiechem.

– A przypuszczam, że nie zyskasz na popularności w klubie, jeśli twoi kumple się dowiedzą, że to wszystko zaczęło się od twojej kuzynki – dodaje szybko Karen.

– Kontynuuj – mówi krótko Odd.

– Wiemy, że Gabriel zaopatruje się na lewo w magazynie Grotha.

– Aha, tak twierdzisz? Hmm, też bym pewnie to robił, gdybym tam pracował, ale jak już mówiłem, nie znam gościa.

– Z tego, co się orientuję, alkohol nie jest głównym źródłem dochodów OP. Trudnicie się raczej tak zwaną ochroną biednych restauratorów. Pobicia, szantaż, pranie brudnych pieniędzy na psych wyścigach i jeszcze trochę różnych różności. Nie sądzę jednak, że macie struktury do spieniężania whisky. Mam rację?

– Z tym ostatnim być może mógłbym się zgodzić – mówi Odd i upija łyk piwa. Ociera pianę z wąsów wierzchem dłoni i bierze

garść orzeszków ziemnych. Znowu odchyła głowę i wrzuca je do ust, a potem wyciera sól z dłoni o udo.

– Kradzieże Gabriela u Grotha nie są więc czymś, co robi na wasz rachunek – mówi Karen. – Zgadywałabym, że to po części na domowy użytek, a po części na dalszą sprzedaż z sensownym zyskiem. Może nawet sprzedaje trochę do kilku barów w Dunkerze i Ravenby. Taki jego sposób na podreperowanie budżetu.

Odd przygląda się jej z rozbawioną miną, jego szczęki rozdrabniają orzechy, Karen ciągnie:

– Oznaczenia w budynku magazynu Grotha wskazują z kolei, że OP jest w to zamieszane i że mieliście powód, żeby poinformować Grothów, że to nie pora na pyskowanie.

Odd Eiken na moment przestaje przeżuwać i patrzy nieufnie na Karen z czymś, co wygląda jak szczere zdziwienie.

– Jakie znowu cholerne oznaczenie? – pyta.

– Hmm, a jak sądzisz? Jedyńka i symbol procent. Nawet ja wiem, że w ten sposób znakujecie swój rewir. Sama widziałam to nie raz i nie dwa przed kilkoma barami w Dunkerze.

Odd odchyła się, wzdycha i przemawia do niej takim głosem, jakby rozmawiał z dzieckiem.

– Dobrze, Karen, powiedzmy, że być może istnieje takie oznaczenie, czego ja wcale nie potwierdzam. W takim razie brzmi to jak oznaczenie rewiru, dokładnie tak, jak mówisz. Jak coś, co ma sprawić, że Rosjanie i Bałowie będą trzymać łapy z daleka. Ilu takich widziałaś tutaj na Noorö?

– Powiedzmy, że to kupuję – oświadcza Karen i wlepia spojrzenie w oczy kuzyna. – Ale nie przeszkodziłoby to chyba jakiemuś pojedynczemu członkowi posłużyć się tym oznaczeniem, żeby zdobyć sobie szacunek. Może ktoś trafił na jakiś ślad albo zaczął się stawiać. Może ktoś zagroził, że zwróci się na policję. To znaczy czysto hipotetycznie.

Odd Eiken unosi brwi i opuszcza kąćki ust, co wskazuje, że to wszystko jest możliwe. Karen upija głęboki łyk.

– Kontynuujemy tę pogawędkę? – pyta Karen.

– Chętnie. Tylko wbij sobie do głowy, że wciąż rozmawiamy czysto hipotetycznie. OP nie zajmuje się żadną działalnością przestępczą, jesteśmy grupką facetów lubiących motocykle, i tyle.

Karen prycha.

– No jasne – mówi i się uśmiecha. – Ale w takim razie pobawmy się tą myślą, że ktoś w tej grupie lubiących motocykle małych aniołków ubzdurał sobie, że zacznie łamać prawo i okradać pracodawcę. Powiedzmy, że może opiekuje się przewlekłe chorymi albo pracuje w bibliotece. A może nie, załóżmy, że pracuje w magazynie whisky! Tak tylko dla przykładu.

Odd tłumi ziewnięcie.

– Długo to jeszcze potrwa? Mam cholerną ochotę na papierosa.

– Ja też. Będę się streszczać.

– Już trochę za późno, co nie? Zdajesz sobie sprawę, że siedzę tutaj tylko z jednego powodu? – mówi, patrząc jej prosto w oczy.

Bez choćby mrugnięcia Karen odwzajemnia jego spojrzenie.

– Ja też, Odd.

W milczeniu przez cztery sekundy świdrują się wzrokiem. Potem Karen bierze głęboki wdech i kontynuuje.

– Nie wiem dokładnie, jaka jest twoja pozycja w klubie, ale zakładam, że po tylu latach masz sporo do powiedzenia. I teraz mam dla ciebie pewną propozycję.

Zero reakcji. Karen mówi dalej:

– Daruję sobie ściąganie tu wszystkich gliniarzy, jakich tylko uda mi się znaleźć, unikniecie przeszukań, a ja nie będę musiała odwiedzać waszego klubiku zbieraczy znaczków. Ale mam jeden warunek.

Nadal żadnej reakcji.

– Powiesz mi wszystko, co wiesz o Gabrielu Stubie.

– Zapomnij. Nie wsypię żadnego z braci.

– Oczywiście, że nie. Jakie więc mamy szczęście, że przed chwilą stwierdziłeś, że Gabriel Stub nie jest członkiem, a tym samym nie jest „bratem”. W ogóle go przecież nie znasz, więc zakładam, że nie będziesz miał żadnego problemu, żeby powiedzieć mi, co o nim słyszałeś.

Odd nie odpowiada.

– I jak dobrze się dla mnie składa, że nie będę musiała przewracać do góry nogami klubu, a być może też prywatnych domów wszystkich uczciwych chłoptasiów. Nie będę musiała wciągać w to członków rodzin i wypytywać ich, czy wiedzą coś o działalności OP.

I jak dobrze się dla ciebie składa, że nikt nie będzie musiał się dowiedzieć, że glina, która za to odpowiada, to twoja własna kuzynka. To wszystko możemy sobie odpuścić, jeśli tylko dowiem się tego, co masz mi do powiedzenia na ten temat.

Robi przerwę.

– Umowa stoi? – pyta.

– Ależ pierdolona suka się z ciebie zrobiła, Karen.

– Uznam to za „tak”.



Karen rzuca okiem w lusterko wsteczne, potem skręca w dojazd do autostrady. Kiedy już na niej jest, rozkręca radio i odchyła się z poczuciem ulgi. W lusterku widzi, jak zarys łańcucha górskiego na Noorö zostaje coraz dalej. Jest dopiero dwadzieścia po jedenastej. Prawie dwudniowy urlop od osmolonych budynków i śledztwa, które drepcze w miejscu.

Raport, który przesłała wczoraj wieczorem Jounasowi Smeedowi, był przykładem suchego i rzeczowego sprawozdania zakończonego kilkoma stwierdzeniami: w oczekiwaniu na wydział techniczny i informatyczny, poinformowała Karen, nie ma chwilowo nic więcej, co mogłaby zrobić tutaj sama, dlatego jedzie do domu na sylwestra, pojutrze zamierza wrócić na Noorö. Na koniec podkreśliła jeszcze, że współpraca z Bylem układa się wprawdzie dobrze, ale potrzebuje jakiegoś wzmocnienia z Dunkeru, żeby śledztwo nabrało rozpędu.

Ku jej zaskoczeniu mail zapikał w jej skrzynce ledwie kilka minut później.

*Ok/Jounas*

Poranne spotkanie w komisariacie było z grubsza powtórką poprzedniego i Karen niemal żałowała, że poprosiła, żeby przysli tutaj rano, ostatniego dnia roku. Röse najwyraźniej odpuścił, jednak i tak nie wnosił nic, żeby poprawić nastrój. Z drugiej strony ona sama też tego nie robiła. Krótkie sprawozdanie z sytuacji, stwierdzenie, że teraz muszą się wstrzymać i poczekać na wyniki od techników, billingi z komórki Fredrika Stuuba i analizę zawartości jego komputera.

W śledztwie dokonano tylko jednego postępu. Niestety postęp ten był raczej krokiem w tył. Nie dalej jak pół godziny przed spotkaniem Karen ku swemu zdziwieniu dostała odpowiedź od dostawcy usług telefonicznych. Tak, komórka Williama Trystego rzeczywiście łączyła się w pierwszy dzień świąt rano z nadajnikiem w Lysvik w godzinach 08:01–08:03. Poza tym jeden z portierów w domu

opieki potwierdził, że widział, jak William Tryste chwilę po siódmej w dzień Bożego Narodzenia szedł do swojego ojca, Ivara Trystego. Do tego personel znalazł później resztki śledzia, pustą butelkę po piwie i małą buteleczkę, która wyraźnie pachniała nalewką na liściach woskownicy, w koszu na śmieci u Ivara Trystego, co wzbudziło irytację kierownika oddziału.

– Zdaje się więc, że informacje Williama Trystego się zgadzają – podsumowała to Karen, nie umiając całkiem ukryć rozczarowania.

W głębi duszy pragnęła czegoś innego niż potwierdzenia alibi i tym samym utraty potencjalnego sprawcy. Zakończyła spotkanie, podkreślając jeszcze raz, że nie ma najmniejszych wątpliwości, że razem rozwiążą tę sprawę, a potem życzyła wszystkim szczęśliwego nowego roku. O spotkaniu z Oddem Eikenem nawet się nie zająknęła.

Teraz Karen jedzie jednostajnym tempem w stronę portu w Langevik i odczuwa taką samą ulgę jak ponad pięć dni temu, kiedy jechała w przeciwnym kierunku. Nastrój poprawia się jej jeszcze o kilka oczek na myśl o tym, że ominą ją dwie noce w kwiecistym pokoju hotelowym i zamiast tego wieczorem będzie mogła pójść na imprezę sylwestrową do Eirika i Korego.

Na razie nie dojdziemy w śledztwie do niczego więcej, nie mając odpowiedzi od techników, myśli i ucisza odzywające się wyrzuty sumienia. Będę tu z powrotem za – patrzy na zegarek i liczy w głowie – trochę ponad czterdzieści osiem godzin. Poza tym w zasadzie wciąż jestem na zwolnieniu, dodaje w cichej mowie obrończej. Smeed powinien być mi cholernie wdzięczny, że w ogóle się zgodziłam i dzięki temu on może siedzieć na plaży i popijać drinki.

W duszy słyszy poruszony głos Sigrid: „Muszę jeszcze siedzieć z nim na plaży pod jakąś cholerną palmą kokosową?”, i czuje powiew współczucia na myśl o swoim szefie. Sekundę później ten moment jest już przeszłością.

Przykręca radio, sięga po telefon i wkłada do ucha słuchawkę bezprzewodową. Leo Friis odbiera po ośmiu sygnałach.

- Brałem prysznic – wyjaśnia. – Szampon się chyba skończył.
- Jestem w drodze do domu. Wzięłam dwa dni wolnego.

– O cholera, kiedy będziesz?

Akurat zdążysz posprzątać, myśli.

– Najwyżej za parę godzin. Jestem już na autostradzie. Wszystko dobrze? Jak tam ucho Rufusa?

– Już lepiej. Robiliśmy tak, jak kazałaś, ale to istny koszmar, żeby go przytrzymać. Nie lubi tej maści.

„My”, myśli Karen. A więc Sigrid wciąż tam jest.

– Mam coś kupić po drodze?

– Nie ma takiej potrzeby, rano byliśmy na zakupach. Myśleliśmy, że może wrócisz do domu. Ale zapomnieliśmy o mleku.

Karen słyszy, jak Leo rozmawia z kimś w tle. Potem wraca do słuchawki.

– Sigrid mówi, że płyn do mycia naczyń też się zaraz skończy.

Rozłączają się i Karen znów rozkręca radio.

Rozbrzmiewają akurat ostatnie tony czegoś, czego nie poznaje, a potem zaczyna się znane jej intro starej piosenki Fugees. Bez zahamowań wyje razem z nimi:

– *Ready or not, here I come, you can't hide...*

Ostrożnie przyspiesza odrobinę.

– Potrzebujesz *skjulested* – mówi po duńsku Marike, wciągając rajstopy. – *Helvede*, ale się skurczyły.

Siedzą w pokoju w atelier. Karen, dygocząc z zimna, wygląda przez okno na padający spokojnie śnieg. Temperatura spadła jeszcze o kilka stopni, a piece do wypalania ceramiki nie były włączane od wielu dni. A może marznie dlatego, że ma na sobie krótką sukienkę bez ramiączek, którą założyła dla uczczenia Nowego Roku. Zafascynowana przygląda się Marike, jak ta podejmuje skazane na porażkę próby naciągnięcia rajstop tak, żeby sięgnęły do krocza stuosiemdziesięciotrzycentymetrowej osoby.

Umie słuchać, myśli Karen. Czterdzieści pięć minut Marike pozwalała jej ubierać w słowa frustrację spowodowaną tym, że ma Leo i Sigrid na karku. Karen w jednej chwili chce, żeby byli u niej, ale w następnej marzy o samotności. I ta radość odczuwana kilka godzin wcześniej, gdy przekroczyła próg domu i witały ją głosy oraz zapach gotującego się jedzenia.

– Witaj w domu – powiedział Leo i podał jej butelkę piwa.

Karen opuściła wzrok, żeby ukryć panikę przemieszaną z radością, która ogarnęła ją, gdy wzięła od niego butelkę. Wszystko byłoby dużo prostsze, gdyby ich tam nie było. Tak dużo cichsze. „Witaj w domu”... Słowa te trafiły ją w brzuch jak hokejowy krążek.

A po jedzeniu Sigrid zapytała, czy mogłaby się wprowadzić i wynająć od Karen pokój gościnny. Zastanawiała się nad kontynuowaniem nauki i jeśli sprzeda odziedziczony po matce dom, nie będzie musiała brać pożyczki studenckiej.

– Mam pieniądze na czynsz i całe wieczory będę spędzać na nauce. Nawet nie *zauważysz*, że tu jestem.

Karen nie odpowiedziała. I widziała, jak rozczarowanie powoli wdziera się do oczu Sigrid czekającej na słowa, których Karen nie dała rady z siebie wydusić: „Tak, jasne, możesz tu mieszkać”.

– Co to, kurna, jest *skjulested*? – pyta teraz. – Mogłabyś mówić po doggerlandzku, tak żeby dało się ciębie zrozumieć? Wiem, że potrafisz.

Marike z westchnieniem opuszcza sukienkę i się odwraca. W ten sposób komunikuje, że wyraziła się aż nadto jasno.

– Takie miejsce kryjówka. Coś, dokąd możesz uciec, kiedy w domu zrobi się zbyt domowo. Mieszkanie, w którym możesz przenocować. Tutaj, w Dunkerze. *Comprende*?

Karen zadowolona się w odpowiedzi prychnięciem.

– I będziesz się też mogła nieco częściej ze mną spotykać, a nie jechać do domu już po jednym kieliszku – ciągnie Marike.

– I jak miałabym to niby osiągnąć twoim zdaniem? – pyta skwaszona Karen. – Właściwie wszystkie budynki są obecnie własnościowe. Nie mam pieniędzy na zakup mieszkania. A może myślałaś, że wynajmę sobie kawalerkę w Gaardzie albo Moerbecku i będę rozkoszować się swoją samotnością?

– Taa, już to widzę – śmieje się szorstko Marike. – Poza tym całkiem miło jest tu, w porcie.

Atelier Marike Estrup znajduje się na parterze starej kamienicy, w której przez lata mieściły się kolejno: kuźnia, zakład dekarcki oraz punkt sprzedaży silników i części zamiennych do łodzi. Budynek jest położony na zachodnim końcu nadmorskiej promenady. Niegdyś w wyjątkowo mało urokliwej części miasta: w podupadłej dzielnicy portowej, obecnie atrakcyjnie usytuowanej z fantastycznym widokiem na port. Karen wiele razy pożyczala klucze do atelier, gdy nie zdążyła lub nie dała rady wracać do Langevik. Tapczan jest dość wygodny, a z chłodem dobrze się komponowały dżin, wermut i oliwki. W zimie ciepło pieców stanowiło mile widziany dodatek. W lecie trzeba było spać z szeroko otwartymi oknami, żeby tu wytrzymać.

Sama Marike mieszka w domu na skrawku ziemi piętnaście kilometrów na północ od Dunkeru. Na ziemi, którą kupiła z powodu pobliskich pokładów miękkiej gliny o zielonkawym lśnieniu, to dla tej gliny przeprowadziła się do Doggerlandu. I osiem lat temu przy okazji zakupu działki spotkała Karen. Marike zadeklarowała chęć kupienia tej ziemi *za wszelką cenę*. Torbjörn, kuzyn Karen ze strony matki i właściciel tego bezwartościowego skrawka, zwietrzył swoją

szansę, żeby oskubać jakieś osobliwe duńskie babsko. Nie był szczęśliwy, kiedy Karen, przypadkowo znajdującą się na miejscu, wetknęła nos w nie swoje sprawy i zwróciła uwagę, że gliniaste pole nie jest warte sumy z sufitu, którą rzucił Torbjörn. Karen obstawała jednak przy swoim i dopilnowała, żeby sąsiednia działka budowlana weszła do przedmiotu transakcji.

Wprawdzie potem zajęło jej ponad rok naprawianie ochłodzonych stosunków z kuzynem, ale znalazła w Marike nową przyjaciółkę. I tam, na kawałku ziemi w głębi łądu, pośród drzew liściastych i komarów Marike wciąż mieszka, mając za najbliższego sąsiada poletko gliny. To tam wykopuje ten surowiec, obmywa go i potem wiezie do atelier do Dunkeru, gdzie przemienia w rzeźby, które uczyniły z Marike Estrup światowe nazwisko w sztuce ceramicznej.

Jest dobrą przyjaciółką, myśli Karen, ale nie ma pojęcia, jak to jest żyć z marnej policyjnej pensji. Postanawia więc zmienić temat.

– Jeśli jesteś gotowa, to zadzwonię po taksówkę. Eirik się wścieknie, jeśli się spóźnimy.

Sama słyszy, jak chłodno to brzmi. To gadanie o mieszkaniu, gdzie mogłaby przenocować, miejscu, w którym mogłaby się zaszyć, zastąpiło imprezowy nastrój poczuciem beznadziei. Zidentyfikowała to, co byłoby jej potrzebne, i zarazem spostrzegła, że nie ma możliwości, aby to osiągnąć. Tego jakiegoś *skjulested*.

– Tak, tak, zadzwoń – mówi spokojnie Marike, naciągając rajstopy.

Pół godziny później dzwonią do drzwi jednej z największych willi w Thingwalli. Dom ten postawił pewien bogacz w połowie lat dwudziestych ubiegłego wieku, żeby – sądząc po rozmiarze – pomieścić w nim dużą rodzinę i służbę. Dwie plajty i sześćdziesiąt lat później budynek zaczął popadać w ruinę, stając się na długo plamą wstydu w eleganckiej poza tym okolicy. Przez lata spekulanci przychodzili i wycofywali się, gdy uświadomili sobie, ile wymaga to wszystko pracy. Dlatego Kore i Eirik niepokojąco łatwo wygrali konkurs składania ofert i niemal za drugie tyle wymienili instalację elektryczną oraz rury z wodą i kanalizacją.

Ku rozczarowaniu sąsiadów na odrapaną fasadę nie da się nic zaradzić przed rozpoczęciem wiosny. Wystrój z kolei przeszedł

totalną metamorfozę. Wybito ściany na piętrze, co przemieniło sześć sypialni normalnej wielkości w połowę tej liczby, ale dwukrotnie bardziej przestronnych, każda z luksusową łazienką. Na parterze wskutek zburzenia ścian powstał strumień otwartych przestrzeni, tak wielkich, stwierdza Karen, że czarny fortepian stojący w kącie nie wydaje się dużo większy niż musze gówienko.

I podobnie jak para gospodarzy zdaje się pochodzić z różnych uniwersów, tak wyposażenie domu różni się znacząco między piętrem a parterem, aż trudno uwierzyć, że cały ten dom jest zamieszkały przez dwie te same osoby. Sypialnie na górze naznaczył konwencjonalny gust Eirika, na parterze zaś zapędy Korego noszą wyraźne piętno designu industrialnego. Zamiast gładzi i tapet pozostawiono leżące pod spodem czerwone ceglane ściany, stalowe belki, które dołożono, żeby podeprzeć budynek – Kore nalegał, aby wyburzyć ściany nośne – stały się integralną częścią wnętrza, stół masarski ze stali nierdzewnej służy za wysepkę kuchenną, stołem jadalnianym jest duży na dziesięć metrów kwadratowych stół z dębowych desek, dwanaście krzeseł dookoła wykuto ze stali, ale są zadziwiająco wygodne dzięki białym i szarym owczym skórom.

– Pierwsza część wieczoru należy do mnie – powiedział Eirik, zapraszając. – Potem Kore przejmuje dowodzenie i ja nie przykładam ręki do tego, co się będzie działo przez resztę nocy.

Tak to sobie obmyślili, stwierdza Karen, kiedy siada na jednej z owczych skór i przygląda się nakryciom. Zamiast szukać kompromisu między różnymi upodobaniami, pilnują, żeby obaj dostali to, czego chcą. Eirik – swoją tradycyjną sylwestrową popijawę ze złożonymi elegancko serwetkami i odziedziczonym adamszkowym obrusem, który przykrywa surowe dębowe deski. Na skos przez stół biegnie kunsztownie ułożony bukiet białych lilii i róż, którego zrobienie zajęło prawdopodobnie wiele godzin nawet tak świetnie wyszkolonemu floryście jak on.

Ci, którzy tak jak Karen zasiedli tego wieczoru wokół stołu z pełnymi oczekiwań minami i w niewygodnych strojach, to dobrze jej znane twarze: Marie, Harald, Stella, Duncan, Aylin, Bo, Gordon i Brynn. Na prośbę Eirika obowiązują ciemne stroje wieczorowe,

Karen podejrzewa jednak, że część mężczyzn zdejmie krawaty, gdy tylko skończy się kolacja.

Wydaje się zestresowany, myśli Karen, przyglądając się rumianym policzkom Eirika, kiedy na stół wjeżdżają przystawki, a on wznosi kieliszek w toaście powitalnym.

– To pierwsze z wielu przyjęć, które mamy zamiar zorganizować w tym domu, i chcieliśmy zacząć od zaproszenia swoich zdecydowanie najbliższych przyjaciół – mówi.

– Ale niestety coś im wypadło i dlatego zaprosiliśmy was – wcina się Kore.

Rzuciwszy mu lekko poirytowane spojrzenie, Eirik mimowolnie przyłącza się do śmiechów i kolacja się rozpoczyna.

Tak jak można się było spodziewać, jedzenie okazuje się konwencjonalnie, ale zarazem wyszukanie smaczne. Suflet serowy przypomina letni obłoczek, zapiekany homar komponuje się harmonijnie ze śmietaną, estragonem i koniakiem, panna cotta rozkosznie się trzęsie i ma słonecznie żółty kolor od szafranu. Serwowany szampan jest wytrawny, zimny i naprawdę leje się strumieniami, a nastrój podnosi się niczym rtęć w termometrze z każdą nowo otwartą butelką. Wydaje się, że nawet Aylin podoba się ten wieczór, chociaż jej uśmiech gaśnie, gdy jej mąż Bo pochyla się do niej i coś szepcze jej do ucha.

Karen myśli o tym, co Marike powiedziała kilka tygodni temu.

– Myślę, że ją bije. Aylin zamyka się w domu. Kiedy ostatnio poszła z nami na wino?

Karen protestowała. Aylin i Bo wciąż mieli małe dzieci, więc nie mogła z nimi tak często wychodzić jak kiedyś. Mimo to zapytała przyjaciółkę wprost. Podjechała do niej pewnego dnia, kiedy – jak wiedziała – Bo nie było w domu, i zapytała. W odpowiedzi usłyszała śmiech. Oczywiście, odparła Aylin, Bo bywa gwałtowny i czasem męczący, ale jasne, że jej nie bije.

Oczywiście, że nie.

Ale jako jedyna kobieta podczas tego eleganckiego wieczoru Aylin ma sukienkę z długimi rękawami, która sięga jej wysoko pod szyję. Karen przenosi wzrok z przyjaciółki na jej męża. Bo, który właśnie dostrzegł jej zamyśloną minę, podnosi kieliszek do toastu.



– *Gottjer*, Karen, szczęśliwego nowego roku – mówi, patrząc jej prosto w oczy. – Nie siedzisz tu chyba i nie zadręczasz się myślami w taki wieczór jak ten? To naprawdę byłoby głupie.

– Spadaj do diabła – odpowiadają jej usta bezgłośnie i też podnosi kieliszek do toastu, ale nie spełnia go.

Reszta wieczoru należy do Korego.

Nie zdążą nawet porządnie przełknąć kawy, a już w całym domu roi się od ludzi. Sonaty na pianinie, które stanowiły muzyczny podkład kolacji, cichną w chwili, gdy zegar wybija dziesiątą. Już minutę później rozlega się z głośników ogłuszająca muzyka rockowa i w salonie zaczynają się tańce. Karen widzi, jak Aylin, śmiejąc się, usiłuje odmówić jakiemuś mężczyźnie, który nalega, by pozwoliła mu ze sobą zatańczyć. W końcu daje za wygraną i idzie z nim na parkiet, wykonując przy tym zrezygnowany gest w stronę Bo. Ten nie wydaje się zadowolony.

Najwyraźniej będzie muzyka na żywo, stwierdza Karen, przyglądając się małej scenie wzniesionej na jednym z końców ogromnego parteru. Stoją na niej perkusja ze wzmacniaczem, kontrabas i dwa stanowiska z gitarami półakustycznymi.

W domu nie pali się ani jedna żarówka, nawet w kuchni czy w którejś z dwóch łazienek. Jedyne źródło światła w dużej willi stanowi migotanie kilku tuzinów dużych świeczników, przez co zdaje się, że ceglane ściany płoną. Karen podejrzewa, że normalne światło pewnie ujawniłoby to, czego nie powinna zobaczyć. Kiedy stojący przed nią w kolejce mężczyzna wreszcie wychodzi z toalety, wykonuje szybki ruch palcem pod nosem. A gdy nadchodzi jej kolej, Karen tłumii odruch, żeby przejechać palcami po opuszczonej desce klozetowej. Woli nie wiedzieć.

W ogrodzie, za podświetlonym kontuarem, stoi dwóch młodych chłopaków w starych futrach z owczej skóry i rękawicach z obciętymi czubkami palców, mieszają drinki, podczas gdy każdy wydech zalega wokół ich ust niczym kłęby dymu. Dzięki dużym stojakom z promiennikami udało się stworzyć wystarczająco łagodny klimat, żeby niektórzy zostali przy barze, zamiast od razu wdrapywać się z drinkami z powrotem do domu.

Karen zna wielu gości. Na niektórych wpadała już kiedyś, odwiedzając Korego w firmie muzycznej, KGB Production, której

przyjaciel – wraz ze szwedzko-doggerlandzkimi braćmi Gordonem i Brynnem Englundami – jest współwłaścicielem. Innych mgliście poznaje ze stron plotkarskich, stron poświęconych kulturze i z telewizji. Głównie muzycy, ale też para aktorów: kobieta dostała ostatnio rolę w hollywoodzkiej produkcji, a mężczyzna od kilku lat w ogóle nigdzie nie grał. Wschodząca gwiazda stoi otoczona wielbicielami i lekko odchyła głowę, gdy się głośno śmieje. Według prasy plotkarskiej ich małżeństwo przechodzi trzęsienie ziemi i sądząc po spojrzeniu, jakie posyła kobiecie mężczyzna, Karen wnioskuje, że pogłoski te mogą być prawdziwe.

Podchodzi do jednego z mężczyzn w futrach, zamawia dzin z tonikiem i czekając, odwraca się tyłem do baru. Aylin i Bo idą w stronę dalszego krańca dużego ogrodu. Bo mocno trzyma żonę za ramię, ale puszcza chwyt, gdy dostrzega, że Karen się im przygląda. Zatrzymują się i zdaje się, że o czymś rozmawiają. Bo krąży wzrokiem między kontuarzem a Aylin, ta słucha go z pochyloną głową. Karen odwraca się, ale dalej obserwuje ich kątem oka. Po kilku minutach wracają do środka. Bo trzyma teraz rękę na ramieniu żony i uśmiecha się, gdy mijają Karen. Aylin odwraca głowę w przeciwną stronę.

Kawałek dalej przy długim kontuarze Gordon, Brynn i Kore stoją w towarzystwie nowo przybyłych gości. Karen traci mowę, gdy widzi, kto to. Najwyraźniej w spekulacjach mediów było więcej prawdy, niż Kore chciał przyznać. Wygląda na to, że zespół z Los Angeles, który dwa lata wcześniej królował na listach przebojów, zdecydował się nagrać nowy album w KGB Production. Minęło wiele lat, odkąd Karen była na bieżąco z nowościami z branży muzycznej, ale nawet ona zna Jasona Lavara. Tatuaze, pokrywające ogoloną głowę piosenkarza, ciągną się wokół oczu aż do połowy policzka i wykluczają pomyłkę. W zasadzie Karen nie jest zdziwiona; przez ostatnie trzy, cztery lata coraz więcej zagranicznych artystów zgłaszało się do peryferyjnej firmy producenckiej, mającej w kolekcji swoich zdobyczy coraz więcej hitów. To te sukcesy doprowadziły do tego, że Korego i Eirika było stać na zakup jednej z największych willi i urządzenie jej dokładnie tak, jak chcieli.

Najdyskretniej, jak tylko może, Karen zerka na Jasona Lavara i stwierdza, że jest dużo niższy, niż to sobie wyobrażała, ale roztacza

wokół wyraźną aurę.

– *Star struck*?

Wzdryga się na ten wysoki głos i podmuch ciepłego oddechu na karku, po czym gwałtownie się odwraca. Leo Friis unosi butelkę IPA i stuka nią w jej kieliszek, znacząco się uśmiechając.

– Na twój widok? Trochę chyba minęło, odkąd byłeś gwiazdą? – mówi z udawanym zdziwieniem.

Chwilę później żałuje tych słów. O tym, że Leo Friis był frontmanem w The Clamp, nigdy nie rozmawiali. Oczywiście słyszała o międzynarodowych sukcesach doggerlandzkiego zespołu, mimo że w tamtych czasach mieszkała w Londynie i miała inne rzeczy na głowie. The Clamp nie sposób było przeoczyć, nawet gdyby chciała.

Umknął jej z kolei nagły koniec, wieści o rozpadzie i doniesienia o nagłym zniknięciu Leo Friisa. Od jednej potwornej chwili tamtego grudniowego dnia, gdy jej własne życie rozpadło się na kawałki, umknęło jej wszystko, co działo się dookoła. Gdy powróciła do świata żywych, spekulacje na temat tego, co się stało z Leo Friisem, dawno już przestały budzić zainteresowanie mediów. I długo trwało, zanim dotarło do niej, że ten brudny kloszard, którego spotkała przy okazji śledztwa, to *ten* Leo Friis.

Nigdy nie zgłębiała, co się właściwie z nim działo, odkąd zniknął ze sceny i zanim wrócił do Doggerlandu. Teraz ma dach nad głową w jej budynku gospodarczym i wedle tego, co sam mówi – i co ona sama może ocenić – jest czysty od używek cięższych niż alkohol. A dzięki pośrednictwu Korego dostał kilka małych fuch jako muzyk studyjny i może się obecnie dorzucić do czynszu i utrzymania. To, co miało być tymczasowym rozwiązaniem – tak jak wiele innych rzeczy w życiu Karen – stało się czymś zupełnie innym, niż planowała.

– *Touché* – mówi teraz Leo i uśmiecha się jednym kącikiem ust. – Czego życzysz sobie w nowym roku? To znaczy poza tym, żebym się wyprowadził.

Podaje jej paczkę papierosów i Karen bierze jednego.

– Czy mówiłam coś takiego?

– Może nie słowami, ale umiem rozpoznać po wyglądzie rozdrażnioną babę. Zdradził cię ten wyraz twarzy: taki zając

w świetle reflektorów skrzyżowany z szympansem za kratami.

– Uroczo.

– Problem w tym – ciągnie Leo – że co drugi dzień wyglądasz jednak jak zadowolony prosiak. Gdyby nie to, wyprowadziłbym się już dawno temu.

Karen prychna.

– Niby dokąd? Z powrotem pod rampę rozładunkową w Nyhamnen?

Leo wzrusza ramionami.

– Coś znajdę. Poważnie, Karen, jeśli naprawdę chcesz, żebym...

Rozkłada ręce i milknie. Karen otwiera usta, ale zaraz je zamyka. Milczą tak, przestępując w zimnie z nogi na nogę i dopalając papierosy.

I dobrze, niech się wyprowadzi, myśli. Niech tylko zniknie z mojego życia równie szybko, jak się pojawił.

– Wchodzimy? – pyta Leo i gasi papierosa w śniegu.

Nic nie zostało powiedziane, mimo to Karen wie. Jeśli teraz czegoś nie powiem, nie będzie go następnym razem, gdy wrócę do domu, myśli. Znów będzie jak zawsze. Znów będzie miała cały dom dla siebie. Komfortowy i spokojny. I cichy.

Jeszcze się nie zdecydowawszy, Karen słyszy swój własny głos:

– Nie ma sprawy, możesz zostać.

Ale Leo zdążył się odwrócić, żeby wejść do środka, i już jej nie słyszy.

Na samym początku czuje woń dywanu. Mdły, zakurzony podmuch wełny, który wdziera się do ust i nozdrzy. Dobrze znany zapach troski i spokoju, nierzeczywistego spokoju po burzy. A później ta świadomość, że nie istnieje żadne potem. Nie ma czasu, żeby odetchnąć, żadnej spokojnej zatoki czy portu, dokąd można by wpłynąć, nie ma czasu, żeby odzyskać siły i poskładać to, co się popsuło. Żadnego później, tylko wcześniej. Tylko ta zwodnicza cisza, która panuje, nim kościelne dzwony zaczną przestrzegać przed kolejnym sztormem. Może do następnego razu minie kilka dni, a nawet tygodni.

A może kilka godzin.

Nie otwiera oczu, nasłuchuje. Wstrzymuje oddech i prosi, żeby nie dane jej było usłyszeć, jak któreś z dzieci otwiera drzwi do swojego pokoju. Jednak jedyny dźwięk, jaki dochodzi z piętra, to ten, który sprawia, że jej serce przestaje tak szybko walić. Bo Ramnes zostawił otwarte drzwi do sypialni, a jego głośne chrapnięcia świadczą o tym, że będzie długo spał.

Puch włochatego dywanu gryzie ją w policzek i Aylin otwiera jedno oko. Zimowa ciemność za oknem nic jej nie mówi; równie dobrze może być środek nocy co wpół do ósmej rano. W każdej chwili dzieci mogą zbiec po schodach i zacząć domagać się śniadania. Potem jej wzrok zatrzymuje się na elektronicznych cyfrach odtwarzacza DVD: 04:43, dopiero teraz uświadamia sobie, że zbyt długo wstrzymywała oddech i wzrok w jednym oku zrobił się zamglony. Aylin powoli wypuszcza powietrze i bierze kolejny oddech. Teraz pojawia się ból.

Ostrożnie siadając, z wprawą wykonuje kolejne najważniejsze ruchy: najpierw zaciska i otwiera dłoń, kręci nadgarstkami, zgina ręce w łokciach, porusza ramionami. Rwący ból w lewej łopatce i tradycyjne klucie z tyłu klatki piersiowej, ale zdaje się, że tym razem nic nie jest złamane. Czuje się tylko tak, jakby była cała

poobijana i obolała, nic gorszego. Jakby wpadła do włączonej betoniarki.

Kołysze nią, kiedy się podnosi, Aylin łapie się podłokietnika sofy. Poduszki zostały zrzucone na podłogę, jedna na oparciu kanapy się przewróciła. Aylin poprawia ją i znajduje majtki. Potem idzie do kuchni, wrzuca je do worka pod zlewem, przystaje i wciska je głębiej w śmieci, brązowy zużyty filtr do kawy układa tak, żeby nie było ich widać. Wie, że Bo się wścieknie, jeśli zobaczy, że je wyrzuciła. Wie jednak, że nigdy więcej nie da rady ich na siebie założyć. On ma rację, myśli sobie, problem polega właśnie na tym, że nie robię tak, jak mówi.

Na odgłos z piętra Aylin sztywnieje. Dobry Boże, proszę cię, niech to tylko nie będzie żadne z dzieci, jeszcze nie, potrzebuję czasu. Instynktownie znów wstrzymuje oddech, w pełni naprężając wszystkie zmysły. Stoi tak, a odgłosy same się demaskują. Ciężkie kroki na drewnianej podłodze, nie Tyry, nie Mikkela. Jego. Słyszy, jak otwiera drzwi łazienki, szum toalety, Aylin zamyka oczy i znów się modli. Dobry Boże, niech on tylko nie zejdzie, nie dam już rady. Nie teraz. Puszczą zlewozmywak dopiero pięć minut później, gdy z piętra znów dochodzi chrapanie. Głębokie chrapanie na kacu.

Pięć dni. Tylko pięć dni tym razem. Kiedyś między wybuchami mijały nawet tygodnie, na początku miesiące. Miała czas na rekonwalescencję, czas na zamaskowanie. Miała czasu w bród, żeby znaleźć jakieś wytłumaczenie na siniaki i połamane zębra. Nie coś w stylu, że wpadła na drzwi czy poślizgnęła się na schodach. Coś takiego ściągało tylko podejrzenia. Sprawdzał się lód na ulicy, na czymś takim faktycznie można się poślizgnąć. Śliska podłoga w łazience. Ale tylko raz. A ona dzielnie pamiętała, co komu mówiła. Dzielnie zmyślała i nie powtarzała tego nigdy dwa razy. Dzielnie to ukrywała. Kupowała podkłady maskujące w różnych odcieniach, nauczyła się zmieniać pękniętą wargę w opryszczkę, nauczyła się, który odcień kamufluje fioletowe i zielone sińce, który najlepiej ukrywa żółte pozostałości. Myślała, że się też starannie ubiera. Ale była głupia.

Marika się domyślała. Napomknęła coś wiosną o chodzeniu w środku majowych upałów z długim rękawem i zapiętą pod samą szyję. Kilka tygodni później Karen zapytała wprost. Później Aylin

życzyła sobie, żeby wtedy, w odpowiedzi na to pytanie, nie parsknęła aż tak przekonująco beztróskim śmiechem. Czuła, jak ten śmiech odpędza rzucone koło ratunkowe poza jej zasięg. A może to ona sama je odpędziła? I myślała, że odtąd jest kimś innym. Dokonała wyboru, już za późno, żeby się cofnąć.

I on ma rację. Nie ze wszystkim, ale z tym, co dla niej coś znaczy. Dał jej to, czego tylko zapragnęła, to, czego bez niego nigdy by nie miała. Tyrę i Mikkela. Wykrzyczał to tak głośno, aż się bała, że dzieci się obudzą. Zaczęło się, gdy tylko taksówka zabrała opiekunkę.

– Beze mnie nic byś nie miała. Byłabyś nikim. Słyszysz, nikim. I tak mi dziękujesz? Zachowując się jak pierdolona dziwka?

Próbowała, chociaż od dawna nie miała już w zwyczaju tego robić. Głupota, jasne, ale może sama nie była do końca trzeźwa. Zapewne dlatego. Powiedziała, że przecież byli na przyjęciu, a to był tylko jeden taniec, że naprawdę starała się odmówić, ale nie chciała robić scen i psuć atmosfery. Nie w domu Korego i Eirika. Nie w sylwestra, kiedy wszyscy byli tacy weseli, kiedy wszyscy inni tańczyli. Tak powiedziała.

Co za głupota z jej strony.

On nie był w stanie kontrolować się na tyle długo, żeby zaprowadzić ją do sypialni. Tym razem żadnej zagłuszającej muzyki. Przez ten niepokój o to, że dzieci się obudzą, ból zdawał się odległy, cały czas nasłuchiwała hałasów z piętra. Ledwie czuła uderzenia, rozkojarzona zarejestrowała jedynie, kiedy w nią wszedł i kiedy poczuła ulgę, że to już koniec.

Dzieci o niczym nie wiedzą, myśli, napełniając szklanke wodą. Pije spokojnie i przełyka kulę w gardle. Jeszcze są za małe, żeby rozumieć, co się dzieje. Potem Aylin myśli o tym, że musi się umyć, tak cicho, żeby nie zakłócić jego snu. Musi położyć się obok niego w sypialni, być na swoim miejscu, kiedy się obudzi. Pocieszyć go, gdy dopadną go lęki, pokazać, że nic głupiego nie przyszło jej do głowy.

Aylin Ramnes ostrożnie odstawia szklanke do zlewu i wychodzi do przedpokoju. Ledwie stawia stopę na najniższym stopniu schodów, a już wie, że wszystko się zmieniło.



Biały miś z owczej skóry z czerwonymi poduszczkami na łapkach i w niebieskich ogrodniczkach siedzi oparty o poręcz. Wygląda niemal tak, jakby sam tutaj przyszedł i usiadł. Miś Tyry, którego nigdy by nie zostawiła, nie dobrowolnie. Tylko wtedy, gdy zobaczyłaby coś, co tak by ją przestraszyło, że zapomniałaby go zabrać. Aylin już to wie, jeszcze zanim odkrywa małą kałużę moczu na najwyższym stopniu.

– *Fy för helvede* – klnie po duńsku Marike i kładzie czoło na stole.

Karen nalewa im kawy do kubków, kliknięciem wyłącza ekspres i odstawia z powrotem dzbanek.

– Wypij to – mówi i rozpuszcza tabletkę musującą w szklance wody. – Zjesz kanapkę, napijesz się trochę kawy i od razu poczujesz się lepiej.

– Nigdy więcej ani kropelki alkoholu – odpowiada niemrawo Marike i opróżnia szklankę w czterech haustach.

– Oczywiście, że nie – potwierdza Karen i rozpuszcza w szklance jeszcze jedną tabletkę na ból głowy. Tym razem sama opróżnia jej zawartość, trochę się krzywi na cierpki smak i wyciera sobie usta wewnętrzną stroną dłoni.

– Która godzina?

– Wpół do dziesiątej.

Marike wzdycha i sięga po mleko.

Znów zapada cisza. Słyszać jedynie odgłos przeżuwiających szczęk; uporczywe mielenie i ciche porozumienie, że wszelkie konwersacje są chwilowo zbędne. Zamiast tego przechodzą w myślach przez zdarzenia z wczorajszego wieczoru. Karen zaczyna od końca. Kwadrans po trzeciej przyjechała po nie taksówka. Kiedy Karen płaciła, Marike – która po tym, jak udało się jej jakimś cudem ściągnąć buty na wysokich obcasach, w zrolowanych rajstopach kroczyła przez dziesięciocentymetrową warstwę śniegu – zdążyła się położyć na chodniku. W ostatniej chwili Karen zatrzymała samochód i zgarnęła z podłogi niedawno kupione szpilki Louboutina, potem taksówkarz odjechał z piskiem.

Jej samej też się mocno plątały nogi – ale mimo wszystko trochę mniej – i zdołała wepchnąć Marike do atelier. Teraz Karen czuje, jak rwie ją kolano, prawdopodobnie ma też ogromne pęcherze na palcach. Czy ona tańczyła? Nie, myśli, ja nie tańczę, nie tańczyłam od ponad dziesięciu lat. Potem sobie przypomina. Tak, jasne, że

tańczyła. Z Brynnem, z Eirikiem. Ze zgorzkniałym aktorem, którego żona była u progu kariery w Hollywood. A potem z Leo.

Grał, teraz pamięta. Wbrew swojej woli, przekonał go Jason Lavar, który zaśpiewał kilka piosenek, gdy wybiła dwunasta, a później oświadczył, że w tym pomieszczeniu przebywa jego wielki idol Leo Friis. I zapytał ze sceny, czy Leo nie zrobiłby mu tego zaszczytu i nie wyszedłby na scenę, żeby zagrać kilku kawałków. Kore zaskoczony i zestresowany próbował to odkręcić, był rozdarty, bo chciał utrzymywać Jasona Lavara w dobrym nastroju i instynktownie chronić Leo, który wyraźnie powiedział, że nigdy więcej nie zamierza grać przed publicznością. Nie na arenie przed trzydziestoma tysiącami. Nie dla stu pięćdziesięciu osób w willi w Thingwalli. Jason Lavar był jednak głuchy na te sygnały.

I w końcu Leo wszedł niechętnie na scenę. Zdecydował się na to pójść, prawdopodobnie świadomy, że jeśli odmówi, ściągnie na siebie jeszcze większą uwagę. Karen widziała, jak trzęsły mu się dłonie, gdy zawieszał gitarę, widziała jego wzrok błędzący po sali, jakby w ostatniej chwili szukał ucieczki. Zając w świetle reflektorów, pomyślała. Tak jak on ją opisał.

Ale widziała też, jak stłumił lęk po połowie piosenki. Drganie jednego kącika ust w połowie następnego intro. Widziała jego ulgę, kiedy to wszystko się skończyło, kiedy zszedł ze sceny. Ale wcześniej coś innego. To też był Leo, myśli.

Później zaprosiła go do tańca.

– Muzycy nie tańczą – powiedział.

– Ja też nie. A tak w ogóle to możesz u mnie mieszkać, jeśli chcesz – dodała.

– Okej.

Teraz Marike sięga po dzbanek z kawą i stwierdza, że jest pusty. Z trudem podnosi się z krzesła, unosi naczynie z pytającą miną i w odpowiedzi otrzymuje ciche kiwnięcie głową. Żadna z nich nie ma siły mówić. Jeszcze nie. Kiedy po kolejnych dziesięciu minutach Marike nalewa świeżo parzoną kawę, obserwując nieobecny wzrok Karen, przerywa ciszę słowami:

– *Men för fanden*, prześpij się z nim i już!

Karen uderza kubkiem o przednie zęby.

– Dalej będziesz się pieprzyć tylko z facetami, którzy ci się nie podobają?

Wtem rozlega się dobrze znany sygnał. Wdzięczna za ten przerywnik Karen podrywa się gwałtownie, lokalizuje swoją torebkę na blacie kuchennym i wyciąga komórkę. Rzut okiem na wyświetlacz i nagle całkowicie przytomnieje.

– Cześć, Thorstein – mówi i z całą mocą uderza ją świadomość: ta rozmowa nie oznacza dobrych wieści. Głos Bylego jest spięty, północne spółgłoski tną ostro sieć telefoniczną.

– Cześć, Karen, przepraszam, że przeszkadzam. Obawiam się jednak, że będziesz musiała wrócić wcześniej, niż zakładałaś. Gabriel Stuub nie żyje. Został zamordowany.

Tym razem Karen Eiken Hornby nie wsiada do samochodu z poczuciem wolności. Świadomość, że w ogóle nie powinna prowadzić jeszcze przez co najmniej kilka godzin, sprawia, że mocno trzyma kierownicę i w równych odstępach czasu sprawdza prędkościomierz. Z wdzięcznością myśli o tym, że pierwszego dnia roku ruch jest niewielki i mimo obfitych opadów śniegu w ciągu ostatniej doby nie wydaje się, żeby było szczególnie ślisko.

Podnosi rękę i wacha się pod pachą. Nie miała czasu zajechać do Langevik i się spakować. Jediną szansą, żeby dostać się do Gudheim przed zmrokiem, było wyruszyć od razu w drogę samochodem zaparkowanym na ulicy przed atelier. Gdy tylko zakończyła rozmowę z Thorsteinem Bylem, wciągnęła na siebie te same ubrania, które miała, jadąc tu z Langevik wczoraj po południu. Dzięki Bogu strój sylwestrowy zabrała w torbie i przebrała się u Marike. Dżinsom, staremu T-shirtowi z nadrukiem Ramones i zdecydowanie za cienkiej zamkowej kurtce też jest daleko do idealnego wyposażenia komisarza kryminalnego, myśli i głośno wzdycha. Prawdopodobnie ma jeszcze pod oczami resztki wczorajszego makijażu, a w najgorszym razie złote konfetti we włosach, rozsypywano je, kiedy wybiła północ.

Marike – mimo swojego nędznego stanu – natychmiast i nie pytając, zorientowała się w sytuacji. Wyciągnęła parę zabłoconych gumowców i stary wełniany sweter, wrzuciła je do torby razem z puszką coli i nadgryzioną kanapką Karen w torebce foliowej. Więcej ubrań ani prowiantu nie było w atelier, ale Karen nie mogła czekać. Znów odezwały się wyrzuty sumienia. Dlaczego, do diabła, wzięła wolne? Oczywiście powinna była spędzić te dni na Noorö. Potem odzywa się jednak też inny głos, ten, którego woli w tej chwili słuchać: nic by to nie zmieniło, gdybyś tam została, nie byłaś jego ochroniarzem.

To ostatnie, co zaskakujące, niemal dokładnie słowo w słowo powtórzył jej szef, gdy udało się jej z nim skontaktować dwadzieścia minut później. Karen domyśla się, że tam, gdzie się znajduje, jest teraz późny wieczór, a w tle słychać krzyki i głośną muzykę. I choć Jounas Smeed wydaje się lekko podchmielony, kiedy odbiera, szybko bierze się w garść i słucha, nie przerywając.

– Okej – mówi. – W takim razie wiemy, czego się spodziewać. Poinformowałaś Brodala i Larsena?

– Dopiero co, są już w drodze. Obaj, rzecz jasna, wściekli jak cholera, w zasadzie Sören Larsen nawet bardziej.

– Pewnie skacowani – stwierdza bez emocji Smeed.

– Raczej sfrustrowani i zmęczeni. Nowy rok nie mógł się zacząć dla nich gorzej. Naprawdę musimy ściągnąć tym razem więcej techników, nawet jeśli trzeba będzie im zapłacić nadgodziny.

– Jak tylko skończymy, od razu zadzwonię do Vigga Haugena i poinformuję go o sytuacji – obiecuje Smeed. – A ty? Też jesteś sfrustrowana i zmęczona czy tylko na kacu? – dodaje.

Karen wzdycha. Jest przyzwyczajona do przeskoków swojego szefa od spoufalania się do despotyzmu, w zależności od tego, co mu w danej chwili lepiej służy. Karen widziała jego oba oblicza ze zdecydowanie zbyt bliska. Tym razem wydaje się, że Jounas Smeed naprawdę interesuje się jej samopoczuciem. Zapewne to drinki z parasolkami chwilowo utemperowały jego arogancję.

– Obawiam się, że wszystko naraz. Nie powinnam była jechać do domu na sylwestra, tylko zostać tam, na północy.

– Daj spokój – mówi surowo Smeed. – Twoim obowiązkiem jest wyjaśnianie przestępstw, nie zapobieganie im. Jesteś policjantką, nie prywatnym ochroniarzem.

Tylko nie mów tego Viggowi Haugenowi, myśli Karen. Naczelnik policji nie przepuści żadnej okazji, żeby zauważyć, że najważniejszym zadaniem policji jest właśnie prewencja.

Ma szczęście z promem. Za ledwie dwie minuty po tym, jak wjeżdża na pokład w Thorsvik, silniki idą w ruch. Niebo jest jednostajnie szare i przez spokojnie padający śnieg sylwetka Skalvet rozmywa się na brzegach. Tym razem jest zdecydowanie więcej samochodów na promie. Karen dolicza się czternastu sztuk poza własnym, ale zdaje

się, że nikt nie ma chęci opuszczać ich ciepłego wnętrza, by zaczerpnąć świeżego powietrza lub zapalić papierosa. Stwierdza, że niektórzy najwyraźniej korzystają z okazji, żeby uciąć sobie drzemkę. Wielu kierowców siedzi z zamkniętymi oczami, inni zaś są zajęci telefonami. Jedyne słyszalne dźwięki to stukot silników promu i pojedyncze, pełne nadziei krzyki mew. Wszystko zdaje się tu odarte z kolorów i ruchu. Niebo jest szare, morze jest szare, a widoczne życie poza samochodami to tylko kilka mew, które właśnie usiadły na relingu.

Karen włącza radio i stuka niecierpliwie palcami w kierownicę, gdy prom, stękając, przecina mozolnie skutą lodem wodę. Rzuca okiem na zegarek, a potem na komórkę. Wtem słyszy trójdzwięk z radia.

– Wybiła trzecia, czas na wiadomości. Dzisiaj przed południem koło gorzelni w Gudheim na Noorö znaleziono martwego trzydziestopięcioletniego mężczyznę. Thorstein Byle, naczelnik policji na Noorö, potwierdza, że zostało wszczęte postępowanie przygotowawcze, nie chce jednak zdradzić tożsamości ofiary ani przyczyny śmierci.

Spiker radiowy robi przerwę, a później ciągnie.

– Jak podano, wczorajsze powitanie nowego roku przebiegło w przeważającej części kraju względnie spokojnie, doszło do zaledwie kilku pojedynczych przypadków kłótni i rękoczynów. W Moerbecku, na północ od Dunkeru, zgłoszono awanturę z nożami, w której miało uczestniczyć pięcioro nastolatków. Dwie osoby odwieziono do szpitala, ale według naszych informacji ich życiu nie zagraża niebezpieczeństwo.

Karen zaczyna słuchać jednym uchem, kiedy spiker przechodzi do wypadku drogowego pod Ravenby i zdmuchniętego przez wiatr rusztowania koło domu wielorodzinnego w Lemdal, te zdarzenia także nie zagrażały nikomu życiu. Najwyraźniej tylko Gabriel Stuub nie miał wczoraj swojego anioła stróża.

– Teraz pogoda. Z zachodu zbliża się do nas rozległy niż, należy się spodziewać, że dzisiaj w nocy dotrze nad zachodnie rubieże kraju i nad Noorö. DIM przestrzega przed dużymi opadami śniegu i burzami na terenach wiejskich. Pogoda pogorszy się w ciągu jutrzejszego dnia, a później załamanie przesunie się dalej...

Ostrzeżenie burzowe. Oczywiście, jeszcze to, mamrocze głośno pod nosem Karen.

Tak, po Doggerlandzie o tej porze roku nie należy się raczej spodziewać nic innego i w normalnych okolicznościach Karen byłaby dobrze przygotowana. Wyłącza teraz radio i zastanawia się, co ją czeka. Mokre sneakersy albo co najmniej dwa numery za duże kalosze Marike. Na tym koniec jej możliwości wyboru. Później Karen – ubranej w wytarte dzinsy i wełniany sweter sięgający do kolan – zostaje już tylko wzbudzić szacunek u kolegów i przesłuchiwanym. Po wczorajszych idiotycznych ćwiczeniach tanecznych nasuwa ją kolano i od tego ćmi ją ból głowy. Zdecydowanie nie jest przygotowana ani na tę pogodę, ani na prowadzenie śledztwa w sprawie morderstwa.

Byle wydawał się zestresowany i Karen rozumie dlaczego. Śmierć Fredrika Stuuba nie wzbudziła większego poruszenia w mediach. Senny redaktor lokalnej gazety wprawdzie odezwał się wieczorem drugiego dnia świąt, ale kupił sugestie, że najpewniej chodzi tu o nieszczęśliwy wypadek, w którym starszy mężczyzna się wywrócił i zabił. Karen – wcale nie kłamiąc – podkreśliła podeszły wiek Stuuba i to, że spacerował po nieodpowiednim terenie, wszystko skończyło się na krótkiej notatce w internetowym wydaniu gazety. Ale tym, co naprawdę przyczyniło się wówczas do opieszałości mediów, był brak świadków, którzy zadzwoniliby i donieśli o zdarzeniu redaktorom.

Tym razem nie będzie równie lekko.

Raport Bylego nie pozostawiał wątpliwości co do jednego: w destylarni znajdowało się ponad dwadzieścia osób, kiedy znaleziono Gabriela Stuuba z poderżniętym gardłem.



Z lekkim wstrząsem prom dobija do brzegu. Samochody zaczynają w ślimaczym tempie zjeżdżać na ląd. Na rondzie, gdzie droga krajowa odchodzi na północ, Karen waha się przez chwilę. W końcu skręca w prawo i zatrzymuje się przed pubem. Zakwaterowanie się w Lysvik w tym samym miejscu co ostatnio, ponad sześćdziesiąt kilometrów od sceny niedawnych zdarzeń, jest wprawdzie dalekie od ideału, ale policjantka nie ma odwagi ryzykować. Tam, w Gudheim, zdecydowanie nie będzie miała czasu na szukanie kwatery.

Dziesięć minut później Ellen Jensen potwierdza, że pokój jest wolny, Karen może go wynająć. Stres dudni jej w uszach, gdy ponownie wsiada do samochodu i rzuca okiem na zegarek. Przy odrobinie szczęścia będzie na miejscu za godzinę, a za dwie zrobi się tu już zupełnie ciemno. Wyciąga rękę i grzebie w torbie. Cola kipi z puszki i piana zostawia jasnobrązowy strumyk między Tommym a Joeyem Ramone'ami. Karen bierze łyk ciepłego napoju i stara się oddychać głęboko. Wdech, wydech, wdech, wydech, wdech. Wtem uświadamia sobie, że nie ma czasu, do Gudheim jedzie się sześćdziesiąt minut, ale przy suchej nawierzchni.

Sięga po kanapkę, którą wrzuciła jej do torby Marike, bierze gryz i znów włącza silnik. Metodycznie zuje, zawracając w poprzek głównej ulicy, i jedzie z powrotem w stronę ronda. Pada teraz gęstszy śnieg i między ruchami wycieraczek osadza się na przedniej szybie jak biały welon. Przed wjazdem na drogę krajową Karen wzdycha, rzuciwszy okiem na tablicę:

GUDHEIM 63 KM.

Utrzymuje jednostajną prędkość, maksymalną, na jaką wystarcza jej odwagi. Wiatr wciąż jest stosunkowo łagodny i wprawdzie pada śnieg, ale nie zbił się jeszcze w wały. Trochę na południe od skrzyżowania na Skreby popsuł się jakiś samochód i Karen musiała zwolnić, aż korek wreszcie znów się rozładuje. Przez resztę trasy napotkała na drodze najwyżej tuzin samochodów jadących na południe i wymija

mniej więcej tyle samo zmierzających w przeciwnym kierunku. Połączenie kaca ze śniegiem najwyraźniej skłania ludzi do tego, żeby zostać w domu, myśli i zaraz gwałtownie hamuje, bo nagle dwie sarny wyskakują z rowu i przebiegają przez drogę. Z łomoczącym sercem Karen zwalnia jeszcze bardziej. Nie ma ochoty korzystać z przechowywanej w bagażniku siekiery, żeby dobić potrącone zwierzę.

Zdażył się już zrobić kwadrans po trzeciej, gdy dojeżdża do zawrotki i znaku informującego o końcu drogi krajowej. Tablica jest podzielona na trzy i obwieszcza różne możliwości:

GUDHEIMBY 1,2 KM

KAMIENIE W GUDHEIM 2 KM

DESTYLARNIA 0,6 KM

Pod najniższym drogowskim ktoś nabazgrał czarną farbą: *Bóg słucha modłów.*

Karen skręca w prawo na asfaltową drogę. Już po jakichś dwustu metrach widać gorzelnię, która wybija się na tle scenografii złożonej z samego nieba i morza. Przed obiektem wzdłuż niskiego muru stoją dwa zaparkowane samochody osobowe i furgonetka. Najszybciej, jak tylko się odważy, Karen mija je i skręca za bramą, otwiera okno i pokazuje odznakę policjantowi w mundurze. Ten salutuje i kieruje ją dalej w głąb posiadłości. W lusterku Karen widzi, jak dziennikarze wysiadają z samochodów i próbują przekabacić biednego posterunkowego, żeby ich wpuścił. Lub przynajmniej wypuścił kogoś, kto może z nimi porozmawiać. Karen udało się dostrzec na białej furgonetce logo DTV i dziennika „Kvellsposten” na zielonym saabie. Podejrzewa, że trzeci samochód należy do bardzo poirytowanego redaktora lokalnej gazety.

Mały parking jest pełen, jakieś dziesięć samochodów stoi rzędem na tym, co przez pół roku jest zapewne bujnym trawnikiem. Teraz zmrożone poletko gliny pokrywa dziesięciocentymetrowa warstwa śniegu. Karen pochyla się i wygląda przez przednią szybę. Musi się wysilić, by cokolwiek dostrzec. Śnieg wprawdzie robi swoje i oświetla ziemię, ale niebo jest szare i zapadł już zmrok, chociaż minie jeszcze dobra godzina, nim robi się całkiem ciemno. Trzy oznakowane żółto-czarne radiowozy, dalej Karen dostrzega volvo Bylego, ale wciąż ani śladu Kneoughta Brodala, Sörena Larsena ani

nikogo z białej furgonetki należącej do sekcji technicznej. Parkuje obok radiowozów, sięga do torby leżącej na siedzeniu pasażera i wyciąga zabłocone gumowce. Sweter musi zaczekać, myśli i zapina suwak zielonej zamszowej kurtki.

Ból promieniuje od kolana w stronę biodra, kiedy Karen ostrożnie grzęźnie w śniegu, idąc do głównego budynku. Przez wysokie okna pada na zewnątrz światło i już z daleka dostrzega kilku mężczyzn w pomarańczowożółtych kamizelkach, którzy przestępują z nogi na nogę, żeby się rozgrzać. Gdy tylko Karen wchodzi w pole światła, Thorstein Byle od razu ją zauważa i rusza jej na spotkanie.

– Wreszcie! – woła. – Tak, rozumiem, że przyjechałaś najszybciej, jak mogłaś. Jadłaś coś?

Karen ściska jego wyciągniętą rękę i kręci głową.

– Pół kanapki.

– W środku jest sporo jedzenia, mnóstwo resztek z wczorajszej imprezy. Możemy zacząć od tego, że coś wrzucisz na ząb, a jak będziesz jeść, ja ci opowiem, co wiemy.

– Gdzie są zwłoki?

– Mniej więcej pięćset metrów stąd, ale teren został odgrodzony i postawiłem na straży dwóch chłopaków. I tak nie możemy nic tam zrobić do przyjazdu lekarza sądowego i techników.

Karen przytakuje. Byle ma rację, a ona z pewnością nie zamierza potęgować jeszcze niezadowolenia Sörena Larsena, forsując teraz barykady, żeby zaspokoić swoją ciekawość.

– Brzmi nieźle – mówi. – Był tu Sven Andersén?

– Nie, nie tym razem. Nie ma raczej wątpliwości co do tego, co się stało, więc od razu zadzwoniłem do was. Poza tym Andersén jest chory i uznał, że wystarczy, jeśli poczekamy na przyjazd lekarza sądowego. Jak już mówiłem, facet ma poderżnięte gardło, nawet ja mogę to stwierdzić.

– Możemy tu gdzieś spokojnie porozmawiać?

– Tak, Grothowie byli bardzo życzliwi. Oddali nam do dyspozycji cały gabinet, w którym spotkaliśmy się z Williamem Trystem, gdy byliśmy tu ostatnio.

– A gdzie wszyscy się podziewają?

– Björn Groth mieszka z żoną w jednym skrzydle, a jego syn Jens ze swoją żoną w drugim. Są u siebie. Córka Björna, Madeleine, i jej

mąż mieszkają kawałek stąd, w Gudheimby.

– A inni goście? Mówiłeś coś o dużym przyjęciu sylwestrowym.

– Raczej o imprezie firmowej. Zatrzymali się w hotelu koło pola golfowego pół kilometra stąd. O ile można to w ogóle nazwać hotelem, jest to raczej zamknięty stary pensjonat. Ale moi ludzie mają go na oku i pilnują, żeby nikt nie wyjechał.

– Ilu nas jest?

– Łącznie na miejscu siedmiu chłopaków. To znaczy siedem osób, są dwie kobiety.

– Jak udało ci się zgromadzić aż taką brygadę?

– Zadzwońłem na komisariat w Thorsvik i w ramach posiłków przysłali mi trzy osoby. Inaczej niewiele byśmy zdziałali, grypa dotarła także tu, na północ.

– Dobrze – chwali Karen. – Bardzo dobrze, Thorstein, tak jak poprzednio. Wchodzimy?

Nie szukając gospodarzy, idą przez hall i dalsze pomieszczenia destylarni, mijają duże miedziane kadzie i docierają do ogromnego gabinetu Williama Trystego. Dwóch posterunkowych siedzi przy stole narad, podnoszą się natychmiast, gdy Karen zbliża się z Bylem, ocierają usta i oddają honory, dyskretnie przeżuając i starając się połknąć to, co mają w ustach.

– Nie przeszkadzajcie sobie – mówi pośpiesznie Karen i widzi, jak jeden z nich posyła szybkie spojrzenie na jej kalosze i zniszczone dzinsy, zanim znów siada przy stole.

Byle nie przesadzał, stwierdza Karen. Jeśli to są resztki z imprezy dla pracowników, to Grothowie nie poskąpili na tego sylwestra. Stół konferencyjny aż się ugina pod dużymi półmiskami wędlin, serów, pasztetów i owoców morza. W jednym krańcu stoją kosze z różnymi rodzajami pieczywa i butelkami z wodą mineralną i niskoprocentowym piwem oraz dwa ogromne termosy.

Karen zaopatruje się w pełen talerz różnych delikatesów i dwie butelki wody mineralnej, a Thorstein Byle zajmuje miejsce na skórzanej sofie na drugim końcu gabinetu. Kiedy Karen do niego dołącza, Byle kiwa głową w stronę posterunkowych, którzy nadal siedzą cicho i przeżuwiają z nieobecny wzrokiem.

– Mogą tu zostać czy chcesz, żeby ich wyprosił?

– Nie sędzę, żeby słyszeli, o czym będziemy tutaj rozmawiać, nawet gdyby się przebudzili – mówi Karen i smaruje masłem kromkę ciemnego pieczywa. Wkłada do ust kawałek pasztetu jagnięcego i przelewa wodę mineralną do szklanki. Potem wyciąga notatnik i kładzie go obok talerza na szklanym stoliku obok sofy.

– Opowiedz mi teraz – prosi.

I Byle to robi.

Opowiada o tym, że destylarnia whisky Grotha urządziła przyjęcie sylwestrowe, na które zaproszono wszystkich pracowników z osobami towarzyszącymi. Miał to być rodzaj *kick off* przed rozległą ekspansją w nowym roku. Poza Björnem i Laurą Grothami, ich dwojgiem dzieci, Jensem i Madeleine z małżonkami i Williamem Trystem z żoną towarzystwo składało się z jedenastu współpracowników i sześciu osób towarzyszących. Łącznie było więc dwadzieścia pięć osób, z czego dwadzieścia jeden znajdowało się tu na miejscu, gdy wybiła północ. Dwie pary oddaliły się wcześniej. Z tego, co dotąd ustalono, w jednym przypadku powodem był telefon od opiekunki, która niepokoiła się, że dopadła ją grypa, w drugim żona jednego z pracowników słodowni przesadziła z trunkami i dlatego opuściła z mężem imprezę. Żona Williama Trystego, Helena, nie piła i odjechali do domu tuż przed pierwszą. W ich samochodzie siedziała wtedy także sekretarka Eva Framnes, którą podrzucili do Skreby. Córka gospodarzy Madeleine i jej mąż Elias opuścili przyjęcie o wpół do drugiej, reszta rodziny spędziła noc w swoich mieszkaniach na tym obiekcie. Pozostali goście nocowali w „hotelu” koło pola golfowego. Tym razem Byle użył palców jako cudzysłowu, żeby podkreślić niski standard tego noclegu.

– Poza brygadzystą Bergvallem mowa o młodych facetach, którzy pracują przy produkcji i o kilku towarzyszących im dziewczynach.

Jak ustalono, impreza była udana, a nastrój wesoły. Grothowie nie poskąpili na jedzenie ani na picie czy fajerwerki. I zapewne dlatego nikt nie zwrócił uwagi na to, że jednego z gości brakuje. Dopiero przy śniadaniu ktoś skomentował, że nie widać jakoś Gabriela Stuuba, ale w powszechnej opinii zapewne odsypiał kaca. Dopiero ekipa sprzątająca, która przyjechała tu o wpół do dziesiątej i zaczęła uprzątać z płaskowyzu przepalone fajerwerki, puste butelki

po szampanie i inne śmieci, odkryła, że Gabriel Stuub wcale nie leży w pokoju i nie śpi. Młoda sprzątaczką, która chodziła wkoło z czarnym workiem na śmieci i zbierała puste butelki, w pierwszej chwili pomyślała, że leżący pod skarłowaciałą sosną mężczyzna uciał sobie drzemkę, i przestraszyła się, że mógł zamarznąć. Ale kiedy podeszła bliżej, zauważyła, że śnieg zabarwił się pod nim na czerwono, a jego szyja wyglądała tak jak u jeleni, które jej dziadek wieszał w komórcie na drewno na opał po jesiennym polowaniu.

– Okej – mówi Karen, wysłuchawszy do końca opowieści Bylego.

– A więc część gości wciąż przebywa w hotelu. Nie będziemy mogli zatrzymać ich tu na jeszcze jedną noc.

– Nie, rozmawiałem właśnie z Rösem. Jest tam ze Svanemark i atmosfera najwyraźniej zaczęła się robić naprawdę nerwowa.

– Nie zaczęliście jeszcze przesłuchiwać świadków?

Byle wygląda na zafrasowanego.

– Zebraliśmy tylko dane kontaktowe. Chciałem poczekać na twój przyjazd, żeby nie było później żadnych problemów. Zrozumiałem, że nasza rola polega głównie na pilnowaniu.

Karen wzdycha w duszy. Taka jest wada tego, że scentralizowany Wydział Kryminalny kieruje wszystkimi śledztwami, kiedy w grę wchodzi ciężkie przestępstwa: odbieracie wszelką odpowiedzialność i uprawnienia, a w rezultacie otrzymacie podszytych lękiem współpracowników, którzy ledwie się wazą stawiać stopę przed stopą.

– I to załatwiłeś, więc teraz masz powód do dumy – mówi. – Jedna rzecz tylko, Thorstein.

Karen robi przerwę i szuka właściwych słów. „Nie bądź tak cholernie pasywny”, myśli. Na głos mówi jednak:

– Nie będę psioczyć, jeśli wykażesz trochę własnej inicjatywy, o ile tylko będzie ona zgodna ze zdrowym rozsądkiem i policyjnymi standardami. Jesteś doświadczonym policjantem i potrzebuję twojej pomocy. Okej?

– Okej.

– Dopilnuj więc, żeby twoi ludzie zebrali podstawowe zeznania od świadków, a potem niech puszczą ich do domów. Chcę wiedzieć, kiedy każdy z nich po raz ostatni widział Gabriela Stuuba i czy podczas tego wieczoru dochodziło do jakichś sprzeczek. Poza tym

chciałabym, żebyśmy zadawali otwarte pytania o Gabriela i dali każdemu szansę na wniesienie jakiegoś spostrzeżenia na temat tego, co działo się wieczorem. I trzeba jeszcze pobrać od wszystkich próbki DNA.

– Jasne. Poproszę, żeby od razu się do tego zabrali. Ale muszę mieć kogoś do pilnowania miejsca znalezienia zwłok i stania przy wjeździe. Siedmiu ludzi nie wystarczy na długo.

Karen kiwa głową.

– Nie, to zajmie trochę czasu. Sama załatwię na początek rodzinę Grothów, w zasadzie potrzebnych by mi było przynajmniej dwóch...

W tym momencie od progu dobiega dobrze znany jej głos.

– Ach tak, Eiken – mówi Karl Björken. – Siedzisz sobie tutaj i się obżerasz. A ja myślałem, że mamy na głowie śledztwo w sprawie morderstwa.

Na widok wysokiego ciemnowłosego mężczyzny, który zdaje się wypełniać cały otwór drzwiowy, Karen odczuwa przytłaczającą ulgę i musi się powstrzymać, żeby go nie wyściskać.

Przedstawivszy się sobie, naczelnik policji na Noorö Thorstein Byle i komisarz kryminalny Karl Björken z Wydziału Kryminalnego ustalają z Karen, że Byle przyłączy się do kolegów w pensjonacie, a Karen i Björken podzielą się wstępnymi przesłuchaniami członków rodziny Grothów.

– Najpierw jednak chciałabym zobaczyć Stuuba. Dlaczego, do cholery, Sören i Kneought jeszcze tu nie przyjechali? – mówi poirytowana Karen.

– Wyluzuj, Eiken – uspokaja ją Karl Björken i podkrada jej z talerza kawałek szynki serrano. – Przy płynęli tym samym promem co ja. Pewnie od razu udali się na miejsce znalezienia zwłok.

Kiedy Karen i Björken idą tam, gdzie odkryto ciało Gabriela Stuuba, Karen relacjonuje to, czego sama się właśnie dowiedziała od Bylego, a później krótko podsumowuje śmierć Fredrika Stuuba.

– Sporo się już o tym naczytałem – mówi Karl. – Smeed przesłał mi mailem twoje raporty i przejrzałem je na promie. Niezbyt przyjemna lektura...

Karen patrzy na niego zdziwiona.

– Nie sądziłam, że jesteś tak wrażliwy.

– Chodziło mi o język. Zwykle nie wyrażasz się tak cholernie drętwo, prawie zasnąłem.

– Smeed ma to, na co zasługuje – odpowiada sucho Karen. – A właściwie jak ci się udało przyjechać tu tak szybko? Myślałam, że masz wolne i zajmujesz się dziećmi. Poza tym słyszałam, że zmogła cię grypa.

– Gorączka minęła wczoraj rano. Smeed zadzwonił do mnie od razu po rozmowie z tobą i spytał, czy mógłbym o kilka tygodni



przesunąć urlop ojcowski. Nie można powiedzieć, żeby musiał mnie długo przekonywać, bym wyrwał się z domu.

– Święta z rodziną?

– Tak, zarówno z Inger, jak i moją. A do tego trzeźwy sylwester. Ale widzę, że u ciebie było inaczej...

Karl Björken znacząco spogląda na jej strój.

– Zdajesz sobie sprawę, że masz masę jakiegoś błyszczącego gówna we włosach? Poza tym kulejesz – stwierdza po kolejnym spojrzaniu. – W zasadzie jak bardzo cię boli?

– Czasem w ogóle. W tej chwili potwornie. Mój błąd, wczoraj tańczyłam, i to jeszcze na wysokich obcasach, a człapanie w kaloszach też nie poprawia sprawy.

Zatrzymują się przy łopoczącej na wietrze biało-czerwonej taśmie. Dwa reflektory stoją już na swoim miejscu, a dwa kolejne są właśnie ustawiane w pozostałych rogach odgradzonego terenu. Tym razem Larsen dostał wsparcie, stwierdza Karen, przyglądając się pięciu mężczyznom w białych kombinezonach, którzy niosą ciężkie torby ze sprzętem. Sam Larsen zdaje się rozeźlony i skoncentrowany, kiedy instruuje jednego z posterunkowych, by ten lepiej nakierował światło.

Przy taśmie stoi z zaciętą miną jeszcze jeden dobry znajomy. Lekarz sądowy walczy z suwakiem, usiłując go zapiąć na pokaźnym brzuszysku; kiedy Karen się z nim wita, krzywi się tylko w odpowiedzi.

– Nie będziemy przeszkadzać wam w pracy – zapewnia go Karen.

– Chciałabym tylko wyrobić sobie pierwsze wrażenie o tym, jak to tu wyglądało.

Nie odpowiedziawszy, Kneought Brodal pochyla się z trudem, bierze czarną torbę, unosi taśmę policyjną i telepiąc się, odchodzi.

– Nasz mały promyczek – mówi Björken z drwiną. – Myślę, że stamtąd będzie lepiej widać.

Kiwa głową w stronę skałki po drugiej stronie odgradzonego terenu. Okrążywszy go, stwierdzają, że miał rację. Stąd wyraźnie widać ciało Stuuba. Leży na boku z podciągniętymi kolanami i rękami po bokach.

– Prawdopodobnie siedział oparty plecami o pień drzewa, kiedy ktoś podciął mu gardło. Potem przewrócił się na bok – mówi Karen,

osłaniając ręką oczy przed światłem reflektora.

– Albo osunął się na ziemię podczas cięcia. Nie, w zasadzie twoja teoria jest chyba słuszna. Musiał umrzeć błyskawicznie, inaczej jego ręce tak by nie leżały. Przypuszczam, że nie znaleźli jeszcze narzędzia.

Karen powoli kręci głową, wzrok ma utkwiony w ciele ofiary. Z grymasem wymalowanym na twarzy przygląda się Kneoughtowi Brodalowi, który z trudem klęka obok zwłok i rozpoczyna wstępne oględziny. Skoro był w złym humorze już wtedy, gdy musiał przyjechać tu po zabójstwie Fredrika Stuuba, teraz zapewne nic nie zdoła pohamować jego wściekłości.

– Nie – mówi. – Według Thorsteina Bylego koło ofiary nie było nic, co by wyglądało na narzędzie zbrodni, nie przypuszczam zresztą, byśmy je znaleźli – dodaje, kiwając głową w stronę występu skalnego. – Sekcja odbędzie się zapewne jutro rano – dodaje i niewypowiedziane pytanie sygnalizuje podniesieniem brwi i uśmiechem, który, jak ma nadzieję, wygląda niewinnie.

– A ty, rzecz jasna, chcesz, żebym przy niej był i żebyś sama mogła tego uniknąć? Życzysz sobie, żebym negocjował z Brodałem przy dźwiękach piły do kości?

– Chętnie, skoro tak wspaniałomyślnie to proponujesz – mówi szybko Karen. – Przechodziłam to kilka dni temu, wystarczy. Wracamy? Ja zacznę od Björna Grotha i jego żony, a ty możesz podjechać do ich córki Madeleine i jej męża. Podobno mieszkają w Gudheimby, jakieś pięć minut samochodem stąd. Spróbuję w tym czasie uciąć sobie też pierwszą pogawędkę z Jensem Grothem.

– A co z Williamem Trystem i jego żoną?

– Chyba będą musieli poczekać do jutra. Rozmowa z tym facetem trochę potrwa. Lubi rozvodzić się nad robieniem słodu i zacieru. Poza tym ma alibi na czas zabójstwa Fredrika Stuuba.

– A mamy pewność, że obie sprawy się ze sobą łączą?

– Wolę tak przyjąć na chwilę obecną.

Karen zaciska zęby z bólu, gdy w zdecydowanie za dużych butach niezdarnie schodzi ze skałki. Gdy tylko znajduje się na ziemi, wciska zmarznięte ręce do kieszeni kurtki i unosi ramiona, jakby dla ochrony przed zimnem. W tej chwili nie miałyby nic przeciwko porządnej whisky. Single malt, przechowywanej w beczce po sherry,

lub amerykański bourbon, wszystko jedno. Uszedłby każdy sikacz,  
byle rozgrzewał i uśmierzał ból.

Kiedy Karen puka do drzwi wschodniego skrzydła, gdzie mieści się prywatny apartament właścicieli, otwiera jej sam Björn Groth, w ręce trzyma dużą materiałową serwetkę. Tak samo jak jego syn, mężczyzna przed nią jest postawny, na granicy otyłości. Nie ma w nim jednak nic z krępej postury Jensa; każdy dodatkowy kilogram leży na wysokiej sylwetce Björna Grotha tak, że zdaje się pasować do jego imienia – *björn*, czyli niedźwiedź. Wrażenie to potęguje orzechowobrazowa czupryna, która – chociaż Björnowi ze sporym marginesem musiała stuknąć już sześćdziesiątka – nie zawiera nawet jednego siwego pasemka. Kontrast z pomarszczoną twarzą jest tak ostry, że Karen przez moment zastanawia się, czy Björn ma naturalny kolor włosów.

– Wcześniej nie daliśmy rady wrzucić nic na ząb – wyjaśnia mężczyzna. – Proszę wybaczyć, ale czy moglibyśmy skończyć podczas rozmowy? A może zechciałaby nam pani dotrzymać towarzystwa i również coś zjeść?

Odmówiwszy, Karen idzie za nim przez hall. Mimo sporej postury jest dużo gracji, niemal kokieteryjności w tym, jak Björn Groth się porusza. Pięty zdają się ledwie muskać ziemię i Karen przemienia śmiech w kasznięcie, gdy nachodzi ją obraz tańczącego niedźwiedzia. Docierają do pokoju z masywnym mahoniowym stołem i ośmioma dopasowanymi krzesłami, nad którymi góruje ogromny kryształowy żyrandol. Przy stole siedzi kobieta po sześćdziesiątce. Kiedy Björn i Karen stają w progu, kobieta natychmiast odstawia kieliszek czerwonego wina, który trzyma w ręce, podnosi się i idzie się przywitać.

– Laura Groth – mówi z uśmiechem i podaje Karen szczupłą dłoń.

– Witam, pani inspektor Eiken, prawda?

– W zasadzie to komisarz kryminalna. – Karen się uśmiecha. – Jeśli państwo chcą, mogę zaczekać, żeby skończyli państwo posiłek w spokoju.

– Już zjedliśmy – mówi Laura Groth, a Karen zwraca uwagę, jak Björn tęsknie zerka w stronę swojego opróżnionego do połowy talerza. Drobnutka kobieta w tweedowej spódnicy i wełnianym komplecie wypycha ich z jadalni z zadziwiającą skutecznością, nie będąc przy tym ani odrobinę nieuprzejma.

– To przejdźmy może do salonu – mówi. – Tam będzie dużo wygodniej. Czy mój mąż pytał, czy czegoś się pani napije? Może kawy? Albo filiżankę herbaty? Hmm, nie ma chyba sensu proponować nic mocniejszego?

– Niestety nie.

– To może innym razem.

„Salon” okazuje się pokojem dziennym z kanapami w kolorze zbożowym i imponującą kolekcją sztuki współczesnej na ścianach, reszta wyposażenia wygląda z kolei na koniec wieku dziewiętnastego. Małżeństwo Grothów poszło na kilka ustępstw, myśli Karen, rozglądając się, ale zdaje się, że większość rzeczy zachowano tu z czasów, gdy wzniesiono ten budynek. Architektura oddaje tego samego ducha przełomu wieków co gabinet Williama Trystego w gorzelni.

Siadają. Państwo Grothowie na jednej z dwóch kanap, Karen na drugiej.

– Czy mieszkają państwo w tym skrzydle tylko we dwoje? – pyta Karen.

– Tak, w zasadzie od dawna, odkąd dzieci wyfrunęły z gniazda, jest ono dla nas zdecydowanie za duże – odpowiada Björn Groth. – Ale pokoje stoją i tradycją jest, że mieszka w nich właściciel destylarni.

– Jesteśmy trzecim pokoleniem – uzupełnia jego żona. – To dziadek Björna zapoczątkował niegdyś to wszystko.

– Ale z tego, co się orientuję, państwa córka mieszka chyba w Gudheimby?

– Tak, ale Madeleine jest tylko biernym udziałowcem. Prowadzą z Eliaszem, jej mężem, agencję nieruchomości w Ravenby, więc nie ma potrzeby, żeby tutaj mieszkała. Dla nas także nowoczesna willa byłaby nieporównanie wygodniejsza niż stary, wietrzny dom. Ale jak już wspomniałam, tradycja to tradycja.

Laura Groth mówi wyraźnie, ale odrobinę pośpiesznie.

– A państwa syn? Jens? To on jest szefem sprzedaży?

Björn Groth przytakuje.

– Tak, zgadza się. Mieszka z żoną w drugim skrzydle. Sandra pewnie śpi, ale wydaje mi się, że Jens jest w biurze.

– Sandra leży w łóżku z gorączką i potwornym bólem głowy – zatroskanym głosem wyjaśnia Laura Groth. – Obawiam się, że złapała grypcę, i szczerze mówiąc, nie wiem, czy będzie w stanie porozmawiać z...

Nie kończy zdania.

– Zobaczmy – mówi wymijająco Karen. – Prawdopodobnie z niektórymi z państwa będziemy musieli porozmawiać kilkakrotnie. Ale w tej chwili chciałabym zadać pani i pani mężowi tylko kilka wstępnych pytań.

Odpowiadają jej jedynie poważne kiwnięcia głową, Karen więc ciągnie:

– Zaczniemy od tego, dlaczego zdecydowali się państwo urządzić tak duże przyjęcie.

Björn Groth chrząka i przejeżdża ręką po orzechowych włosach.

– Hmm, teraz, po tym wszystkim, co się stało, brzmi to może dziwnie, ale chcieliśmy to uczcić, i tyle. Nowy rok przyniesie duże zmiany dla całej naszej działalności i było dla nas ważne, żeby współpracownicy mieli poczucie, że są tego częścią.

– Jesteśmy typową firmą rodzinną, ale mamy wiernych pracowników – dorzuca Laura Groth. – Wielu zatrudnionych pracuje tu ponad dwadzieścia lat.

– Ile osób państwo zatrudniają?

– Produkcja whisky jest w dużej mierze pracą sezonową, przynajmniej jeśli wytwarza się ją w sposób tradycyjny. Maksymalnie zatrudniamy czternaście osób spoza rodziny.

– I z tego, co słyszałam, wiele z nich było wczoraj z osobami towarzyszącymi.

– Z żonami lub w kilku przypadkach z dziewczynami. Wszyscy nasi pracownicy to mężczyźni – mówi Björn Groth. – Nie chodzi o to, że kobiety są tu niemile widziane, ale...

Przerywa mu śmiech żony.

– Mój mąż jak zwykle zapomina o jednej ze zdecydowanie najważniejszych osób, które zatrudniamy. Eva Fremnes jest kobietą.

Pracuje jako sekretarka, a poza tym zajmuje się fakturami i wypłacaniem pensji.

Björn Groth wygląda przez chwilę na nieco zakłopotanego i Karen zwraca się do niego:

– Mówił pan o zmianach w firmie. Może mi pan zdradzić, jakie są te plany? – prosi i obserwuje, jak po tym pytaniu Björn znów się odpręża.

– Chcemy zaznaczyć miejsce Noorö na mapie – mówi i odchylając się, zakłada z pewnym trudem nogę na nogę, po czym uśmiecha się zadowolony.

– Aha – mówi Karen. – Mogłabym przysiąc, że wyspa była już w moim atlasie szkolnym.

Björn Groth nie wychwytuje ironii.

– Tak, tak, ale z czego słyniemy? To znaczy poza whisky. Co zachęca ludzi do przyjazdu tutaj?

Karen uśmiecha się wymuszenie, ale nie odpowiada. Brzydzi się zabawami w retoryczne pytania.

– No właśnie – triumfuje Björn Groth. – Nic! Turyści w ogóle tu nie przyjeżdżają. I to pomimo tego, że mamy najpiękniej położone pole golfowe w Europie i wykopaliska sprzed tysięcy lat. Ludzie powinni tu pielgrzymować! Problem w tym, że nie wykorzystujemy tego, co mamy! Nie reklamujemy się!

Nie, myśli Karen, tego faktycznie nie robicie. Zna, rzecz jasna, stare pole golfowe, chociaż nigdy tam nie była. I faktycznie musi być pięknie położone na przylądku otoczonym z trzech stron morzem, uświadamia sobie, gdy teraz o tym myśli. Ale nigdy nie słyszała, żeby wymieniano je wśród atrakcji wartych pielgrzymek. Gdyby miała zgadywać, zakładałaby chyba, że już od wielu lat jest nieczynne.

– A jak moglibyśmy to robić, skoro potencjalnym zwiedzającym nie mamy do zaoferowania żadnego miejsca noclegowego? – ciągnie Björn Groth to odpytywanie.

Karen czuje, jak narasta w niej niecierpliwość, i ukradkiem zerka na zegarek na ręce. Laura Groth dostrzega ten sygnał.

– Mój mąż próbuje właśnie powiedzieć, że zamierzamy zbudować tu centrum konferencyjne z polem golfowym i destylarnią jako czołowymi atrakcjami.

– Centrum konferencyjne? Czy naprawdę są wystarczające podstawy, żeby coś takiego powstało właśnie tutaj, na północy?

Karen nawet nie próbuje ukryć sceptycyzmu w głosie.

– Jeszcze nie – przyznaje Björn Groth. – Chociaż w zasadzie mieliśmy już pierwszych zagranicznych gości. I mogę powiedzieć, że byli to nie byle jacy golfiści.

Robi teatralną pauzę.

– Nie mogę na razie zdradzić szczegółów, zostawimy to na promocję, ale powiem tak: o dwóch z nich mówi się jako o czołowych biznesmenach światowego formatu, a małżeństwo w tym towarzystwie ma ponadto silne związki z brytyjską rodziną królewską.

Karen myśli o cudzysłowie wykonanym przez Thorsteina Bylego przy okazji wspomnienia o starym „hotelu” przy polu golfowym. Proste zakwaterowanie, gdzie grupa, teraz prawdopodobnie poirytowanych i skacowanych gości siedzi i czeka, aż policja ich przesłucha, żeby móc wreszcie stamtąd odjechać. Przez moment Karen zastanawia się, czy Björn Groth jest trzeźwy. Czymś zupełnie nie do pomyślenia wydaje jej się to, że czołowi przedsiębiorcy i ludzie powiązani z brytyjską monarchią mogą chcieć spędzić tam choćby pięć minut.

W odpowiedzi na jej niezadane pytanie z sofy naprzeciwko rozlega się zadowolone rechotanie.

– Nie wierzy mi pani, widzę to – mówi Björn Groth. – Ale oni naprawdę tu byli jakiś czas temu i grali na naszym polu. Przyłecieli helikopterem i zostali zadziwiająco długo. Pole jest nie tylko pięknie położone, ale też ekstremalnie trudne. Chociaż ma pani rację, nie zostali tu na noc.

– Nawet nie wiedziałam, że pole należy do państwa.

– Oj tak, założył je mój świętej pamięci ojciec, który był wielkim miłośnikiem golfa i miał ambitne plany. Niestety nigdy nie był typem biznesmena i nie wcielił ich w życie.

– A więc wciąż da się na nim grać?

– Oczywiście. I mamy nawet pewną grupkę bywalców, którzy powracają tu co roku, ale bez dochodów z gorzelnii nie moglibyśmy sobie pozwolić na jego utrzymanie. Z drugiej jednak strony nie mamy tu działalności klubowej, a ponieważ nie oferujemy



noclegów, jego utrzymanie ogranicza się w zasadzie do dbania o samo pole, a to dodatkowy zarobek dla kilku chłopaków ze słodowni.

– No a hotel?

Björn Groth się śmieje.

– Za wielkie słowo na tę starą rudere. Jedyne zyski, jakie mieliśmy z niej przez lata, to te, gdy jakaś wycieczka szkolna lub stowarzyszenie emerytów przyjeżdżające do Gudheim zobaczyć kamienny krąg wynajęło go jako proste zakwaterowanie. No i pozwalamy nocować tam chłopakom z destylarni, kiedy pracują do późna.

– Wszystkie zyski pochodzą z gorzelni. Pole golfowe zatrzymaliśmy głównie z powodów nostalgicznych – wyjaśnia Laura Groth. – Szczerze mówiąc, nie raz i nie dwa nachodziła nas myśl, czy nie pozwolić mu po prostu zarosnąć.

– Ale później wpłynęło zapytanie, czy nie przyjęlibyśmy ośmioosobowej grupy chcącej mieć przez cały dzień pole tylko dla siebie i czy jest tu w pobliżu jakieś miejsce, gdzie mógłby wylądować helikopter – tłumaczy Björn Groth.

– Dostali państwo jakieś wyjaśnienie, dlaczego te osoby chciały zagrać właśnie tutaj?

– Z tego, co zrozumiałem, do jednego z biznesmenów dotarły pogłoski o szczególnym położeniu tego pola. Jak już mówiłem, jest ono zdumiewająco pięknie położone i niesłychanie trudne, szczególnie kiedy mocno wieje, a to na północy zdarza się dość często, jak pani wie.

Karen kiwa głową. Nigdy nie zrozumieję golfistów, myśli.

– Poza tym nasz single malt zwraca coraz większą uwagę, a my mogliśmy zaprosić gości na kilka szklaneczek z paru ekskluzywnych beczek – ciągnie Björn Groth. – Bądź co bądź, goście byli bardzo zadowoleni z wizyty i zaczęliśmy się po niej zastanawiać, czy nie zrobić z tego czegoś więcej. Czegoś, co przysłuży się całej wyspie.

Karen uśmiecha się wymuszenie. Wylewna duma Williama Trystego z powodu gorzelni była wprawdzie męcząca, ale sprawiała mimo wszystko wrażenie, że wypływa ze szczerego zainteresowania produkcją whisky. Hucząca pyszałkowatość Björna Grotha jest tym

bardziej napuszona. Prawdopodobnie równie chętnie założyłby park rozrywki, myśli.

Postanawia skierować rozmowę na właściwy temat. O to, jak dokładnie będą wyglądały plany rozbudowy, może się dopytać, gdy okaże się to warte zainteresowania.

– Dobrze – mówi. – Chętnie posłucham o tym przy innej okazji, ale wróćmy teraz do dnia wczorajszego.

– Tak, oczywiście, co właściwie chce pani wiedzieć?

Ze słabnącym zapalem Karen notuje zeznania małżeństwa Grothów na potrzeby wieczornego raportu dla swojego przełożonego. Tak, aż do aperitifów podanego przed deserem panowała bardzo miła atmosfera, poza incydentem z jedną z zaproszonych kobiet, która nie wylewała za kołnierz i mąż musiał odwieźć ją do domu koło wpół do dziewiątej. Hmm, rzecz jasna wiele osób miało trudności, żeby ustać na nogach, także Gabriel Stubb, który mocno pijany zataczał się niepokojąco. Nieprzyjemnie zrobiło się tuż po północy, gdy Gabriel uparł się, że będzie odpalać petardy, Jensowi Grothowi i brygadziście ze słodowni Ingemarowi Bergvallowi wspólnymi siłami udało się go powstrzymać. Kompletnie pijany Gabriel był zdezorientowany, krzyczał i wyklinał swoich pracodawców, ale w końcu powlókł się gdzieś z butelką piwa w ręce. Dokąd się później udał? Ani Björn, ani Laura Groth nie mieli pojęcia. Uwaga wszystkich skupiła się na pokazie fajerwerków.

Był to spektakularny widok, kiedy petardy wystrzeliwane z równiny przy brzegu klifu wybuchwały nad morzem i odbijały się na powierzchni wody. Otworzyli szampana i wszyscy wzniesli toast za emocjonującą przyszłość. Potem Laura poczuła się zmęczona i poszła prosto do łóżka, inni zaś przeszli do budynku magazynu, gdzie przyjęcie trwało dalej. Kiedy po jakimś czasie Björn zorientował się, że nigdzie nie widać Gabriela, zaniepokoił się, że może znalazł jakieś petardy, których nie odpalono. Ingemar Bergvall zapewnił go jednak, że wystrzelono wszystkie zgodnie z planem i że Gabriel prawdopodobnie, zataczając się, wrócił do pensjonatu i zasnął. Później już faktycznie go nie widziano.

– A jeśli mam być całkowicie szczery, to w zasadzie dziękowałem za to, że nie będę już go musiał oglądać tego wieczoru. Nie pierwszy

raz na imprezie firmowej Gabriel wlał w siebie za dużo.

– Miał problemy z alkoholem, chce pan powiedzieć?

– W zasadzie nie mogę się na ten temat wypowiedzieć, bo nie znałem go aż tak dobrze. Z tego, co się orientuję, miał problemy małżeńskie, co może być przyczyną, dla której wczoraj za dużo wypił – odpowiada Björn, starając się złagodzić swoje słowa.

– No i jeszcze niedawno stracił dziadka – dodaje Laura. – To straszny wypadek, oczywiście.

Nagle, jakby uderzyła ją pewna myśl, Laura Groth wbija wzrok w oczy Karen.

– Bo to chyba był wypadek... prawda? – pyta. Przez moment Karen zastanawia się, czy nie uniknąć odpowiedzi, ale porzuca tę myśl. Prawda i tak lada chwila może wyjść na jaw.

– Obawiam się, że nie – przyznaje. – Wszystko wskazuje na to, że Fredrik Stuub także został zamordowany.

W salonie rodziny Grothów zapada cisza jak makiem zasiał. Laura dalej wpatruje się w Karen, a wzrok Björna biegnie w stronę wysokich okien i tam się zawiesza, jakby gospodarz nagle coś dostrzegł. Karen raptownie się odwraca, ale widzi jedynie odbijający się w czarnych szybach pokój.

– Czy któremuś z państwa przychodzi do głowy potencjalny motyw zabójstwa Fredrika i Gabriela? – pyta.

Pod wpływem tych słów skamienienie puszcza Björna Grotha.

– Nam? – dziwi się oburzony. – Co moglibyśmy wiedzieć o czymś tak potwornym?

– Hmm, znali państwo Gabriela od wielu lat. Może znali też państwo jego dziadka?

– Nie – zaprzecza stanowczym głosem Laura. – Nie był to ktoś, z kim byśmy utrzymywali kontakt. Oczywiście, wiedzieliśmy, kim był Fredrik Stuub, ale na tym koniec.

– To tyle – potwierdza jej mąż głosem, który nie brzmi wcale równie stanowczo. – To nie ma z nami absolutnie nic wspólnego.

Znowu znajduje Jensa Grotha za przywalonym papierami biurkiem w gabinecie w głębi magazynu destylarni. Jego żona Sandra – tak jak mówiła Laura Groth – leży w łóżku z wysoką gorączką. Wezwany lekarz zastępujący prowincjonalnego medyka wprawdzie nie zabronił z nią rozmawiać, ale mocno odradzał. Nie tyle z powodu Sandry, ile w związku z ryzykiem zarażenia.

– Prawdopodobnie kolejni goście zachorują w ciągu najbliższej doby – powiedział. – Proszę zachować dystans i myć ręce – dodał, po czym zatrzasnął czarną torbę i odszedł.

Karen przygląda się teraz szklance z trudną do pomylenia zawartością, która stoi na biurku Jensa Grotha, i rozważa, czy degustacja towaru wchodzi w zakres jego obowiązków, czy jest tylko oznaką, że Jens potrzebuje czegoś na uspokojenie. Przez chwilę zastanawia się też, czy to alkohol, czy zaczynająca się grypa sprawia, że w świetle lampy stojącej na biurku oczy Jensa zdają się odrobinę przeszkłone.

Jest w każdym razie na tyle trzeźwy, żeby opowiedzieć, co się działo, stwierdza Karen dziesięć minut później. Jens Groth z grubsza potwierdza to, co słyszała od jego rodziców: firmę czekają pasjonujące zmiany i rodzina chciała zaprosić pracowników z partnerkami na wystawne przyjęcie. Nie, nie było to aż tak bezinteresowne; duża część personelu otrzyma nowe zadania i uznano za istotne, żeby „mieć ich ze sobą na wozie”. Była to „taka zachęta, która dobrze smakuje, a niewiele kosztuje”, jak określił to Jens Groth.

– Nasi pracownicy to w końcu nasze największe zasoby – dodaje i Karen łłamsi odruch, żeby przewrócić oczami.

Cierpliwie słucha tej i innych mądrości siedzącego przed nią mężczyzny, potem sprowadza rozmowę na temat „zasobu”, który właśnie utracono.

– Z tego, co się orientuję, na przyjęciu doszło do sprzeczki między panem a Gabrielem Stuubem. Czy to prawda?

– Tak, był pijany jak bela, zatrąłby atmosferę. Musieliśmy wkroczyć z Bergvallem i fizycznie go powstrzymać przed rzuceniem się na fajerwerki.

– Jak to fizycznie? – pyta Karen.

Jens Groth posyła jej podenerwowane spojrzenie.

– Wzięliśmy go pod ramiona i odciągnęliśmy. Najpierw staraliśmy się przemówić mu do rozumu, ale okazało się to zupełnie nieskuteczne. Wściekł się i zaczął wykrzykiwać jakieś bzdury. W końcu Bergvall miał tego dość. Zaprowadził go kawałek dalej, pchnął i powiedział, żeby spadał stąd w cholerę i nie wracał, dopóki nie wytrzeźwieje.

– A pan tylko stał?

– Chętnie bym się przyłączył, ale jako udziałowiec nie mogę sobie pozwolić na ten luksus, żeby mówić ludziom, że mają spadać w cholerę. Nawet gdy jest to uzasadnione.

– Która była godzina, kiedy się to stało?

– Jakoś za piętnaście, za dwadzieścia dwunasta. Zeszliśmy z Bergvallem, żeby przygotować fajerwerki, po pewnym czasie zjawił się Gabriel i zaczął głądzić.

– A później? Kiedy znów go pan widział?

– Później już go nie widziałem. Aż do rana, gdy jedna z wynajętych sprzątaczek nadbiegła z krzykiem, że musimy z nią iść. Właśnie zasiedliśmy do śniadania i w pierwszej chwili nie zrozumieliśmy, dlaczego tak się wydziera, potem dotarło do nas, że musiało stać się coś poważnego.

– Więc poszedł pan do miejsca, gdzie leżał Gabriel. Kto był z panem?

Jens Groth wygląda, jakby szukał w pamięci.

– Pamiętam Bergvalla i Eliasa. Mojego szwagra – wyjaśnia. – Zapewne ruszyło za nami jeszcze kilka osób, ale nie umiem powiedzieć, kto to był dokładnie. Wybuchł chaos, kiedy go zobaczyliśmy leżącego w kałuży krwi. I ten cholerny zółb biegnący mu przez gardło... ożeż kurwa.

Jens Groth sięga po szklanę z whisky, ale zaraz ją odstawia ze wzrokiem utkwionym w Karen, której udaje się dojrzeć, że jego ręka drży.

– Chciałabym, żeby odpowiedział mi pan szczerze na jedno pytanie – zaczyna. – Czy Gabriel kradł z magazynu?

Zapada cisza.

– Poprzednim razem, kiedy tutaj byliśmy, widziałam bazgroł na ścianie – dodaje po chwili. – Jedynekę z symbolem procent, znam jej znaczenie. Poza tym wiemy, że Gabriel miał bliskie kontakty z OP.

Dalej żadnej odpowiedzi.

Karen przygląda się przez chwilę Jensowi w milczeniu, potem wlepia wzrok w notes. Udaje, że coś sprawdza, wertuje notatki, czeka. Cisza utrzymuje się osiem długich sekund.

– Okej, ale ja go nie zabiłem!

Głos Jensa przecina ciszę i kiedy tym razem łapie on szklanekę, wykonuje pełny ruch i jednym haustem opróżnia jej zawartość.

Boi się, myśli Karen. Pytanie tylko, czy powodem jego niepokoju jest to, że sam może zostać podejrzanym, czy to, że nie wie, jak postąpi OP, skoro Gabriel już nie żyje.

– Jest pan tego całkowicie pewien? W takim razie mógł pan sporo zyskać na pozbyciu się go, czyż nie?

To pytanie sprawia, że Jens Groth w mgnieniu oka się uspokaja. A może to zasługa whisky?

– Proszę się tylko zastanowić – mówi. – Jak musiałbym być głupi, żeby zabić członka OP? Gdybym miał tyle odwagi, już dawno, do cholery, położyłbym kres tej całej chryi. Ten pieprzony osioł wykradał nam co miesiąc whisky wartą kilka tysięcy, a ja nie mogłem na to nic poradzić. Groził, że wpadną tu jego kumple i podpalą cały magazyn, jeśli nie będę trzymał języka za zębami.

Karen cicho się przygląda, jak Jens ulega pokusie i drżącą ręką sięga po butelkę, która stoi wciśnięta między telefon stacjonarny a stertę papierów. Coś, co powiedział jej kuzyn, majaczy Karen z tyłu głowy jako niejasne wspomnienie. Nie, myśli, to nic, co powiedział Odd, ale to, jak zareagował. Jak wyglądał, kiedy wspomniała mu o tych oznaczeniach.

– Ile osób wie, że Gabriel państwa szantażował? – pyta po chwili. – Pana rodzice, siostra?

– Oficjalnie nikt. Kilku chłopaków z „dołu” z pewnością się domyśla. Staram się zawsze szybko usuwać te przekłete bazgroły, ale komuś z pewnością udało się je zobaczyć. Tu, na północy, ludzie

zajmują się jednak swoimi sprawami i udają, że nic nie widzą. Zwłaszcza gdy chodzi o OP.

– A pana rodzice?

– Rzadko zaglądamy do magazynu i nie sądzę, żeby się domyślili, co by te bazgroły mogły znaczyć, nawet gdyby je zobaczyli. Poza tym nie zwracają uwagi, że to tu, to tam znika kilka litrów.

– Kilka litrów – dziwi się Karen. – Nie chodziło o nic więcej?

Gdyby stało za tym OP, rozmach kradzieży byłby zdecydowanie większy niż kilka tysięcy miesięcznie. Gabriel musiał robić to z własnej inicjatywy i chować zyski do swojej kieszeni, dokładnie tak, jak podejrzewała. Posługiwał się oznaczeniem rewiru OP w ramach zabezpieczenia, żeby Jens nie ważył się udać na policję. To, że załatwiał różne sprawy dla OP, jest zapewne prawdą, myśli sobie Karen, ale raczej nie chodziło w nich o kradzież whisky.

Zdaje się, że Jens Groth nie wyciąga takich wniosków.

– W ciągu roku był to w zasadzie dość duży pieniądz – mówi. – Ale najgorsze były groźby. Gabriel wyrażał się bardzo jasno, co zrobi, jeśli puszcze parę z ust. Kurna, jak pani myśli, co się teraz stanie? Policja zapewne tradycyjnie nic nie może zrobić?

– Nie sądzę, żeby musiał się pan obawiać OP – zaczyna. – Gabriel działał najpewniej na własną rękę.

I może cały czas zdawałeś sobie z tego sprawę, myśli, kiedy przygląda się mężczyźnie po drugiej stronie biurka. Może właśnie dlatego starczyło ci odwagi, żeby poderznąć mu gardło.

– Czy domyśla się pan, jaki ktoś mógł mieć motyw, żeby życzyć Gabrielowi śmierci? Albo jego dziadkowi? – dodaje, studiując twarz Jensa Grotha.

Zwraca uwagę, że nie widać po nim zdziwienia, gdy zdradza mu, że według nowych ustaleń policji śmierć Fredrika nie była nieszczęśliwym wypadkiem. W ogóle zero reakcji, informacja ta spotyka się jedynie ze wzruszeniem ramion.

– Skąd miałbym to, kurna, wiedzieć? Proszę spytać żonę Gabriela – mówi oschle. – To raczej nie przypadek, że go zostawiła. Ja w każdym razie nie mam zielonego pojęcia, kto mógł chcieć zatłuc staruszkę.

– Czyli wie pan o tym, że Fredrik Stuub został zamordowany?

Jens Groth wzdycha i pochyla się, obie dłonie kładzie na ekranie komputera i przekręca go tak, żeby Karen mogła zobaczyć.

– Ludzie gadają. Poza tym nie jestem analfabetą – mówi, kiedy Karen wbija wzrok w ekran:

„KVELLSPOSTEN” UJAWNIA: PODWÓJNE MORDERSTWO NA NOORÖ

CZY DZIADEK I WNUK PADLI OFIARĄ TEGO SAMEGO MORDERCY?

POLICJA MILCZY

Kilka minut później, idąc do głównego budynku, Karen klnie pod nosem. Nie przez nagłówki w „Kvellsposten”; z nimi liczyła się od pierwszych chwil, kiedy Byle zadzwonił do niej i powiedział, że doszło do kolejnego morderstwa. Jej myśli krążą wokół spotkania z Oddem. Wspomnienie tego, co dostrzegła na twarzy kuzyna. Zaraz po zdziwieniu. Sekunda nieufności, potem przebłysk czegoś innego.

Czegoś obcego, czego nigdy dotąd nie widziała w jego oczach. Czegoś surowego i nieznanego zmiłuj. To wtedy Odd się zorientował, że Gabriel używał nazwy OP dla własnej korzyści. Zaledwie kilka dni przed tym, jak znaleziono go z poderżniętym gardłem.

I to ja mu podsunęłam tę informację, myśli Karen.



– Okej, to kto zaczyna, ty czy ja?

W drodze powrotnej do Lysvik siedzą razem w fordzie rangerze Karen. Żeby zaoszczędzić czas i mieć okazję porównać i omówić wrażenia, proszą jednego z posterunkowych, żeby odprowadził samochód Karla. Opady śniegu chwilowo ustały, a w czasie, który spędzili w destylarni, drogę krajową odśnieżono i posypano solą, na bocznych drogach, które mijają, wciąż jednak zalegają zasy śniegu.

– Zaczynaj ty – proponuje Karl. – Z kim rozmawiałaś najpierw?

– Z Björnem i Laurą Grothami.

Karen podsumowuje ich relację z wczorajszego wieczoru i przechodzi do opowiadania o ich planach stworzenia centrum konferencyjnego. Kiedy dochodzi do fragmentu o prominentnych gościach, którzy przylecieli tu helikopterem, Karl Björken prycha.

– Tak, jakże to cholernie typowe – mówi.

– Co takiego? Sądzę, że brzmi to tak niewiarygodnie, że równie dobrze mogli to zmyślić.

– Nic podobnego! Jeśli chcesz znać moje zdanie, to raczej dobitny przykład tego, jak klasa wyższa desperacko stara się walczyć z nudą. No wiesz, to podobno ostatni krzyk mody trochę się zeszmacić. Zaszyć w biednej górskiej wiosce na odludziu, *adventure tours* do miejsc, o których nikt nie słyszał. Wszystko jedno, byle nikt tego wcześniej nie robił.

– Nie sądzę, żeby wizyta na polu golfowym na Noorö kwalifikowała się do *adventure tours* – protestuje sztywno Karen.

– Nie, raczej do modnego ostatnio sportu, by „przez kilka godzin żyć jak zwyczajni ludzie”. Mój szwagier jest nadleśniczym w Hammerfors. Wiesz, jaka jest ostatnia nowość, gdy bogacze zapraszają kumpli na polowanie? Hmm, teraz w dobrym guście jest siedzieć w małych prostych szałasach, jeść kanapki z kiełbasą i popijać kwas z Heimö!

– Bez szampana i kawioru?

– Bez. I jeszcze rezygnują ze współczesnych ubrań. Na topie jest nostalgiczne badziewie z lat trzydziestych lub wyposażenie przypominające to, jakie mają żołnierze ONZ w Afganistanie. Oczywiście przed kolacją przebierają się w swoje tradycyjne pingwinie ciuchy, ale przede wszystkim ma to być mały wypad turystyczny w nieznanie.

– Jak podróż helikopterem do Gudheim? – pyta sceptycznie Karen.

– Tak, to właśnie takie wyzwania pociągają tych typków. Niemożliwe wręcz do przejścia pole golfowe, na którym na bank nie grał żaden znajomy. Nie słyszałaś, jak Smeed rozmawiał z Haugenem o tym, jakie jest trudne?

Karen kręci głową. Kiedy rozmowy schodzą na golfa, zwykle opadają jej klapki na uszy.

– Hmm, w każdym razie tak jest. Pole golfowe w Gudheim jest podobno trudne do granic beznadziei, a do tego położone wyjątkowo wysoko i z widokiem na morze z trzech stron. Możesz mi, kurna, wierzyć, że to może tu przyciągnąć znudzonych biznesmenów, którzy szukają w życiu jakiegoś nowego bodźca.

– Okej, ale grupa docelowa musi być chyba malusieńka? Nie taka, żeby dało się na niej oprzeć swoją działalność.

– Nie mów tak. Kiedy po wyższych sferach rozejdzie się plotka, okaże się, że ustawi się tu kolejka. Nie helikopterów, ale zwyczajnych ludzi. A oni potrzebują miejsca noclegowego. Dodaj do tego oprowadzanie po destylarni z degustacją whisky i wypad do kamiennego kręgu, a masz gotowy plan.

– Zaczynasz mówić jak William Tryste. Zastanawiasz się nad pracą u Grothów?

– Jeśli już, to w roli degustatora. Tryste jest podobno znaną osobistością w branży, tak na marginesie. Więc ciekawie będzie się z nim spotkać.

– Tak, według Bylego to jeden z najlepszych. Ale jeśli chodzi o Björna Grotha, odniosłam wrażenie, że wie o Gabrielu i jego dziadku coś więcej, niż mówi. Że czegoś się boi lub przynajmniej coś go niepokoi. To samo z jego synem Jensem. Coś śmierdzi, a oni to ukrywają.

– A ty nie masz pojęcia co?

Karen waha się chwilę.

– W przypadku Jensa może to mieć związek z OP.

– Z tymi motocyklistami? Odin Predators lub One Percenters, jakkolwiek ich nazwać?

Karen kiwa głową i mówi o oznaczeniach, które widziała na ścianie magazynu, i o tym, że Gabriel regularnie przywłaszczał sobie towar i groził Jensowi.

– O dużo chodziło?

– Nie, właśnie w tym problem. Może o kilka tysięcy marek miesięcznie.

– Nie wygląda to na robotę OP. Myślisz, że Gabriel działał solo?

– Tak podejrzewam. A w związku z tym chłopcy w skórzanych piżamkach mogli nie być zachwyceni.

Znów się waha.

– Mam kuzyna, który najwyraźniej należy do OP.

Karl Björken odwraca się do Karen i unosi brwi.

Przez dwie sekundy patrzy jej w oczy, potem Karen znów skupia się na drodze.

– Ty mnie nigdy nie przestaniesz zadziwiać, Eiken. Masz więcej krewnych przestępców?

– Zapewne. Ciotkę, trzech kuzynów i Bóg jeden wie, ilu dalszych krewnych i powinowatych. I mogę cię zapewnić: żaden z nich nie je kanapek z kiełbasą, kiedy imprezuje między wypłatą renty inwalidzkiej a kłusowaniem. Za to tu i ówdzie wystaje jakiś baniaczek z bimbrem.

– Jak oni to mówią w Stanach? *Rednecks*?

Karen wzrusza ramionami.

– Taaa, może *hillbillys*. Wszyscy mieszkają w każdym razie koło Skalvet, trochę na północ od granicy dystryktu Gudheim.

– Innymi słowy, nie jest to zbyt daleko od kwatery głównej OP. Gadałaś z kuzynem?

– Tak, ale tylko przy piwie. Zdawał się naprawdę zdziwiony, kiedy wspomniałam mu o tych oznaczeniach, i zaprzeczył, że Gabriel był członkiem. Ale chłopaki Bylego podobno widzieli go kilka razy tam, na północy. Niech to szlag, nie mam zbyt wielkiej ochoty tam jechać, ale chyba będzie to konieczne.

– Myślę, że chwilowo możemy sobie darować – mówi Karl. – Gdyby OP chciało pozbyć się Gabriela Stuuba, to raczej nie zakradaliby się do Grothów w sylwestra i nie podrzynałoby mu gardła. W ich stylu byłaby kulka w głowę u niego w salonie.

– Tak, tak właśnie sobie wmawiam – mówi ponuro Karen.

– Poza tym trudno dostrzec jakiś związek między emerytowanym biologiem a przestępczym gangiem motocyklistów. Czy jest coś, o czym mi nie mówiłaś?

– O ile wiem, to już nic.

Rzuca okiem w lusterko wsteczne.

– Ach, jeszcze tego brakowało – wzdycha. – Samochód „Kvellsposten” trzyma się nam na ogonie.

Bez zatrzymywania przejechali przez bramę destylarni Grotha i minęli podnieconych dziennikarzy i fotografów, którzy wciąż czekali na komentarz.

– Rozmawiałam z Johanem Stoltem – mówi Karen. – Najpewniej jutro roześle informację prasową i na razie weźmie na siebie pytania mediów. Ale wcześniej czy później będziemy musieli się ugiąć i zwołać konferencję prasową. Stolt ma się skontaktować z Haugenem i to uzgodnić.

W najlepszym wypadku uda się jej uniknąć udziału w niej. Naczelnik policji Viggo Haugen już wcześniej wyrażał się jasno co do tego, że nie chce, aby Karen Eiken Hornby udzielała się w mediach. Nie ma znaczenia, że krytycznej wypowiedzi, której udzieliła jako świeżo upieczona absolwentka szkoły policyjnej, trzeba by szukać w materiałach prasowych sprzed dwudziestu lat.

Po odejściu pewnej liczby aspirantek dziennikarka „Doggerska Tider” spytała, jak wygląda kwestia równouprawnienia w policji. Na spontaniczną i na dzisiejsze standardy dość łagodną odpowiedź, której udzieliła Karen, o „głęboko zakorzenionym oporze wobec kobiet w policji” i „potrzebie zmiany nastawienia” nie spojrzano wówczas łaskawym okiem. Inne kursantki wyrażały swoje poparcie na osobności, z dala od uszu szefów. Ta wypowiedź, która zbiegła się w czasie ze spadkiem zaufania do policji, a na domiar złego padła w roku wyborczym, sprawiła, że partie zaczęły prześcigać się pomysłami. Najgorzej, że w komendzie przyjęto obligatoryjny kurs z *gender studies* i równouprawnienia dla personelu na stanowiskach

kierowniczych. Dla niektórych wciąż jest to rzekomo bolesna trauma. Viggo Haugen z pewnością jej tego nie zapomniał – nie ufał Karen Eiken Hornby.

Karen zwalnia, starając się zmusić samochód „Kvellsposten” do tego, żeby ich wyprzedził, ale ich jedyną reakcją jest mrugnięcie długimi światłami.

– Pieprzone pismaki – mówi podenerwowany Karl. – Musimy znaleźć jakiś sposób, żeby się ich pozbyć, kiedy dojedziemy do Lysvik. Co jeszcze powiedział Jens Groth?

– Niedużo. Jego wersja pokrywa się z wersją jego rodziców. Gabriel był pijany, doszło do awantury przy fajerwerkach, później ulotnił się jak kamfora, tak twierdzą. Aż do czasu, kiedy biedna sprzątaczką odkryła jego zwłoki.

– Niestety, też niewiele mogę wniesić – zaczął Karl. – To, o czym mówisz, zgadza się z tym, co opowiedziała mi córka właścicieli, Madeleine, ze swoim mężem Eliasem. Jedyna różnica jest chyba taka, że według Eliasa więcej osób poszło do zwłok, kiedy je znaleźli. Co najmniej pięć, sześć, tak szacuje. Można by uznać, że to trochę dziwne, że tak blisko podeszli. Poderżnięte gardło było widać już z kilku metrów.

– Okej, a kto to był?

– On sam, Jens Groth, Ingemar Bergvall i co najmniej kilku chłopaków z „dołu”, jak to ujął.

– Aha, a więc na miejscu zabójstwa ustawiała się kolejka, żeby popatrzeć. No to Sören Larsen się ucieszy. Możemy mieć tylko nadzieję, że nie dotykali zwłok.

– Podobno jakiś idiota rwał się do masażu serca i sztucznego oddychania, ale Bergvall miał przynajmniej tyle rozumu, żeby go powstrzymać. Z tego, co zrozumiałem, wynika, że to on przejął dowodzenie i kazał Jensowi zadzwonić na policję.

– Nic więcej?

– Nie, w zasadzie oboje mówili to samo co pozostali – ciągnie Karl. – Można by niemal pomyśleć, że to uzgodnili.

– Tak, albo że tak właśnie się to potoczyło.

– Poza małym szczegółem, że ktoś naprawdę poderżnął facetowi gardło. Trudno uwierzyć, że nikt nic nie widział ani nie słyszał. Bez względu na to, ile było fajerwerków.

– Jutro się dowiemy, co Byle i jego ludzie wyciągnęli z pozostałych gości. A potem musimy porozmawiać z Williamem Trystem i jego żoną.

Parkują przed komisariatem w Lysvik i zostają wpuszczeni do środka w chwili, gdy samochód „Kvellsposten” hamuje za fordem Karen. Dyżurny, który im otwiera, w mgnieniu oka orientuje się w sytuacji i zamyka drzwi przed nosem najszybszego z reporterów. Chwilę później słychać ostre i natarczywe dzwonienie.

– Bylego nie ma – mówi głośno kolega, żeby przekrzyczeć hałas. – Nikogo innego też nie, wszyscy są na północy u Grotha.

– Nie zostaniemy tu. Ale nie chcemy mieć w Rindlersie towarzystwa mediów. Da się stąd wyjść jakąś inną drogą?

Karl posyła Karen zdziwione spojrzenie, ale milczy, gdy ona ostrzegawczo marszczy czoło. Im więcej osób sądzi, że mieszka w Rindlersie, tym lepiej.

– Jasne, zjedźcie windą do garażu i wyjdźcie tamtędy. Od wyjazdu na Lotsgatan jest raptem jakieś sto metrów od hotelu. Od razu się zbierajcie, mam obowiązek wpuścić każdego, kto dzwoni.

Pięć minut później brną ramię w ramię jedną z wąskich równoległych ulic, wciskając ręce głęboko w kieszenie kurtek.

– Napijemy się piwa w pubie, gdzie mieszkam? – pyta Karen. – Nie dziwiłabym się, gdyby pismaki warowały już przed hotelem.

– Mają więcej pokoi? Nie mam za bardzo ochoty wlec się później do Rindlersa i na własną rękę stawiać czoła „Kvellsposten”.

– Nie mam pojęcia, ale nie ma chyba teraz szczytu sezonu – mówi Karen i zatrzymuje się przy wjeździe dla dostawców.

Szuka w kieszeni papierosów, znajduje je i klnie.

– Cholera. Powinna była poprosić na komisariacie, żeby pożyczili mi trochę ciuchów. Nie mam nawet swetra, zostałam w samochodzie. Kurwa, cholera, w dupę jebana mać – mamrocze pod nosem, zapalając papierosa, i głęboko się zaciąga.

– Skończyłaś?

– Niech to szlag – dokładnie.

– Już rozumiem, dlaczego Haugen nie chce cię widzieć w mediach – żartuje Karl. – Nie lubi, kiedy kobiety przeklinają. Prawdopodobnie nie lubi też, kiedy palą.

– Cóż za cholerne szczęście, że go tu nie ma – syczy Karen i jeszcze raz się zaciąga, przytrzymuje dym i czuje, jak jej puls zwalnia. – Częste przeklinanie świadczy o inteligencji – dodaje. – Kilka dni temu czytałam o jakimś badaniu na ten temat. To oraz niedbalstwo. Ma to pewien związek z kreatywnością.

– I z zawałem serca. Uspokoił się już?

Karen przytakuje i brną dalej przez śnieg.

– Rozmawiałeś z Kneoughtem, kiedy będzie sekcja? – pyta po chwili Karen.

– O ósmej rano. Musisz iść sama na poranną naradę. Albo możesz wziąć piłę do kości, jeśli wolisz.

– W zasadzie powinnam udać się jeszcze na wycieczkę do Ravenby. Muszę sobie kupić ciuchy. I dezodorant. Nie mam ze sobą nawet szczoteczki do zębów. Masz może gumę do żucia?

Ellen Jensen stoi w malutkiej recepcji i rozmawia przez telefon. Kiedy drzwi się otwierają, podnosi wzrok i macha do Karen. Czekają, aż skończy.

– Wydaje mi się, że masz gościa – mówi i kiwa głową w stronę pubu.

A więc i tak mnie znaleźli, myśli Karen i wzdycha głęboko. Rozmowa z mediami jest tego wieczoru ponad jej siły. Marzy jedynie o pincie ale.

I kiedy Karl zostaje, żeby spytać, czy znajdzie się dla niego wolny pokój, Karen z ciężkim sercem otwiera drzwi do pubu. Wodzi wzrokiem w poszukiwaniu wygłodniałych dziennikarzy i nieporęcznych toreb z kamerami. Chwilę później jej serce bije dwa razy szybciej.

Przy jednym ze stolików pod oknem siedzi z pochyloną głową dziewczyna i czyta gazetę. Ma długie czarne włosy i kolczyk w nosie.

Niepokój jest jak uderzenie młotkiem. Cztery susy i Karen już stoi przy stoliku Sigrid.

– Co tu robisz? Coś się stało?

– Cześć, Karen. Dziękuję, u mnie świetnie. Nie cieszysz się, że mnie widzisz?

Karen milczy i Sigrid robi skrzywioną minę.

– Aha, czyli nie? *Wielka* szkoda – mówi i wywija dolną wargę. – A ja tak długo tu jechałam...

Potem się pochyła i wyciąga spod stolika dużą torbę. Podnosi ją obiema rękami i upuszcza z ciężkim łomotem na stół obok szklanki po piwie.

– A teraz? Na widok tego się chyba ucieszysz.

Nie odpowiadając, Karen rozsuwa zamek i rzuca się na zawartość torby. Grzebie między czystymi koszulkami, parą granatowych spodni, majtkami, skarpetkami, zimową kurtką, szalikiem w szkocką kratę i wykończoną futrem czapką z uszami. Obrzydliwa, ale ciepła. Na samym dnie znajduje kosmetyczkę i czarne zimowe buty. Oniemiała odsuwa krzesło, opada na nie naprzeciwko Sigrid, przygląda się dziewczynie dłuższą chwilę i powoli kręci głową.

– Ależ kurna... skąd mogłaś wiedzieć?

– Marike dzwoniła. Powiedziała, że najpewniej zamarzniesz tu na śmierć albo cię wywalą, jeśli nie dostaniesz innych ubrań.

– I ty przyjechałaś aż tutaj w taką pogodę. Przecież to idiotyzm, śnieg właśnie znów zasypuje drogi.

Sigrid patrzy na nią spod uniesionych brwi i milczy, gdy do Karen dociera, jak strofującym tonem mówi.

– Ale dziękuję! – dodaje. – Naprawdę mnie uratowałaś, Sigrid.

– Spoko. W ramach podziękowania możesz postawić mi piwo. Sobie też weź. Wyglądasz, jakbyś go potrzebowała.

Karl stoi przy barze i wstukuje PIN swojej karty płatniczej.

– Dostałeś pokój? – pyta Karen.



– Podobno rupieciarnię. To jedyne, co było. Właścicielka mnie ostrzegła, że wynajmuje ją wyłącznie w sytuacjach podbramkowych. Ale co tu porabia córka szefa?

– Przywiozła mi torbę z ubraniami.

– Musi cię lubić.

Karen zamawia dwie piny ale, a w odpowiedzi posyła Karlowi jedynie znaczące spojrzenie.

– Nie, no słuchaj, nie ma w tym nic groźnego. Że ludzie kogoś lubią.

– A więc hobbystycznie jesteś też psychologiem.

– Mam niezliczone talenty. Z ciebie w tej chwili czytam jak z otwartej księgi.

– Bądź tak miły i ją zamknij. Nie mam dziś wieczorem siły na terapię.

Dostają piwo i przysiadają się do Sigrid. Karen upija łyk i w milczeniu wygląda przez okno, a Karl i Sigrid rozmawiają o sytuacji na drogach. Śnieg przestał padać i światła terminalu wyglądają jak ostatnia bezpieczna forpoczta na tle morza rozciągającego się za nimi. Fala niefrasobliwego zmęczenia oblewa Karen, która apatycznie próbuje podsumować dzień. Nie dalej jak dziś przed południem obudziła się w atelier Marike w Dunkerze – ma wrażenie, jakby minął tydzień.

Wtem znów dociera do niej głos Sigrid.

– To prawda, że tu w okolicy grasuje *masowy morderca*?

– Chodzi ci o seryjnego mordercę – poprawia ją Karen. – Ale nie, dwa morderstwa to za mało, żeby zasłużyć sobie na ten epitet.

– *Mniejsza o to*. Tak czy inaczej, jakiś szaleniec. Może znajduje się teraz właśnie tutaj...

Sigrid kiwa konspiracyjnie głową w kierunku stolików i Karl się odwraca. W pubie wśród stałych bywalców panuje rozluźniona atmosfera pierwszego dnia roku. Przy jednym ze stolików dwóch mężczyzn po siedemdziesiątce gra w tryktraka, dalej trzy dwudziestolatki bawią się telefonami i w równych odstępach czasu pokazują je sobie nawzajem, raz się śmiejąc, raz wzdychając: „Boże, co za żal”. Kilkoro samotnych gości przy barze zdaje się całkowicie pochłoniętych czytaniem wieczornej prasy, a inni ślepo wpatrują się w telewizor, w którym leci powtórka meczu Stoke z Newcastle.

– Nie sędę, żebyś miała powody do obaw – mówi bez emocji Karl. – Nie wydaje mi się, żeby ktoś tutaj wyglądał szczególnie zabójczo.

– Co najwyżej na morderczo zmęczonego – wtrąca Karen. – Mimo wszystko zamierzasz chyba zostać na noc w Lysvik – dodaje, kiwając głową w stronę piwa Sigrid. – Nie możesz po tym prowadzić.

Sigrid wzdycha.

– Jasne, że mogę. Cholernie dobrze mi to idzie po pijaku – mówi i szczerzy się do Karen. – Boże, przecież *żartuję*. Nie można nawet żartować?

– Można, tylko trzeba być zabawnym – mamrocze Karen. – Poza tym jest za późno, żebyś jechała do domu.

– Wyluzuj, *mam* pokój. Nawet bardzo ładny. Babka za barem powiedziała, że to ostatni przyzwoity pokój, który ma wolny.

Karen patrzy na pochmurne oblicze Karla i postanawia szybko zmienić temat.

– Zdecydowałam już, co będziesz robiła, kiedy zacznie się rok akademicki?

Sigrid opowiadała jej kilka tygodni temu, że dostała się na prawo, ale w zasadzie nie wie, czy ma na to szczególną ochotę. Karen zamaskowała swoje zdziwienie tym, że najwyraźniej udało jej się skończyć liceum z dobrymi ocenami mimo wielu nieobecności. Ale ku jej przerażeniu Sigrid zaczęła się dowiadywać o możliwości złożenia papierów do szkoły policyjnej. Sama myśl, że w przyszłości Sigrid będzie miała kontakt z pijaństwem, narkotykami, włamaniami do mieszkań, rozbojami i całą resztą tego syfu, który jest częścią tej roboty, przepelniała ją niepokojem.

Sigrid wzrusza ramionami.

– *Nie wiem*, mówiłam już.

– Zawsze dobrze jest znać się na prawie, bez względu na to, co się będzie później robić – próbuje Karen. – Prawda, Karl?

Ten w obronnym geście unosi ręce.

– Mnie w to nie mieszaj. Ale widzę, że masz nową мамę, Sigrid – dorzuca i podnosi piwo.

Przez trzy sekundy panuje martwa cisza.

– O cholera – reflektuje się Karl i odstawia kufel tak energicznie, że piwo się rozlewa. – Nie chciałem... zamierzałem tylko...

Przepraszam.

– Spoko – odpowiada Sigrid. – To nie twoja wina, że moja mama umarła.

Karen milczy. Puls dudni jej w uszach i ma wrażenie, jakby znajdowała się pod wodą. Jakby nieopatrznie weszła na lód, który zeszłej nocy skuł tafłę, i chwilę później znalazła się pod powierzchnią. Z daleka dobiegają ją hałasy z telewizora i głosy, Karla, który mówi coś pełen skruchy, i uspokajająco odpowiadającej mu Sigrid. Są tuż obok, a zarazem nieskończenie daleko.

Nie ważąc się oddychać, Karen siedzi nieruchomo i opada na dno. Nie ma odwagi wyciągnąć ręki i ująć szklanki, boi się poruszyć, żeby się nie załamać. Każdy ruch może sprawić, że się rozpadnie, rozsypie i zniknie jak popiół na wietrze.

Przez ten chaos przedziera się głos, który szepcze, że tej granicy nie wolno jej przekroczyć. Przypomina jej o niewidzialnym drucie kolczastym otaczającym jej egzystencję. Wewnątrz wciąż są Mathis i John. Na zewnątrz nie ma nic. Nic, co jest twoje, mówi głos.

Skołowana opuściła gardę, kiedy w jej życiu niespodziewanie pojawiła się Sigrid, doświadczona przez los, porywcza i pełna własnych trosk. I nie zastanawiając się nad konsekwencjami, Karen jeszcze raz pokusiła się o to, żeby kimś się zająć, żeby podmuchać na to, co boli, sprawić, żeby było lepiej.

„Ona nie jest twoją córką, pamiętaj o tym”.

A teraz przenika do niej głos Karla. Kolega pochyła się i szuka jej wzroku.

– Wszystko w porządku, Karen?

Ta powoli znów unosi się ku powierzchni, wystawia głowę i bierze kilka gwałtownych oddechów. Robiła to już wcześniej, wie, jak szybko przywołać uspokajający uśmiech.

– Jestem tylko zmęczona – odpowiada. – To był długi dzień, chyba naprawdę muszę się położyć.

Unikając zaniepokojonego wzroku Sigrid, Karen podnosi się i idzie do pokoju. Zdejmuje ubrania i staje pod prysznicem. Dopiero gdy otwiera zapakowaną przez Sigrid kosmetyczkę, wyciska pastę do zębów i patrzy na swoją twarz w lustrze, płyną po niej łzy.

Nie wie, jak długo idzie. Lekko pochylona na wietrze podąża na północ brzegiem morza, żwirową ścieżką biegnącą od terminalu w Lysvik. Mija domy i poszarzałe szopy rybackie, które przycupnęły między górami a morzem; powoli świta. Okrąża zatoki za zmrożonymi łąkami, obsypanymi śniegiem jałowcami i resztkami murów otaczających niegdyś miejsce, w którym suszono sieci. Niechętnie patrzy na ruiny wspólnych starań, by chronić sieci przed pasącymi się zwierzętami. Wspólnej walki o to, żeby sieci były całe, gdy znowu trafią do morza. Aż foki znów je przegryzą. Słyszy w głowie przekleństwa ojca, pamięta niepokój kryjący się za złorzeczeniem.

Zdecydowanym krokiem idzie dalej przed siebie, czuje przy tym, jak coś w niej powoli narasta, coś, co wciąż się czai pod powierzchnią jak krokodyl w mulistej rzece, gotowy ugryźć.

Z nikim nie rozmawiając, wyslizgnęła się z hotelu zaraz po przebudzeniu. Tylko ubrała się i poszła. Najpierw do terminalu promowego, gdzie zobaczyła, jak od drugiej strony cieśniny zbliża się jeden z żółtych postępujących kolosów ze stali. Kiedy prom podpłynął zbyt blisko, odwróciła się i odeszła. Minęła kutry rybackie i trawlerzy, przeszła dalej przez brzydki stary port towarowy, gdzie obecnie cumowały tylko łamacze lodu i celnicy. Widziała wyłącznie swoje stopy, stawiane jedna przed drugą, szła dalej, a myśli płynęły monotennie, gdy zimne powietrze paliło ją w płucach.

Teraz Karen zatrzymuje się i patrzy na zegarek. Za dwadzieścia ósma. Karl Björken jest już pewnie w połowie drogi do oddziału medycyny sądowej w Ravenby. Musi zadzwonić do niego później.

I do Sigrid. Zamiast zapukać do niej i ją obudzić, wysłała esemesa. Pisała, usuwała, miała wątpliwości co do swoich słów, ale w końcu wysłała.

*Dziękuję, że przyjechałaś! Musiałam zbierać się wcześniej. Ściskam, K*  
Sigrid nie odpowiedziała. Może nadal śpi.

Karen zatrzymuje się i spogląda na szarawą nieskończoność. Chłonie ten spokój, podczas gdy jej oddech wysyła białe sygnały dymne. Jeśli ma zdążyć na spotkanie z Bylem i jego ludźmi, musi już zawracać. Gdzieś po drodze spróbować wlać w siebie kubek kawy i coś przekąsić. Musi teraz skupić się na pracy, wyprzeć wszystkie inne myśli i te wewnętrzne grzmoty.

Wtem dzwoni jej komórka.

– Siema, Sören – odbiera, rzuciwszy błyskawicznie okiem na wyświetlacz.

– Gdzie ty się, kurna, podziewasz? Zaszedłem do tego przybytku, w którym uparłaś się mieszkać, ale babka w recepcji powiedziała, że już wyszłaś. Jesteś w drodze do Ravenby?

– Nie, uzgodniliśmy z Karlem, że tym razem to on będzie przy sekcji.

– Ty mięczaku. Ale nie dlatego dzwonię, chodzi o Fredrika Stuuba. Przyszły wyniki z laboratorium. Zaraz będziesz miała je na mailu. Jeśli chcesz, mogę ci teraz streścić to, co najważniejsze, póki mam wszystko na świeżo w pamięci.

– Poproszę. Co znaleźli?

– Jeśli chodzi o miejsce morderstwa, to udało nam się zabezpieczyć fragmenty odcisku buta, które nie pochodzą od Bylego ani od żadnego z ratowników. To timberlandy, rozmiar czterdzieści cztery, prawy but mocniej starty od wewnętrznej strony. Na górze, przy zawrotce było mnóstwo odcisków opon, więc nie było na co liczyć. Na ciele Fredrika Stuuba nie znaleźli zupełnie nic. Nawet włoska, który nie byłby jego albo psa. Z kolei w domu... Kurna! Cholerny idioto!

Karen wzdryga się i odsuwa słuchawkę od ucha, Sören Larsen klnie dalej. Potem słyhać trzaśnięcie drzwiami, szybkie kroki i nerwowe głosy. Najwyraźniej wciąż trzyma komórkę w ręce, Karen udaje się wychwycić pojedyncze słowa o uważaniu, pierwszeństwie z prawej, firmie ubezpieczeniowej, cholernym szczęściu i policji. Potem jeszcze kilka przekleństw ze strony Larsena w takt wściekłych kroków, następnie znów otwierają się drzwi do samochodu i rozlega się kolejne trzaśnięcie.

– Co się dzieje? – pyta po chwili Karen.

– Nic. Na czym skończyliśmy?

Karen dławi w sobie sarkazm. Wszyscy wiedzą, że Sören Larsen jest przekonany o tym, że jako kierowca nie ma sobie równych, a wszyscy inni to według niego ofermy za kierownicą. Plotka głosi, że przez lata płacone przez niego ubezpieczenie poszybowało w górę, osiągając zawrotną sumę. Zapewne przyczyniam się teraz do wzrostu liczby wypadków już samym tym, że rozmawiam z nim, gdy prowadzi, myśli Karen.

– Dom Fredrika Stuuba – podsuwa, przegoniwszy tę myśl. – Powiedz, że chociaż tam znaleźliście coś przydatnego.

– Na co ci się to przyda, nie wiem, ale w każdym razie znaleźliśmy dwa świeże odciski palców, które nie należą ani do Fredrika Stuuba, ani do jego siostry. Z jednym mogę ci od razu pomóc: to odcisk Gabriela Stuuba.

Karen cicho wzdycha. Wiedziała o tym, że Gabriel Stuub figurował w rejestrze karnym. Dwa przypadki drobnych rozbojów i liczne mandaty za przekroczenie prędkości, zameldował jej Thorstein Byle. To, że jego odciski palców były w domu dziadka, mogłoby, ale tylko mogłoby, być interesujące. To znaczy, gdyby nie ten mały wkurzający szczegół, że Gabriel sam już nie żył.

– A ten drugi? – pyta.

– Brak trafień w rejestrze. Jeśli znajdziesz kogoś, kto wydaje ci się interesujący, proponuję wyciągnąć tusz.

– Nic więcej?

– Jeszcze nie skończyłem. No żeż... uważaj!

Ostre trąbienie po drugiej stronie słuchawki sprawia, że Karen znów odsuwa ją od ucha.

– Do diabła, Sören – mówi. – Są takie kursy, na które można iść...

– Niby ja? To przecież on, do cholery, nic nie ogarnia. Musiał kupić prawko przez internet.

– Powiedz wreszcie, co odkryliście, a będziemy mogli się rozłączyć i oszczędzimy życie kilku osób.

– Komputer. Ten, który znaleźliście z Bylem. Jeszcze nie wszystko na nim przejrzelismy, ale jest tam mnóstwo dokumentów o wszystkim, od historii Noorö, runów, zasobów dorsza, wielkości połowów i cementu ekspansywnego po babkę Fredrika. I jeszcze sporo dokumentów z uniwersytetu, takich jak umowy o pracę, fragmenty badań o pleśni i innym syfie. Dostaniesz kopię, więc sama

będziesz mogła sobie poczytać. W statystykach internetowych nic się nie rzuca w oczy, na ile mogę to ocenić. Poza wspomnianą przed chwilą tematyką facet zajmował się przede wszystkim genealogią i zbieraniem grzybów. Tak, i szukał środków na odrobaczenie psa.

Czym, do cholery, jest cement ekspansywny? – zastanawia się Karen. Nie jest to najlepszy moment, żeby prosić Sörena Larsena o wyjaśnienie, im szybciej skupi się on na drodze, tym lepiej.

– Okej, będziemy musieli przeanalizować to z Karlem i zobaczymy, czy znajdziemy coś ciekawego – mówi. – To wszystko?

– Nie tak prędko, teraz najlepsze. Fredrik Stuub wysłał sporo maili i one mogą być dla ciebie interesujące. Szczególnie jeden z nich. Do Björna Grotha. 22 grudnia.

Larsen robi teatralną pauzę. Karen stoi w bezruchu ze słuchawką mocno przyciśniętą do ucha i czeka na ciąg dalszy.

– No dalej, Sören – po kilku sekundach pospiesza go poirytowana.  
– Co takiego napisał?

Głos Sörena Larsena jest wyraźnie zadowolony, kiedy ten znów się odzywa:

– Cytując słowo w słowo: „Mam informacje, które mogą powstrzymać wasze plany rozbudowy. Skontaktuj się ze mną jak najszybciej”. Podpisał się i podał numer swojej komórki.

– Możesz zostać na moment?

Szuranie odsuwanych krzeseł zagłusza jej pytanie i Karen kładzie dłoń na rękę Thorsteina Bylego w chwili, gdy ten właśnie próbuje się podnieść.

Znów opada na krzesło.

– Chciałabym porozmawiać z tobą na osobności – dodaje cicho.

Poranna narada w miejscowym komisariacie policji w Lysvik dobiegła końca. Röse, Andersson i Svanemark dopili resztki kawy i wyciągnęli ręce, żeby chwycić kilka ciasteczek, potem wyszli z pomieszczenia.

Raportowanie przesłuchań gości gorzelni okazało się deprymująco monotonne. Podobnie jak zdaniem małżeństwa Grothów oraz ich dzieci, zdaniem wszystkich innych uczestników impreza była udana, a nastrój jak najlepszy. Oczywiście ludzie byli pijani, był przecież sylwester, a Grothowie nie skąpili alkoholu. Ale nikt poza Gabrielem Stuubem nie zachowywał się niewłaściwie. Na szczęście Jens Groth i Bergvall się nim zajęli. Dwie osoby przyznały, że widziały, jak Gabriel wlecze się w stronę hotelu, i wzięły za pewne, że zamierza się położyć. Później uwaga wszystkich skupiła się na czym innym: wystrzeliwane z równiny i wybuchające nad morzem fajerwerki były w powszechnej opinii niezrównanym spektaklem. Nie, Grothowie naprawdę nie trzymali się za kieszeń. Oj nie, nikt nie widział Gabriela Stuuba, odkąd ten opuścił przyjęcie.

Ingemar Bergvall przyznał wprawdzie, że dość szorstko odciągał Gabriela od petard. Tak, pchnął go na śnieg kawałek dalej w stronę magazynu i powiedział, żeby szedł w cholerę. Ale potem od razu wrócił na miejsce, z którego wystrzeliwano petardy, co mogą potwierdzić dwie osoby.

Tylko żona pracownika magazynu zeznała, że widziała Gabriela już po rozpoczęciu pokazu. Niejaka Lyanna Drage, z zawodu pielęgniarka, rozejrzała się za nim kilka razy. Gabriel mógł wprawdzie iść, mimo że niepokojąco kuśtykał, ale kobieta nie do



końca była zachwycona tym, że całą drogę do ich miejsca zakwaterowania będzie musiał pokonać sam. Mógł się choćby poślizgnąć i nie wstać ze śniegu. Dlatego do pewnego stopnia jej ulżyło, gdy zobaczyła, jak skręca do magazynu w chwili, kiedy wystrzelono pierwszą rakietę.

Lepiej, że będzie trzymał się w pobliżu, bez względu na to, jak bardzo jest pijany, doszła do wniosku. Później jej uwaga zwróciła się ponownie na fajerwerki i ona również nie widziała już Gabriela.

– Niewiadomą pozostaje więc to, dokąd poszedł po awanturze i kogo tam spotkał. Bo kogoś spotkał, tego możemy być pewni. A więc co najmniej jedna z osób, z którymi rozmawialiśmy, kłamie – podsumowała Karen i dostrzegła, jak Röse uśmiecha się półgębkiem.

– Taa, o ile mordercą nie był ktoś z zewnątrz – powiedział. – Skąd wiesz, że to w ogóle ktoś z tej imprezy? Każdy mógł wejść na teren posiadłości Grothów tak, żeby nikt tego nie zauważył.

– W gruncie rzeczy to prawda – odpowiada Karen z wymuszonym spokojem. – Ale zanim zabierzemy się do przesłuchiwania wszystkich, którzy znajdowali się na wyspie, proponuję skupić się na tych, którzy byli na miejscu zbrodni. Okazję ku temu mieli w zasadzie wszyscy, pytanie tylko, kto miał motyw.

Jeszcze dzisiaj trzeba tu wezwać Björna Grotha, myśli, podczas gdy sala pustoszeje. Tego zadania nie może nikomu powierzyć. Wręcz przeciwnie, podczas rozmowy chce mieć przy sobie Karla Björkena. Pytanie, co w ogóle może zlecić ludziom Bylego, zastanawia się Karen, patrząc na notatki. Dalsze przesłuchania uczestników przyjęcia ze szczególnym naciskiem na Lyannę Drage i Ingemara Bergvalla, dalsze przesłuchania reszty rodziny Grothów i małżeństwa Tryste, analiza zawartości komputera Fredrika Stuuba. W zasadzie powinna porozmawiać też jeszcze raz z jego siostrą, zauważa i czuje, jak przyspiesza jej puls na samą myśl o nawale pracy. I znów muszę porozmawiać z Oddem. Röse miał rację co do jednego: właściwie każdy mógł się dostać niezauważony na teren destylarni.

Karen zamyka drzwi i odwraca się do Bylego. Mówi mu, co Fredrik Stuub napisał do Björna Grotha.

– O cholera – odpowiada Byle. – Nie wiadomo tylko, czy naprawdę coś miał, czy było to jedynie czcze gadanie. Większość ludzi na wyspie postrzegała go jako dość zawziętego typu. Pisał rozjuszone listy do lokalnych gazet i polityków w związku z uszkodzeniem kamieni w Gudheim. Domagał się całodobowej obserwacji tego miejsca przez policję. Tylko sobie wyobraź, mundurowi na trzy zmiany na tym wietrze.

– Możliwe, że to nic nie da, ale musimy to sprawdzić. Zaczę i zobaczę, co uda mi się z tego wyciągnąć. Spróbuję zaraz chociaż pobieżnie przejrzeć zawartość jego komputera.

Sprawdza swoje notatki.

– Pojedziemy z Karlem do Williama Trystego i jego żony, gdy tylko skończymy z Björnem Grothem. I jeszcze ktoś musi porozmawiać z sekretarką... – Karen szuka jej nazwiska w notesie. – Evą Framnes. Możesz się tym zająć?

Byle przytakuje.

– Oczywiście. Ale przydałoby się nam więcej ludzi. Jak wiesz, nikt tu w zasadzie nie jest obeznany z prowadzeniem śledztwa w sprawie morderstwa.

– Rozmawiałam ze Smeedem tuż przed naradą i powiedziałam mu wyraźnie, że potrzebne jest nam większe wsparcie. Ale nie możemy czekać na ich przyjazd. Chcę jak najszybciej pomówić z Björnem Grothem i tym razem nie zamierzam jechać do gorzelni. Masz kogoś, kto mógłby go tutaj dostarczyć po południu, powiedzmy o trzeciej?

– Wyznaczę kogoś z chłopaków, żeby zadzwonił i go odebrał, jeśli będzie taka potrzeba. Pewnie będzie się cieszył, że dziś sobota.

– Dlaczego?

– Nie sądzę, żeby było mu na rękę to, że tuż przed decyzją o rozbudowie może wpaść tu na urzędników i przedstawicieli władz prowincji. Mają z pewnością całą masę wątpliwości, a siedzą raptem po drugiej stronie ulicy.

– Ale z tego, co zrozumiałam, wynika, że dostał już pozytywną odpowiedź. Sprawa jest więc chyba przesądzona.

– W zasadzie tak, chociaż formalnie decyzja zapadnie dopiero po Trzech Króli na pierwszej tegorocznej sesji. Jest ryzyko, że teraz

zacznie się dyskusja i proces się opóźni. Politycy mają to do siebie, że trzęsą portkami, gdy w mediach rozpętuje się burza.

– Hmm, nie miałam zamiaru przywozić go tu w kajdankach. Ale jak już mówiłam, wiadomość o tym, że u Grothów doszło do morderstwa, już wypłynęła w prasie.

Wracają do omawiania zadań na ten dzień, a kiedy Byle oddala się w swoją stronę, Karen wchodzi do przydzielonego jej pokoju. Jest ciasny i bez okna, wcześniej składowano w nim zarekwirowane przedmioty i wciąż do połowy wypełnia go ogromna szafa pancerna. Karen wciąga brzuch, otwiera leżącego na biurku laptopa i loguje się do sieci.

Zestawienie zawartości komputera Fredrika Stuuba jest jednym z najkrótszych, jakie Karen widziała w śledztwach. Linki do dokumentów i stron internetowych mieszczą się na dwóch stronach A4. Tak jak powiedział Larsen, dokumenty i historia wyszukikań skupiają się tylko na kilku tematach. Karen postanawia wstrzymać się ze zbieraniem grzybów i środkami odrobaczającymi dla psów. Zamiast tego otwiera plik w Wordzie oznaczony jako „Rodzina Hussów” i chwilę później przygląda się starannie wyrysowanemu drzewu genealogicznemu. Czcionka jest tak malutka, że całe drzewo mieści się na jednej poziomo ustawionej stronie.

Karen powiększa je i zabiera się do przeglądania od lewej do prawej, stwierdza, że nazwisko Huss pojawia się dopiero na początku XIX wieku. Wcześniej dominują skandynawscy przodkowie o nazwiskach odojcowskich: Anderssonowie, Nielssonowie i Karlssonowie, którzy najwyraźniej utrzymywali się jako wyrobnicy folwarczni, rybacy, a jeden jako celnik. Jednak w 1867 roku przeprowadził się tu skądś niejaki Gerhard Huss i ożenił z Hildą Andersdotter, zauważa Karen i prowadzi wzrok dalej do ich syna Albina Hussa, właściciela kopalni.

Tak jak wspominał Byle, na starego Hussa i jego żonę nie spłynęła łaska posiadania syna i musieli zadowolić się dwiema córkami. Obie wyszły za mąż, zapewniając rodowi dalsze istnienie, chociaż nazwisko Huss wymarło. Z coraz większym brakiem zainteresowania Karen wczytuje się w drzewo genealogiczne i stwierdza, że Fredrik Stuub to kuzyn ojca Williama Trystego. Obaj są potomkami rodziny, która niegdyś była jedną z najbogatszych w Doggerlandzie. Mimo to Fredrik nie zostawił po sobie więcej niż siedemdziesiąt tysięcy marek, dom i kilka hektarów dawnego terenu kopalni, który dziś jest w zasadzie bez wartości w tej wyludniającej się okolicy.

Pytanie, czy kwestie pokrewieństwa w ogóle mają dla śledztwa jakiegokolwiek znaczenie, zastanawia się Karen. William może być powiązany z obiema ofiarami, ale tak czy inaczej, po nich nie

dziedziczy. Poza tym ma alibi, przynajmniej na czas morderstwa Fredrika, przypomina sobie.

Z kolei finansowo na zamordowaniu kolejno Fredrika, a potem jego wnuka zyskuje żona Gabriela, Katja. Rozwód nie doszedł jeszcze do skutku, a teraz przypadnie jej nie tylko dom, w którym mieszkał Gabriel, lecz także ten, który zdążył odziedziczyć on po dziadku. Ale to, żeby matka dwójki dzieci zamordowała lub nawet zleciła zamordowanie dwóch osób dla siedemdziesięciu tysięcy marek i dwóch domów na Noorö, nie wydaje się bardzo obiecującym tropem.

Karen zamyka dokument i klika w kolejny link. Fredrik Stuub zebrał w kilku folderach mieszankę dokumentów i wyrwanych z kontekstu faktów o kamiennym kręgu, kamiennych grobach i megalitach na całym świecie wraz ze zdjęciami i różnymi teoriami o ich funkcji i sposobach określania ich wieku. W jednej z teczek była nawet mapa północno-wschodnich części Noorö z drogami zaznaczonymi na czerwono. Ostatni dokument to PDF zatytułowany *Badanie gruntu technologii środowiskową. Rozbudowa hotelu i centrum konferencyjnego w Gudheim.*

Wzdychając, Karen przelatuje wzrokiem po raporcie, w oczy rzucają się jej takie słowa jak: teren eksploatowany, kulturowo--historyczny opis konsekwencji, przesunięcie drogi na wschód, plan szczegółowy i nieznaczące oddziaływanie. Muszę poprosić, żeby jeszcze ktoś to przeczytał, myśli i odchyła się na krześle. Z tego, co udało się jej zrozumieć z konkluzji badania, wynika, że rozbudowę można zaakceptować pod warunkiem, że zmianie ulegnie pierwotny wariant drogi. Będzie to droższe niż planowane, ale wciąż możliwe.

Jeśli ten dokument Fredrik Stuub zamierzał wykorzystać przeciw planom Grothów, strzelał zapewne z kapiszonów, myśli, rozciągając kark. Drobny ból głowy zaczął dawać o sobie znać.

Karen dalej przegryza się na przemian przez dokumenty i historię wyszukiwań z komputera Fredrika Stuuba. Kiedy dociera do folderu „Praca”, zatrzymuje się. Dokument, któremu się teraz przygląda, ma rubrykę „Zatrudnienie po przejściu na emeryturę” i dotyczy umowy między Uniwersytetem w Ravenby a profesorem emeritusem Fredrikiem Stuubem.

Karen wchodzi na stronę uniwersytetu i sięga po telefon.

– Jenny na trasie!

Wesoły głos zdaje się zdyszany, jakby rektorka Uniwersytetu w Ravenby była właśnie w trakcie treningu, idealnego niczym z Instagrama, i miała chęć o tym opowiedzieć temu, kto dzwoni, kimkolwiek ten ktoś jest.

Gdy tylko Karen przedstawia siebie i swoją sprawę, część tego oczekiwania znika z tonu Jenny Older.

– Tak, oczywiście, znam Fredrika Stuuba – mówi wciąż zdyszana.  
– Ale jeśli mam być szczerą, głównie z nazwiska. Od kilku lat już u nas nie pracuje. Czy wolno spytać, o co chodzi? Nie mogę ot tak udzielić żadnych informacji.

Karen wyjaśnia jej najbardziej ogólnikowo, jak tylko się da, że Stuub został znaleziony martwy w okolicy domu, a ona ma za zadanie „zgromadzić wszelkie informacje”. Rutynowe działanie policji.

– Och, naprawdę przykro mi to słyszeć – mówi mało zainteresowana Jenny Older. – Ale zaczęłam tu pracę akurat wtedy, kiedy on przeszedł na emeryturę, więc kojarzę go głównie z nazwiska, jak już mówiłam. Na co umarł? Nie, tego, rzecz jasna, nie może pani zdradzić, ale był już chyba w dość podeszłym wieku?

Media oczywiście nie ujawniły nazwiska Fredrika i Gabriela Stuubów, ale kto kryje się za pierwszymi stronami gazet, nie jest żadną nowością dla kogoś z Noorö. Zdaje się jednak, że Jenny Older nie dostrzega związku między wiadomościami o podwójnym morderstwie a Fredrikiem Stuubem. Karen nie widzi powodu, żeby ją oświecać.

– Nie będę pani zanudzać – mówi zamiast tego. – Chciałam w zasadzie porozmawiać tylko z kimś, kto może mi w skrócie powiedzieć, czym zajmował się Fredrik Stuub.

Krótkie wahanie po drugiej stronie. Później Jenny Older dochodzi do wniosku, że ta informacja nie jest najpewniej objęta tajemnicą.

– Nauczał i prowadził badania z biochemii – mówi. – Wykładał przynajmniej do dwa tysiące dwunastego, kiedy przeszedł na emeryturę. Później podpisaliśmy umowę zakładającą, że może mieć dostęp do naszych lokali i sprzętu jeszcze przez dodatkowe pięć lat, żeby dokończyć prowadzone badania. Pamiętam to, bo Fredrik Stuub był jednym z ostatnich, którzy zawarli taką umowę. Teraz byłych współpracowników obowiązują inne zasady.

– Dlaczego?

Jenny Older zwleka chwilę z odpowiedzią.

– W gruncie rzeczy to po prostu kwestia priorytetów. Toczyły się długie dyskusje o zaletach i wadach emeritusów. Z jednej strony przekazywanie przez nich wiedzy, z drugiej – nowe ukierunkowanie działalności i zasoby. W końcu kierownictwo doszło do wniosku, że nie możemy dłużej pozwalać, żeby emerytowani pracownicy pozostawali na uczelni.

– A nad czym prowadził badania Fredrik Stuub?

– Nad mykotoksynami. Hmm, to znaczy różnego rodzaju toksynami wytwarzanymi przez grzyby pleśniowe. Jako eksperta zatrudniały go między innymi media. Na przykład przy okazji alarmu na temat aflotoksyn w ryżu kilka lat temu.

Karen przeszukuje w pamięci szereg okładek prasy wieczornej, które krzyczały, że to, co bez najmniejszych obaw jadłeś przez całe życie, może być śmiertelnie groźne.

– Ale Fredrik korzystał z możliwości dalszej pracy zaledwie kilka lat, do końca dwa tysiące piętnastego – ciągnie Jenny Older. – Z tego, co zrozumiałam, wycofał się i należy mieć nadzieję, że znalazł coś innego, w co mógł się zaangażować. Wielu odczuwa niechęć do przejścia na emeryturę. Ten sam problem występuje we wszystkich zawodach, jak sądzę.

Mówiąc to, Jenny Older śmieje się poufnie, jakby w domyśle sugerowała nic porozumienia między nimi. Karen instynktownie reaguje na ton jej głosu. Rodzaj uprzejmej, współczującej pobłażliwości. Kiedy nie próbuje się nawet dostosować, Jenny Older mówi głosem, który sygnalizuje, że ta rozmowa, z jej punktu widzenia, dobiegła końca.

– Przez ostatnie lata, jak już mówiłam, ani go nie widzieliśmy, ani o nim nie słyszeliśmy, ale oczywiście od razu poinformuję

wszystkich na wydziale. Wie pani, kiedy odbędzie się pogrzeb? Dobrze by było zawrzeć tę informację w mailu. Możliwe, że ktoś zechce się na niego wybrać.

Karen wzdycha i kończy rozmowę.

Skaranie boskie być starym, myśli i dalej przegląda linki do zawartości komputera Fredrika Stuuba. Dokładnie tak, jak mówiła Jenny Older, zdaje się, że zawodowe zainteresowania Stuuba obracały się wokół różnych typów toksyn wytwarzanych przez grzyby i faktycznie jest kilka linków do artykułów prasowych, gdzie wypowiadał się w roli eksperta, zarówno gdy chodziło o alarmowanie w sprawie toksycznej pleśni w ryżu, czarnej pleśni w spartaczonych obiektach budowlanych, jak i ryzyka pojawienia się toksyn pleśni w soku i dżemie jabłkowym. Karen przebiega wzrokiem przez niezrozumiałe pojęcia i liczby w porównaniu pomiarów aflatoksyn, ochratoksyn, patuliny, *Baudoinia*, trichotecenów, zearalenonu i fumonizyn i nie znajduje żadnego powiązania z destylarnią Grotha.

Nigdy nie słyszała, żeby w mocnym alkoholu znaleziono pleśń, ale co ona tam wie? Będzie musiała to sprawdzić. Pleśń przy partactwie budowlanym zdaje się bardziej prawdopodobna. Coś takiego mogłoby być sporym skandalem w zależności od zakresu i konsekwencji, myśli. Może w jakiś sposób się to łączy z planami rozbudowy Grothów. Nie jest to może szczególnie wiarygodne, ale całkowicie możliwe.

Będzie musiała poprosić kogoś, żeby na to wszystko popatrzył, myśli strapiona Karen i zerka na zegarek. Już kwadrans po pierwszej, naprawdę powinnam coś zjeść, nim ból głowy jeszcze się nasili. Kiedy wyłącza komputer, dzwoni jej komórka.

Karl Björken nie wykazuje ani cienia mdłości, chociaż właśnie był świadkiem sekcji zwłok.

– Jestem już na promie, głodny jak cholera – mówi. – Jadłś?



– Nic?

– Nic a nic. Björn Groth nigdy nie odpowiedział na groźbę Fredrika Stuuba, czy cokolwiek to miało być. Chłopaki z IT sprawdziły wszystkie usunięte maile, nawet takie, które wykasowano z kosza. Cholera ich wie, jak oni to robią, ale Larsen twierdzi, że nie było dalszej korespondencji między Fredrikiem Stuubem a Björnem Grothem.

Usiedli w serwującej lunch restauracji niedaleko terminalu. Karen wyszła po Karla i teraz siedzą jako jedyni goście w miejscu, które prawdopodobnie można by określić mianem wyszynku portowego. Proste drewniane stoły i kawiarniane krzesła z aluminium, obowiązkowe ozdoby na ścianach: sieci rybackie, „obrazy olejne” przedstawiające statki na wzburzonym morzu. Symbole wiary, nadziei i miłości tym razem wyglądają tak, jakby wystrugano je z większego kawałka drewna wyrzuconego na ląd i ciężar ten złowieszczo wisi nad drzwiami do kuchni.

Karl Björken wzrusza ramionami.

– Taa, ale mógł zadzwonić lub zwrócić się do Stuuba osobiście, zamiast pisać maila. To chyba bardziej prawdopodobne, jeśli stary naprawdę miał coś, co mogło zagrozić budowie.

– Możliwe, musimy go o to zapytać. No ale co tam znalazł Brodal podczas sekcji?

– Naprawdę chcesz to usłyszeć teraz? Przed jedzeniem?

– Dawaj.

– Okej, ale nie licz na żaden prezent. – Karl bierze łyk piwa. – Gabrielowi Stuubowi podcięto gardło nożem ząbkowanym. Prawdopodobnie dwustronnym myśliwskim, przypuszcza Kneought. Takim z większym ząbkowaniem po jednej stronie i równiejszym po drugiej. Cholernie skuteczny z obu stron, że tak powiem.

– Aha, czymś takim – mówi bez emocji Karen. – Tak czy inaczej, narzędzie zbrodni leży już zapewne w Morzu Północnym.

– W każdym razie mówimy o nożu, który wbito z boku szyi, a potem przeciągnięto jego ostrzem przez krtań od środka na zewnątrz.

– Cudownie. Coś więcej?

– Tak, sama wiesz, jak to jest z naszym kochanym Brodalem, nigdy nie daje na nic żadnej gwarancji, ale jest dość mocno przekonany o tym, że Gabriel siedział oparty o drzewo, przy którym go znaleziono, i że został zaskoczony od tyłu. Teorię tę potwierdzają ślady na spodniach i lekkie odmrożenia na pośladkach.

– Innymi słowy, błyskawiczna egzekucja.

– Nóż wbito w ofiarę z prawej strony od tyłu pod kątem, prawdopodobnie mamy więc do czynienia z praworęcznym mordercą.

– Nie no, ależ to nietypowe! Coś jeszcze?

Karl kręci głową.

– Nie, jeśli chodzi o morderstwo, ale Gabriel Stuub miał sporo siniaków wskazujących na to, że kilka dni wcześniej uczestniczył w jakiejś bójce. Nie jest to nic, do czego by doszło tuż przed morderstwem, ale najwyraźniej jeden lub dwa dni wcześniej dostał porządne lanie. Poza tym miał we krwi ślady kokainy i wątrobę, która zdaniem Kneoughta Brodala była w nadzwyczaj złym stanie, jak na tak młodego człowieka.

– O tym, że chlał, już wiemy, ale zdawał się wytrenowany. Anaboliki?

– No właśnie, tak zgadywał Brodal, ale w tej sprawie musimy poczekać na testy. Hmm, z grubsza to tyle. Poza tym zobaczymy, co wyciągnie z tego Sören.

– Oczywiście mnóstwo DNA, które jednoznacznie wskaże, kto poderzwał gardło temu biedakowi. A jego telefon leżał zapewne, jak Bóg przykazał, w kieszeni?

Karl się szczyrzy.

– No oczywiście. Stawiam stówę, że podzielił los narzędzia zbrodni. W każdym razie jest nadzieja, że kiedyś dostaniemy billingi od operatora. W końcu – mówi sekundę później i spogląda na kelnerkę.

Karen patrzy zadowolona na parujące głębokie talerze, które ta właśnie przed nimi stawia. Wyszynk czy nie, ale wygląda na to, że

zupę rybną mimo wszystko umieją przygotować, myśli i wciąga w nozdrza zapach mały, dorsza, listownicy cukrowej i czosnku. Jeszcze zanim kelnerka odejdzie, Karen odrywa kawałek ciemnego chleba i wkłada go sobie do ust. Jedzą w ciszy, szybko i zapalczywie, parzą się w język zupą i chłodzą małymi łydkami lagera. Po dziesięciu minutach Karen opiera się o oparcie krzesła i odwraca wzrok w stronę okna.

– A ty co porabiałaś, kiedy byłem w Ravenby? – pyta Karl. – I w ogóle co też ci się stało, do cholery, wczoraj wieczorem?

– Zaczęłam przeglądać komputer Fredrika Stuuba – odpowiada Karen i udaje, że tego drugiego pytania nie usłyszała. – Jest tam mnóstwo dokumentów i starych maili, które chciałabym przejrzeć.

Karl wyciera resztkę zupy kawałkiem chleba i wkłada go do ust.

– Amha? Czego dochyczą? – mówi niewyraźnie.

– Zdaje się, że nasz poczciwy Stuub był swego rodzaju dogmatykiem. A przynajmniej, jak wspominał Byle, regularnie zabierał się do pisania listów do gazet i lokalnych polityków. Nie jest zadowolony z rozkładu promów w weekendy, protestuje przeciwko pobieraniu opłat za odbieranie śmieci w Valby, skarży się na opieszale działania policji w sprawie nielegalnego wyrzucania odpadów. Hmm, i cała seria niekończących się litanii na temat przekraczania dozwolonej prędkości i aktów wandalizmu. Przede wszystkim tego, do którego doszło w Gudheim. Jest też kilka starszych maili, pisanych do córki, i kilka odpowiedzi od niej.

– Do Ulrike? Mamy Gabriela, która zmarła na żółtaczkę?

– Tak, i jest to naprawdę smutna lektura. Nie zdążyłam przejrzeć wszystkiego, ale był zupełnie przybity jej chorobą i proponował mnóstwo alternatywnych sposobów leczenia. Dziwne, bo zdawało się, że nie był nigdy szczególnie blisko z wnukiem. Ale może Gabriel miał rację. Że Fredrik stał się trochę zapominalski, kiedy Ulrike zmarła.

– Albo po stracie dziecka nie miał odwagi nikogo do siebie dopuścić. Tak też mogło się zdarzyć, co nie?

Zapada cisza.

Czyżby Sigrid mu opowiedziała? – Karen zastanawia się, szukając czegoś, co mogłaby powiedzieć. Wczoraj wieczorem, kiedy poszłam na górę do pokoju. Nie, Sigrid by nigdy...

Słysząc jedynie brzdęk naczyń z kuchni, a czas jakby się zatrzymał.

– Co wiesz? – po chwili udaje się jej z siebie wykrztusić.

– W zasadzie nic – mówi spokojnie Karl. – Ale nie jestem ani głuchy, ani ślepy, a jako policjant umiem dodać dwa do dwóch. I wczoraj wieczorem, kiedy palnąłem głupstwo, widziałem twoją reakcję.

– Tak, nie było w tym chyba nic dziwnego? Przecież dopiero co straciła matkę.

– Nie reakcję Sigrid. Twoją. Oficjalnie wiem, że byłaś mężatką, kiedy mieszkałaś w Londynie, i że wróciłaś tu po rozwodzie.

– W takim razie wiesz to, co musisz.

Karl się odchyła i przygląda się jej.

– Właściwie to jak długo już razem pracujemy? – pyta.

– Będzie już chyba pięć, sześć lat.

– Siedem – mówi Karl. – Ufasz mi?

– Przecież wiesz.

– Nie sądzisz, że najwyższa pora, żeby powiedzieć mi prawdę?

Ma wrażenie, że zaraz rozpadnie się na dwie części. Instynktowna nerwowa reakcja nakazująca jej dalej kłamać. Nikt nie może się dowiedzieć, nikt z pracy, nikt poza najbliższymi przyjaciółmi. Zdecydowała o tym w chwili, gdy dziesięć lat temu zaoferowano jej pracę w Wydziale Kryminalnym. Ówczesny szef, przyjaciel jej matki, wiedział, co się stało, i dopilnował, żeby prawda Karen stała się tą oficjalną. Rozwiedziona, bezdzietna. Żadnych pytań, żadnych rozmów o przeszłości. Tylko w taki sposób mogła sobie dalej poradzić. Jeśli teraz konsekwentnie będzie się trzymać tej prawdy, Karl nigdy więcej nie zada jej tego pytania, tyle Karen wie.

I jeszcze to wieczne zmęczenie. Wyczerpująca pustka, którą pozostawiają po sobie te wszystkie kłamstwa. Karen głośno przełyka ślinę. Otwiera usta i znów je zamyka.

Potem czuje ciepło dużej dłoni Karla na swojej dłoni i po chwili słyszy własny głos. Brzmi monotennie i obco, myśli, jakby dochodził gdzieś z daleka, i Karen słyszy, jak sama mówi:

– Wiesz, że przez wiele lat mieszkałam w Anglii?

Karl kiwa głową, a słowa sączą się jej z ust wbrew jej woli.

– Miałam męża i syna. Johna i Mathisa. Zginęli w wypadku samochodowym.

Karl już chce coś powiedzieć, ale przerywa, kiedy Karen bierze głęboki wdech.

– To ja prowadziłam – dodaje i patrzy mu prosto w oczy.

On odwzajemnia jej spojrzenie. Pewnie, nie uciekając wzrokiem. Czeka w milczeniu.

I Karen mu opowiada. Mówi to, czego w zasadzie nie da się ubrać w słowa. O tym, jak kierowca ciężarówki nagle zboczył z kursu, o tym, że John i Mathis zginęli na miejscu, a ją samą wycięto z samochodu, fizycznie wyszła bez szwanku. O policjancie, który później doniósł jej, że kierowca ciężarówki był nabuzowany amfetaminą, żeby wyrobić się w wyznaczonym czasie przejazdu. O tym, że nie mogła dłużej mieszkać w Londynie. Że jedyna droga do przodu prowadziła z powrotem. Znów do domu. Do Doggerlandu, do Langevik, do miejsca, gdzie dorastała.

Opowiada mu o tym wszystkim. Ale nie wspomina o kłótni z Johnem tego samego dnia rano, o tej irytacji, która skłoniła ją do tego, żeby usiąść za kierownicą, chociaż to on miał prowadzić. Nic o tym, że nigdy do końca nie przyzwyczała się do ruchu lewostronnego, mimo tylu lat spędzonych w Londynie. Nic o poczuciu winy, które gryzie ją każdego dnia od tamtej pory. I zjada kawałek po kawałku.

Jednak całą resztę mu opowiada. Rzeczowo, jakby chodziło o kogoś innego.

I nie tonie.

Dzieje się to dokładnie kwadrans po czwartej po południu. Nieoczekiwanie jak wtedy, gdy mocny podmuch wiatru otwiera na oścież okno, co grozi tym, że równie szybko się ono zatrzaśnie. Możliwe wyjście.

Duża torba, nic więcej, tylko to, co najpotrzebniejsze. Z łopoczącym sercem Aylin Ramnes myśli o dużej torbie sportowej, która stoi ukryta za meblami ogrodowymi w schowku w garażu. O torbie, którą zapakowała nie dalej jak czterdzieści godzin temu, a potem upchnęła w jedynej części domu, w której on jej zapewne nigdy nie odkryje. Z lunatyczną efektywnością poruszała się cicho między szafami, łazienką i kuchnią, cały czas uważając na najmniejszą nawet zmianę w jego chrapaniu. Kiedy skończyła, przepłukała mokre spodnie od piżamy Tyry.

Teraz, wpatrując się w pokrytą kafelkami ścianę, jeszcze raz sprawdza w myślach zawartość torby. Dwie pary ubrań dla dzieci, jedna dla niej, bielizna, leki, tabletki przeciwbólowe, torebka słodyczy, dwie cienkie książeczki z bajkami, nieużywana karta do telefonu, dodatkowa ładowarka, pieniądze. Paszporty, jej i dzieci, musi pamiętać, żeby zabrać je z kasetki. Czytała o tym w internecie, sama by na to nie wpadła. Oczywiście, że trzeba mieć paszporty. Dlaczego sama o tym nie pomyślała. I jeszcze Miś i Króliczek. Jeśli o nich zapomnę, dzieci będą...

Plącze się jej w głowie.

Nie poradzę sobie, myśli. On ma, do cholery, rację, z niczym już sobie nie radzę.

Rwie papier toaletowy i się podciera, znów patrzy na zegarek. Minęło siedem minut, odkąd Bo bez uprzedzenia wziął samochód i pojechał do biura. W sobotnie przedpołudnie, myśli zaskoczona. Z jakiegoś powodu zawsze sobie wyobrażała, że jeśli kiedykolwiek do tego dojdzie, stanie się to w ciągu tygodnia. Zwykłego dnia pracy, gdy będzie miała wystarczająco dużo czasu, żeby wszystko właściwie przeprowadzić. A teraz on weźmie może tylko kilka

kartek i za godzinę będzie z powrotem, jeśli wróci prosto do domu, może jeszcze szybciej, jeśli nie będzie zważał na ograniczenia prędkości.

Nie, to za mało czasu, myśli. To zbyt ryzykowne. Bezpieczniej poczekać na inną okazję. Może teraz będzie spokojnie przez kilka dni, zwykle tak bywało, kiedy już się wyładował tak jak zeszłej nocy. Mądrzej jest przeczekać jeszcze weekend, aż znów zacznie porządnie pracować. Aż ja to lepiej zaplanuję, zamiast stresować dzieci.

Podciąga spodnie, wstaje i spuszcza wodę. Czuje, jak piecze ją w kroczu. Unosi wajchę kranu i przepłukuje ręce, patrzy na wodę spływającą rwącym strumieniem po obręczce do szerokiej umywalki i wirującą w odpływie. Podnosi głowę i napotyka w lustrze swoje spojrzenie, widzi prawe oko, które znów jest prawie całe opuchnięte, czarny karb, tam gdzie pękła jej warga, nowe ślady po kciukach na szyi. Tym razem nie ma sensu wyciągać palety z różnymi odcieniami korektorów. Nawet Bo to spostrzegł. „Mama wywróciła się na schodach” – powiedział wczoraj przy śniadaniu i odpowiedziała mu cisza. Uśmiechnęła się uspokajająco do Mikkela, ale nie miała odwagi spojrzeć Tyrze w oczy.

Jeszcze jeden rzut oka na zegarek, minęło jedenaście minut. Jeśli ja... nie, nie zdążę, muszę zaczekać. Ze względu na dzieci...

Jej myśli przerywa potok przelatujących obrazów: miś Tyry, kałuża moczu na schodach. Natychmiastowy przebłysk świadomości, jeszcze zanim otworzyła drzwi do sypialni dzieci. Mikkel dalej spał, niczego nieświadomy, jak sobie to wmawiała. A potem Tyra. Ukryta pod kołdrą z otwartymi oczami i mokrymi spodenkami od piżamy.

Obraz, którego nigdy nie uda się jej wymazać z pamięci.

– Nic ci nie grozi, kochanie – powiedziała Aylin, ściągając mokre spodnie z córki i zakładając jej suche.

Tyra nie odpowiedziała.

– Wszystko będzie dobrze, mama obiecuje – powtarzała raz za razem, gładząc ją po włosach.

„Mama obiecuje”.

Zaciskając zęby, Aylin Ramnes wyciska trochę mydła, smaruje nim palec dookoła i zaczyna ściągać pierścionek z dużym diamentem.

Niewolniczą obrączkę, którą nosiła codziennie od blisko sześciu lat, chociaż duży kamień często jej przeszkadzał. Pierścionek, który zawsze był trochę za mały na jej palec, ale nigdy się nie zebrała do tego, żeby go powiększyć. Nie wypada. Wrzyna się w palec, panika narasta, wiele wspomnień miga jej przed oczami: frustracja Bo, gdy się męczył, żeby wcisnąć go jej na palec. Jego zraniona irytacja, gdy zaproponowała, by go dopasować albo może wybrać coś prostszego. Pierwszy przebłysk wściekłości. Jak sama desperacko się uciziała, żeby ten przebłysk zniknął. Jak zapewniała Bo, że pierścionek jej się podoba, że go kocha i w końcu, ignorując wewnętrzny sygnał ostrzegawczy, że się myliła. Nie, pierścionek jest idealny taki jaki jest, pasuje jak ulał. Miał rację, tylko ona była głupia.

Teraz ciągnie tak mocno, że przez moment się obawia, że urwie sobie palec, i wzdryga się, gdy pierścionek nagle puszcza i ląduje w umywalce ze stłumionym brzdękiem. I właśnie w chwili, kiedy instynktownie zatyka usta dłonią, a po bólu palca następuje ból wargi, coś się w niej budzi. Coś osobliwego i wyraźnego, co dusiło się w niej od dwóch dni. Uczucie, które tłamsiła od blisko sześciu lat; obce uczucie, które przesłania wszystkie inne. To nie odwaga, to nie troska, nawet nie wściekłość. Aylin sądzi, że tym właśnie jest nienawiść.

Szybko podnosi pierścionek i wsadza go do tylnej kieszeni. Potem wyłącza światło i zamyka za sobą drzwi. Siedemnaście minut.

Znowu chce się jej sikać.

Drzwi do schowka otwierają się z łatwością, a torba stoi tam, gdzie ją przedwczoraj postawiła, ukryta za obszernym brezentem pod stołem ogrodowym z szarego sztucznego bambusa, wciśnięta za skrzynię z tego samego tworzywa i ogromną złożoną płócienną parasolkę. Bezpieczne miejsce w środku zimy. Aylin dziwi się, że torba jest taka lekka, kiedy wrzuca ją do bagażnika, i myśli, że musiała chyba spakować za mało rzeczy, musiała zapomnieć o czymś ważnym.

Dwadzieścia siedem minut.

Tyra siedzi na kanapie i ogląda telewizję. Gdy Aylin wesoło woła, że pojedą na wycieczkę, bez oporów wychodzi do samochodu i sama



wdrapuje się na fotelik. Tyra nie pyta, dokąd pojedą, mimo to Aylin mówi dalej spięta.

– To będzie miła niespodzianka, ale teraz nie ma już czasu. Jeśli się nie pośpieszycie, nie zdążymy.

Mikkel zdjął z siebie ubrania, które Aylin włożyła mu rano, siedzi w samych majtkach na podłodze w kuchni i bawi się samochodzikami. Nie chce się ubrać. Nie chce na wycieczkę. Ryk, który z siebie wydaje, gdy Aylin podnosi w końcu tę wijącą się osobkę, pompuje w nią adrenalinę i ręce zaczynają się jej trząść niekontrolowanie. W końcu porzuca próby, żeby ubrać syna, i niesie go pod pachą do samochodu.

Trzydzieści dziewięć minut.

– Nie chcę!

Mikkel próbuje się wyrwać z fotelika. Złość sprawia, że oczy zaczynają łzawić. Jego i jej. Tylko Tyra jest spokojna. Siedzi cicho w foteliku i wygląda przez okno. Misia trzyma na kolanach. Ostatkiem sił Aylin udaje się przypiąć syna, okrywa jego nagie ciało kocem leżącym na tylnym siedzeniu i zatrzaskuje drzwi, odcinając się od dalszego wycia. Dwa oddechy i otwiera przednie drzwi.

W chwili, kiedy siada za kierownicą, dociera do niej, że paszporty wciąż leżą w kasetce. Szybkie spojrzenie na zegarek i myśli ślizgają się przez moment, a panika narasta, gdy uświadamia sobie, że nie pamięta kodu. Boże drogi, zaczynam tracić rozum, on ma rację. Potem chwytą wspomnienie i znów otwiera drzwi. Zdobywa się na kłamstwo, żeby zyskać potrzebny czas.

– Pojedziemy do babci i dziadka – mówi. – Mają dla was niespodziankę.

Recytuje cyfry, wbiegając na piętro. Jeden, osiem, siedem, dwa, dobry Boże, spraw, żeby on nie zmienił kodu. Drżącymi rękami udaje się jej za drugim podejściem. Paszporty leżą razem, na małym stosie związane gumką. Aylin błyskawicznie się jej pozbywa i odkłada paszport Bo. W tym momencie jej wzrok pada na szkatułkę z biżuterią z kremowej skóry. Szybko ją przyciąga i opróżnia jej zawartość na biurko, zgarnia to, co należy do niej: biżuterię, którą dostała od Bo na urodziny i pod choinkę, złoty łańcuszek, który dali jej rodzice, gdy zdała maturę, perły po babci, stary roleks dziadka, upycha to w kieszeniach i staniku, resztę

zaczyna wkładać z powrotem, ale przestaje. Wszystko jedno, czy wściekłość Bo, gdy wróci do domu, będzie większa, czy mniejsza. Rzuciwszy ostatnie spojrzenie na bałagan, zbiega po schodach.

Kiedy sześć minut później Aylin Ramnes znów siada za kierownicą, pot spływa jej po plecach, a serce, które podeszło jej do gardła, wali tak mocno, że nie może przełknąć śliny. Nie mówiąc ani słowa, cofa zdecydowanie zbyt raptownie po podjeździe i wyjeżdża na drogę. Jedzie szybciej, niż starcza jej na to odwagi. Widzi przelatujące domy i sąsiada, który zatrzymuje się przy krawężniku i podnosi rękę w ramach protestu.

Na tylnym siedzeniu panuje cisza. Nie jest to jednak cisza pełna oczekiwania, myśli Aylin i w lusterku wstecznym widzi własne strwożone oblicze. To cisza podszyta przerażeniem. Mikkel wsadził kciuka do ust, a małą rączką gładzi wymęczone ucho niebieskiego królika z frotté. Jakby wyczuł, że na niego patrzy, spogląda jej teraz w oczy.

– Kochanie, przepraszam, że na ciebie krzyczałam – mówi Aylin i unosi kąciki ust w sztywnym uśmiechu.

Mikkel wyjmuje kciuk z ust, a jego głos jest cienki jak po płaczu, który niedawno ustał.

– Myślisz, że kupili nam psa? – pyta.

Tyra w ogóle się nie odzywa.

Jeszcze pół kilometra do skrzyżowania, Aylin jedzie ostrożnie, zląkniona tym, że zaraz pojawi się czarny mercedes Bo. Myśli o tym, że jeśli tylko przed jego powrotem przejedzie ten prosty odcinek i skreśli w prawo na szosę, to się jej uda. Bo będzie jechać z miasta w przeciwnym kierunku i jej nie zobaczy, jeśli tylko uda się jej dojechać do miejsca, gdzie droga skręca. Proszę cię, Boże, modli się po cichu i czuje, jak spocone dłonie ślizgają się jej po kierownicy. Daj mi jeszcze kilka minut, tylko kilka, kilka minut. Nie musi zerkać kolejny raz na zegarek, wie, że jej czas musiał się skończyć.

Mocno wieje; lada chwila okno się zatrzaśnie. I już nigdy więcej się nie otworzy.

Björn Groth obserwuje opuszki palców z miną wyrażającą zdziwienie. Patrzy na resztki farby, jakby nadal nie rozumiał, dlaczego ktoś położył przed nim czarny tusz i arkusz z dziesięcioma pustymi kratkami. I jakby nagle dopadło go przerażenie, zaczyna wycierać palce o nogawki.

– Przykro mi, ale nie mamy tu nowocześniejszego sprzętu – mówi Karen. – Ale przy odrobinie mydła i wody to zejdzie. Dobrze, że mógł pan przyjechać w sobotę.

– A miałem wybór?

– W zasadzie nie – odpowiada, lekko się uśmiechając. – Coś panu przynieść tak w ogóle? Kawy, herbaty?

Pomieszczenie jest ciasne, znalazło się w nim akurat miejsce na mały stolik ze sprzętem do nagrywania i cztery krzesła. Karen posyła podenerwowane spojrzenie na sufit, gdzie jedna z jarzeniówek zaczęła mrugać. Jeśli potrwa to długo, ból głowy zdecydowanie powróci.

Rozmowa z Karlem w restauracji w porcie przebija przez jej myśli. Karl nie zadawał więcej pytań, tylko słuchał, gdy ona opowiadała. Żadnych szczegółów, nic, co było wcześniej lub później, powiedziała jedynie, jak było. Miała męża, miała syna, a teraz ich nie ma. Żadnego łomotania serca, żadnych zawrotów, nic w niej nie pękło, chociaż wypowiadała na głos ich imiona. Wciąż istnieję, myśli i zerka na sufit ciasnego pomieszczenia. Mam poprowadzić przesłuchanie w pokoju z mrugającą jarzeniówką, wciąż jestem na powierzchni.

– Nie, dziękuję, chciałbym się za to dowiedzieć, co tu robię – mówi Björn Groth i siada na jednym z krzeseł. – Powiedziałem już wszystko, co wiem.

Obiema rękami przejeżdża po czuprynie, jakby chciał się upewnić, że włosy ma na miejscu.

– Obawiam się, że nie do końca – odpowiada Karen. – Wciąż pan podtrzymuje, że nie chce pan, by był przy tym adwokat?

– Zaczynamy. Nie mam nic do ukrycia.

Karen czeka, aż Karl włączy sprzęt do nagrywania, i kiedy dostaje zielone światło, mówi:

– Przesłuchanie Björna Grotha w sprawie morderstwa Fredrika Stuuba i Gabriela Stuuba. Sobota, drugi stycznia, godzina piętnasta zero cztery. Poza Björnem Grothem obecni są prowadząca śledztwo komisarka kryminalna Karen Eiken Hornby i komisarz kryminalny Karl Björken.

Później Karen mówi:

– Przejdę od razu do rzeczy. Poprzednim razem powiedział pan, że nie zna Fredrika Stuuba. Czy podtrzymuje pan to?

– Tak, podtrzymuję – mówi surowo Björn Groth. – A co?

– Dobrze, przeformułuję pytanie. Czy miał pan z nim w ogóle jakikolwiek kontakt? Kiedyś w jakiś sposób w jakiejś sprawie?

– Oczywiście wpadaliśmy na siebie przez te wszystkie lata, aż tak duża ta wyspa nie jest. Zamieniliśmy kilka słów o pogodzie i wietrze, tak mi się wydaje, ale nic więcej. O co właściwie chodzi?

Do jego głosu wkradł się delikatny ton niepewności, ledwie zauważalny, ale Karen wie, że Karl też zwrócił na niego uwagę. Nie spuszczać wzroku z Grotha, widzi, że Karl się pochylił, i pozwala mu zadać kolejne pytanie.

– A dlaczego Fredrik Stuub wysłał do pana maila?

Przesuwa wydruk listu Stuuba, podając zarazem co do słowa jego treść z pamięci:

– „Mam informacje, które mogą powstrzymać wasze plany rozbudowy. Skontaktuj się ze mną jak najszybciej”. Nie brzmi to wcale jak rozmowa o pogodzie i wietrze.

Zdziwienie jest natychmiastowe. W mgnieniu oka mężczyzna przed nimi zaczyna zapadać się w sobie. Jeszcze raz, pochylając głowę, patrzy na zabarwione opuszki palców. Nie mówi nic.

– Co takiego wiedział Fredrik Stuub, co mogło położyć kres pańskim planom rozbudowy?

– Nic.

– Nic? I chce pan, byśmy w to uwierzyli?

– Mogą państwo wierzyć, w co tylko państwo chcą.

– Dobrze, teraz jednak nie chcemy wierzyć, chcemy wiedzieć. I wcześniej czy później się dowiemy, więc równie dobrze może pan

od razu nam odpowiedzieć. Czy skontaktował się pan z Fredrikiem, tak jak ten o to prosił?

– Nie. Chcę adwokata. Zmieniłem zdanie.

Karen wzdycha.

– Proszę odpowiedzieć na to pytanie.

– Nie mam nic więcej do powiedzenia. Nie wiem, o co w tym chodziło, nigdy nie kontaktowałem się ze Stuubem. Chcę mieć adwokata.

– Dobrze, w takim razie dokończymy tę rozmowę jutro. A może lepiej w poniedziałek rano? Wprawdzie wtedy po okolicy kręci się sporo polityków i jest ryzyko, że wpadnie pan na ludzi, którzy również mają do pana jakieś pytania. Może pan odpowiedzieć teraz lub wrócić w poniedziałek, jak pan woli. Wcześniej czy później i tak będzie musiał pan odpowiedzieć na nasze pytania.

Karen odchyła się i czeka, patrzy, jak Groth zмага się z tą alternatywą.

– Okej – mówi w końcu. – Zadzwoń do niego.

– To znaczy: zadzwonił pan do Fredrika Stuuba? Kiedy?

– Dwudziestego drugiego, tego samego dnia, kiedy przyszedł mail. Myślałem, że znów dotyczy on tej przeklętej drogi.

– Mógłby opowiedzieć pan coś więcej o tej „przeklętej drodze”? – prosi łagodnie Karl.

– Facet był pomyłony – mówi Björn Groth i rozkłada ręce. – Ubzdurał sobie, że nowa droga, którą zbudujemy, zagrozi temu cholernemu kręgowi. Biegał tam w kółko i zachowywał się tak, jakby to była jego prywatna własność.

– A czy miał rację? – pyta Karl. – Nie da się zaprzeczyć, że nowa droga i centrum konferencyjne są chyba czymś, co mogłoby mieć naprawdę duże oddziaływanie na... pozostałości prehistoryczne.

Björn Groth prychnął.

– Te kamienie stały tam od dwóch tysięcy lat i raczej sobie poradzą z drogą, która będzie przebiegać blisko kilometr od nich. Tak, mieliśmy plan, żeby wytyczyć ją bliżej, ale sprzeciwił się Wydział Kulturalno-Środowiskowy, wysunęliśmy więc nową propozycję i tę przyjęto. Kosztuje to cholernie dużo, ale jak powiedziałem, została przyjęta. I Stuub o tym wiedział.

– Co więc mówił, kiedy pan do niego zadzwonił.

– Nic.

Karen czuje narastającą irytację i już otwiera usta, ale Groth jej przerywa.

– Powiedziałem, że to się źle dla niego skończy, jeśli przekażę tego maila policji. Że zahacza to niebezpiecznie o szantaż.

– I co on na to?

– Hmm, odparł, żebym przestał kłamać, bo on nigdy nikomu nie groził, ale jeśli zechce, to to zrobi. Potem rzucił słuchawką, zanim w ogóle zdążyłem się wciąć. Mówiłem, że stary był pomyłony.

– Hmm, i co my mamy o tym sądzić? – mówi Karen po wyjściu Björna Grotha.

Zmęczona odsuwa kosmyk włosów z oczu i mruży je, patrząc na mrugające światło.

– Powiem tak, potrzebuję piwa i cholernie dużej whisky – wzdycha Karl. – Wszystko jedno jakiej, byle nie Grotha.

– Boże drogi, co to jest?

Karl Björken pochyla się i przekręca głowę, żeby wyrzeć przez boczną szybę. Skręcili z drogi krajowej tuż przed tablicą wyznaczającą granicę dystryktów Skreby i Gudheim. Dom, któremu się przygląda z zainteresowaniem przemieszonym z nieufnością, to wznosząca się przed nimi czterokondygnacyjna budowla z żółtawego piaskowca, tym wyższa i bardziej przerażająca, im bliżej do niej podjeżdżają. Sam korpus – pomijając jego wielkość – jest banalny: gigantyczny prostokąt ustawiony pionowo na krótszym boku. Tym, co sprawia, że myśli wędrują w niemieckie Alpy, a nie na smagane wiatrem wrzosowiska Noorö, są cztery wieże wznoszące się w narożnikach i sięgające ku szaremu pochmurnemu niebu. Każda zwieńczona jest czymś, co przypomina średniowieczne blanki.

– Stary Huss, dobrodziej z kopalni, zbudował to na początku zeszłego stulecia – wyjaśnia Karen. – To wyraz jego manii wielkości, jak przypuszczam.

– Albo cholernie małego fiuta – śmieje się prostacko Karl.

– Może i tak. Ludzie tutaj na wyspie nazywają to Kompleksem. Mówi się, że Huss nigdy nie zrozumiał podwójnego znaczenia tej nazwy.

Karen zwalnia i skręca w prostą jak drut żwirową drogę obsadzoną po bokach nagimi kasztanowcami.

– Oczywiście podjazd też musiał mieć okazały – mówi i jedzie powoli aleją, wlepiając wzrok w budynek. – Latem musi tu być pięknie.

– Nigdy wcześniej tu nie byłaś?

– Nie, przejeżdżałam tylko obok tą dużą drogą. Jako dziecko uwielbiałam ten budynek, uważałam, że jest jak z bajki.

– Tak, chociaż teraz już tak raczej nie wygląda – mówi sucho Karl. – Popatrz na fasadę.

Objeżdżają ogród, pośrodku którego znajduje się coś, co przypomina zamrznięty staw z karpami, i parkują przed dużymi

kamiennymi schodami. Karen wyłącza silnik, pochyla się i spogląda przez przednią szybę na pobielone erodujące piaskowce. Z daleka Kompleks nadal przywołuje na myśl zamek, z bliska jednak widać, że oprócz uszkodzeń fasady pokrywa go też cienka warstwa czarnej sadzy.

– Wilgoć – mówi. – I kurz z kopalni. Podobno nie sposób go usunąć, najgorszy jest tutaj, na północy, bo kopalnie są blisko. Miejmy to już za sobą – dodaje ze wzrokiem utkwionym w zegarku.

Kilka minut przed piątą. Przy odrobinie szczęścia odjadą stąd za godzinę.

Ledwie udaje im się pokonać schody do połowy, a otwiera się jedno skrzydło szerokich podwójnych drzwi i William Tryste wychodzi im na powitanie.

– Przypuszczam, że nietrudno było tu trafić – mówi, uśmiechając się szeroko, i wyciąga do nich rękę. – Dyskretny domek to to nie jest, ale taki już odziedziczyłem.

– Kiedy byłam mała, nie mogłam się na niego napatrzeć – przyznaje Karen. – Uważałam wtedy, że wygląda jak zamek. Hmm, wciąż wygląda... okazale.

William Tryste prycha.

– Nie musi być pani taktowna. W przeciwieństwie do moich rodziców jesteśmy w pełni świadomi, co ludzie mieli na myśli, gdy ochrzczono ten moloch mianem Kompleksu.

– Przypuszczam, że jego ogrzanie musi kosztować krocie – mówi Karl i rozgląda się po olbrzymim hallu wejściowym.

– Używamy tylko jednej czwartej. Połowa parteru i pół pierwszego piętra to aż nadto dla naszej małej rodziny, reszta jest odcięta. Nie mogę wprawdzie narzekać, Grothowie wypłacają mi porządną pensję, ale ogrzanie tego wymagałoby zapewne trzy razy więcej. Wejdziemy? Moja żona już czeka w salonie.

Przechodzą przez hall, gdzie szerokie schody z poręczą obitą skórą biegną do półpiętra, żeby tam podzielić się na dwa mniejsze, bardziej strome odcinki.

– Trzymamy się po południowej stronie domu – wyjaśnia William Tryste i pokazuje na zachodnią część schodów. – Na górze mamy sypialnie i łazienkę. Proszę tędy!



Prowadzi ich obok schodów, mijają uchylone drzwi do czegoś, co wygląda jak gabinet. Karen dostrzega kuchnię na drugim końcu długiego korytarza dla służby i widzi przepierzenie z jeszcze jedną klatką schodową, tym razem prowadzącą w dół.

– W części, gdzie w starych dobrych czasach mieszkała służba, posadziliśmy rabarbar – ciągnie Tryste. – Schody prowadzą do pralni, spiżarni i dawnej piwniczki z winem. Mam kilka naprawdę świetnych sztuk tam, na dole, ale zakładam, że nie dadzą się państwo skusić na służbie.

– Niestety – przyznaje Karl. – A więc nawet dyrektor destylarni nie ogranicza się tylko do whisky?

– Nie, mówię o sobie, że mam wiele uzależnień – śmieje się William Tryste i otwiera drzwi do podłużnego salonu. – Proszę pozwolić, że przedstawię: moja żona Helena, a to komisarze Karen Eiken Hornby i Karl Björken.

Kobieta w średnim wieku z długimi ciemnymi włosami zebranymi nisko w koński ogon podnosi się z fotela. Ściskają sobie dłonie i Karen zauważa, że od Heleny Tryste nie bije wcale taka pewność siebie, jaką został obdarzony jej mąż. Kiedy ich spojrzenia się spotykają, widać wręcz cień niepewności, niemal wstydu.

– Witam – mówi, oszczędnie się uśmiechając. – Napiją się państwo czegoś? Kawy, herbaty?

Nie czekając na odpowiedź Karla, Karen szybko odmawia. Z poprzedniego razu pamięta, że elokwencja Trystego może i jest sympatyczna, ale pożera czas, a ona nie chce przedłużać tej wizyty bardziej, niż to konieczne.

– Dziękujemy, ale nie zostaniemy długo – mówi.

Na zapraszający gest Williama Trystego siadają na granatowej sofie i rozglądają się po pokoju. Umebrowanie jest wyzwalająco wolne od wszelkich kryształowych żyrandoli, dębowych mebli i ciemnobrązowych skór, które dominowały u Grothów, i Karen stwierdza, że regały zawierają książki kupione w dzisiejszych czasach. Ale, tak jak u Grothów, Helena bez pytania przynosi z korytarza dla służby szklanki i kilka butelek wody mineralnej, które ustawia przed gośćmi, zgodnie z doggerlandzkim zwyczajem. Fakt, że nie można zaprosić kogoś na kawę lub herbatę, można jeszcze niechętnie zaakceptować – przynajmniej jeśli odwiedzający

są z policji, urzędu celnego lub od komornika – ale nie do pomyslenia jest, żeby nie podać im choćby wody.

– No więc – zaczyna William Tryste, podciąga nogawki i siada na fotelu naprzeciwko nich. – Rozumiem, że chcą państwo porozmawiać o tym, co się stało wczoraj, ale co dokładnie chcą państwo wiedzieć?

Dziesięć minut później małżonkowie potwierdzają wszystkie informacje przekazane policji przez rodzinę Grothów i ich gości. Oni sami opuścili przyjęcie chwilę po pierwszej. Helena Tryste nie piła alkoholu i po drodze podrzucili do domu sekretarkę Evę Framnes. Jedyne, co różni historię małżeństwa Tryste od pozostałych, to to, że Björn Groth odebrał podczas kolacji telefon, przez co musiał odejść od stołu.

– Ale nie było go może pięć minut i miało to miejsce długo przed północą – zapewnia William Tryste.

– I zakładam, że nie wie pan, czego ta rozmowa dotyczyła?

– Nie mam pojęcia. Ale wydało mi się dziwne, że ktoś dzwoni o tej porze w sylwestra. Cała jego rodzina była w końcu pod ręką, a nie mogło to raczej dotyczyć pracy.

– Pamięta pan, czy po powrocie zdawał się poruszony?

– Nie, może tylko odrobinę zasmucony. Ale szczerze mówiąc, ta rozmowa staje się trochę nieprzyjemna. Mogą go chyba państwo zapytać, o co chodziło.

– Tak też zrobimy – mówi Karen i zwraca uwagę, że William Tryste wygląda tak, jakby w ogóle pożałował, że coś powiedział.

Szybko wymienia spojrzenia z Karlem, odchyła się i pozwala mu poprowadzić rozmowę:

– Chcielibyśmy, żeby nam pan powiedział, co pan wie o wszelkich ewentualnych groźbach w stosunku do destylarni i rodziny Grothów – mówi.

Zapada cisza jak makiem zasiał. Gospodarz powoli się pochyla i sięga po otwieracz do butelki. Syczący dźwięk podważanego kapsla wypełnia całe pomieszczenie. Tryste nie wydaje się wcale zdziwiony, myśli Karen, ale chce zyskać na czasie.

– Groźby w stosunku do Grothów? – mówi potem powoli. – O co mogłoby chodzić?

– To właśnie usiłujemy ustalić. Co takiego mógł przykładowo wiedzieć Fredrik Stuub, co mogłoby zagrozić rozbudowie?

– Zagrozić rozbudowie? Nic, rzecz jasna. Przeszliśmy już etap analiz i szczegółowego planowania. Władze prowincji mają podjąć decyzję za tydzień i wszystkie partie będą jednogłośnie głosować za przyjęciem projektu. Przynajmniej zgodnie z tymi informacjami, które mamy.

– Jak mogą być państwo tego tacy pewni? Opozycja chyba zawsze głosuje przeciw. Choćby tylko dla zasady.

– Może w parlamencie, ale nie w radzie prowincji. Oczywiście debaty polityczne mogą być ostre także tutaj, na północy, ale raczej nie w tym przypadku. Żaden lokalny polityk mający instynkt przetrwania nie zagłosuje przeciw stworzeniu miejsc pracy i...

– ...zaznaczeniu miejsca Noorö na mapie – dopowiada Karen, wzdychając. – Tak, to samo powiedział nam Björn Groth. Ale Fredrik Stuub był najwyraźniej z jakiegoś powodu przeciwny tej budowie. Sądził, że będzie zagrożeniem dla kamiennego kręgu w Gudheim, o ile dobrze zrozumiałam.

William Tryste odchyła się i głęboko wzdycha, a Karen zauważa kątem oka, że jego żona naśladuje ten ruch. W tym związku wystarcza tlenu prawdopodobnie tylko dla jednej silnej osobowości.

– To prawda – potwierdza. – Będziemy musieli inaczej poprowadzić drogę i zrobić ją znacznie szerszą niż teraz. W praktyce oznacza to jakby przedłużenie drogi krajowej i w pierwotnym planie wytyczono ją względnie dość blisko kamieni, czego nie przyjął jednak Wydział Środowiskowy. Ale problem został rozwiązany. Wprawdzie cały projekt będzie znacznie droższy i już samo to oznacza poważne opóźnienie, ale nie ma wątpliwości, że ten wariant zostanie zaakceptowany.

– Więc nie ma już problemów z odległością od kamieni w Gudheim? Żadnych protestów w związku z eksploatacją tego terenu?

– Nie, z tego, co mi wiadomo.

– Może Fredrik obawiał się dalszych szkód, jeśli rozbudowa ściągnie tu więcej turystów? – podsuwa Karen. – O ile dobrze się orientuję, doszło tam ostatnio do naprawdę poważnej dewastacji.

William Tryste usztywnia się. Potem marszczy czoło i wygląda, jakby szukał czegoś w pamięci.

– To by chyba wyjaśniało... – mówi niepewnie. – Nie.

– Co takiego?

Głos Karla jest surowy i Karen widzi, że także Helena Tryste zeszywniała.

– Nic, to w ogóle nic nie znaczy. Nie w praktyce.

Wyczekują w milczeniu, widzą, jak Tryste po raz kolejny zdaje się zły na siebie za te nieopatrne słowa i szuka odpowiedniego sformułowania.

– Proszę dać spokój – upomina go niecierpliwie Karl.

– Wiercenia – mówi William Tryste apatycznie. – Sam uważałem, że to dziwne. Nie tego by się człowiek spodziewał po znudzonych nastolatkach. Poza tym ci gówniarze raczej nie byłiby w stanie czegoś takiego zaplanować. Chcę powiedzieć, że mazanie to jedno, ale...

– Zaplanować? Zabranie wiertarki pneumatycznej nie wymaga chyba jakiegoś wielkiego planowania? – dziwi się Karl.

Karen siedzi cicho. Przygląda się gospodarzowi i widzi, jak desperacko usiłuje znaleźć inne wytłumaczenie na to, o czym myśli.

– Uważa pan, że sami Grothowie mogli mieć coś wspólnego z tym uszkodzeniem, prawda? – mówi w końcu Karen. – I że Fredrik Stuub coś o tym wiedział.

– Nie – zaprzecza Tryste i wygląda tak, jakby szukał czegoś w pamięci. – Z tego, co wiem, jego stopa nigdy nie stanęła na terenie destylarni. Nie mógł nic przypuszczać.

– Musi pan naprawdę mówić trochę jaśniej – upomina go Karl Björken. – Co takiego jest w destylarni, co mogłoby połączyć Grotha z tymi wierceniami?

William Tryste prowadzi wewnętrzną walkę, oni zaś czekają w ciszy na ciąg dalszy. W końcu Tryste bierze głęboki wdech.

– Cement gliniany – mówi cicho i wypuszcza z siebie powietrze.

Helena Tryste gwałtownie wciąga powietrze, jak spóźniona imitacja swojego męża.

– Cement gliniany? – Karen pytająco wodzi wzrokiem między Karlem a Trystem.

– Wypełnia się nim wiercenia, jeśli chce się rozsadzić kamień bez dynamitu – wyjaśnia Karl. – Bardzo praktyczne, jeśli ktoś ma zamiar przemienić całe stanowisko archeologiczne w stertę kamyków, prawda?

William Tryste kiwa głową.

– Tak, to chyba prawda. Choć to całkowicie niewiarygodna myśl.

– A na co niby Grothom ten cement? – pyta Karen.

– Hmm, znalazłem kilka worków w pakamerze za biurem. Nie zastanawiałem się nad tym szczególnie, nawet jeśli nie pojmowałem, na co mógłby się nam przydać.

– I nikogo pan nie zapytał?

– Zapytałem, wydaje mi się, że napomknąłem o tym Björnowi. Ale powiedział, że nie ma pojęcia, jak te worki się tam znalazły. On ich w każdym razie nie kupował, tak mi powiedział.

– I twierdzi pan, że Fredrik Stuub nie był nigdy w destylarni. Jest pan tego całkowicie pewny?

Tryste patrzy Karlowi w oczy i przytakuje.

– Prawie. A nawet jeśli byłby tam z wizytą, nie mógłby raczej grzebać w pakamerze. W zasadzie nie wiem, dlaczego o tym pomyślałem. Ale chyba dlatego, że mówili państwo o groźbach i wierceniach, a ja jakoś to połączyłem. Nie, Fredrik nie wiedział nic o tych workach.

Gabriel Stuub mógł jednak wiedzieć, myśli Karen. I mógł opowiedzieć o tym dziadkowi.

– No więc tak – mówi Karl, mocując się z pasem. – Pytanie brzmi, czy to Björn sam obmyślił ten cwany plan, czy zrobił to ktoś inny z rodziny.

– O ile jest on w ogóle cwany – waha się Karen. – Co mogliby na tym zyskać, skoro dostali zielone światło na budowę drogi?

– Taa, zakładam, że zaoszczędziliby kilka milionów, gdyby nie musieli jej budować wkoło, bo byłaby tam tylko sterta kamieni.

– Chcesz powiedzieć, że kilka dziurek w odpowiednim miejscu, odrobina cementu i bum! – wszystkie przeszkody znikają? Trudno mi w to uwierzyć.

– Nie byłoby nawet bum. Potrzeba co najmniej doby, żeby głązy się rozpadły. Idealne rozwiązanie, jeśli ktoś chce się znajdować daleko od miejsca przestępstwa.

Karen odpala samochód i w milczeniu jedzie z powrotem kasztanową aleją, a jej myśli krążą wokół pozyskanych informacji. To, że ktoś z rodziny Grothów para się wandalizmem, nie wydaje się jej szczególnie wiarygodne. Kamienny krąg miał być istotną częścią całej koncepcji zwabiania na Noorö turystów i uczestników konferencji. Z drugiej strony Fredrik Stuub mógł chyba zakładać, że będą gotowi uciec się do takich metod, żeby zaoszczędzić kilka milionów, i postępować zgodnie z tym. Pytanie, co mu miał dać mail wysłany do Björna Grotha, mógł przecież zwrócić się z tym bezpośrednio na policję. Albo do mediów. Jeśli naprawdę chciał zatrzymać rozbudowę, rozpuszczenie plotki i oczernienie całego projektu byłoby znacznie efektywniejsze.

– Może nie był wcale takim idealistą – podsuwa Karl, którego myśli podążają najwyraźniej tym samym tokiem. – Może stary chciał wyłudzić od Grothów pieniądze.

– O ile w ogóle wiedział o tych workach z cementem. Może chodziło o coś zupełnie innego.

Karl nie odpowiada. Karen już chce nacisnąć wajchę kierunkowskazu i skręcić na drogę krajową, ale wspomnienie, które

zalegało jej z tyłu głowy, wreszcie przebija się do świadomości.

– Cement ekspansywny – mówi i uderza dłonią o kierownicę. – Oczywiście! To musi być to samo.

Karl wziął w międzyczasie komórkę i zaczął pisać esemesa. Pewnie do Ingrid, myśli Karen. Bliźniaki nie skończyły jeszcze dwóch lat, a już kolejne dziecko w rodzinie Björkenów obwieściło swoje przyjście na świat. Ingrid nie uszczęśliwił zapewne fakt, że jej mąż został wezwany do pracy, zamiast iść na planowany urlop ojcowski. Ciekawe, jak Smeed go przekonał, zastanawia się.

– Są różne nazwy – wyjaśnia Karl zdekoncentrowany, stukając w telefon. – Niektórzy mówią cement snigla, ale wydaje mi się, że Snigel to marka. A co?

– Przeglądarka Fredrika Stuuba. Wyszukiwał cement ekspansywny.

Karl opuszcza telefon na kolana i odwraca się do Karen.

– No to bingo – mówi. – Znów musimy porozmawiać z Grothem. Jedziemy tam od razu?

– Nie, zaczekajmy. I tak nie będzie chciał z nami rozmawiać bez adwokata.

– Naprawdę możemy z tym poczekać do poniedziałku?

Karlowi nie udaje się ukryć czegoś w rodzaju nadziei w głosie.

– Jedź do domu – odpowiada spokojnie Karen. – Grothowie nigdzie nam nie uciekną. Mogę zająć się tym z Bylem, jeśli rozmowa z nimi okaże się jutro niezbędna.

– A więc zostajesz?

– Szczerze mówiąc, nie dam rady znów jechać do domu. Wystarczy mi tych kilometrów tam i z powrotem na tej przeklętej trasie.

– To piękna wyspa – mówi z drwiącym uśmiechem Karl. – Ale cholernie długa.

W tym momencie dzwoni komórka Karen.

– Pewnie Smeed – mówi i rzuca okiem na zegarek.

W Tajlandii musi być środek nocy. W takim razie nie jest zapewne trzeźwy, myśli i wzdycha. Poprawia słuchawkę w uchu, naciska mały czarny przycisk i odpowiada formalnym tonem.

Ale zamiast opieszalego tonu szefa słyszy tak spięty głos, że ledwie go rozpoznaje.

– Cześć, Karen, tu Leo. Myślę, że musisz wrócić do domu. Teraz, natychmiast.



Karen nie wie jak, ale udaje się jej utrzymać samochód na drodze. Wszystkie instynkty krzyczą do niej, żeby wyciągnęła z ucha słuchawkę. Cokolwiek się stało, nie chce wiedzieć.

– O co chodzi? – pyta i dziwi się, że głos dociera przez szum w jej głowie. – Coś z Sigrid? – szepcze i wie, że musiało wydarzyć się coś najgorszego. W przeciwnym wypadku Leo by nie dzwonił.

Na te słowa Karl Björken reaguje natychmiast.

– Zjedź tam. – Wskazuje na słupek z logo firmy autobusowej. – Rób, co mówię, Karen.

Jego zdecydowany głos sprawia, że Karen go słucha. Raptownie hamuje i zjeżdża na przystanek.

– Halo? – słyszy w uchu głos Leo. – Jesteś tam? Kurna, ależ to połączenie trzeszczy.

– Co się stało?

– Jest cholernie poobijana. I wystraszona. Siedzi tutaj w kuchni, ale zebrała porządne cięgi.

– Kto ją pobił? Jeśli to ten przeklęty Sam, to...

Wspomnienie byłego chłopaka Sigrid przelatuje jej przed oczami. Minęły trzy miesiące, odkąd zerwali, ale Karen wie, że Sam wciąż dzwoni i gędzi o tym, żeby do siebie wrócili. Widzi przed sobą wysokiego, szczupłego chłopaka: jeszcze więcej tatuaży na rękach niż u Sigrid, jeszcze więcej kolczyków i równie czarne włosy. Samuel Nesbö wygląda wprawdzie groźnie, ale Karen nigdy nie słyszała, żeby uciekał się do przemocy.

Kiedy myśli wirują jej w głowie, widzi zdziwiona, jak Karl wyjmuje kluczyk ze stacyjki i otwiera drzwi po swojej stronie. Potem znów odzywa się Leo.

– Sam? O czym ty, kurna, gadasz? To mąż ją pobił, któż by inny. Ten przeklęty Bo czy jak mu tam.

Karen ogarnia nierzeczywisty spokój. Sekundę później niepokój zastępuje czysta wściekłość.

– Aylin – szepcze. – Bo ją pobił?

– Tak, i to, kurwa, jak. Ma ze sobą dzieci i mówi, że to tylko kwestia czasu, kiedy ta świnia się tu zjawi.

– Wracam od razu – mówi Karen. – Ale zajmie to kilka godzin, zanim dojadę. Od razu zadzwoń na policję i...

– Ona nie chce – przerywa jej Leo. – Mówi, że ucieknie, jeśli zadzwonimy po gliny. I Sigrid, i ja staraliśmy się ją przekonać, ale obstaje przy swoim.

– Potrzebuje lekarza?

– Też nie. Twierdzi, że nie ma złamań.

– Rozmawialiście z Marike?

– Nie, najpierw zadzwoniłem do ciebie.

Karen zagryza mocno zęby i myśli, Karl prowadzi ją zdecydowanie wokół samochodu na miejsce pasażera. Jeśli Bo podejrzewa, że Aylin pojechała do Karen, może zjawić się w Langevik lada chwila. Jeśli spróbują odjechać, zaryzykują, że spotkają jego samochód gdzieś po drodze.

– Zostańcie tam, gdzie jesteście. Zamknijcie wszystkie drzwi i okna i dopilnujcie, żeby Aylin i dzieci poszły na piętro. Przyjechała swoim samochodem czy taksówką?

– Sama przyjechała. Nie wiem, jak dała radę, ale...

– Idź i odjedź jej samochodem – przerywa mu Karen. – Pojedź zwirową drogą obok domu aż do zawrotki. Nad brzegiem da się wykręcić w prawo i po kilku płaskich gładkach zjechać do zagłębienia przy wzniesieniu.

– Po gładkach? – pyta przygaszony Leo.

– Mój ojciec zawracał tam kiedyś przyczepką, więc wiem, że się da, tylko trzeba uważać. Samochodu nie będzie widać, jeśli go tam zostawisz.

– Okej – mówi przejęty Leo. – Coś jeszcze?

– Zaciągnijcie zasłony na piętrze. Dobrze by było, żeby na dole było widać tylko ciebie i Sigrid. A dzieci i Aylin niech siedzą na górze do mojego powrotu. I przestaw natychmiast ten cholerny samochód. Zadzwoń, jak to zrobisz.

– O co, kurna, chodziło? – pyta Karl po zajęciu miejsca za kierownicą.

– O koleżankę, pobił ją mąż – mówi Karen ponuro. – Niech to chuj strzeli, powinnam była to przewidzieć!

Uderza pięścią w schowek i wieczko się otwiera. Karen rzuca okiem na zegarek.

– Prom z Lysvik odchodzi za dwadzieścia osiem minut. Zdążymy? Karl nie odpowiada, tylko dociska pedał gazu do podłogi.

Są na styk. Ich samochód jako ostatni wtacza się na prom, Karen stoi bezsilnie na pokładzie i patrzy, jak ciemność nieznośnie powoli pożera światła Lysvik. Głęboko się zaciąga. Oczami wyobraźni widzi dom w Langevik. Jej dom, gdzie zawsze czuła się bezpiecznie, mimo położenia na odludziu. Ostatni dom we wsi, co najmniej dwieście metrów do najbliższego sąsiada, Karen maca pęk kluczy w kieszeni.

Po raz pierwszy od wielu lat myśli o służbowym pistolecie, który leży zamknięty na klucz w szafie na piętrze. Tylko raz wystrzeliła z niego na służbie, wtedy wystarczył strzał ostrzegawczy.

– Na twoim miejscu zadzwoniłbym po kilku kolegów – radzi Karl i uchyla się przed dymem.

– Leo mówi, że Aylin wtedy ucieknie. Nie sądzę nawet, żeby zgłosiła to na policję.

– Dlaczego nie? Boi się policji?

– Boi się jego. Ma wysoko postawionych znajomych.

– „Wysoko postawionych znajomych”? Czy my tu rozmawiamy o samym Bogu Ojcu?

– Prawie. O Bo Ramnesie.

– O *tym* Bo Ramnesie? Gwieździe adwokackiej?

– Właśnie o nim. W jesiennych wyborach do Rikstingu ma być na miejscu wchodzącym z listy Partii Postępu. Według plotek jest głównym kandydatem do teki ministra sprawiedliwości, jeśli opozycja zwycięży.

– Partii Postępu? Czy to nie oni przypadkiem domagają się ostrzejszego traktowania przestępców, zaprowadzenia porządku, wyższych kar i bezwzględnego dożywocia dla recydywistów? Chuj wie, czy nie chcą nawet wprowadzić kary śmierci.

– Nie do końca, ale prawie. Przede wszystkim domagają się większej liczby policjantów na ulicach, więc sporo naszych kolegów na nich głośnie. Ramnes wykorzystuje swoje doświadczenie z sądu, żeby zbijać głosy na lękach.

– Taaa, w takim razie znacząco zmienił front. Wydaje mi się, że był cholernie skuteczny, kiedy chodziło o bronienie łobuzów przed odsiadką.

– Ale tylko tych zamożnych. Głównie przestępstwa ekonomiczne.

– Okej, ale i tak uważam, że powinniście się skontaktować z policją.

– Ja *jestem* policją – mówi Karen i wyrzuca peta. – I nie jest pewne, czy on się w ogóle zjawi. Nie mogę wezwać kolegów do Langevik, jeśli ta menda siedzi spokojnie w domu. Ale zrobię wszystko, żeby przekonać Aylin do zgłoszenia tego – dodaje. – Nie może mu się to upiec po raz kolejny.

Prom dociera wreszcie do Thorsvik i Karen znów przejmuje kierownicę. Tym razem przymyka oko na ograniczenia prędkości. Trochę ponad dwie godziny później wysadza Karla przed szeregowcem w Sande, a po kolejnych czterdziestu minutach zwalnia, objeżdżając stary port w Langevik. Wypatruje najmniejszego ruchu lub świateł reflektorów, jedzie wąską zwirową drogą nad morzem, przejeżdża powoli obok coraz rzadziej położonych po lewej stronie kamiennych domów i przynależnych do nich szop po drugiej stronie. Śnieg skrzypi pod oponami, gdy ze zgaszonymi światłami powoli pokonuje ostatni podjazd. Pochyla się i obserwuje dom. Światła z parteru oświetlają kilka metrów działki, reszta jest skąpana w czarnej ciemności.

Mimo że rozmawiała z Leo jeszcze dwukrotnie podczas jazdy i mimo że on ją dwukrotnie zapewnił, że panuje spokój – ani śladu Bo Ramnesa – Karen żałuje przez moment, że nie posłuchała Karla i nie przywiozła go tu ze sobą.

– Jakby co, dzwonić – powiedział. – Chociaż to mi obiecaj.

Karen ma właśnie wjechać na stromy podjazd do domu, kiedy dostrzega poruszający się na schodach przed drzwiami cień. Ktoś tam stoi, teraz całkowicie nieruchomo, tak żeby nie było go widać. Karen czuje, jak przyspiesza jej puls, organizm pompuje adrenalinę do każdego mięśnia.

Potem bierze głęboki wdech, włącza światła drogowe i naciska pedał gazu.

Ingrid Björken się odwraca.

– Mówiłeś poważnie? – pyta i z łomotem wstawia patelnię do zlewu.

Karl zatrzymał się w progu między przedpokojem a kuchnią. Zamiast podejść od razu do żony i ją objąć, instynktownie przystanął i zaczął rozkładać chusteczkę. Coś w wyglądzie jej pleców, odwróconych w jego stronę, podziało jak dzwonek ostrzegawczy. Może właśnie to, że się nawet nie odwróciła, chociaż musiała słyszeć, jak tupał, strząsając śnieg na schodach, a potem poczuć przeciąg, gdy otworzył drzwi. Rzut oka na spięte plecy żony i Karl Björken zatrzymał się jak żebrak na progu ciepłej kuchni. Nie, nie będzie to wcale taki czuły, spokojny wieczór w gronie rodziny, jaki sobie wyobrażał.

Stoi z chusteczką w ręce i szuka odpowiednich słów. Przez moment zastanawia się, czy powiedzieć coś w stylu: „Cześć, kochanie, mnie też miło cię widzieć”, ale uświadamia sobie, że nie trafi tym na podatny grunt.

– O czym ty, kurczę, mówisz? – pyta więc zmęczonym głosem, próbując sam wejść w rolę męczennika. – Dopiero co wszedłem do domu po cholernie trudnym...

Milknie, słysząc brak przekonania w swoim głosie. Podąża za wzrokiem Ingrid w kierunku kałuży roztopionego śniegu, która rozprzestrzenia się pod jego buciorami. Karen wypuściła go przy rondzie, ale krótki spacer do domu wystarczył, żeby czapkę i ramiona pokryła biała warstwa, a śnieg wbił się w rowki zelówek.

– Mówiłeś poważnie? – powtarza Ingrid. – Czy chociaż wtedy naprawdę tak myślałeś? Że będę w domu z dziećmi, dopóki nie dostaniemy miejsca w przedszkolu. Że będę mogła wrócić do pracy. To dla mnie ważne, żeby wiedzieć, rozumiesz?

Nie pyta, dlaczego to dla niej ważne. Prowadzili tę rozmowę już wcześniej, Karl pamięta z niej prawie każde słowo.

– Tym razem będziemy się dzielić obowiązkami, obiecuj.

Tak powiedziała Ingrid, kiedy się dowiedziała, że jest w ciąży, ledwie dwa lata po tym, jak Arne i Frode przyszli na świat. Mieli nie mieć więcej dzieci, nie teraz, kiedy urodziło im się dwoje. Nie teraz, kiedy wreszcie znaleźli przedszkole i Ingrid mogła wrócić do pracy. Naprawdę nie tak to sobie wszystko wyobrażali.

Ale wyszło jak wyszło, nowe życie było w drodze. I obiecał jej: tym razem w pełni skorzystają z nowych przepisów. Ingrid zostanie w domu przez pierwsze dziesięć miesięcy, potem on przejmie obowiązki, aż przedszkole będzie mogło zająć się całą trójką. Będzie dobrze, jasne, że podzielią się obowiązkami.

Naprawdę tak uważał. Czekał na to, żeby pobyć w domu z dziećmi i odpocząć pół roku. Tak, tak sądził, chociaż nie był na tyle głupi, żeby powiedzieć na głos, że miło będzie trochę odpocząć.

Jednak potem zdarzył się kryzys w kryminalnym. Najpierw Karen poszła na długie zwolnienie, a Evald Johannisen, któremu serce dało popalić, przeszedł na pół etatu. Karl był potrzebny w pracy. Czy mógłby trochę przesunąć wolne, tylko o kilka tygodni, aż przejdzie najgorsza burza? I w ten sposób z początku października zrobił się początek grudnia, nim jego ojcowski stał się faktem. A kilka dni temu zadzwonił do niego Smeed. Karl naprawdę jest potrzebny, czy byłby skłonny...?

Niecały miesiąc siedział w domu z chłopcami. A właściwie zaledwie trzy tygodnie.

– Przez święta – podkreśliła Ingrid. – I większość czasu leżałeś wtedy chory, a ja musiałam zajmować się i tobą, i dziećmi.

– To nagła sytuacja kryzysowa, co mam zrobić? Dla ciebie będą to raptem dwa miesiące więcej. W najgorszym wypadku.

O co jej właściwie chodzi, zastanawiał się. Domowa przedszkolanka będzie mogła ich przyjąć już po Wielkanocy. Okej, dodatkowe trzy i pół miesiąca, kiedy Ingrid będzie w domu.

– To będzie *pół roku* dłużej, niż się umawialiśmy. Miałam wrócić do pracy w październiku. Zapomniałeś?

Karl zawraca do przedpokoju, pochyla się i rozwiązuje buty, w zdenerwowaniu wyślizguje mu się z rąk wieszak i upada na podłogę, Karl podnosi go i wiesza kurtkę. Po jaką cholere on tu

wracał? Równie dobrze mógł zostać na Noorö. Siedzieć spokojnie w barze hotelowym z whisky, zamiast przyjeżdżać do domu i zbierać ochrzan za coś, na co nie mógł nic poradzić. Prawodawstwo jest może postępowe, ale tylko na papierze. Gdyby odmówił Smeedowi w sytuacji podbramkowej, mógłby zapomnieć o awansie.

Głęboki wdech i powrót do kuchni. Sekundę później Karl klnie, bo wdepnął w kałużę roztopionego śniegu, o której już zapomniał. Skarpetka błyskawicznie pochłania zimną wodę.

– No żeż kurwa – mówi, przytrzymując się futryny, ściąga moką skarpetkę i udaje mu się dostrzec uśmiech Ingrid, nim ta odwróci głowę.

– Miło, że przynajmniej po sobie wytrzesz – mówi. Czyżby w jej głosie pobrzmiwały wyraźnie zaczątki śmiechu?

Sam nie rozumiejąc dlaczego, Karl staje w kałuży obiema stopami. Brodzi w niej, a Ingrid przygląda mu się ze sceptycznym wyrazem twarzy. Karl wyciera wodę pośniegową nogami – irytacja miesza się ze zmęczeniem i chęcią, żeby jego żona pozwoliła sobie wreszcie na uśmiech, który w niej dojrzewa. Kiedy Karl podnosi wzrok, żeby sprawdzić jej reakcję, wpada w poślizg i podpira się obiema rękami o linoleum. Zrezygnowany opada na próg i zauważa, że najwyraźniej nie udało mu się osuszyć wszystkiego, tył dzinsów pochłania resztę.

– Tak – wzdycha. – Naprawdę miałem to wtedy na myśli. I tak będzie. To tylko... mała obsuwa.

Żałuje tych słów już w chwili, gdy je wypowiada. Domyśla się, że żona może zwrócić uwagę na rzecz oczywistą: ta „mała obsuwa” przysłuży się jego karierze, ale nie jej. Karl otwiera usta i zastanawia się, jak dobrać słowa, a Ingrid przygląda się mężowi, metr dziewięćdziesiąt sześć wzrostu, leżącemu na podłodze w mokrych skarpetkach.

– Cóż za dojrzałość – mówi bez emocji.

I wreszcie się pojawia. Uśmiech, którego nie jest w stanie dłużej powstrzymywać, uśmiech, który przemienia jej pospolitą twarz w najpiękniejszą, jaką Karl zna.

– Bolało? – pyta.

Przytakuje.

– To dobrze.

Karl podnosi rękę, wyciąga ją w kierunku żony, modląc się po cichu o przebaczenie i pomoc przy wstawaniu, i czuje ciepło, kiedy Ingrid chwyta go i podciąga do góry. Z jęknięciem Karl znów staje na nogach i ją obejmuje, nim ta zdąży zaprotestować.

– Cholera, ależ robię się sztywny – mówi z ustami w jej włosach.

– Dzieciaki śpią?

– Tak, a jak sądzisz? Jest wpół do dziesiątej. Jesteś głodny?

– Mhm. Mamy w domu jakieś wino?

Pod brodą czuje, że Ingrid potakuje.

Pogadam ze Smeedem. Kiedy tylko wyjaśni się ta cholerna sprawa, porozmawiam z nim.



– No żeż kurna!

Leo unosi rękę, osłaniając się przed światłem, a ona wyłącza silnik. Podminowana, z adrenaliną wciąż szturmującą jej organizm, Karen wchodzi po kamiennych schodach.

– Dlaczego stoisz na zewnątrz i się ukrywasz? – krzyczy. – Myślałam, do cholery, że to on!

– Wyszedłem zapalić! – wydziera się Leo. – Właśnie zamknąłem drzwi, kiedy usłyszałem, że zbliża się jakiś samochód, ale nic nie widziałem. Dlaczego jeździsz z wyłączonymi światłami? Byłem święcie przekonany, że to ten pojeb. Cholernie mnie wystraszyłaś.

Kilka sekund mierzą się wściekle wzrokiem. I jak na znak odprężają się i śmieją. Zażenowani, ale z ulgą.

– Dasz mi szluga, zanim wejdę? – pyta Karen. – Moje się skończyły, a muszę ukoić nerwy.

– Jasne, freeloaderko.

– Jak się miewa? – pyta Karen, po czym głęboko się zaciąga.

– Nieszczególnie. Obrażenia to jedno, ale najgorsze jest to, że się cholernie boi.

– A dzieci? Rozumieją, co się stało?

– Nie wiem. Są w końcu małe, a Aylin zdaje się zaprawiona w ukrywaniu prawdy. Coś w stylu: mama się wywróciła i uderzyła...

– A one udają, że w to wierzą. Żeby nie sprawiać jej więcej przykrości. Dzieciaki rozumieją dużo więcej, niż nam się wydaje.

– Zapewne tak. Ale teraz usnęły. Sigrid pokazała im mnóstwo nowych gier komputerowych, nafaszerowała je całą czekoladą, jaka została po świętach, i sprawiła, że zaczęły myśleć o czymś innym. Zdaje się, że uważają ją za boski dar dla ludzkości.

– Może i nim jest – przyznaje Karen z uśmiechem.

I zanim zdąży zareagować, Leo kładzie rękę na jej karku i przyciąga ją do siebie. Kilka sekund mocno ją trzyma, później puszcza.

– Nigdy nie byłem aż tak szczęśliwy na widok gliniarza – mówi.

Aylin leży na boku, jedną ręką obejmując dzieci. Karen uświadamia sobie nagle, jak długo ich nie widziała. Mikkel musiał skończyć cztery lata, Tyra pięć. Ze smutnym uśmiechem przypomina sobie, jak po niezliczonych poronieniach we wcześniejszym związku Aylin walczyła o to, żeby zostać matką. Jak Bo Ramnes wywrócił jej świat do góry nogami i zapłodnił ją w mniej niż pół roku. I że po jego wkroczeniu na scenę Aylin powoli zniknęła z ich codzienności. Widzieli, jak walczyła o nowy związek i o to, żeby zachować przyjaciół. Słyszeli, jak przekonuje ich niemal błagalnym głosem, że Bo oczywiście chętnie by się z nimi spotkał, ale ma akurat mnóstwo pracy. Skończyły się spontaniczne rozmowy przez telefon, spotkania przy kawie na mieście, wypadki do któregoś z barów w Dunkerze, wyjazdy na weekend do Kopenhagi czy Edynburga. Niestety, nie może przyjść na imprezę, coraz więcej telefonów lądowało od razu na pocztę głosowej.

Nikt jednak nie mógł przeoczyć szczęścia Aylin, gdy na świat przyszła Tyra, bez pytania o zgodę Karen, Eirik, Kore i Marike odwiedzili ją zwartą grupą na porodówce. Wtedy nawet Bo okazał się przychylnie nastawiony i dumnie prezentował córkę.

Kilka kolejnych prób, żeby podtrzymać przyjaźń. Dwa wyjścia do kawiarni w Dunkerze z Tyrą w wózku, lunch w porcie. I potem kolacja w domu w Gline. Sztywno i uprzejmie rozmawiali, udając, że nie widzą, jak Bo spogląda na wytatuowane przedramiona Korego leżące na białym adamaszkowym obrusie. Starali się. I zaledwie rok później pojawił się Mikkel, nieoczekiwany bonus. Trzydziestodziewięcioletnia Aylin wreszcie miała wszystko, czego pragnęła.

Teraz, kiedy się wzdryga i budzi, widzi, że to wszystko straciła.

Instynktownie zrywa się na równe nogi, staje plecami pod ścianą i przerażona spogląda na drzwi. Chwilę później jej nogi jakby dają za wygraną i Aylin, zasłaniając rękami twarz, osuwa się powoli. Karen jest przy niej w dwóch susach.

– Moja kochana – mówi i kuca tuż obok niej. – Coś zaradzimy.

Patrzenie na nią rozdziera serce, Karen musi wziąć się w garść, żeby nie uciec wzrokiem. Jedno oko prawie całe przesłonięte opuchlizną, zaschniętą krew tworząca czarny karb wzdłuż pękniętej dolnej wargi. Mimo to Karen domyśla się, że najgorsze jest ukryte pod grubym szlafrokiem.

Prawie pół godziny siedziały w sypialni na podłodze, Karen tuliła przyjaciółkę i ostrożnie gładziła ją po włosach. Ani słowa, tylko cichy płacz, przesyłający skurcze przez cienką skórę, drobne pochlipywania przechodzące powoli w równy oddech. Żeby nie obudzić dzieci, Karen szepnęła, żeby poszły do łazienki; zaciskając zęby na ten widok, pomogła się jej ubrać.

Widziała to wcześniej: plecy niebieskie od siniaków, tarcze ochronne używane w desperacji przeciw bijącym mężczyznom. Ramiona ze śladami twardych palców, rozerwane małżowiny uszne po kolczykach, które wyrwano, krwotoki wewnętrzne z tyłu głowy od uderzeń o ścianę. Tak, widziała to wcześniej: w czynszówkach w Gaardzie i Moerbecku, w zadbanych szeregowcach w Sande i Lemdal oraz w eleganckich willach w Thingwalli i Glitne.

Nigdy nie widziała tego w swojej łazience.

– Musimy – powiedziała i wzięła telefon.

Rutynowo odcinając się od uczuć – nauczyły ją tego niezliczone wizyty na miejscach zbrodni – Karen zrobiła to, co trzeba było zrobić. Przy dźwięku napełniającej się wanny cicho i tak szybko, jak tylko się dało, pstrykała zdjęcie za zdjęciem obrażeniom Aylin, ta zaś stała w samych majtkach i staniku, bezwolnie na to pozwalając. Potem Karen wyszła, zostawiła jednak uchylone drzwi.

Stała pod łazienką plecami do ściany i mocno przycisnęła rękę do ust, słuchała, jak Aylin, kwiląc, wchodzi do wody.

Zasłony starannie zaciągnięte, światło pod sufitem przygaszone. Pokój oświetla tylko mosiężny świecznik wyjęty na święta. Leo i Sigrid taktownie wycofali się do salonu i przez zamknięte drzwi

Karen słyszy odgłosy przywodzące na myśl amerykańskie kino akcji. Podejrzewa, że gapią się w ekran, wcale go nie widząc.

Taki sam pusty wzrok Aylin wbija teraz w obrus, siedząc z rękami splecionymi na kubku czekolady z porządną porcją whisky. Karen też naląła sobie whisky na dwa palce do zwyczajnej szklanki.

– Dasz radę opowiedzieć?

Aylin powoli kręci głową, przez sekundę patrzy Karen w oczy, potem znów spuszcza wzrok.

– Wstydzę się tak potwornie, Karen. Wiem, co chcesz, żebym zrobiła, ale jeśli złożę zawiadomienie, będzie tylko gorzej. W zasadzie po części to moja wina, że tak się to potoczyło.

– Nie będę cię do niczego zmuszać – mówi łagodnie Karen. – To ty od tej pory decydujesz. O wszystkim poza jednym.

Aylin cicho patrzy w kubek.

– Nigdy więcej nie mów, że to twoja wina. Nawet tak nie myśl. Słyszysz?

Aylin nadal milczy, pociąga tylko nosem i szybko wyciera go ręką.

– Widziałam to wcześniej – ciągnie Karen. – I wiem, co się stanie, jeśli przyjdzie ci do głowy, żeby do niego wrócić. To tylko kwestia czasu.

Aylin powoli kręci głową.

– On nigdy nie pozwoli mi odejść.

– Już odeszłaś. Zostawiłaś go, najgorsze masz za sobą.

Ze wzrokiem wyrażającym niemal współczucie Aylin podnosi głowę i patrzy Karen prosto w oczy, uśmiecha się przy tym smutno półgębkiem.

– Teraz się dopiero zaczyna – mówi. – Nie rozumiesz?

Karen czeka.

– Próbowалаś wcześniej? – pyta po chwili.

– Dwa razy. Raz tuż po urodzeniu Mikkela i drugi raz na początku zeszłego roku.

– I co? Napij się trochę, póki ciepłe – dodaje i patrzy, jak Aylin posłusznie podnosi kubek i krzywi się, gdy dotyka nim pękniętej wargi.

Karen nawet nie rusza swojej szklanki.

– Za pierwszym razem przeszłam kilka przecznic. Wzięłam po prostu dzieci i wyszłam, nie widziałam nawet, dokąd idę. Idiotyzm, fakt, ale on zauważył to po pięciu minutach i dogonił mnie samochodem przy Kaupinggate.

– Co się wtedy stało?

– Na pewien czas naprawdę się uspokoił, jakby sam się wystraszył tego, co zrobił. Obiecał, że to się nigdy więcej nie powtórzy, tak no wiesz...

– To pierwszy raz cię wtedy uderzył?

– Pierwszy raz tak, że krwawiłam. Wcześniej głównie mnie mocno chwycił i sporadycznie policzkował. Poniekąd to przez to wtedy wyszłam, przez widok krwi na sofie. Przypadkiem trafił mnie w nos – dodaje. – Nie sądzę, żeby zrobił to specjalnie.

Karen zamyka oczy na sekundę i tłumi wściekłość. Nie teraz, jeszcze nie.

– A co się wydarzyło za drugim razem?

Aylin jeszcze raz podnosi kubek, ale zaraz go odstawia.

– Wtedy zamierałam go zostawić. Spakowałam torbę z tym, co najpotrzebniejsze dla dzieci, i wzięłam samochód. Wymknęłam się, gdy tylko wybrał się do pracy, i przejechałam całą drogę na Frisel. Tata odziedziczył dom po rodzicach. Mały drewniany, wynajmował go przez wiele lat, a później stał przez jakiś czas pusty. Nigdy o nim nie rozmawialiśmy i byłam pewna, że Bo nie wie o jego istnieniu. Ale nie zajęło mu to więcej niż dobę i już nas znalazł. Pomogli mu, jak mówił. Zawsze mnie znajdzie, zapewniał.

Przejeżdża dłonią po czole. Sekundę później wygląda tak, jakby zamarła na lód, i wpatruje się w okno.

– Jarzębina – mówi beztrząsowo Karen i stara się ukryć, że sama też skamieniała. – Gałęzie uderzają o szybę, kiedy wieje. A twoi rodzice? Sądzisz, że mogli mu coś powiedzieć? – ciągnie, gdy Aylin już oderwie wzrok od okna. – Wspomnieć o domku na Frisel?

– Byli za granicą, kiedy to się stało. Potem pytałam, czy Bo do nich dzwonił. Skłamałam, że chciał o coś spytać tatę. Ale nie dzwonił, tak powiedzieli. O tym domu musiał się dowiedzieć w jakiś inny sposób. Wszystkie nieruchomości są gdzieś zarejestrowane, jak przypuszczam.

Nigdzie, gdzie Bo Ramnes miałby dostęp, myśli Karen.

Wprawdzie każdy może całkiem łatwo sprawdzić na stronie prowincji, kto jest właścicielem danej posesji, ale w drugą stronę to tak nie działa – doggerlandzkie prawo jest jasne i restrykcyjne, zgodne ze starym zwyczajem. Tylko policja i prokuratura mają dostęp do danych, które wychodzą od jednostki: rejestru zarobków, zasobów, długów, prawa do połowu ryb i posiadanych nieruchomości. Tylko przy pomocy kogoś z policji lub prokuratury Bo Ramnes mógł dotrzeć do informacji o tym, że ojciec Aylin jest właścicielem domu na Frisel.

Może źle zapamiętała, myśli Karen. Może mimo wszystko kiedyś mu o tym wspomniała. Inna opcja jest tak przerażająca, że Karen ledwie chce o tym myśleć. Na głos mówi:

– Czy twoi rodzice wiedzą, że Bo cię bił?

Aylin porusza apatycznie łyżeczką w kubku i kręci głową.

– Tata raz spytał, ale zaprzeczyłam – mówi, nie podnosząc wzroku.

Cisza zalega między nimi, obie myślą o zeszłym lecie, gdy Karen zadała to samo pytanie. Żadna z nich nic nie mówi.

– A później nie podejmowałaś prób, żeby go zostawić? – odzywa się po chwili Karen. – To znaczy aż do dziś?

Aylin bierze głęboki, drżący wdech.

– Tym razem też się nie uda – mówi krzykliwie. – Nie rozumiesz. On mnie znajdzie, wcześniej czy później.

– Tak, prawdopodobnie cię znajdzie – przyznaje spokojnie Karen.

– Więc sądzisz, że powinnam wrócić do domu?

Głos Aylin wyraża rezygnację przemieszaną ze zdziwieniem. Karen pochyla się i kładzie dłoń na jej rękę.

– Wręcz przeciwnie. Nigdy więcej nie powinnaś wracać do Bo – mówi. – Chcę tylko powiedzieć, że musimy dopilnować, żebyś była bezpieczna i żeby on nie mógł ci nic zrobić, nawet jeśli się dowie, gdzie przebywasz. Nie jesteś sama.

– Zabierze mi dzieci. Nie będę miała szansy dostać prawa do opieki, tak mówił.

– Nikt ci nie zabierze dzieci. Jesteś pewna, że nigdy ich nie uderzył?

– Nie, nigdy. Jest dobrym ojcem. Naprawdę.

Karen się hamuje.

– Prawdopodobnie będzie miał prawo czasem się z nimi widywać, ewentualnie opiekować się nimi pół na pół – mówi. – Ale ciebie więcej nie tknie.

Słysząc pociągnięcie nosem, kiedy Aylin gwałtownie próbuje nabrać powietrza.

– Może tu przyjechać w każdej chwili. Nie rozumiesz? – mówi. – Już teraz może stać w ogrodzie.

– Nie wejdzie do środka – zapewnia ją Karen ze spokojem, którego wcale nie odczuwa. – Napij się, a później prześpij. Będziemy całą noc stać na straży, a rano znajdziemy jakieś rozwiązanie.

Rozważają wszystkie możliwości, jedną za drugą, a poczucie beznadziei opada jak cienki koc na salon, gdzie Karen, Leo, Sigrid i Marike, która do nich dołączyła, zebrali się na naradę. Gdy Karen zadzwoniła do duńskiej przyjaciółki i powiedziała, co się stało, ta zbyła wszystkie próby przekonania jej, że powinna poczekać do rana, zamiast natychmiast wsiąść do samochodu i przejechać całą drogę od siebie z Portlande do Langevik. Prawdopodobnie o wiele za szybko, bo nie później jak o wpół do dwunastej zapukała do drzwi kuchennych. I może dzięki świadomości, że cztery osoby pilnują teraz domu, Aylin w końcu usnęła. Albo z wyczerpania.

Siedzą w salonie i coraz bardziej osuwają się na sofie i fotelach, podczas gdy jedna propozycja za drugą jest odrzucana. Na dłuższą metę Aylin nie da rady ukrywać się przed Bo, dociera do nich, on wcześniej czy później dowie się, gdzie jest. Chodzi tu raczej o to, żeby znaleźć jakieś rozwiązanie na nadchodzące tygodnie, zaprowadzić spokój w chaosie, zyskać czas, żeby Aylin się wykaraskała i zebrała siły potrzebne do rozpoczęcia procedury rozwodowej.

Dom w Langevik leży za bardzo na uboczu, dom Marike w Portlande podobnie. Dom w Thingwalli byłby lepszy, ale nie jest to żadna opcja na najbliższe dni, bo Kore i Eirik wybrali się do Nowego Jorku. Propozycja, żeby Aylin po prostu zabrała dzieci i wyjechała na kilka tygodni za granicę, zostaje odrzucona. Mimo że ma ich paszporty, Bo będzie mógł to zapewne wykorzystać przeciwko niej w przyszłym procesie o prawa do opieki nad dziećmi.

Do niczego nie dochodzą.

– Jej rodzice nie mogą wziąć dzieci do siebie na *en uge*? – pyta Marike, która siedziała i przysłuchiwała się dyskusji pozostałych.

– Na tydzień, chcesz powiedzieć? Może, jeśli Aylin się zgodzi. Najwyraźniej o niczym im nie mówiła. Poza tym oni także wyjechali na święta. Do Londynu, jak mi się wydaje.

– Chyba mam pewne rozwiązanie – mówi po duńsku Marike.



– Jakie? – pyta niecierpliwie Leo. – Jeśli masz cholerne rozwiązanie, to wyduś je z siebie jak najszybciej, do diabła!

Wygląda na zmęczonego, myśli Karen i zerka na ciemne sińce pod jego oczami i napięte mięśnie szczęki.

– On nie żyje – mówi Marike i napotyka zmęczone puste spojrzenia. – To znaczy właściciel domu z atelier – dodaje szybko. – Ten, który mieszkał na piętrze. Miał pół pięćdziesiątek.

Karen nie ma siły się zastanawiać, ile to jest pół pięćdziesiątek; logika w duńskim sposobie liczenia należy do rzeczy, których nigdy nawet nie próbowała zrozumieć. To, czy właściciel domu, w którym mieści się warsztat ceramiczny Marike, miał siedemdziesiąt pięć, osiemdziesiąt trzy czy dziewięćdziesiąt cztery lata, zanim na dobre odwiesił na kołek rękawice, nie robi – przynajmniej jej – większej różnicy. Zamiast tego rzuca okiem na zegarek.

– Teraz to moje – ciągnie spokojnie Marike. – Wszystko. Jego syn chciał zrobić szybki interes. *Et voilà!* Jestem właścicielką całego bałaganu – doprecyzowuje na koniec płynnie po doggerlandzku.

Zapada kompletna cisza, Karen, Leo i Sigrid wpatrują się w nią nieufnie, niepewni, czy właściwie zinterpretowali jej osobliwą mieszankę doggerlandzkiego i duńskiego.

– Że co? Kupiłaś to? – pyta w końcu Sigrid. – Cały dom?

– Jep. Wcześniej tylko wynajmowałam, ale nie chciałam ryzykować, że kupi go ktoś inny i mnie wyrzuci. Na górze jest pokój z kuchnią. Pomyślałam, że ty, Karen, możesz tam mieć swoje *skjulested*, ale to może trochę poczekać.

Potrzebują chwili, żeby to do nich dotarło. Padają pytania kontrolne: tak, kupiła cały dom. Tak, jest tam na górze wolne mieszkanie, wprawdzie to jeden pokój z kuchnią i jest zaniedbane, ale dość duże i położone w centrum, prawda? Pełno ludzi kręci się tam całymi dniami i przez pół nocy. Może nie za dobrze się tam przez to śpi, ale jest bezpiecznie. Może nie jest to miejsce dla dzieci na dłużej niż kilka dni i zdecydowanie nie jest to rozwiązanie na stałe, ale Aylin mogłaby tam mieszkać, aż stanie na nogi, aż jej rodzice będą mogli zabrać dzieci. Do tego zakup nie został jeszcze wpisany do rejestru nieruchomości.

Kiedy już śmiertelnie zmęczeni Leo i Sigrid poszli się położyć i kiedy Karen siedzi na straży sama z Marike, przypomina sobie

słowa przyjaciółki:

„Pomyślałam, że możesz tam mieć swoje *skjulested*”.

Noclegownię na mieście, miejsce, w którym będzie mogła się przespać, kiedy zostanie do późna w pracy lub kiedy drogi będą zasypane śniegiem. Miejsce, do którego będzie mogła uciec w te dni, gdy dom w Langevik wyda się jej za ciasny. Kiedy po prostu będzie miała dość. To szansa na to, żeby nie musieć prosić Leo, by się spakował i znalazł sobie coś innego. Szansa, by wydusić z siebie słowa, na które Sigrid liczyła, że Karen powie, ale które zatrzymał jej niepokój: „Tak, jasne, możesz tu zamieszkać”.

Kryjówka dla Aylin na tak długo, na jak długo ta będzie jej potrzebowała, ale później... Karen z trudem otrząsa się z tych marzeń. Nic z tego.

– Nie stać mnie, Marike – mówi.

– Nie chcę od ciebie pieniędzy.

– Z pewnością mogłabyś za to dostać trzy, cztery tysiące marek miesięcznie.

Marike opuszcza okulary do czytania i ze zmęczoną miną patrzy na nią znad oprawek.

– Naprawdę, Karen. Mam więcej pieniędzy, niż jestem w stanie wydać.

Całe niedzielne przedpołudnie poświęcają na przystosowywanie mieszkania nad atelier dla Aylin. I ta po długim przekonywaniu zgadza się w końcu na dwie rzeczy: powiedzieć rodzicom i złożyć zawiadomienie na policję.

W pełni świadoma ryzyka, że takie przenikanie się ról mogłoby zostać wykorzystane przez wprawnego adwokata, Karen rezygnuje z udziału w formalnej części policyjnej. Przyjaciółka lub policjantka, nigdy obie te funkcje jednocześnie. Zamiast tego zostaje w mieszkaniu z Tyrą i Mikkelem, a Marike idzie z Aylin na komendę. Za pomocą słodyczy, zniszczonej książki z baśniami, którą znalazła u siebie w domu w Langevik, i własnej komórki Karen stara się najlepiej, jak tylko umie, zabawić dzieci. Mimo to wyczuwa wyraźnie ich niepokój. I kiedy napotyka cichy wzrok Tyry, i dostrzega w jej oczach to, czego nie powinno tam być, coś w niej drga. Coś porusza się wewnątrz niej, mruczy groźnie i zrywa z cumy.

– Mama zaraz wróci. Wszystko będzie dobrze – zapewnia.

A gdy widzi, że dzieci jej nie wierzą, zabiera je na dół do atelier, pozwala im się rozebrać i puszcza je swobodnie. Daje im się babrać w glinie, słyszy śmiechy, gdy ich małe ciała, palce, włosy i twarze zabarwiają się na niebieskozielony kolor, a ich niespokojne myśli na moment odpływają. Nawet wściekłe protesty, gdy pół godziny później Karen zmusza dzieci, żeby weszły pod prysznic, a potem znów się ubrały, są dla uszu przyjemną muzyką w porównaniu z wcześniejszym milczeniem i wybałuszaniem oczu.

Jednak kiedy Marike i Aylin wracają do domu z komendy, Marike idzie prosto do lodówki i przynosi trzy kieliszki, dzin, wermut i oliwki. Karen zauważa, że Marike jest wściekła, ale powstrzymuje się ze względu na Aylin. Najwyraźniej ten, kto przyjmował zgłoszenie, nie sprostął jej oczekiwaniom.

– Prowadzę – mówi Karen i kręci głową, gdy Marike z pytającą miną podnosi butelkę dzinu. – Ale nastawiłam kawę.

Aylin patrzy na zegarek.

– Ja też dziękuję. Muszę zachować jasność umysłu, przynajmniej do czasu, aż mama i tata odbiorą dzieci.

Rodzice Aylin obiecali przyjechać prosto z lotniska. Prawdopodobnie byli mocno wstrząśnięci w drodze do domu z beztroskiego wypadu na zakupy do Londynu. Aylin dodzwoniła się do nich, kiedy z pełnymi rękami toreb wychodzili z hotelu w Bayswater i wsiadali do taksówki. Zszokowani wysłuchali swojej córki przez telefon i nic nie kwestionując ani nie domagając się szczegółów, obiecali od razu przyjechać. Oczywiście, że mogą zająć się dziećmi. Tylko kilka dni, podkreśliła Aylin, może tydzień, aż wszystko się uspokoi i ona znajdzie lepsze lokum. Aylin nie ma odwagi jechać z rodzicami do domu w Rakbe ze względu na swoje obawy, że Bo się tam zjawi. Dzieci raczej nie zabierze, dopóki nie zorganizuje dla nich opieki. Albo nie znajdzie Aylin.

– To mnie szuka. Nie dzieci.

Wygląda na nieco spokojniejszą, myśli Karen. Albo może dostrzega raczej rezygnację w powolnych ruchach przyjaciółki, która podnosi kubek z kawą. Gdy rozlega się dzwonek telefonu, Aylin tak się wzdryga, że kawa przelewa się nad krawędzią. Karen szybko wyciąga komórkę i rzuca okiem na wyświetlacz.

– To tylko Sigrid – mówi uspokajająco do Aylin i odbiera połączenie, jednocześnie się podnosząc.

– Cześć, Sigrid. Zaczekaj chwilę.

Karen szybkim krokiem opuszcza salon, przyciska słuchawkę do ucha, a palec drugiej ręki wciska sobie do drugiego, żeby nie słyszeć krzyków Tyry i Mikkela, którzy biegają w skarpetkach po drewnianej podłodze i nic sobie nie robią z prób Aylin, która chce ich uspokoić.

– Nie przejmuj się – słyszy, jak Marike jej powtarza. – Na dole nikt nie mieszka.

– Cześć, Sigrid – mówi jeszcze raz Karen.

– Kurna, Karen, on nie jest, cholera, normalny!

Głos po drugiej stronie jest rozedrgany. To mieszanka przesadnego niepokoju i wyrwanych z kontekstu słów, od których Karen przechodzi po kręgosłupie zimny dreszcz. Wciąż z komórką przyciśniętą do ucha i pytającymi spojrzeniami pozostałych wbitymi

w plecy Karen wślizguje się do łazienki, zamyka za sobą drzwi i siada na sedesie.

– Uspokój się, Sigrid, nie słyszę cię. Co się stało?

– On tu był. Dopiero co. Próbował się wpakować do domu. On jest, kurna, *pojebany!*

– Mówisz o Bo? – pyta Karen, chociaż doskonale zna odpowiedź.

– Nie wiem, jak się nazywa, i chuj z tym. Mąż Aylin, szukał jej.

– Poszedł już?

– Tak sądzę. Tak, słyszałam, jak odjeżdżał samochodem, ale Leo leży cały we krwi.

– Coś się stało Leo? Potrzebuje lekarza?

Karen zdziwiona słyszy własny głos. Spokojny i rzeczowy, jakby jej serce nie miało wcale się zaraz rozpaść.

– Nie, mówi, że to tylko krwotok z nosa, ale musisz tu wrócić, Karen.

– Zaraz przyjadę. Uspokój się, już do was pędzę.

Bo Ramnes wyłącza silnik i się odchyła. Poszło lepiej, niż śmiał przypuszczać. Wprawdzie zakładał, że Karen sama będzie w domu, a nie jakiś typ otworzy drzwi i rzuci się na niego z pięściami. Ale to z pewnością będzie przydatna amunicja. Bo nie ma najmniejszych wątpliwości, że Aylin da za wygraną i wróci do niego, choć sam musi szczerze przyznać, że nie sądził, że wytrzyma ona tak długo. Już dobę. A skoro nie ma jej w domu u rodziców i nie chowa się u Karen, to musi być u tej duńskiej pizdy. Albo u tych pedałów z Thingwalli. Nie ma nikogo więcej.

Obiema rękami zaczesuje włosy mocno do tyłu i czuje, jak rwie go kolano i jak ogarnia go zmęczenie. A niech to, niech się poboje do jutra. Niech posiedzi i poczeka na to, aż ją znajdzie. Bo on ją znajdzie. Wiedzą o tym i ona, i on.

Przez wściekłość przyspiesza mu puls. Co ona, do cholery, wyrabia? Stale go prowokuje, a potem zachowuje się tak, jakby była to jego wina. Czy nie rozumie, w jak beznadziejnej sytuacji go ciągle stawia, i zawodowo, i politycznie? Wie przecież, że nie ma szans z nim wygrać. Tak, może stworzyć problemy, ale nie wygrać. Chyba wyjaśnił jej to wystarczająco jasno? Nie ma takiego sądu, który powierzy jej opiekę nad dziećmi, jeśli wysłuchają jego wersji. Prawdopodobnie mógłby sprawić, żeby policja od razu przywiozła je z powrotem do domu.

Przynajmniej jeśli wyłożyłyby wszystkie karty na stół. Z drugiej strony nie ma teraz sam jak zająć się dziećmi, a jej nie będą mogli zmusić do powrotu. Nie, lepiej więc poczekać, aż Aylin podda się dobrowolnie.

Bo Ramnes odpina pas i otwiera drzwi samochodu. Ból przeszywa mu kolano, gdy kręci nogą. Równie dobrze może od razu zadzwonić na policję i powiedzieć, co się stało u Karen w Langevik. Nie ma nic nielegalnego w tym, że ktoś dzwoni do drzwi znajomej i pyta, czy nie ma tam jego ukochanej żony i dzieci. Pobicie to inna sprawa. Czy nie był to ten sam typ co na sylwestrze u pedałów? Ten, który

grał, chociaż wchodząc na scenę, był kłębkim nerwów. Pieprzony ćpun, rzecz jasna, i teraz mieszka u Karen. Tak, w zasadzie tego właśnie można się było spodziewać.

Zatrzaszkuje drzwi samochodu i wlepia wzrok w meble ogrodowe po drugiej stronie garażu. Chyba zwykle tak nie stoją? Rozsunięte ze zwiniętym pokrowcem. Aylin musiała... W tym momencie do niego dociera. Ta pieprzona dziwka to zaplanowała. Nie jak poprzednim razem, gdy wzięła tylko kurtkę i wyszła. Ani kiedy była tak cholernie głupia, że schowała się w starej chacie rodziców na Frisel. A potem pojawia się małe ukłucie niepokoju. Czy mogła być tak cholernie głupia, żeby tym razem zgłosić to na policję? Czy ta pieprzona policyjna sucz mogła ją do tego przekonać?

Bo Ramnes wyjmuję komórkę z wewnętrznej kieszeni marynarki. Równie dobrze może od razu wypalić z grubej rury.

Doba, myśli. A niech to szlag, dwóch nie będzie.

Czterdzieści pięć minut później Karen przygląda się bawełnianemu wacikowi w lewej dziurce nosa Leo Friisa i plamom krwi na jego koszulce. Mojej koszulce, poprawia się i stwierdza, że Leo po raz kolejny szabrował w schowku z ubraniami. Tym razem wybrał co najmniej dwudziestoletni T-shirt z reklamą dostawcy łodzi motorowych. Koszulka taty, Karen poprawia się jeszcze raz i dochodzi do wniosku, że Leo musiał grzebać głęboko w pudłach na strychu, żeby ją znaleźć. A kiedy Leo pyta, czy też chce kieliszek, i nie czekając na odpowiedź, wyjmuje jedną z najlepszych butelek z Alzacji, Karen nie protestuje.

– Jesteś pewien, że nie powinniśmy pojechać na pogotowie? – pyta, zanim podniesie kieliszek.

– Daj spokój. Już przestało krwawić. Zobacz! – odpowiada Leo i wyciąga wacik z nosa.

– W takim razie jutro pojedziemy na komendę i złożymy zawiadomienie.

– Nie, no kurna, nie pójde dobrowolnie do glin. Przywozili mnie wystarczająco wiele razy.

– Teraz jest inaczej, Leo.

– Akurat. Wiedzą, kim jestem. Poza tym nie chcę, żeby się dowiedzieli, że tu mieszkam. Ty chyba też nie.

Prawdopodobnie ma rację. Leo Friis był parę razy przywożony na policję za włóczęgostwo i pijaństwo oraz kilka drobniejszych rozbojów, które nie doprowadziły wprawdzie do oskarżenia, ale teraz mogą się okazać gwoździem do trumny. Wiarygodność byłego bezdomnego będzie niewiele warta w porównaniu z wiarygodnością cenionego adwokata. I w zasadzie nie da się obronić tego, twierdząc, że to zakłócenie miru domowego: Bo dzwonił do drzwi i wprawdzie próbował wejść, ale został powstrzymany przez Leo, który najpierw go pchnął, a potem dostał cios pięścią. Prawdopodobnie właśnie ten obfity krwotok sprawił, że Bo zaczęły trząść się portki, więc wsiadł do samochodu i odjechał. Zdaniem



Leo, który podszedł do tego zdecydowanie spokojniej niż Sigrid, trwało to wszystko raptem kilka sekund. Sigrid zbiegła pędem po schodach, kiedy usłyszała podniesione głosy, ale nie zdążyła zobaczyć samego rękoczynu.

– Jesteś pewien, że pchnąłeś go pierwszy? – pyta Karen i patrzy na resztki krwi koło nozdrzy Leo.

– No niestety. Ten skurwiel próbował postawić stopę za progiem i wtedy go pchnąłem. Prawdopodobnie poleciałby w tył, gdyby sam akurat nie napierał. Zamiast tego uderzył kolaniem o kamienny schodek. Zapewne teraz boli go to bardziej niż mnie – dodaje z grymasem zadowolenia na twarzy.

– Zawsze możemy mieć nadzieję.

– Aylin złożyła na niego zawiadomienie?

Karen przytakuje.

– W końcu to zrobiła. Pojechały z Marike na komendę. Rozmawiała też z rodzicami i zajmą się dziećmi przez kilka dni, więc przynajmniej one będą miały spokój.

– Dzwoniłyście już do Korego i Eirika?

– Tak, Aylin sama do nich zadzwoniła i zapytała, czy mogłaby się u nich zatrzymać przez jakiś czas, kiedy wróca z Nowego Jorku. Zmyśliła coś o remoncie domu i wyjeździe Bo w podróż służbową.

– Dlaczego nie opowiedziała im, jak jest?

Karen wzrusza ramionami.

– Powiedziała, że nie chce rozmawiać o tym przez telefon, a moim zdaniem ważne jest, żeby działała w swoim tempie. W każdym razie wracają do domu w czwartek wieczorem. Podobno Eirik proponował, że przylecą wcześniej, ale na to Aylin nie chciała się absolutnie zgodzić. Myślę, że Eirik się domyśla, o co naprawdę chodzi.

– Prawdopodobnie. A ty tego nie robiłaś? To znaczy: nie domyślałaś się, że ją bije.

Karen wpatruje się w milczeniu w kieliszek wina. Czy się domyślała? Czy powinna była? Trzymać się swego, chociaż Aylin zaprzeczyła. Może zaakceptowała tę odpowiedź, bo tak było najprościej?

– To, że kiepsko się między nimi układa, zauważyłam, i tak, miałam pewne podejrzenia. Ale trudno powiedzieć, co jest tylko

urojeniem, a co naprawdę sygnałem ostrzegawczym, kiedy kogoś nie lubi się tak, jak ja nie lubię Bo.

Leo kiwa głową.

– A kiedy zeszłego lata zapytałam ją prosto z mostu, obśmiała to – ciągnie Karen. – Ale jasne, w głębi duszy podejrzewałam, że kłamie. Do diabła!

Klnie cicho i przykłada rękę do ust.

– Co jest?

– Dzwoniła do mnie tydzień temu, bodajże w poniedziałek. Pytała, czy mogłaby zajechać, ale byłam na północy, na Noorö, w środku śledztwa. Pamiętam, że się zdziwiłam; minęło wiele lat, odkąd chciała ot tak spotkać się na kawę czy piwo, ale później zapomniałam o tym. Jak mogłam być taka tępa, do cholery? Ja, jeśli ktokolwiek, powinnam była pojąć...

– Ty, jeśli ktokolwiek?

– Tak, jestem przecież policjantką – mówi Karen. – Spotykam mężczyzn, którzy biją, i kobiety, które składają zawiadomienia, a potem je wycofują. „On tego tak żałuje. W zasadzie jest miły, kiedy nie pije”. Spotykałam dzieciaki, które co wieczór śpią, zatykając palcami uszy.

– Nie da się usnąć, kiedy ma się palce w uszach – mówi Leo i się podnosi. – A kiedy się je wyjmie, też się nie da usnąć. To jest właśnie problem.

Karen patrzy na jego plecy, kiedy stoi przy blacie kuchennym i sztywno nalewa wodę do szklanki. Dobrze wie, o czym mówi, dociera do niej.

– Twój ojciec?

Leo wzrusza ramionami.

– Ojczym. I nie tylko wtedy, kiedy pił. Nienawidziłem go.

I gdy kilka godzin później Karen leży w łóżku, wie, co musi zrobić. Zamierzała wrócić na Noorö jutro z samego rana. Zdążyć na czas na poranne spotkanie z Thorsteinem Bylem i jego ludźmi. Będą musieli na nią trochę zaczekać.

Dość już tego.

Czeka przed budynkiem w samochodzie. Przygląda się strumieniowi zmęczonych po weekendzie, schludnie ubranych mężczyzn i kobiet. Patrzy, jak kilkoro zatrzymuje się przed wejściem na Idungatan 72 w Dunkerze. Patrzy, jak wstukują kod, otwierają szklane drzwi i znikają, idąc w kierunku wind i schodów. Wie, że zmierzają do firm marketingowych, przedsiębiorstw importowych i kancelarii adwokackich.

Kiedy wreszcie go widzi, zdążyło się już zrobić wpół do dziewiątej i Karen postanawia poczekać jeszcze kwadrans. Myśli o tym, że powinna odjechać, że tak byłoby zapewne najmądrzej. Potem odpina pas, otwiera drzwi i wysiada z samochodu.

Kancelaria adwokacka Ramnes & Ek znajduje się na piątym piętrze, według tablicy przy domofonie. Karen dzwoni i czeka, aż wysoki głos jej odpowie. Stwierdza, że są pewne korzyści z tego, że może przedstawić się jako komisarz kryminalna. Drzwi wejściowe otwierają się z cichym brzęczeniem, bez jakichkolwiek pytań o to, do kogo i w jakiej sprawie przysłała.

Młoda recepcjonistka uśmiecha się do niej z powściągliwą uprzejmością i pewną dozą ciekawości, gdy Karen otwiera drzwi z mlecznego szkła i wchodzi do hallu.

– Kogo pani szuka? – pyta kobieta.

– Chciałabym się spotkać z Bo Ramnesem – mówi krótko Karen i szybko się rozgląda, żeby rozeznać się w terenie.

Toalety i poczekalnia z białymi skórzanymi sofami po lewej, krótki korytarz i szerokie szklane drzwi w przeciwnym kierunku.

– Była pani umówiona? – pyta recepcjonistka i kładzie rękę na słuchawce telefonu.

– Nie, to nagła sytuacja. To tam, prawda?

Nie czekając na odpowiedź, Karen rusza ku szklanym drzwiom i słyszy, jak młoda kobieta mówi coś o tym, że „z policji... nie mogę zatrzymać... już wchodzi”.

Gdy popycha szklane drzwi, w pokoju najbliżej po prawej ktoś rzuca słuchawką i Karen szybko naciska klamkę do tego właśnie gabinetu. Bo Ramnes podnosi się z obrotowego fotela z jasnobrązowej skóry, a Karen głośno trzaska za sobą drzwiami. Gdyby zmarnowała chwilę, żeby się rozejrzeć, zwróciłaby może uwagę na imponujący rozmiar gabinetu, gruby perski dywan i widok na park miejski. Udaje się jej dostrzec tylko małą iskierkę niepewności w oczach Bo Ramnesa, a potem cień wściekłości, który przelatuje mu przez twarz, nim Bo zamaskuje go szerokim uśmiechem.

– Karen – mówi i odsuwa fotel. – A może powinienem powiedzieć pani komisarz Eiken? Czym zasłużyliśmy sobie na ten zaszczyt?

Nie odpowiadając, Karen odsuwa krzesło i siada naprzeciwko. Cicho mierzy go wzrokiem przez kilka ciągnących się sekund, a później mówi spokojnym głosem.

– Masz z tym skończyć.

– Teraz naprawdę nie rozumiem, o czym...

– Dokładnie wiesz, o czym mówię, o biciu jej. Twoja noga nigdy więcej nie postanie na mojej działce i nigdy więcej nie tkniesz Aylin.

– Nie sądzę, żeby moja żona doceniała to, że mnie tutaj nachodzisz i mieszasz się w nasze małżeńskie sprawy.

– Małżeństwo? Mówisz o tych piekielnych torturach? Ale z tym teraz koniec, Aylin powiedziała wszystko.

Bo Ramnes odchyła się na fotelu z uśmiechem.

– Ach tak, naprawdę?

– Była wczoraj na komendzie i złożyła oficjalne zawiadomienie w związku z tym, że biłeś ją od wielu lat.

– A ty z nią tam poszłaś, jak przypuszczam? Pomogłaś jej zmyślić tę całą historyjkę.

– Nie, nie masz aż tyle szczęścia. Przyjęcie zgłoszenia zostawiłam kolegom. Tą kartą nie będziesz mógł zagrać w sądzie.

– Ach tak. – Bo kiwa powoli głową, kiedy Karen milknie. – W sądzie, powiadasz. Miałem więc bić żonę, a do tego dopuścić się zakłócenia miru domowego. Jeszcze jakieś oskarżenia?

– Tak, brzmiałoby to tak: jesteś wielkim, słabym dupkiem, ale przypuszczam, że tego nie da się raczej podtrzymać jako

samodzielnego punktu oskarżenia. Myślę jednak, że reszta wystarczy.

– Oskarżenia? – powtarza Bo i krótko się śmieje. – Oj, nie sądzę, Karen.

– Twoje kontakty ratowały cię może wcześniej, ale tym razem...

– ...wycofała zawiadomienie – dopowiada Bo Ramnes. – Wczoraj późnym wieczorem.

Cisza wypełnia pokój.

– Zadzwoiła i powiedziała o swoim małym wybryku. Rzecz jasna, potwornie tego żałowała. Ale tak to już bywa z niestabilnymi emocjonalnie babami. Hormony i takie sprawy. Sama chyba coś o tym wiesz, Karen?

Przez moment wszystko stoi nieruchomo. Aylin wydawała się wczoraj tak pewna siebie, kiedy ją zostawiały. Jakby była zdecydowana i odczuwała ulgę, bo wreszcie się odważyła, wreszcie przejęła kontrolę nad swoim życiem. Tym razem doprowadzi to do końca. Teraz się nie wycofa. Przebłysk intuicji i Karen wie dlaczego.

– A więc to dlatego pojechałeś do mnie do domu. Wiedziałeś, że Aylin nie wytrzyma, jeśli przyczepisz się do jej przyjaciół. Ty pieprzony dupku.

– Masz bujną wyobraźnię jak na policjantkę. I plugawy język jak na kobietę, jeśli wolno mi zauważyć. Bo chyba jesteś kobietą, Karen? Nawet jeśli nie udało ci się zachować na tym świecie ani męża, ani dziecka.

Zdziwiona Karen spostrzega, że nic się z nią nie dzieje. Wciąż jest nad powierzchnią, serce bije równo, nie doświadcza rozpadu. Wszystko staje się jednak dla niej klarowne, krystalicznie jasne.

– Nie wróci do ciebie – mówi spokojnie Karen. – Nawet jeśli wycofała zawiadomienie, to nigdy do ciebie nie wróci.

– Może jeszcze nie teraz, ale wcześniej czy później wróci – odpowiada równie spokojnie Bo. – Wiesz co, myślę po prostu, że moja kochana żona potrzebuje trochę czasu dla siebie, żeby przemyśleć kilka spraw. Aylin zawsze była odrobinę, jak by to powiedzieć... neurotyczna. Wiesz, że brała leki antydepresyjne? Takie pigułki szczęścia, zażywa je od wielu lat.

– Nie wróci do ciebie – powtarza Karen. – Rozwiedziecie się i zostawisz ją w spokoju.

– Ach tak, tak twierdzisz? Bo inaczej co?

Karen powoli się podnosi i patrzy na niego.

– Inaczej ja zrobię z twojego życia piekło.

Kiedy otwiera drzwi, słyszy przytłumione głosy. Kawałek dalej na korytarzu pochylają się nad kserokopiarką mężczyzna w garniturze i kobieta w średnim wieku ze stalowosiwymi włosami zaczesanymi w kok. Trzymają ręce blisko siebie i wyglądają, jakby analizowali jakiś dokument. Stukot klawiatury dobiega z pokoju obok, gdzie drzwi są otwarte na oścież. Kiedy kolejna młoda kobieta o znakach charakterystycznych dla zestresowanej świeżo upieczonej prawniczki wychodzi z pokoju naprzeciwko i przyciska komórkę do ucha, Karen podejmuje decyzję.

Odwraca się i mówi głośno i wyraźnie:

– Jeśli jeszcze raz pobijesz żonę, *Bo Ramnesie*, osobiście dopilnuję, żebyś trafił za kratki. Mam na telefonie zdjęcia, które jak sądzę, zainteresują media.

Jedenaście sekund później Karen Eiken Hornby naciska przycisk windy i słyszy, jak drzwi do kancelarii adwokackiej Ramnes & Ek z delikatnym świstem zamykają się za jej plecami.

Przez całą drogę z Dunkeru do terminalu promowego w Thorsvik Karen siedzi ze słuchawką bluetooth w coraz bardziej obolałym uchu. Najpierw próbuje się dodzwonić do Aylin, ta jednak nie odbiera. Później dzwoni do Marike. Opowiada jej o wizycie u Bo Ramnesa w kancelarii i o tym, że Aylin wycofała zawiadomienie. Marike reaguje zgodnie z oczekiwaniami niezrozumiałą wiązką duńskich przekleństw okraszonych kilkoma określeniami organów, których Karen ku swojemu zdziwieniu naprawdę nigdy wcześniej nie słyszała, i obiecuje natychmiast pojechać do atelier i porozmawiać z Aylin.

– Myślisz, że do niego wróci?

– Nie sądzę. Nie teraz, kiedy wie aż tyle osób. Ale obiecaj mi, że do mnie zadzwonisz, jeśli jej nie znajdziesz.

– Będę tam za pół godziny.

– Tak, teraz przynajmniej jego koledzy z pracy wiedzą, że bije żonę – mówi ponuro Karen. – Może to sprawi, że na jakiś czas się uspokoi.

– Nie będziesz miała przez to problemów?

– Pewnie będę.

I tak też się dzieje. Jeszcze zanim Karen dotrze do zjazdu na Ravenby, dzwoni Jounas Smeed.

– Czy ciebie do reszty powaliło? – wydziera się. – Dwadzieścia minut urlopu spędzam, gadając z Viggo Haugenem. I gdyby nie udało mi się go uspokoić, wywaliłby cię na zbity pysk.

– To świnia.

– Haugen?

– Bo Ramnes. Haugen zresztą też – dodaje. – Czy wiesz, że adwokat Ramnes próbował wedrzeć się wczoraj do mojego domu i pobił mojego przyjaciela?

– Wiem, że tam był i dzwonił do drzwi, żeby porozmawiać ze swoją żoną.

– Której tam nie było.

– I wiem, że Ramnes twierdzi, że nie wszedł do środka. Z kolei został tam pchnięty i uszkodził sobie kolano. Powinnaś być cholernie wdzięczna, że nie zdecydował się zgłosić tego jako pobicia. Nie jest zabronione dzwonienie do niczyich drzwi.

– Mówię, że próbował się wdrzeć. Leo go zatrzymał.

– Mówisz o tym bezdomnym, który siedział w areszcie za pobicie? Rozumiem, że teraz u ciebie pomieszkuje. Bądźże, do cholery, poważna, Eiken.

– Tak, czyli nie jest już bezdomny, co nie?

– Nie jest też wiarygodny, a z tego, co słyszałem, ciebie samej nie było w domu, więc nie wiesz, jak to się potoczyło, prawda?

– Nie, ale...

Karen milknie. Mówienie Smeedowi, że jego córka znajdowała się w domu, nie poprawi jej sytuacji. A Leo wciąż nie chce złożyć zawiadomienia. Próbowała jeszcze rano, ale dotarło do niej, że to mówienie jak do ściany.

– Mam wielką ochotę odsunąć cię od tego śledztwa – mówi Jounas.

– Jasne, proszę cię bardzo. Ale nie robisz tego, bo...?

– Ale – ciągnie – rozumiem, że im dalej od Dunkeru się znajdujesz, tym lepiej. Zostaniesz na północy do końca śledztwa. I w żaden sposób nie będziesz kontaktować się z Bo Ramnesem. Zrozumiano?

Karen w ramach odpowiedzi zmienia temat.

– A kiedy zamierzasz załatwić nam wsparcie? Karl i ja nie rozwiążemy tego na własną rękę. Mówimy teraz o dwóch morderstwach, a ludzie, zamiast nam pomagać, leżą w łózkach. Albo na plaży – dodaje i natychmiast tego żałuje.

Jej szef ją uratował, jeśli nie przed zwolnieniem, to w każdym razie przed przymusowym wolnym. Nie należy mu teraz dodatkowo psuć humoru.

– Poza Björkenem na miejscu jest już Loots – odpowiada Jounas Smeed lodowatym tonem. – Tylko ciebie nie ma tam, gdzie powinnaś być.



I kiedy Karen znów przekracza próg miejscowego komisariatu w Lysvik, dociera do niej, że szef miał rację. Przy stole w sali konferencyjnej siedzi – poza Karlem Björkenem – aspirant Cornelis Loots i gawędzi z Thorsteinem Bylem i miejscowymi policjantami: Rösem, Anderssonem i Svanemark.

– Ach tak, któż to do nas zawitał? – wita ją Karl, a Byle posyła mu niepewne spojrzenie.

Najwyraźniej jemu nigdy nie przyszłoby do głowy, żeby zwracać się do przełożonego w ten sposób. Karen siada i sięga po termos.

– Okej – mówi. – Do roboty, rozwiążmy wreszcie tę sprawę, chyba że zamierzacie tu siedzieć i plotkować cały dzień?

Dziesięć minut później stwierdza, że Röse wciąż wygląda na skwaszonego, ale trzyma emocje na wodzy w obecności wzmocnionych posiłków z centrali. Może Thorstein Byle z nim porozmawiał. Zdaje się, że Andersson i Svanemark lepiej znoszą tę sytuację. Siedzą pochyleni i wesoło rozmawiają z Cornelisem Lootsem, a Karen przypomina sobie, że Loots dorastał tutaj, na wyspie. Może też stwierdzić, że grupa wprawdzie zrobiła sobie przerwę, ale nie zmarnowała czasu na plotki. Loots został wprowadzony w sytuację w śledztwie, wyniki badań technicznych i raporty z sekcji zwłok przy obu morderstwach.

Karen pozwala Karlowi Björkenowi i Thorsteinowi Bylemu kontynuować sprawozdanie, a sama ukradkiem masuje sobie kolano pod stołem. Jednak kiedy Byle przechodzi do rozmowy z sekretarką Evą Framnes, Karen siada prosto na krześle i słucha skupiona. Przez to wszystko, co się działo, nie zdążyła jeszcze zajrzeć do pisemnego raportu, który jej przysłał. Ale kilka minut później odchyła się zawiedziona i wzdycha. Wspaniałe przyjęcie, przyznała Eva Framnes, mimo że ludzie jej zdaniem za dużo pili, ale pokaz fajerwerków był fantastyczny i tak, została zawieziona przez państwa Tryste aż pod drzwi swojego domu, i nie, tego wieczoru nie widziała ani nie słyszała nic dziwnego, co miałoby związek z Gabrielem, poza tym, że był bardzo pijany. Tak, potem widziała, jak siedział i stukał na telefonie podczas kolacji, uważała to za brak kultury. Chociaż najwyraźniej teraz ludzie tak robią.

Również Karl Björken głęboko wzdycha.

– Hmm, tej komórki pewnie nigdy nie znajdziemy... Kiedy mamy dostać odpowiedź od operatora w sprawie billingów? I od technicznego w związku z przeszukaniem domu Gabriela?

– Dzisiaj, mam nadzieję – mówi Karen. – Gdy tylko skończymy, jestem umówiona z Larsenem na rozmowę. Przedstawisz to, czego dowiedzieliśmy się w sobotę?

Pozwala myślom odpłynąć, gdy Karl Björken omawia sobotnie przesłuchanie Björna Grotha i to, co wynikało z ich spotkania z małżeństwem Tryste. Patrzy, jak Thorstein Byle zasłuchany notuje, i ma lekkie wyrzuty sumienia. Po tym, jak w te pędy pojechała do domu w sobotę wieczorem, nie miała szans z nim porozmawiać. Zdążyła tylko wysłać esemesa, że wynikły pewne sprawy prywatne i wróci najpóźniej w poniedziałek. „Bliska i oparta na zaufaniu współpraca”, myśli Karen. Przez moment zastanawia się, czy powinna się usprawiedliwić przed całą grupą, ale postanawia dać sobie spokój.

Karen czeka, aż Karl Björken skończy swój raport, i zaczyna rozdzielać zadania.

– Nadal nie rozmawialiśmy z tymi, którzy nie nocowali na miejscu – mówi. – Chodzi między innymi o dwie pary, które pojechały do domu przed północą, ale mogły przecież widzieć coś lub słyszeć tamtego wieczoru. Czy wy dwoje możecie to załatwić?

Thorstein Byle i Cornelis Loots przytakują.

– Karl i ja rozmawiamy z żoną Gabriela, Katją. Skontaktowałaś się z nią? – posyła pytanie w stronę Björkena.

– Tak, ma dzisiaj wolne, więc możemy podjechać w dowolnej chwili.

– Świetnie. A potem, o ile Larsen da nam zielone światło, chciałabym się rozejrzeć po domu Gabriela. Kto wie – mówi i uśmiecha się pojednawczo do Thorsteina Bylego – może też miał jakiś *schowek*, który przeoczył Larsen ze swoją brygadą.

Katja Stuub otwiera im osobiście drzwi do żółtego drewnianego domu swoich rodziców w centrum Thorsvik. Blond włosy ma związane w koński ogon, a lekka opuchlizna wokół oczu świadczy o tym, że płakała. Jej nogę w dżinsach trzyma czteroletnia dziewczynka z kciukiem w ustach, a chłopiec, z wyglądu o kilka lat starszy, podejrzliwie zerka zza jej pleców. Kawalek dalej, w głębi przedpokoju, miga kobieta z siwymi pasemkami. Kiwa głową z oddali, ale nie podchodzi się przywitać.

– Witam – mówi Katja i podaje im rękę. – Mama obiecała zapanować nad dziećmi, więc będziemy mogli spokojnie porozmawiać. Czy mają państwo coś przeciwko, żebyśmy usiedli w kuchni? Wtedy będą mogły pooglądać telewizję.

– Nie ma problemu – mówi Karen i uśmiecha się do rodzeństwa. – Loke i Lava, prawda?

Wspomnienie dzieci Aylin przemyka jej przez głowę, westchnienie niepokoju sięga aż do brzucha. Ze wszystkich sił zmusza się, by odpędzić tę myśl. Teraz, tutaj nic nie może zrobić.

Kiedy siedzą już wokół stołu w kuchni i po delikatnych protestach zostaje podana kawa i szarlotka, Karen przystępuje do rzeczy.

– Tak... jak już pani wie, jesteśmy tu z powodu śmierci Gabriela. O ile rozumiem, wystąpili państwo o separację, ale formalnie wciąż są państwo małżeństwem. Zgadza się?

Katja Stuub przytakuje i szybko przejeżdża wierzchem dłoni pod nosem.

– Tak, do rozwodu nie dojdzie przed upływem roku – mówi. – Albo... tak, teraz sama nie wiem, jak to będzie. Chyba uchodzę już za wdowę, jak zakładam.

– Tak, według doggerlandzkich przepisów separacja zostaje automatycznie przerwana w przypadku śmierci jednego z partnerów – wyjaśnia Karen. – Ale rzecz jasna, może pani wystąpić o dokończenie procesu – dodaje. – Ponieważ okres separacji już się zaczął, jest to możliwe.

I oczywiście zdarzają się przypadki, kiedy żyjący partner nalega na przeprowadzenie oficjalnego rozwodu mimo śmierci współmałżonka, myśli Karen. Ale jest to bardzo rzadkie. Kiedy dochodzi do czegoś takiego, prawie zawsze ma to związek z przemocą. Kobiety nie chcą być nawet wdowami po kimś, kto się nad nimi znęcał.

– Ale wtedy człowiek zrzeka się automatycznie wszystkich praw do spadku – dorzuca Karl.

Katja Stuub wydaje się skrepowana, ale nie chwyta przynęty i Karen dochodzi do wniosku, że konieczne będą bezpośrednie pytania, żeby ta rozmowa im coś dała.

– Staramy się wyrobić sobie zdanie o tym, jaką osobą był Gabriel. Mogę spytać, dlaczego postanowili się państwo rozwieść?

– To była moja decyzja – mówi krótko Katja. – Gabriel chciał, żebyśmy dalej ze sobą byli.

– A dlaczego chciała się pani z nim rozwieść? Bił panią? – pyta Karl, nie owijając w bawełnę.

Katja szybko na niego zerka, a potem wzdycha.

– Tak chyba ludzie myślą, ale nie, naprawdę. Gabriel nigdy nie podniósł na mnie ręki. Ani na dzieci.

– A więc dlaczego?

Wyczekują, a ona zdaje się szukać właściwych słów.

– Był... beznadziejnym przypadkiem – mówi w końcu i pociąga nosem.

Wstaje i odrywa kawałek papierowego ręcznika z rolki na blacie. Potem smarka i wyrzuca papier do kosza, a następnie wraca do stołu.

– Beznadziejnym przypadkiem? – dziwi się Karl.

– Tak, beznadziejnym. Żył jakby w świecie fantazji, marząc o tym, żeby dojść do pieniędzy i władzy. I oczywiście, nie musieć na to zapracować.

– Ale pracował w destylarni, czyż nie?

– Tak, był zmuszony pobierać skądś wynagrodzenie, ale całe życie upływało mu w zasadzie na wynajdywaniu innych sposobów na zarobek. Praca u Grothów była tylko złem koniecznym.

Wlepia wzrok w stół, zwleka i zbiera się w sobie.

– Okradał ich – mówi i szybko podnosi wzrok, żeby wyczytać coś z ich reakcji.

Karen kiwa głową i Katja jest zdziwiona.

– Wiedzą państwo?

– Tak, wiele już się dowiedzieliśmy.

– Nie chodziło o duże sumy, jak mi się zdaje. Ale kradł z magazynu i sprzedawał to do kilku knajp na Heimö i na Frisel. Tutaj, na północy, nie miał nawet odwagi nic kombinować.

– Jak wyglądały jego związki z OP?

Kolejne westchnięcie. Tym razem głębsze.

– To dlatego chciałam się rozwieść – mówi Katja Stuub i wygląda tak, jakby się odprężyła w chwili, gdy już to powiedziała. – Był chyba kimś w rodzaju *hang around*, nikim więcej, ale pracował na to, żeby dorobić się statusu *prospect*.

Wypowiada te słowa z drwiną w głosie, jakby wzbraniała się przed ich znaczeniem. I kiedy Karl otwiera usta, żeby ją popędzić, Katja z własnej woli ciągnie:

– Ganiał wokół nich, szczególnie wokół grubych ryb: Kenny’ego, Allana i Odda czy jak im tam. Myślę, że odwalał dla nich drobne fuchy, dawał im alibi, przekazywał groźby... Tak, rzecz jasna, przesiadł się na harleya, chociaż nie było nas na to stać. Ale był głupi – dodaje. – Równolegle kręcił interes na boku.

– Kradzieże u Grotha?

Katja kiwa głową.

– To był jego pomysł i wiem, że trochę się obawiał, że chłopaki się o tym dowiedzą. Ale to właśnie cały Gabriel: bez przerwy na różne sposoby starał się kogoś wykiwać. Pracodawcę, firmę ubezpieczeniową, bookmacherów od psich wyścigów, Urząd Skarbowy...

– I OP – dodaje Karen.

– Śmiertelnie się wystraszyłam, gdy do mnie dotarło, co robi. Oni by tego nigdy nie zaakceptowali, tyle to nawet ja rozumiałam. Potwornie się kłóciliśmy o jego kontakty z nimi już od pierwszego dnia. Ja nie jestem kimś, kto...

Milknie i zdaje się, że kolejny raz szuka właściwych słów.

– Tak, wiem, że zabrzmiało to snobistycznie, ale właściwie nigdy do siebie nie pasowaliśmy. Koniec końców, mama i tata mieli rację.

Karen nie musi się rozglądać po ekskluzywnie wyposażonej kuchni, żeby zrozumieć, co Katja ma na myśli. Magazynier z Noorö, i to powiązany z przestępczym gangiem motocyklowym, nie był prawdopodobnie zięciem, jakiego życzyli sobie jej rodzice. Rzuciwszy szybko okiem na Karen, Katja ciągnie:

– Był to chyba rodzaj buntu z mojej strony, że w ogóle się z nim związałam. Tata jest już na emeryturze, ale piastował dość wysokie stanowisko w Radzie Rybackiej, a mama pracuje jako dentystka. Uważali, że powinnam iść na studia, a nie wychodzić za męża i rodzić dzieci, ale byłam zakochana po uszy i wierzyłam we wszystkie wizje przyszłości, które Gabriel przede mną odmalowywał. A kiedy klamka zapadła i zorientowałam się, jak będzie wyglądać moja przyszłość, było już za późno. Mieliliśmy dzieci i... hmm, byłam chyba zbyt dumna, żeby przyznać się do błędu.

– Jak długo byli państwo małżeństwem?

– Blisko siedem lat. Na początku układało się nam naprawdę bardzo dobrze. Gabriel, jak mówiłam, zawsze był dobry dla mnie i dla dzieci, chociaż był beznadziejny pod każdym innym względem. Ale nigdy nic nie wyszło z jego spektakularnych planów, żeby zacząć coś własnego. Jednego dnia miał to być warsztat samochodowy, innego rodzaj firmy importowej, jednak wszystkie jego pomysły spaliły na panewce i dalej pracował w magazynie u Grothów. A kiedy zaczął ganiać wokół OP, dotarło do mnie, że to wszystko naprawdę może pójść w diabły.

Potrzeba Katji, żeby mówić, nabrała jakby rozpędu. Na zmianę popada w smutek i złość, a oni w ciszy jej słuchają.

– W końcu postawiłam mu ultimatum: miał wybrać między mną a nimi. Przez jakiś czas myślałam, że faktycznie to rzucił. Uspokoił się w pewien sposób, pracował i przynosił do domu pieniądze. Twierdził nawet, że awansował u Grothów, został kimś w rodzaju brygadzysty i dostał podwyżkę. A ja mu uwierzyłam.

– Ale...?

– Okazało się to tylko jego tradycyjnym wciskaniem kitu, co zrozumiałam po pewnym czasie. Kiedy go przycisnęłam, wydusił z siebie, że wcale nie awansował, a te dodatkowe pieniądze ma z kradzieży. I do tego znalazł teraz „niezawodny” sposób na

dymanie Grothów, jak stwierdził. Wtedy miarka się przebrała. Wzięłam dzieci i zostawiłam go jeszcze tego samego wieczoru.

– A w jaki sposób miał dymać Grothów? Wie pani?

Katja Stuub kręci głową.

– Nie mam pojęcia, nigdy nie pytałam. W końcu były to, rzecz jasna, tylko jego fantazje.

– Nie jestem pewny – mówi Karl Björken, kiedy pół godziny później znów siedzą w samochodzie na pokładzie znośnie stękającego promu. Tym razem w drodze do Lysvik.

– No nie? Z pewnością parał się jakimś draństwem, ale pytanie, czy było na tyle groźne, że ktoś zechciał mu poderżnąć gardło. I jaki mogłoby to mieć związek z zamordowaniem jego dziadka?

– Bo jesteśmy całkowicie pewni, że te dwa morderstwa się ze sobą wiążą...? Co?

– Daj spokój, mój mały Kalle. A według ciebie, o co tu chodzi? Zabawny zbieg okoliczności?

– Nie wiem, czy aż tak cholernie zabawny. Ale okej, jasne, łączą się. Chociaż nie musi to wcale znaczyć, że morderca jest jeden. Gabriel mógł przecież zabić dziadka, a potem paść ofiarą innego sprawcy.

– To bez znaczenia, dopóki nie mamy motywu. Raczej nie rozwiążemy tego przy pomocy dowodów technicznych. Sören Larsen nie sypał informacjami jak z rogu obfitości, że tak powiem.

Zastanawiają się nad rozmową z kierownikiem sekcji technicznej. Mieli Sörena Larsena na głośniku w samochodzie kilka godzin wcześniej, zakończył właśnie badania techniczne domu Gabriela Stuuba.

– Nie spodziewałem się talerza smakowitego DNA – mówi zrezygnowany Karl. – Ale na billingi z komórki mimo wszystko liczyłem. Kto jeszcze ma, kurna, telefon na kartę?

– Tacy jak Gabriel Stuub – mówi Karen bez emocji. – To kurs podstawowy, lekcja pierwsza, jeśli ktoś chce się trzymać z typami z OP. Ale Sören powiedział, że Gabriel miał przynajmniej oficjalne konto mailowe. Wszyscy będziemy musieli je przejrzeć i zobaczyć, czy coś znajdziemy. Jest też szansa, że w jego domu natrafimy na coś, co mogłoby świadczyć o potencjalnym motywie.

Karl posyła jej sceptyczne spojrzenie.

– Poza tym jeszcze sporo jest do przejrzenia w komputerze Fredrika Stuuba – dodaje Karen. – Musimy zatrudnić do pomocy Cornelisa. Tylko on jest w stanie znaleźć igłę w stogu siana.



– Cóż za wspaniała mieszanka – mówi Karl i wodzi wzrokiem między skrzyniami pełnymi butelek whisky a opakowaniami suplementów diety i proszku proteinowego. – Myślisz, że ktoś zauważy, jak zwinę kilka litrów? – dodaje z szyderczym uśmiechem, podnosząc butelkę Groths Röök z dwa tysiące szóstego.

Przeszukanie zaczęli od podwójnego garażu z przylegającym do niego warsztatem i szybko stwierdzili, że poza harleyem-davidsonem i starym volvem zawiera on to wszystko, co znajdowało się na liście przesłanej mailem przez Sörena Larsena: zestaw narzędzi, dwa kanistry z benzyną, kanister z olejem silnikowym, różowy dmuchany basen, dwa rowery dla dorosłych i rowerek trzykołowy, zwiniętą zieloną siatkę, osiem plastikowych baniaków i trzy puszki białej farby. Kropka.

Potem przenieśli się do składziku Gabriela Stuuba w piwnicy i teraz przyglądają się półkom zajmującym dłuższą ze ścian. Przedmioty tutaj są może trochę bardziej interesujące niż te w garażu, ale też nieco zaskakujące.

Karen podnosi jedno z opakowań i czyta etykietę ze składem: białko serwatkowe, lecytyna sojowa, substancje aromatyczne...

– Kurna, już rozumiem, że musiał sobie golnąć czasem whisky, żeby to wytrzymać. Ale czy tacy ciężarowcy nie trzymają się zwykle z dala od procentów?

– Masz na myśli kolesi, którzy startują w zawodach – mówi Karl, niechętnie odstawiając butelkę. – Większość tych, którzy pakują, to raczej normalne typki.

– Jak ty, chcesz powiedzieć? Też masz w piwnicy proteiny w proszku i whisky?

– Chciałbym. Ale Gabriel przecież w większości to sprzedawał, jeśli wierzyć jego żonie. A Brodal mówił chyba, że tkanki wątroby mogą równie dobrze wskazywać na to, że brał anaboliki. Albo i jedno, i drugie.

Karen przytakuje.

– Niestety, próbki zostaną przebadane najwcześniej w przyszłym tygodniu. W każdym razie technicy nie znaleźli w domu śladu środków na przyrost mięśni. Z drugiej strony jest to dla nas prawdopodobnie bez większego znaczenia. Bardziej niż to, jak traktował swój organizm, interesuje mnie, jak Gabriel usiłował dymać otoczenie. Zerkniemy teraz na resztę domu?

Zamykają drzwi magazynu w piwnicy i bez większej nadziei wchodzą po schodach. Przeszukanie pomieszczeń mieszkalnych w domku rodziny Stuubów przyniesie zapewne tak skromne efekty, jak już wcześniej sygnalizował to Sören Larsen.

– Trzy sypialnie na piętrze, salon i mały gabinet koło kuchni – powiedział. – Jest w nim biurko i trochę papierów, ale trudno mi sobie wyobrazić, że znajdziecie tam coś ciekawego. Szczerze mówiąc, w większości są to wyciągi z konta i rachunki, ale to już wasza robota.

I tak też jest. Dom może się wyróżniać na tle okolicznej zabudowy na Noorö, ale poza tym jest typowy i nie zdradza żadnych śladów nielegalnej działalności, stwierdza Karen, gdy razem z Karlem poruszają się po nim. Każde dziecko ma swój pokój, a w dużej sypialni – jak wszystko na to wskazuje – Gabriel spał przez ostatnie dwa miesiące sam.

W tym, co Sören Larsen opisał jako gabinet, króluje maszyna do szycia, komputer z monitorem i drukarka na naprawdę potężnym biurku. Kosze z włóczką i przyborami do szycia, skrawki dziecięcych materiałów i segregatory pełne wykrojów wypełniają długie półki wiszące na ścianie naprzeciwko. Starannie uporządkowane papiery: potwierdzenia otrzymania pensji od Grothów i z biura audytowego, w którym na część etatu pracowała przez dwa ostatnie lata Katja, informacje o kredycie na dom i jego spłatach, jest też kilka bieżących rachunków. Wszystko w podpisanych teczkach. Najwyraźniej Gabriel był bardziej staranny, niż można by się było tego po nim spodziewać, albo ten porządek wyszedł spod ręki Katji Stuub, myśli Karen i zasuwa szufladę.

Żadnej skrytki nawet nie zamierza szukać; przeoczenie techników w domu Fredrika Stuuba spowodowało, że Larsen kazał chłopakom przeszukać każdy milimetr domu pod kątem ukrytych przestępstw.

Poza tym komputer Gabriela stoi w pełni widoczny pośrodku biurka obok maszyny do szycia.

– Gry komputerowe – streścił swój osąd Larsen. – Na oko wiele pirackich kopii.

– Coś tam chyba musiało być?

– Konto mailowe na serwerze dostawcy internetu. Zdążyłem wprawdzie tylko pobieżnie je prześledzić, ale z tego, co widziałem, chodzi chyba głównie o korespondencję z urzędami. Tak, i oczywiście jest jeszcze historia wyszukań z jego przeglądarki, kilka różnych stron z grami, strony gazet z wiadomościami sportowymi, kilka obskurnych forów z plotkami, porno. Innymi słowy, to co zwykle. Wszystko masz dostępne pod linkami w swojej skrzynce odbiorczej. Miłej zabawy!

Karen znów wysuwa górną szufladę biurka, odwraca się do Karla i milcząc, sygnalizuje pytanie o to, czy coś go zainteresowało.

– Nic. – Karl kręci głową. – Chodźmy dalej, bo inaczej nigdy stąd nie wyjdziemy.

Salon wygląda podobnie jak podczas jej poprzedniej wizyty, względnie posprzątany, z ogromnym płaskim telewizorem, sofami i fotelami.

Karen podchodzi do regału. Cztery zdjęcia na najwyższej półce przedstawiają dzieci, Lokego i Lavę, które wystrojono i usadzono obok siebie na sofie, żeby uwieczniono je w jakimś studiu fotograficznym, młodego Gabriela siedzącego okrakiem na skuterze, blondwłosą dziewczynę, prawdopodobnie Katję zaraz po maturze, i fotografię ślubną, na której szczęśliwi Katja i Gabriel uśmiechają się do siebie. Jak zawsze na widok zdjęć w domach ofiar przestępstw Karen ogarnia nieprzyjemne uczucie. Bóg raczy wiedzieć, czym mógł komuś zawinić ten elegancko ubrany mężczyzna ze zdjęcia ze źle zawiązanym krawatem i szerokim uśmiechem, ale nie zasłużył, żeby zakończyć swój żywot, siedząc na śniegu z poderżniętym gardłem.

W chwili olśnienia Karen przejeżdża wzrokiem po rzędzie półek i znajduje to, czego szuka. Album ze zdjęciami. Wszystkie fotografie są porządnie wsunięte w plastikowe kieszonki i Karen kolejny raz podejrzewa, że przy sortowaniu tego, co nie zmieściło się na półce, maczała palce Katja Stuub. Porządek jest chronologiczny i Karen

musi przewrócić tylko dwie strony, żeby potwierdzić swoje podejrzenia.

Zdjęcie zrobiono trzydzieści pięć lat temu. Młoda, chuda kobieta z ciemnymi włosami pod oczami obojętnie spogląda w obiektyw i wygląda tak, jakby miała się zapaść pod ciężarem trzymanego na rękach niemowlaka w niebieskich śpioszkiach. Ulrika Stuub nie wygląda tak, jakby bawiła ją ta sytuacja. Obok niej stoi Fredrik Stuub po czterdziestce, jedną rękę trzyma na ramieniu córki, a drugą osłania się przed słońcem. Starzec o siwych kosmykach, które Karen zapamiętała ze stołu sekcyjnego, jest jeszcze śpiewem przyszłości.

Promienie słońca sprawiają, że włosy na fotografii żarzą się ognistą czerwienią. Tak samo rude jak u Odda.

– Znalazłaś coś czy możemy spadać? – dobiega głos Karla z kuchni.

– Nic. Możemy iść.

Cicho klnąc, Karen odstawia album z powrotem na półkę.

Karl Björken wpatruje się pustym wzrokiem w ekran, mimo że już kilka minut temu przestał analizować zawartość komputera Fredrika Stuuba. Jego myśli powędrowały do Ingrid i dzieci w szeregowcu w Sande.

Poprzednim razem, kiedy pojechał do domu, udało mu się zażegnać zbliżającą się awanturę w kilka sekund. I prawda jest taka, że w końcu był to taki weekend, o jakim marzył; dzieci były niezwykle uczynne, a Ingrid i on silili się oboje, żeby unikać Tematu.

Ale później w niedzielę wieczorem, kiedy po raz drugi w ten weekend skończyli uprawiać seks, popełnił swój pierwszy błąd. Westchnął ciężko i nastawiając budzik w komórce, oświadczył, że nie będzie mu dane się wyspać.

– W przeciwieństwie do mnie, chcesz powiedzieć – obruszyła się Ingrid. – Taa, może spróbuj pobyc sam z dziećmi w domu, a zobaczysz, jak długo się wtedy śpi.

Coś w tym, jak Ingrid kasała jak terier, że teraz była skłonna przekreślić to, co dotąd było kilkoma dniami bez zgrzytów, sprawiło, że rozczarowanie wyparło ostrożność. I Karl popełnił drugi błąd.

– Nie rozumiem, dlaczego tak ci spieszo do tej pracy, przecież nawet jej nie lubisz – powiedział. – Co wieczór wracałaś do domu i narzekałaś tylko na to, jak ci tam źle, dzień w dzień powtarzałaś, że chcesz ją zmienić.

I tak właśnie było. Praca Ingrid w dziale prasowym Urzędu Prowincji w Dunkerze wiązała się z wieczną frustracją wywołaną desperackimi, wymuszonymi ekonomicznie lub po prostu głupimi decyzjami, od niej zaś oczekiwano, że obróci je w sukcesy medialne dzięki „proaktywnej strategii informacyjnej”. I kiedy Ingrid po raz drugi na szczeblach kariery przeskoczyli młodzi mężczyźni w wieku dwudziestu trzech lat z CV, które byłyby może wiarygodne u kogoś ze dwa razy starszego, Karl naprawdę zaczął uważać, że to paranoja.

Coraz częściej Ingrid odczuwała potrzebę, żeby się wygadać przy kolacji z całodziennych rozczarowań, i coraz częściej przeglądała oferty pracy.

A dziś zadzwoniła jeszcze domowa przedszkolanka i powiadomiła ich, że postanowiła się przenieść do siostry do Amsterdamu. A oni – na co Ingrid zwróciła przez telefon uwagę lodowatym głosem – nie czekają już w kolejce do przedszkola. Karl uważał, że roczna opłata w wysokości trzystu marek za numerkę w kolejce jest zbyt duża, skoro znaleźli kogoś do opieki.

Czas oczekiwania to minimum osiem miesięcy, powiedział wyraźnie referent. Minimum. Może jesienią, jeśli będą mieli szczęście.

– I jak mam twoim zdaniem kiedykolwiek znaleźć nową pracę, skoro będę tylko siedzieć w domu? – powiedziała Ingrid zdecydowanie zbyt spokojnie.

Lepiej by było, gdyby krzyczała.

Porozmawiam ze Smeedem tak szybko, jak tylko skończy się to śledztwo, myśli Karl i powoli odrywa wzrok od ekranu. Jakoś będzie musiał przełknąć, że nie będzie mnie przez pewien czas. Karen już wraca, a i tak musi wkrótce znaleźć kogoś na stałe za Johannisena, facet jest, do cholery, po sześćdziesiątce.

Ale to, co najbardziej go uwiera, to, co sprawia, że Karl Björken naprawdę się niepokoi, to to, czego Ingrid nie powiedziała. Dlaczego nie wytknęła mu oczywistej oczywistości? Że on sam od kilku lat wystawia jej uszy na codzienne tyrady z powodu idiotów w pracy. Stale powracające narzekania na brak kręgosłupa Vigga Haugena, który tylko liże tyłki politykom, wyraźnie ułomne zdolności przywódcze Jounasa Smeeda, wahania nastroju Karen i jej brak polityki socjalnej, na cholerną zgorzkniałość Johannisena, która kładzie się jak wilgotny koc na całym wydziale. Jeśli któreś z nich codziennie narzeka na swoją pracę, to właśnie on sam.

Ale Ingrid nic nie powiedziała. Nie wytrąciła mu tej broni z ręki, chociaż byłoby to banalnie proste. Kolejna fala niepokoju ściska mu żołądek.

Dała za wygraną?

Odgłosy toczącej się rozmowy wyrywają Karla z zamyślenia. Coś z tego, o czym Karen właśnie dyskutuje z Cornelisem Lootsem, przeciska się do jego świadomości i w końcu tam dociera.

– Toksyny, tak, wiem, co to jest. Ale co mają do rzeczy twoim zdaniem?

– Hmm, może znalazł jakiś błąd w produkcji Grothów. To mogłoby przecież jak nic zagrozić ich obecnej działalności i rozbudowie.

– Mykotoksyny w takim razie – mówi Karen. – Bo tym się przecież zajmował, różnymi rodzajami pleśni. Tak przynajmniej mówiła kobieta z uniwersytetu.

– Pleśń może być cholernie groźna.

– W domu i w jedzeniu tak, podobno między innymi w ryżu. Fredrik Stuub wypowiadał się na ten temat w mediach kilka lat temu. Ale nigdy nie słyszałam o pleśni w mocnym alkoholu. Poza tym wszystkie dokumenty na temat badań Fredrika Stuuba mają już swoje lata.

Karen wydaje się nieprzekonana, Karl porzucił myśli o niepokojącym milczeniu Ingrid. On też przeglądał dokumenty, które Fredrik Stuub miał na komputerze.

– I jaki miałyby to w takim razie związek z Gabrielem? – wtrąca się do dyskusji. – Pleśń w odżywcze proteinowej?

Skwaszony Cornelis wzrusza ramionami.

– Uważam, że powinniśmy poprosić o opinię kogoś, kto coś z tego rozumie. Może jakiegoś lekarza.

– Okej – zgadza się Karen. – Masz rację. Poproszę Brodala, żeby rzucił na to okiem. Możliwe, że Fredrik był na jakimś tropie, ale jak niby miało się to wiązać z Grothami, wykracza poza moje pojęcie. I tak jak mówi Karl, co by to miało wspólnego z Gabrielem? Nie utrzymywał raczej z dziadkiem kontaktów na takim poziomie, żeby omawiać z nim stare wyniki badań. Ale teraz jest już ósma. Na dzisiaj dajemy sobie z tym spokój.

– Co robimy z nadchodzącym świętem? Jedziemy do domu na Trzech Króli? – pyta Karl i stara się, by jego głos brzmiał swobodnie.

Nie udaje mu się. Karen posyła mu baczne spojrzenie. Chociaż Karl nie zająknął się na ten temat ani słowem, Karen zdaje sobie

sprawę, że jej zwolnienie okazało się kijem w szprychy jego urlopu ojcowskiego. A to, że teraz wrócił do służby, raczej nie cieszy Ingrid.

– Problemy w domu? – pyta Karen.

Karl kiwa głową.

– W takim razie jedź – mówi. – Idź na całość. Załóż sztuczną brodę i obsyp prezentami żonę i dzieci. To polecenie służbowe.

– Dobrze, pojedę jutro po lunchu i wrócę w czwartek bladym świtem. A ty jak? U twojej koleżanki wszystko się ułożyło?

– Ułożyło to za wiele powiedziane, ale zdaje się, że chwilowo jest spokój.

– Złożyła zawiadomienie na tego barana?

Karen wzdycha.

– Niby tak. Ale później je wycofała, nie sądzę jednak, żeby do niego wróciła. A gdyby miało do tego dojść, Marike lub Leo będą od razu do mnie dzwonić.

– A więc zostajesz tu na Trzech Króli całkiem sama?

– Cornelis też zostaje, razem się będziemy bawić. Prawdopodobnie wybiorę się na imprezę rodzinną, a myśl o pokonywaniu drogi do domu, do Langevik, wydaje mi się wręcz jeszcze gorsza. Poza tym ostatnio, kiedy opuściłam wyspę, nie skończyło się to zbyt dobrze – dodaje z krzywym uśmiechem. – Nie będziemy chyba ryzykować trzeciego morderstwa.



Hałas jest ledwo słyszalny, stłumione wibracje dochodzące z parteru sprawiają, że sztywnieje i siada na łóżku. To lekkie drżenie szyb, którego nie wywołała przejeżdżająca obok ciężarówka ani wiatr, ani żaden stukający w okno sąsiad. Ciężarówki nie jeżdżą tędy o pierwszej w nocy. Na zewnątrz spokojnie pada śnieg, a ona jest w domu sama. I jeszcze zanim to usłyszy, tym razem głośniejsze, wie, że ktoś złapał za klamkę i stara się wyważyć drzwi do atelier.

Cały czas wiedziała, że on przyjdzie. Wcześniej czy później. Metodycznie będzie udawał się we wszystkie miejsca, jakie tylko przyjdą mu do głowy. Do Karen, do Marike, do atelier. Oczywiście będzie jej też szukać u Eirika i Korego. U jej rodziców już był. Mama nie chciała jej wczoraj nic powiedzieć, nie zamierzała jej niepokoić, ale w końcu przyciśnięta pytaniami przyznała, że Bo tam był. Siedział w samochodzie na drodze poniżej domu prawie godzinę. W końcu tata wyszedł i krzyknął, że z tego czekania nic mu nie przyjdzie. Aylin u nich nie ma. Mama niechętnie wyznała, co Bo mu na to odpowiedział.

– Prosił, żeby ci przekazać, że jest zrozpaczony i chce tylko, żebyś wróciła do domu. Nie rozumie, dlaczego go zostawiłaś.

Nie chciał zobaczyć dzieci. Nie chciał ich niepokoić, dopóki „wszystko się nie ułoży”. Nawet nie pytał, gdzie była. Prawdopodobnie domyślał się, że nie dostanie odpowiedzi. Albo wcale nie musiał pytać. Wcześniej czy później sam się dowie. Myślała, że zajmie mu to trochę więcej czasu. Miała taką nadzieję.

Teraz siedzi jak skamieniała na brzegu łóżka, myśli krążą jej w głowie jak pranie w bębnie pralki, krew szumi. Patrzy na połowę szklanki whisky na stoliku nocnym, nieprzeczytaną książkę. Nóż do chleba, który znalazła wczoraj wieczorem, gdy nie mogła usnąć. Poczuli się wtedy bezpieczniej. Teraz wydaje się jej to bez sensu, jak kiepski żart. Nie mam szans, myśli. Jak, do diabła, mogłam sądzić, że uda mi się tutaj ukryć?

I na tę myśl bęben pralki przestaje wreszcie wirować. Powoli obraca się tam i z powrotem, a do niej dociera jedno: Bo szarpie nie te drzwi. Nic nie wie o mieszkaniu nad atelier. I chwilę później przypomina sobie, co poirytowana Marike odpowiedziała na pytanie Karen: „Naprawdę sądzisz, że nie mam alarmu antywłamaniowego?”. Oczywiście drzwi poniżej są pod alarmem; atelier jest pełne cennych przedmiotów. Najwyraźniej nie włącza się od samego szarpania, ale jeśli komuś udałoby się wdrzeć do środka, żeby... I tę myśl przerywa kolejna.

Może to nie on.

Nieprawdopodobnie powoli Aylin zsuwa się na podłogę, skulona podpełza przy ścianie do okna. Zaciągnięte zasłony są ciężkie i nie poruszają się od powiewu, kiedy ostrożnie się podnosi. Szczelina jest zbyt wąska i przez moment się waha, ale później lekko odsuwa jedną zasłonę na bok. Niechętnie przykłada twarz do okna i spogląda na dół, na ulicę.

W padającym śniegu światło latarni jest słabe. Ciemna postać, która cofnęła się teraz o krok i wpatruje w atelier, mogłaby być kimkolwiek. Żaden naoczny świadek nie dałby rady jej wskazać podczas konfrontacji. Nikt oprócz niej.

Chwilę później czas się zatrzymuje. Bo Ramnes robi jeszcze jeden krok w tył i kieruje wzrok na mieszkanie powyżej, Aylin zamiera. Stoi nieruchomo i nie oddycha, widzi, jak jego wzrok przebiega po rzędzie czarnych okien. Potem Bo odwraca się i wściekły kroczy do samochodu. Dopiero kiedy Aylin słyszy głośnie trzaśnięcie drzwi i dostrzega, że czarny mercedes powoli odjeżdża ulicą, wypuszcza powietrze i opada na zimną podłogę.

Dwadzieścia po czwartej Karen Eiken Hornby zostaje nagle wyrwana ze snu z tak mocnym szarpnięciem, że łóżko aż się kołysze. Najpierw sądzi, że obudziło ją coś na ulicy lub jakiś hałas z korytarza, podnosi więc głowę z poduszki i nasłuchuje. Słyszy jedynie słabe zawrodozenie wiatru, który gładzi szybę okienną, i cichy szum z rur w łazience.

Pozwala, żeby policzek opadł na miękką poduszkę, i czuje, jak sen znów powoli zaczyna wciągać ją pod powierzchnię. Ale coś ją przytrzymuje, coś, przez co zamknięte powieki niespokojnie się poruszają. Nieuporządkowane wspomnienia zmieniają się w szybkim strumieniu: zatroskana, pomarszczona twarz Thorsteina Bylego, plecy Odda z warkoczem i logo OP, fotografia młodego Fredrika Stuuba z ognistą czerwona czupryną, przebłysk tego, jak Leo gasi papierosa o poręcz na schodach, bliżej nieokreślone masywy górskie na Noorö i domy pokryte pyłem z kopalni, głos Aylin, który wdziera się jej do świadomości: „w zasadzie to także moja wina”, szybko przelatujące obrazy skrzynek z whisky w piwnicy Gabriela Stuuba, opakowań z suplementami, perlisty śmiech Sigrid, wdzięczne spojrzenie Karla, kiedy kazała mu jechać do domu, Cornelis, który zmęczony odrywa wzrok od komputera i przeciera oczy, blada twarz Björna Grotha w świetle mrugającej jarzeniówki, plecy Leo, kiedy niechętnie wchodzi na scenę i zakłada na siebie gitarę, Bo Ramnes wznoszący kieliszek do toastu, spis zawartości komputera Fredrika Stuuba, wymiana mailowa z redakcją odpowiedzialną w gazecie za listy czytelników, z przedsiębiorstwem autobusowym, Radą Rybacką, rozpaczliwie gęsto zapisany dokument, niezrozumiałe słowa, jak interleukiny, neurodegeneratywny, acetylocholina, *Baudoinia compniacensis...* Wiercenia w okopconych kamieniach na północy w Gudheim, ściana z zamazaną jedyką i symbol procent.

Wtem Karen całkowicie przytomnieje.

Kilka minut leży, powoli starając się cofnąć film i namierzyć odpowiednie wspomnienie. Szuka jednego słowa, jednego słowa na kartkach skrętnie zapisanych na komputerze przez Fredrika Stuuba. Jednego z niezrozumiałych wyrazów, na które natknęła się kiedyś dawno temu w zupełnie innym kontekście. Małe przekłete umykające słowo, które wryło się jej w podświadomość i teraz nie chce się objawić. Małe irytujące słówko, przez które sen stał się niemożliwy.

I jeszcze chce mi się sikać, myśli i wzdycha, siadając. Muszę wstać, włączyć komputer i znowu to wszystko przejrzeć.

Kiedy opróżnia pęcherz, czuje pod pośladkami zimny sedes i przygląda się mało higienicznej wykładzinie na podłodze. W przeciwieństwie do pubów jest to ta część brytyjskiego dziedzictwa, bez którego wołałaby się obejść. Z drugiej strony nie ma już chyba nikogo poniżej sześćdziesiątki, kto wciąż się upiera, żeby trzymać w łazience tę wylęgarnię pleśni.

I nim sobie uświadomi jak i dlaczego, koło ruletki wreszcie się zatrzymuje i kulka z cichym brzdękiem ląduje w odpowiedniej przegródce, Karen słyszy, jak sama wypowiada poszukiwane słowo.

– *Baudoinia*.

Cztery minuty później Karen Eiken Hornby opiera się o ścianę i przenosi wzrok z ekranu komputera na okno. Na zewnątrz jest czarna noc i tak jeszcze będzie – szybko rzuca okiem na elektroniczne cyfry w rogu ekranu – przez ponad trzy godziny. Ostrożnie odstawia laptopa na pościel i prostuje powoli nogi. Prawa jej zdrętwiała i Karen porusza palcami, żeby się pozbyć mrowienia.

Zamyka oczy i przechodzi przez to, co znalazła w internecie. *Baudoinia compniacensis*, grzyb żywiący się oparami alkoholu, pokrywa domy, budynki i drzewa czarnym nalotem, który przypomina sadzę, występuje na terenach, gdzie produkuje się i przechowuje mocny alkohol. Często na przykład w okolicach destylarni whisky, co jest skutkiem kilkuprocentowych strat, do których dochodzi rocznie przy składowaniu whisky w dębowych beczkach. Tę utratę alkoholu nazywa się potocznie *Angel's share*.

*Angel's share*. Jasne, że słyszała to poetyckie określenie. Danina dla aniołów, ten ponętny alkohol, który ulatnia się z drewnianych beczek pełnych whisky i upiększa życie w królestwie niebieskim.

Albo raczej, dociera to do niej teraz, kładzie się czarną, smolistą warstwą na otoczeniu. Której nie sposób usunąć wodą pod wysokim ciśnieniem, a nawet jeśli, to szybko powraca. Zdjęcia z internetu: osmolone fasady budynków, pnie drzew, latarnie i samochody w pobliżu destylarni whisky w Szkocji i Stanach Zjednoczonych. To samo w pobliżu francuskich magazynów koniaku.

Artykuły o staraniach mieszkańców kilku miejscowości, którzy razem pozwali gorzelnię za spadek wartości ich nieruchomości. Jasne, John chyba wspominał o przypadku, w którym jego kancelaria miała się czymś takim zajmować? Jak inna kancelaria dostała to zlecenie. Jak po pracy koledzy Johna żartowali w pubie, że dobrze, że uniknął starcia właśnie z producentem whisky, bo ewentualne zwycięstwo wcale nie będzie smakować jednoznacznie pozytywnie.

O tym, żeby do podobnego sporu doszło na Noorö, Karen sobie nie przypomina. Tutejsze nieruchomości nie mają żadnej wartości, której można by bronić. Na północy coraz więcej domów stoi pustych, i to raczej nie ze względu na osmolone fasady. Ci, którzy tu mieszkają, przyzwyczaili się.

Gruba, czarna warstwa.

„To węgiel”, Karen słyszy w głowie głos ciotki Ingeborg, wtedy, dawno temu. „Czarne złoto. Bez niego bylibyśmy przegrani”.

Była to prawda, której ani Karen, ani najpewniej nikt inny nie kwestionował. Domy na Noorö są czarne od sadzy przez węgiel, i już. Zdaje się, że nikt nie dociekał, dlaczego ten żałobny welon wciąż spowijał większą część wyspy, choć tyle czasu minęło od zamknięcia ostatniej kopalni i zrównania ostatniej hałdy węgla z ziemią.

Nikt poza Fredrikiem Stuubem.

To nie sadza. To pleśń. *Baudoinia compniacensis*. Grzyb. Czarny grzyb, nie tak groźny jak czarna pleśń, zgodnie z tym, co Karen udało się wyczytać. Na jednej ze stron napisano, że „w przypadku ludzi i zwierząt nie udało się stwierdzić żadnego wpływu na

zdrowie”. Na innej, że „najpewniej nie ma to negatywnego oddziaływania na zdrowie”.

Karen wzdryga się na myśl o tym, co internet wyrzucił, kiedy wpisywała kilka innych słów z dokumentu Fredrika Stuuba: interleukiny, neurodegeneratywny, acetylocholina, problemy z tkanką nerwową... Czy to naprawdę możliwe, że Fredrik Stuub próbował udowodnić to powiązanie?

Czy to możliwe, żeby miał rację?

Kneought Brodal odbiera po siódmym sygnale. Formalnie podaje stanowisko, imię i nazwisko, chociaż wie oczywiście, że to ona dzwoni. Już kiedy Karen słyszy jego nieprzychylny ton, domyśla się, że ta rozmowa nie będzie łatwa.

Wysłuchawszy cierpliwie wywodów lekarza sądowego o tym, że najpierw zniszczono mu Boże Narodzenie, a potem weekend noworoczny, i tyrady, że teraz najwyraźniej ci mordujący się wariaci na północy muszą jeszcze zniszczyć mu Trzech Króli, Karen udaje się wejść mu w słowo.

– Nie, nie musisz się niepokoić. Obeszło się bez kolejnych trupów. Przynajmniej na razie. I to dlatego dzwonię.

Po drugiej stronie słyszy siorbnięcie. Widocznie Brodal korzysta z okazji, żeby zwilżyć gardło przed kolejną litanią. Krótka przerwa daje Karen wystarczająco dużo czasu, żeby ostrożnie zbliżyć się do właściwego tematu.

– Zdążyłeś zajrzeć do dokumentów, które ci przesłałam? – pyta i truchleje na myśl o odpowiedzi, w tle słyszy zaś głośne dzwonięcie kubka, który odstawia Kneought Brodal.

– Jakich znowu cholernych dokumentów? Musisz się wyrażać jaśniej, mam całą skrzynkę zapchaną jakimś gównem.

– Kilka stron z komputera Fredrika Stuuba, do których zrozumienia jest mi potrzebna twoja wiedza ekspercka. Mnóstwo naukowych pojęć medycznych.

– Ach tak. Nie, tego nie zdążyłem przejrzeć. Ale medycyny to raczej nie dotyczy. Prędzej biochemii, jeśli dobrze rozumiem.

Więc jednak do nich zajrzałeś, myśli Karen.

– Nie – mówi, jakby słyszał jej skryte nadzieje. – Nie czytałem go. Otworzyłem tylko, żeby zerknąć, o co chodzi, i zaraz zamknąłem, oznaczając jako nieprzeczytane. Tak robię ze wszystkimi mailami, żeby móc nadać jakieś priorytety tym wszystkim idiotycznym pytaniom, które dostają.

– Okej, ale to tutaj może być ważne – zaznacza Karen. – I nie ma czasu.

Zastanawia się kilka sekund, decyduje, która strategia najszybciej może odnieść skutek, i ciągnie:

– Chodzi o to, że chyba znalazłam związek między badaniami Fredrika Stuuba a jego śmiercią. Hmm, prawdopodobnie też z zabójstwem Gabriela – dodaje, podkolorowując tę informację.

Po drugiej stronie panuje cisza. Karen wie, że to dobry znak. Wzbudziła zainteresowanie, mimo że Kneought Brodal się do tego nie przyzna. Cichy, głęboki wdech, po czym kontynuuje:

– Kiedy przeglądałam dokumentację z komputera Fredrika, znalazłam kilka pojęć i je wyszukałam.

– A więc wujek Google? – wzdycha lekarz sądowy. – Hmm, brzmi obiecująco...

– Chodzi o coś, co nazywa się *Baudoinia*.

– Mów dalej – nakazuje krótko Brodal.

– Najwyraźniej jest to jakiś rodzaj grzyba, który rozprzestrzenia się...

– Wiem, co to jest *Baudoinia* – przerywa jej Brodal. – Do rzeczy.

– Sprawdziłam sporo innych powtarzających się pojęć, które Stuub analizował w związku z *Baudoinią*. Tak mi się przynajmniej zdaje, ale ten typ terminologii badawczej jest dla mnie całkowicie niezrozumiały. Nie wiem nawet, czy właściwie interpretuję znalezione urywki.

– A jak je interpretujesz?

– Tak, że Fredrik Stuub starał się udowodnić, że *Baudoinia* wcale nie jest takim niegroźnym grzybem, za jaki ją uważano. Że wiąże się z... To znaczy możliwe, że się całkowicie mylę...

– Dzwonisz do mnie kwadrans po szóstej rano w Trzech Króli, żeby rozmawiać ze mną o swoich podejrzeniach, w które nawet ty sama nie wierzysz?

– Alzheimerem – wyrzuca z siebie Karen. – I nie wydaje mi się, żebym się myliła. Chociaż bardzo bym się cieszyła, gdyby tak było.

Po drugiej stronie słychać prychnięcie.

– Alzheimerem? Mówisz poważnie?

– Nie wiem, Kneought. Tak to wygląda, albo na jakąś inną podobną chorobę, którą Stuub starał się powiązać z tym syfem



wydostającym się z destylarni.

– I teraz chcesz, żebym ja potwierdził te rewelacje?

– Nie same rezultaty, rzecz jasna. Tylko to, czy on naprawdę to badał. I nie muszę nawet wiedzieć, czy Stuub miał rację czy nie. Ważne jest to, czy przekonał innych, żeby w to uwierzyli. Czy udało mu się kogoś wystarczająco mocno nastraszyć, żeby ta osoba mogła chcieć go uciszyć.

– To znaczy któryś z Grothów.

– Za wcześnie, żeby to stwierdzić, ale tak. Gdyby Fredrikowi udało się uzyskać posłuch dla czystych domysłów, że taki związek zachodzi, mógłby zagrozić całej ich działalności.

Nie mówiąc o planach rozbudowy, myśli. Władze prowincji bez dwóch zdań zaczęłyby robić w majtki, nawet gdyby z czasem wnioski Stuuba okazały się błędne, i tak mogłyby w każdym razie rzucać Grothom kłody pod nogi i doprowadzić do kosztownych opóźnień.

– Potrzebuję kilku godzin – mówi krótko Brodal.

– Dzięki.

– Ale jak mówiłem, nie licz na to, że zdążę się wgryźć w te całe tak zwane badania. A jeśli Stuub wbrew wszelkim przypuszczeniom był na tropie czegoś, to najpewniej chodzi o stare wyniki. Czy on nie przeszedł na emeryturę lata temu?

– Tak, ale miał najwyraźniej dostęp do wyposażenia i lokali uniwersyteckich przez pięć lat od zakończenia pracy. *Profesor emeritus*, powiedziała rektorka z uniwersytetu, z którą rozmawiałam.

– Aha, tak. Mimo wszystko było to dawno temu. Dlaczego wstrzymywałyby się z wyjawieniem wyników aż do teraz? Nie, nie odpowiadaj. To twoje zadanie, żeby się tego dowiedzieć.

– A więc od razu to sprawdzisz? – pyta Karen najłagodniej, jak tylko może.

– Zamierzam zjeść dwie kanapki, wypić kubek kawy i najpierw przeczytać gazetę, jeśli nie masz nic przeciwko.

– Dzięki, Kneought. Zadzwoń zaraz, jak do czegoś dojdiesz. I jak mówiłeś, nie liczę...

Kneought Brodal już odłożył słuchawkę.

Karen patrzy na gładki szary kamień, który wyznacza miejsce jej ojca w rodzinnym grobie.

*Rybak*  
*Walter Eiken*  
*1939–2002*

Trzeci rząd od góry, drugi kamień po lewej. Na prawo od niego znajdują się jeszcze dwa płaskie granity: Aino Eiken, która przeżyła syna o cztery miesiące, i Johannes Eiken, który wytrzymał jeszcze trzy lata. Tata, babcia i dziadek, na razie ich kamienie stanowią ostatnie w rodzinnym grobowcu Eikenów. Ale jest sporo miejsca przed dużą żelazną kotwicą, która pewnie i ciężko opiera się o tło, jak strażniczka pokoleń. Rybaków, żon rybaków i wżenionych w rodzinę nawigatorów. Mógłby to być dowolny grobowiec rodzinny spośród tych ozdobionych kotwicami na cmentarzu w Gudheim.

Karen prostuje się i wodzi wzrokiem po lekko opadającym cyplu. Kilku odwiedzających porusza się między grobami podczas czegoś, co z daleka wygląda jak spokojna rozmowa. Dalej, zanim jeszcze ląd przejdzie w niebo i morze, Karen dostrzega monolity w kamiennym kręgu, czterdzieści dwa trzymetrowe głazy ustawione w półkręgu i otwierające się na wschód. Może właśnie ten imponujący widok sprawił, że mieszkańcy Noorö postanowili już na początku nie podejmować walki; na cmentarzu w Gudheim nie widać żadnych pionowych płyt nagrobnych, tylko rzędy kotwic różnych wielkości, które spoczywają na leżących, płaskich kamieniach z wygrawerowanymi imionami utraconych synów i córek. Imiona i daty, żadnych wierszy jak na nagrobkach na Heimö i Frisel. Żadnych „kochanych, nieodżałowanych”. Po co marnować słowa na oczywistości?

„Nie łudź się, że zamierzam tu spocząć – powiedziała córce Eleanor Eiken, gdy kładziono kamień nagrobny jej męża. – Ty się możesz pochować, gdzie chcesz, ale ja mam leżeć koło kościoła w Langevik. Albo w Ravenby z mamą i tatą, ale nie tutaj, na Noorö. Obiecuj mi to!”.

Karen uśmiecha się na to wspomnienie. „Ty się możesz pochować, gdzie chcesz”. Tak matka starała się jej prawdopodobnie delikatnie powiedzieć, że nie oczekuje od Karen, by ta w ogóle zostawała na którejś z doggerlandzkich wysp po swojej śmierci. Jeśli woli, może leżeć obok Johna i Mathisa na Hazelmere w Surrey albo jej prochy mogą zostać wysypane do morza. Eleanor Eiken nie miała nigdy większej potrzeby kierowania swoim otoczeniem i zdecydowanie żadnej skłonności do tego, żeby to nią kierowano.

I znów Karen stwierdza, że uczucie wciąż jest to samo; nie ma dla niej najmniejszego znaczenia, gdzie spoczną jej prochy, kiedy nadejdzie jej kolej. Groby nic dla niej nie znaczą. Dotąd tylko dwa razy odwiedziła miejsce ostatniego spoczynku ojca. Do Hazelmere nigdy nie powróciła. Karen Eiken Hornby nie wierzy ani w niebo, ani w piekło, a może wierzy i w jedno, i w drugie. Ale wie jedno: John i Mathis są przy niej każdego dnia, nie potrzebuje grobu, żeby o nich pamiętać.

Ale tata? Może jego dusza krąży tu, po okolicy, myśli Karen. W pewien sposób Walter Eiken stanowił kwintesencję surowego krajobrazu Noorö – pomarszczona, ogorzała twarz, pragmatyczne podejście do norm i przepisów. I jasne, on też wciąż z nią jest. Zapach soli i dziegciu, diesla i potu. Szybkie zmiany spojrzenia, jego lodowoniebieskie oczy z żółto obramowanymi źrenicami w sekundę przemieniały się z przerażających jak u wilka w coś psotnego, wesoło dokazującego, co Karen uwielbiała jako dziecko. Jasne, pamiętała dni, kiedy był na morzu. One same z mamą w domu. Nigdy nie mówiły głośno o tym cichym niepokoju przy spokojnej pogodzie, o wyjąłym strachu, gdy pogoda dawała popalić, ani o uldze po przyplłynięciu łodzi. Tata zdejmujący wysokie buty w przedpokoju. Jego szerokie plecy pochylone nad stołem w kuchni, wielkie, opalone pięści mocno ściskające szklanke. I wzrok wolny od zdenerwowania przed kolejnym wypłynięciem. Stałe zmiany między

niepokojem a ulgą; tak naturalne, jakby wysssała je z mlekiem matki. To wszystko wciąż w niej jest.

Karen nagle czuje innego rodzaju obecność niż stale krążących nad głową mew, rybitw, wydrzyków i petreli, coś przyciąga jej wzrok w górę. Śledzi ruchy bielika, gdy ten majestatycznie i na pozór bez wysiłku odpoczywa wsparty o powietrze pod swoimi szerokimi skrzydłami. Tak, tato, myśli Karen. Kto wie.

I sekundę później jej myśli powracają do rozmowy telefonicznej sprzed kilku godzin. Rozmowy, która ją tu przywiodła. Ciotka Ingeborg nie pozostawiła najmniejszych wątpliwości co do dwóch rzeczy: oczywiście, że Karen musi odwiedzić grób ojca, skoro wreszcie tu jest, i oczywiście, że musi przyjść do nich wieczorem na kolację. Wigilii Trzech Króli nie można spędzać samemu.

– Nie wiem, czy zdążę – próbowała. – Praca przede wszystkim.

– Jeść i tak musisz. Będzie łosoś w jałowcu i „złote żuczki”. I szarlotka z kardamonem, którą tak lubisz. Wszyscy chłopcy przyjdą. Einar ma dziesięć dni wolnego na platformie i bardzo by chciał spotkać swoją kuzynkę.

Nic nie obiecywała, mimo to wie, że będzie tam siedzieć z talerzem załadowanym łososiem z pieca wygrzebanym spod grubej warstwy soli i gałązek jałowca oraz górą złocistych kosteczek brukwi marynowanej w miodzie. I wie, że będzie lawirować między pytaniami o pracę i plany na przyszłość, że z wdzięcznością stwierdzi, że nikt nie mówi głośno o tym, co się stało. Nie będzie zwracać uwagi na wymieniane spojrzenia, gdy zrozumieją, że nadal żyje sama i nie chce tego zmienić. I nie będzie zwracać uwagi na gorzki ton ciotki Ingeborg, kiedy ta spyta, czy Eleanor wciąż się podobają te upały na południu.

Oj tak, Karen się zjawi.

Orzeł daje się ponieść wiatrowi i znika nad morzem. Karen niechętnie spuszcza go z oczu, stawia kołnierz, chroniąc się przed wiatrem, i spostrzega, że została sama. Zachmurzyło się i śnieg groźnie wisi w ciężkich chmurach, które szybko nadciągają z zachodu. Ci nieliczni, którzy niedawno tu byli, wcześniej zauważyli nagłą zmianę pogody i szybko ruszyli w stronę parkingu. Pustkowie i wiatr, Karen przechodzi dreszcz.

Lekkie skiniecie w stronę grobu, potem odwraca się i kamienieje.  
Mężczyzna, który stoi na skraju cmentarza, patrzy prosto na nią.

– Co ty tu, kurna, robisz?

Nie stoi od niej dalej niż dwadzieścia metrów, mimo to Karen nie jest pewna, czy słowa te do niego docierają, czy pochłania je wiatr. Odd wykonuje ruch głową, zaciąga się i rusza w stronę parkingu. Karen zwleka sekundę, potem idzie za nim. To, że jej kuzyn ją tutaj odszukał, zapewne nie oznacza samych dobrych wiadomości.

Na niewielkim żwirowym parkingu stoją już tylko stary zielony ford ranger Karen i harley-davidson Odda. Kuzyn, który zdążył dotrzeć do samochodu, wyrzuca niedopałek papierosa i staje ze skrzyżowanymi na piersi rękami po stronie pasażera. Karen zauważa, że marznie mimo swojej skórzanej zbroi.

– Jak możesz jeździć na motorze w taką pogodę? – pyta Karen, podchodząc, i szuka w kieszeni kurtki kluczyków.

Odd nie odwzajemnia uśmiechu.

– Musimy pogadać – mówi krótko. – Możesz się pospieszyć?

Karen otwiera samochód i siadają w nim obok siebie.

– Boże, prawie zapomniałam, jak szybko zmienia się pogoda na północy – mówi Karen i obiema rękami pociąga drzwi za sobą. – Sprawdzałeś prognozę?

– Sztorm pod wieczór, ale tradycyjnie pomylili się o kilka godzin.

Odd się pochyła i zerka na stalowe niebo.

– Mam najwyżej kwadrans, potem muszę się zbierać – mówi.

– Okej. Piłeczka jest po twojej stronie. Skąd w ogóle wiedziałeś, że tu jestem?

– Byłem u matki, kiedy do ciebie dzwoniła. Słyszałem, że masz być tam pod wieczór – mówi bezdźwięcznie.

– Tak, prawdopodobnie. Ty też, z tego, co zrozumiałam. I Einar najwyraźniej ma przepustkę na platformie. Nie widziałam go od dziesięciu lat, więc dobrze się składa. Ale ty nie czekasz chyba z niecierpliwością na rodzinną kolację?

– Nie chcę żadnego gładzenia. Żadnej cholernej policyjnej gadki u mamy w domu. I nigdzie indziej też nie. Żadnych wizyt w klubie.

– Tego ostatniego nie mogę ci obiecać, wiesz przecież. Ale okej, nie dziś wieczorem. To wszystko, po co tu przyjechałeś?

– Ile są warte informacje o Gabrielu? Wystarczająco, żebyś odpuściła?

Ach tak, myśli Karen i czuje świerzbienie w rękach. A więc aż tak jest dla ciebie ważne to, żeby nie wkroczyła do waszej kwatery głównej i nie przedstawiła się jako twoja kuzynka. Może aspirujesz nawet do tytułu prezydenta, skoro Allan Jonshed siedzi. W takim razie gliniarz w rodzinie nie jest zapewne atutem.

– Taa, zakładam, że to zależy od tego, co masz – mówi z udawaną obojętnością.

– Informację o tym, kto poderżnął mu gardło.

Karen dębieje.

– Jeśli posiadasz takie informacje, to musisz złożyć zeznania.

– Zapomnij. Inaczej nic z tego nie będzie. Taki jest deal – mówi.

– To aż takie ważne, żeby chłopaki w waszym małym zrzeszeniu skautów nie dowiedziały się, że jesteśmy rodziną? Bo nie uwierzę, że nie chcesz po prostu mieszać w to rodziny.

Odd wyjmuje wymiętoszoną paczkę papierosów i Karen doprasza się gestem ręki, kiedy ten nie wykazuje sam z siebie chęci, żeby ją poczęstować. Podaje jej paczkę i odchyła się z westchnieniem.

– Ty decydujesz – mówi. – Opowiem ci wszystko, co wiem, o ile obiecasz, że mnie w to nie wciągniesz.

Karen prędko rozważa to sama ze sobą. Jeśli obieca, trudno jej będzie się z tego wycofać. W każdym razie nie straciwszy w przyszłości kontaktów z Oddem, to na pewno. Prawdopodobnie nawet ze wszystkimi krewnymi ze strony ojca. Nikt nie stanie po jej stronie w tym konflikcie.

– W porządku, umowa stoi – mówi, zaciągawszy się głęboko. – Pod warunkiem że ty sam nie jesteś w to zamieszany.

Odd posyła jej krzywy uśmiech.

– Ależ Krakan, jakże ja mógłbym kogoś zabić? Co ty sobie, kurna, o mnie myślisz?

– To co masz? – mówi krótko Karen.

– Okej, a więc tak. Gabriel trochę gadał. Głównie bzdury, niewiele więcej.

– Tak, to już wiem.

– A poza tym się kurwił.

– „Kurwił”? Chodzi ci o kradzieże u Grotha?

Odd kiwa głową i Karen czuje, jak ją ściska w żołądku, kiedy przypomina sobie raport Kneoughta Brodala o śladach po pobiciu sprzed dwóch dni na ciele Gabriela. To ona wyjawiała kuzynkowi podwójną grę Gabriela.

Odd szybko zerka na nią z boku.

– Nic nie powiedziałem chłopakom. Nie mogłem im przecież zdradzić, skąd to wiem, ani pozwolić, żeby Gabrielowi się upiekło, więc wziąłem sprawy w swoje ręce.

Przez moment Karen patrzy na kuzyna i zastanawia się, czy głowił się nad tym samym co ona. Czy kiedykolwiek myślał o tym, dlaczego jako jedyny w rodzinie ma rude włosy? Czy wie, że Fredrik Stuub miał w młodości ten sam kolor włosów? Czy podejrzewa, że w jego żyłach płynie ta sama krew co u Gabriela? Czy to dlatego postanowił samemu zająć się Gabrielem, zamiast pozwolić to załatwić chłopakom z OP?

I myśli o niedopałku papierosa, który Odd wyrzucił przed wejściem do samochodu. Tak łatwo mogłaby sprawdzić DNA. Odpędza tę myśl, wzrusza ramionami i posyła mu sceptyczne spojrzenie.

– Chyba się domyślam, jak się nim zająłeś...

– Tak, a co, kurna? Był świadom tego, na co się porywa, i trzeba ci wiedzieć, że migał się cholernie sprawnie. A potem sobie z nim porozmawiałem. Albo należałoby raczej powiedzieć, że to on zaczął gadać.

– I co takiego powiedział?

Odd po raz ostatni się zaciąga, lekko uchyla drzwi i wyrzuca peta. Lodowaty wiatr wpada do samochodu, przez co żar w papierosie Karen jeszcze bardziej się roznieca. Wyciąga popielniczkę i gasi w niej niedopałek.

– To znaczy już wcześniej gadał, że kroi mu się jakaś grubsza akcja u Grothów. Coś, co pozwoli mu zapanować nad tym całym bałaganem. Chłopaki nie wierzyły mu nic a nic i ja też nie. Kolesz był pajacem, pożytecznym idiotą, który sądził, że jedną nogą jest już w klubie. Mieliśmy z niego sporo pożytku, ale nigdy nie było mowy, żeby pozwolić mu do nas dołączyć w roli pełnoprawnego członka.



Karen postanawia darować sobie pytanie o to, jaki pożytek miało OP z Gabriela Stuuba. Przynajmniej chwilowo.

– Ale kiedy powiedziałaś o tych znakowaniach, postanowiłem rozmówić się z chłopakiem – ciągnie Odd.

– Kiedy to było?

– Dzień przed sylwestrem albo dokładniej: wieczór przed. Właśnie tutaj. To cholernie dobre miejsce, kiedy chce się z kimś poważnie porozmawiać.

Blisko pracy Gabriela i niedaleko domu Odda. A mimo to na uboczu i nie ma tu ludzi. Przynajmniej w ciemny grudniowy wieczór nikt nie odwiedza cmentarza. Tak jak teraz. Zapewne jest to idealne miejsce, żeby „poważnie porozmawiać”, myśli Karen i tłumi ukłucie niepewności. Odd chyba nie mógłby jej zrobić krzywdy?

– Okej – mówi krótko. – Przejdź już do rzeczy. Co takiego powiedział ci Gabriel, z czego ja twoim zdaniem mogę mieć jakiś pożytek?

– Kto zabił jego dziadka?

Karen wpatruje się w Odda. Czy to jakaś drwina? Naprowadza ją na zły trop czy Odd naprawdę dysponuje tą kluczową informacją?

– Zakładam, że znasz nazwisko? – mówi z udawaną obojętnością.

Odd wyciąga ustami jeszcze jednego papierosa i obraca metalowe kółko w zapalniczce. Prowokująco powoli go odpala, wciąga dym głęboko do gardła i przytrzymuje go. Potem odchyła się i go wypuszcza.

– Björn Groth.

– Björn Groth – powtarza spokojnie Karen i udaje się jej ukryć dreszcz podniecenia. – A więc to on miałby zabić Fredrika Stuuba. A skąd Gabriel to niby wiedział?

Kręci głową, kiedy Odd wyciąga do niej rękę z paczką papierosów i zapalniczką. Jest jej wystarczająco niedobrze od dymu, ale nie chce ryzykować i prosić kuzyna, żeby zgasił papierosa. Zamiast tego uchyla na parę centymetrów okno po swojej stronie. Kilka płatków śniegu wpada do środka i ląduje jej na policzku.

– Podobno stary miał jakieś informacje, które mogły zaszkodzić Grothom. Według Gabriela mieli wielkie plany budowlane i Björn straciłby wszystko, co zainwestował, gdyby Fredrik Stuub zaczął gadać.

*Baudoinia*, myśli Karen. Na głos mówi:

– Możliwe w takim razie, że miał motyw, ale to raczej nie wystarczy.

– Nie, nie jestem głupi, Karen. Ale Gabriel widział Björna, gdy doszło do morderstwa, tak twierdził. Podobno jechał samochodem z dziećmi do swojej eks i zobaczył auto Björna.

– Niby gdzie?

– Na zawrotce nad kopalnią Karby. Tam, gdzie ludzie wywożą śmieci, jak nie chcą płacić za ich odbiór. Gabriel zajechał tam w bożonarodzeniowy poranek, żeby skorzystać z okazji i w drodze na prom wyrzucić kilka gratów. Miał podobno wieźć dzieciaki do swojej byłej żony do Thorsvik.

– I widział tam Björna Grotha?

– W każdym razie jego samochód. Stał zaparkowany, samego Björna podobno w nim nie było. Wtedy Gabriel się nad tym długo nie zastanawiał, ale wydało mu się dziwne, że Björn zostawił samochód i poszedł do lasu.

– Ale nie widział Björna?

– Nie, odjechał, kiedy pozbył się śmieci. Miał w wozie dzieciaki, a poza tym nie wiedział jeszcze, że jego dziadek zostanie znaleziony martwy ledwie kilka godzin później.

– I jak bardzo był pewny tego, że to właśnie samochód Björna Grotha?

Odd patrzy na nią sceptycznie.

– To był, kurna, jego szef. Widział ten samochód każdego dnia, jak zakładam.

– I dlaczego nie powiedział o tym policji?

– Hmm, niektóre osoby nie palą się do kontaktów z wami. Poza tym...

Odd przerywa, otwiera jeszcze raz drzwi i wyrzuca kolejnego peta.

– Poza tym co? – dopytuje niecierpliwie Karen.

– Poza tym zamierzał wykorzystać to przeciwko Björnowi.

– A więc szantaż? – mówi nieufnie Karen. – Chciał wykorzystać zabójstwo dziadka do tego, żeby wyciągnąć od Björna pieniądze?

– Chyba tak, nie wiem i szczerze mówiąc, mam to gdzieś. W każdym razie powiedział, że zamierza poruszyć tę brudną sprawę

na przyjęciu, jeśli Björn nie zrobi tego, co mu kazał. „Zmiażdżę tego sukinsyna”, to jego słowa.

W tym momencie telefon Karen buczy i na wyświetlaczu pojawia się nazwisko lekarza sądowego.

– Cześć, Kneought – odbiera Karen. – Możesz chwilę poczekać?

Odd otworzył już drzwi i jest w połowie drogi z samochodu. Odwraca się teraz i wbija w nią wzrok.

– Trzymasz mnie poza tym – mówi. – Ja nie zapominam, co kto mi obiecał.

– Nie jesteś tak cholernie głupia, jak można by się spodziewać – mówi Kneought Brodal.

Karen czuje, jak puls jej przyspiesza. Zmusza się, żeby cierpliwie słuchać, kiedy Brodal rozwodzi się nad brakami w otrzymanym materiale, że to tylko ułamek dokumentacji, którą musiał zebrać Fredrik Stuub, i że to, co dostał do przeczytania, należy w zasadzie postrzegać wyłącznie jako ogólne podsumowanie.

– Okej, okej, rozumiem – mówi w końcu Karen. – Ale czy chodzi o to, co podejrzewam? O jakiś związek między grzybem u Grothów a uszkodzeniem komórek nerwowych u ludzi?

– Tak, to się zgadza. Wyniki są raczej na granicy błędu statystycznego, ale Fredrik Stuub znalazł lub w każdym razie *sądził*, że znalazł, związek między tym gównem, które wydostaje się z magazynów, a nadreprezentacją pewnych diagnoz medycznych.

– Alzheimer?

– Między innymi. Podobno stwierdził mały, ale wymierny wzrost liczby diagnozowanych przypadków w społecznościach mieszkających w pobliżu destylarni.

– To znaczy w pobliżu Grotha? Innych gorzelni chyba nie ma w tym kraju. Tak, to znaczy poza tą na Frisel, gdzie produkują dżin i spirytus. Znalazł to samo tam, na południu?

– Nie, tam nie, oni nie trzymają nic w beczkach. A to właśnie podczas leżakowania grzyb *Baudoinia* się rozwija i przenika do środowiska.

– Ale tutaj, na Noorö, odkrył taki związek? – draży Karen.

– Niestety nie tylko. Według tej dokumentacji Stuub znalazł podobny statystyczny wzrost demencji degeneratywnej także w różnych miejscach w innych krajach, gdzie przechowywany jest alkohol. I niestety w znacznie niższym wieku, niż występuje to w grupach kontrolnych.

– Jesteś pewien?

– Oczywiście, że nie – odpowiada krótko Kneought Brodal. – I Stuub też nie był pewien. Mogę jedynie potwierdzić, że prowadził badania nad potencjalnym związkiem, i wygląda na to, że znalazł  *pewne*  dowody na poparcie swoich teorii. Ale nawet nie przypuszczasz, ilu naukowców twierdzi, że znalazło mnóstwo różnych powiązań, a potem okazuje się, że one naprawdę nie istnieją. Robią to także po to, żeby wymusić kolejne dofinansowania na badania.

Może i przypuszczam, myśli Karen, widząc oczyma wyobraźni alarmujące artykuły w prasie wieczornej.

– Z drugiej strony Stuub najwyraźniej wiedział, że nie należy publikować nic w połowie badań – ciągnie Brodal. – Gdyby sam był pewien, opublikowałby oczywiście te wyniki.

Albo wykorzystał je do szantażowania Grothów, myśli Karen. Dziękuje Kneoughtowi Brodalowi i kończy rozmowę. Dziesięć sekund później skroluje kontakty w komórce, szukając Dineke Vegen. Prokuratorka w milczeniu słucha streszczenia Karen.

– Okej, możesz zatrzymać Björna Grotha. Ale jako motyw to nie wystarczy. Potrzebujecie czegoś więcej do zarządzenia tymczasowego aresztowania.

– To silny motyw – zwraca uwagę Karen. – I mamy jeszcze maila Stuuba do Björna Grotha.

– Okej, ale musicie dojść do czegoś więcej, jeśli sąd ma zarządzić tymczasowe aresztowanie. Jak to, na miłość boską, możliwe, że nikt nic nie widział ani nie słyszał? Czy ludzie pogłuchli i oślepli na tym pustkowiu na północy?

Nie do końca, myśli Karen, ale nic nie mówi. W zasadzie mamy wypowiedź kogoś, kto nie chce być świadkiem, o czymś, co powiedział ktoś, kto już nie może być świadkiem. Zupełnie nieprzydatne, jeśli nie uda mi się przekonać Odda do zmiany decyzji. Albo złamię złożoną obietnicę.

– Masz trzy doby – powtarza Dineke Vegen. – Postaraj się znaleźć coś więcej.

Rozmowa z Cornelisem Lootsem jest niemal równie krótka. Karen szybko wyjaśnia, że prokurator dała zielone światło; Björn Groth ma zostać zatrzymany, a nakaz przeszukania dotyczy zarówno

pomieszczeń firmowych, jak i miejsca zamieszkania. Mają trzy doby, potem wniosek o areszt tymczasowy musi zostać podtrzymany.

– Jedź tam od razu i weź ze sobą Bylego, spotkamy się na miejscu, żeby go oficjalnie zatrzymać. Zadzwoń do Larsena i poproszę go o kilku techników, którzy przeprowadzą pierwsze przeszukania, zanim my wkroczymy.

– Okej, ale co zrobimy z żoną Grotha?

– Odgradzimy cały obszar, więc będzie musiała spać w nocy gdzie indziej. I pamiętaj o zabraniu ze sobą kilku mundurowych, żeby mogli odwiedzić Grotha na komisariat.

– Ma siedzieć trzy dni w Lysvik? – pyta sceptycznie Cornelis. – Komisariat nie spełnia raczej wymaganych standardów.

– Nie, mają pozwolenie na przetrzymywanie zatrzymanych tylko dwadzieścia cztery godziny. Będą musieli go zawieźć na komisariat do Ravenby. Razem jutro go tam przesłuchamy.

Zakończywszy rozmowę, Karen siedzi dalej w samochodzie za kierownicą z telefonem na kolanach. Trzy doby do rozprawy w sprawie tymczasowego aresztowania. Siedemdziesiąt dwie godziny na to, żeby znaleźć coś jeszcze, co wzmocni podejrzenia w stosunku do Björna Grotha – albo całkiem je obali. Musimy jeszcze raz porozmawiać ze wszystkimi członkami rodziny Grothów, ale to może poczekać. Z kolei jeszcze dzisiaj musi pomówić z Williamem Trystem, jeśli jutro z samego rana ma przesłuchać Björna Grotha. Można sobie wyobrazić, że wie on więcej o groźbach Fredrika Stuuba, niż przyznał. I kiedy dowie się, że policja już dotarła do tych badań, przez co z czasem staną się upublicznią częścią postępowania przygotowawczego, może Tryste przestanie chronić skórę swojego pracodawcy i dojdzie do wniosku, że najlepiej dla niego będzie powiedzieć, co wie. To w każdym razie jest bardziej prawdopodobne niż to, że ktoś z rodziny zacznie sypać. Warto przynajmniej spróbować, myśli Karen i omija to, o czym nie chce myśleć.

Musi znowu porozmawiać z Oddem. Przekonać go do złożenia zeznań.

Równie dobrze może zrobić to od razu wieczorem, myśli. Po kolacji. A może lepiej przed. Uczciwiej. Kiedy rodzina się dowie, że coś obiecałam, a potem się z tego wycofałam, mogę już nie być tam

mile widziana na kolacji. Z drugiej strony mogę nie mieć pracy, jeśli wyjdzie na jaw, że kieruję się względami rodzinnymi.

– Kurwa! – krzyczy i uderza pięścią w kierownicę.

Potem przekręca kluczyk i uruchamia silnik. Równie dobrze może podjechać do gorzelni i poczekać na Lootsa i Bylego przy drodze przed wjazdem.

Karen patrzy z fascynacją przemieszana z niesmakiem na lśniące od tłuszczu kiełbaski, które obracają się na stalowych walcach za szybą. Na jej widok chłopak z logo stacji benzynowej na kieszeni koszuli przygotował się i z pytającą miną podnosi szczypce do grilla.

– Nie, dziękuję, wezmę tylko dwa te – mówi i wskazuje kawałki pizzy w chłodziarce z tyłu. – I colę. I jeszcze to – dodaje, biorąc ciastko czekoladowe z półki powyżej.

Chłopak kładzie dwa trójkąty pizzy na papierowy talerzyk i wkłada je do mikrofalówki, odwraca się, kontroluje stan licznika benzyny i wbija wszystkie sumy na kasę.

– Razem dwieście siedemdziesiąt sześć marek. I jeśli pani sobie życzy, kawa jest w gratisie – dodaje, kiwając głową w stronę automatu.

Karen rozgląda się i przy blacie odkrywa kilka wysokich stołków z widokiem na dystrybutory. Pod dachem, w dwóch kątach lokalu, znajdują się kamery monitoringu, a w trzecim rogu zamontowano telewizor, ale dźwięk jest wyłączony. Karen rzuca okiem na reklamę którejś z niezliczonych internetowych firm hazardowych, ściąga z siebie czapkę i szalik i w chwili, gdy odstawia torbę na parapet, mikrofalówka pika. W tym samym momencie reklamy zastępuje czołówka programu informacyjnego.

– Pani pizza jest gotowa. Życzy sobie pani do niej sałatkę?

– Nie, dziękuję, ale czy mógłby pan pogłośnić telewizor?

– Nie da się, ktoś gwizdnął nam pilota – mówi chłopak ponuro.

Karen zwraca uwagę, że gdy tylko odbiera od niego talerz, wkłada on do uszu słuchawki. Potem siada na krześle za kasą i wbija wzrok w komórkę.

Jeszcze jedno spojrzenie na telewizor: mało korzystne zdjęcie rzecznika prasowego policji Johana Stolta i mapa Noorö, na której czerwonymi krzyżykami oznaczono dwa miejsca znalezienia zwłok. Zdjęcie zmienia się na sekwencję wideo sprzed kilku dni nakręconą na wjeździe do destylarni Grotha. Karen wzdycha z ulgą.



Do tej pory Stolt brał na siebie kontakty z mediami i jego zdaniem przez ostatnie dwie doby zainteresowanie mediów było niespodziewanie małe. Cała uwaga – co potwierdza teraz ekran telewizora – skupiła się na katastrofie lotniczej na Filipinach, która kosztowała życie dwieście trzydzieści dwie osoby, w tym pięcioro obywateli doggerlandzkich. Spekulacje na temat tego, czy pilot dobrowolnie skierował samolot w morze i czy naprawdę da się wykluczyć akt terrorystyczny, a może chodziło najzwyczajniej o błąd techniczny, wypełniają czołówki wiadomości. Ale to tragiczne zdarzenie oznacza tylko tymczasowe odroczenie, przypuszcza Karen. Gdy media usłyszą o zatrzymaniu Björna Grotha, zainteresowanie śledztwem obudzi się na nowo ze zwielokrotnioną siłą i tym razem dziennikarze nie popuszczą.

Uwaga Karen kieruje się na nitkę stopionego sera, które ciągnie się jak półmetrowa nitka między pizzą a jej przednimi zębami. Przerywa je dwoma palcami, wyciera rękę w serwetkę i przeżuwa pizzę, wpatrując się pustym wzrokiem w okno. Przed oczami ma obraz sprzed pół godziny: skulona sylwetka Björna Grotha na tylnym siedzeniu oznakowanego radiowożu. Kiedy Karen przedstawiła mu ich podejrzenia i wyjaśniła procedury na najbliższe trzy dni, zdawał się szczerze zdziwiony.

Był sam w posiadłości, kiedy wjechali na podjazd, przywitał ich z uprzejmą gościnnością przemieszana z lekką irytacją. Pracownicy poszli do domów zaraz po lunchu ze względu na wigilię Trzech Króli. Laura była na zakupach w Lysvik, a Jens pojechał z rodziną na Frisel, gdzie mieszkali jego teściowie, wyjaśnił im Björn Groth. Błady, ale opanowany słuchał odpowiedzi Karen na kilka pojedynczych pytań, które zadał. Tak, miał prawo do adwokata, ale nie będzie miał dostępu do telefonu ani do komputera. Nie, nie może do nikogo zadzwonić przed odjazdem.

– Poinformujemy pana żonę, gdy tylko uda nam się z nią skontaktować, dopilnujemy też, żeby natychmiast poinformowano adwokata. Ma pan swojego czy chce pan, żeby kogoś wyznaczono?

Björn wymienił nazwisko i Cornelis Loots zanotował je z numerem telefonu podanym przez Grotha.

– Ale William musi się dowiedzieć od razu. Mieliśmy się tutaj spotkać z rana i zaplanować różne rzeczy przed rozbudową. Jest

mnóstwo kwestii do omówienia, nawet jeśli produkcja stoi – powiedział Björn Groth i bezradnie wyciągnął rękę w stronę obiektu.

– Williama Trystego także poinformujemy – obiecała Karen, uspokajająco kiwając głową. – Sama z nim porozmawiam.

A potem dwaj umundurowani policjanci wsadzili Björna Grotha do samochodu i odjechali. Karen powiadomiła Cornelisa Lootsa i Thorsteina Bylego, że poza wizytą u Williama Trystego ma jeszcze inną sprawę do załatwienia tego wieczoru. Żaden z nich nie zareagował na lekkie wahanie w jej głosie przy słowie „sprawa”.

Teraz szybko wpycha w siebie pizzę, popija ją kilkoma łykami coli i rzuca okiem na zegarek. Wpół do szóstej. Najpierw Tryste, potem Odd, myśli i czuje, jak mdłości o smaku oregano podchodzą jej do gardła. To będzie w każdym razie krótki wieczór; po tej rozmowie nie będzie już mile widziana na kolacji z okazji Trzech Króli. Z drugiej strony muszę się wyspać przed jutrzejszym przesłuchaniem Björna Grotha o dziewiętej w areszcie w Ravenby, tak ustalili z Lootsem.

Dlaczego, do cholery, posłałam Karla do domu, myśli. Cornelis jest dobry, ale Karen nigdy nie prowadziła razem z nim przesłuchania i jutro naprawdę wolałaby mieć ze sobą Karla. Przynajmniej chciałaby z nim porozmawiać. Może jeden krótki telefon, potem już się poświęci rodzinie. Po kilku sekundach wahania wyciąga komórkę z kurtki i dzwoni do niego. Karl odpowiada po pierwszym sygnale i bez przywitania rozpoczyna od stwierdzenia:

– Aha, zatrzymałaś Björna Grotha. Można spytać na jakiej podstawie?

– Solidnej, rzecz jasna. Ale skąd wiesz? Cornelis już do ciebie dzwonił?

– Nie musiał. Siedziałem obok, kiedy z nim rozmawiałaś.

– Jesteś jeszcze w Lysvik? – pyta zaskoczona. – Myślałam, że dojechałeś już do domu.

– Wyszło inaczej. Ale powiedz wreszcie, co z Grothem. Siedzę tu i czekam, aż się odezwiesz.

Karen krótko opowiada mu o swoich podejrzeniach dotyczących badań Fredrika Stuuba i o potwierdzającej je rozmowie z Brodalem.

– Hmm, bez wątplenia brzmi to jak dobry motyw. Stuub mógł być lub nie na tropie czegoś, ale już same podejrzenia musiały co najmniej opóźnić wydanie decyzji o rozbudowie.

– I stanowić podstawę szantażu – mówi Karen. – Chyba łatwiej mi uwierzyć, że właśnie na to liczył Stuub, inaczej zapewne zwróciłby się bezpośrednio do władz prowincji. Zresztą potwierdza to jego mail.

– Co robimy z synem? I z żoną, tak przy okazji? Nie jest przecież pewne, że Björn działał na własną rękę.

– Będziemy musieli go zgarnąć i rzecz jasna, resztę rodziny też, najpierw jednak chcę porozmawiać z Björnem.

– Pytanie, jak do tego pasuje Gabriel – ciągnie Karl. – Czy mógł mieć bliższy kontakt z dziadkiem, niż twierdził, i uczestniczyć w szantażu? A może wiedział coś o morderstwie starego?

– Może – mówi Karen wymijająco. – Trzeba spróbować się tego dowiedzieć.

Muszę powiedzieć o Oddzie, myśli, ale jeszcze nie teraz. Nie, przynajmniej dopóki nie spróbuję go namówić, żeby zeznawał dobrowolnie.

– Tak, to samo w sobie nie wystarczy – ciągnie Karl. – Dziwi mnie, że prokurator przystał na to zatrzymanie. Kto to?

– Dineke Vegen.

– Ha, no to wszystko jasne – śmieje się sucho Karl. – Pewnie dalej ma wyrzuty sumienia, że poprzednio cię nie posłuchała.

Karen ogarnia złość. Wprawdzie prokurator w jednej z wcześniejszych spraw nakierowała śledztwo w taką stronę, że w konsekwencji Karen znalazła się w niebezpieczeństwie, ale uwaga Karla o wyrzutach sumienia, które stoją teraz za decyzją o zatrzymaniu Björna Grotha, wkurzyła ją.

– Daj spokój! Mam dobry powód, żeby go zgarnąć...

– Wyluzuj, Eiken, to żart. Okej, trzy dni, innymi słowy, mamy pełne ręce roboty.

– Ty nie. Przynajmniej nie przez najbliższą dobę. Na pierwsze przesłuchanie Björna Grotha biorę jutro Cornelisa, ty możesz dołączyć potem. Przy okazji, dlaczego w ogóle nie pojechałeś jeszcze do domu? Wydaje mi się, że dostałeś proste polecenie.

Karl waha się kilka sekund.

– Rozmawiałem jeszcze raz z Ingrid i okazało się, że zaprosiła na jutro swoich rodziców – mówi niemrawo. – Myślała, że będę pracował.

– No i? Daj spokój. Nie możesz, do cholery, zrezygnować z wyjazdu do domu tylko dlatego, że są tam twoi teściowie.

– *Nic* podobnego. Gdybym nie słyszał, że zamierzasz zatrzymać podejrzanego, już dawno byłbym w drodze.

– Świetnie. W takim razie do zobaczenia pojutrze. Tylko wcześniej! I pozdrów Ingrid, moja sympatia dla tej kobiety rośnie z każdym dniem...

Powinnam już jechać, myśli, zakończywszy rozmowę. Rzuca okiem na zegarek, a potem znów na telewizor. Nawet bez dźwięku przesłanie jest jasne: widziała już wystarczająco wiele razy mapy meteorologiczne, żeby znać symbole niżu, burzy i silnych opadów śniegu. Karen mruży oczy, patrząc na ekran. Czy tam naprawdę jest minus siedemnaście?

Niechętnie analizuje wszystkie argumenty przeciw temu, żeby posiedzieć tu jeszcze chwilę, wziąć więcej kawy i nie wychodzić na to zimno, ale daje za wygraną. Równie dobrze może to załatwić najszybciej, jak tylko się da. Może Tryste naprawdę ma coś ciekawego do powiedzenia, a potem trzeba pogadać z Oddem. Musi chyba rozumieć, że naprawdę nie *mogę* go trzymać z dala od tego. To, co Gabriel mu powiedział, będzie decydujące przy jutrzejszym przesłuchaniu.

Później powinnam zajechać znów do destylarni i pogadać z technikami o przeszukaniu, myśli i czuje, jak przez stres podnosi się jej puls. Nagle mruczy jej komórka.

*Dzwoni Jounas Smeed.*

Nie napisała wczoraj raportu, uzmysławia sobie, gdy tylko widzi jego nazwisko. Jak, do cholery, mogła o tym zapomnieć? Zawrót głowy i Karen łapie obiema rękami za blat stołu. Nie teraz, myśli i odrzuca połączenie. Będę musiała zadzwonić do niego później, ale nie w tej chwili. Karen wzdycha i naciąga na głowę brzydką czapkę z uszami. Wstaje. I pojawia się kolejny nieproszony wniosek.

Powinnam zadzwonić do Ingeborg i powiedzieć, że nie zdążę dziś wieczorem podjechać. Nie muszę w zasadzie nic wyjaśniać, powiem

tylko, że praca pokrzyżowała mi plany. Albo może w ogóle nie dzwonić, myśli chwilę później. W gruncie rzeczy nigdy nie obiecywałam, że podjadę. Miga jej obraz ciepłych dłoni, szorstkich jak rybie łuski, i przypomina się jej głos, który mówi:

„Przynieś cztery jajka od kury, Krakana, a ja wyjmę mąkę”.

Niech to szlag, myśli i podnosi telefon.

Reflektorom samochodu ledwie udaje się przedrzeć przez zamieć śnieżną i zapewnić właściwy tor jazdy przez aleję, dopiero u celu Karen dostrzega oświetlone okna Kompleksu. Wspomnienie głosu ciotki w telefonie wciąż dzwoni jej w uszach. Zawód, gdy powiedziała, że nie da rady przyjechać, surowość, kiedy ciotka spytała, czy Karen zamierza ściągnąć na rodzinę jakieś nieszczęście.

– Dlaczego miałabym chcieć? – odparła, zastanawiając się, ile ciotka wie o jej spotkaniu z Oddem.

– Wiesz, o co mi chodzi. Zostaw przeszłość w spokoju.

I po tych słowach ciotka odłożyła słuchawkę, zostawiając Karen z pytaniem, które wciąż ją dręczy, gdy pokonuje ostatni kawałek aleją. Czy Ingeborg Eiken milczy jak grób o własnej tajemnicy czy o tajemnicy swojego syna?

Karen parkuje tak blisko okazałego wejścia, jak to tylko możliwe, wbiega po szerokich schodach i dzwoni do drzwi. Wiatr okrąża masywną bryłę budynku i podrywa pionowo w górę jej szalik, kiedy Karen czeka, aż zostanie wpuszczona. Kilka sekund później Helena Tryste uchyla ciężkie dębowe drzwi na kilkadziesiąt centymetrów i wygląda przez szparę.

– Tak...? – rozlega się pytający głos. – Och, to pani – zaraz dodaje. – Szybko, proszę wejść.

Otwiera drzwi trochę szerzej, na tyle, żeby Karen mogła się wcisnąć i żeby nie naleciało za dużo śniegu.

– Przepraszam, że tak nachodzę państwa bez uprzedzenia i przeszkadzam w wigilię Trzech Króli – mówi Karen, tupiąc na wycieraczkę w przedpokoju. – Ale muszę zamienić kilka słów z pani mężem.

Cień niepokoju przelatuje przez twarz Heleny Tryste i ta, jakby czując, że zdradziła swoją niepewność, odgarnia ciemne włosy z czoła.

– Chyba nic się nie stało? – pyta. – To znaczy... żadne kolejne morderstwo?

– Nie – odpowiada Karen i szybko uśmiecha się uspokajająco. – Ale chciałabym go poinformować o jednej sprawie, która dotyczy działalności destylarni Grothów. Jest w domu?

– William jest na dole, w piwniczce z winem – mówi Helena. – Przyprowadzę go. Proszę usiąść w salonie.

Karen idzie za nią do pokoju, w którym przebywali z Karlem jakiś... czyżby było to zaledwie kilka dni temu? – zastanawia się zmęczona. Tego samego dnia, kiedy zadzwonił Leo. Tego samego dnia, kiedy posiniaczona Aylin siedziała u niej w kuchni. Karen ma wrażenie, jakby minęła wieczność. Teraz w kominku trzeszczy rozgrzewający ogień i zamiast usiąść, Karen odstawia torebkę na podłogę przed kominkiem i wyciąga ręce w stronę ciepła.

– Tak, zrobiła się naprawdę straszna niepogoda – mówi Helena i z uwagą się jej przygląda. – Mogę coś zaproponować? Kawę? Albo może wolałaby pani herbaty?

– Chętnie, poproszę herbatę, dziękuję – odpowiada Karen.

Łatwiej jest powiedzieć „tak” niż „nie”, myśli Karen. Prawdopodobnie szybciej stąd wyjdzie, jeśli wleje w siebie kubek herbaty, nie czekając na to, aż ją przekabacą. W tym samym momencie słyszy poruszony głos. Młody głos.

– No żeż kurna! Tata znów mi zajmował komórkę!

– Uspokój się, Alvin, mamy gościa – mówi Helena. Karen udaje się dostrzec jej zażenowany uśmiech w chwili, gdy w progu zjawia się chudy, wysoki nastolatek gotów kontynuować wściekłą tyradę.

Opamiętuje się na widok Karen i zamyka usta.

– Dzień dobry – mówi Karen i się przedstawia. – Przyjechałam tu tylko, żeby zamienić kilka słów z twoim tatą.

– Tak, ja też zamierzam zamienić z nim kilka słów – mamrocze Alvin Tryste i ściska wyciągniętą rękę Karen. – Gdzie on jest?

– W piwniczce z winem – mówi Helena. – Nastaw wodę na herbatę, Alvinie, a ja go przyprowadzę.

– Powiedz, że mi się spieszy. I przypilnuj, żeby wziął mój telefon, bo chcę wreszcie jechać.

– Będziesz pracować dziś wieczorem? – pyta Karen, kiedy Helena ich zostawi.

– Nie, umówiłem się tylko z kumplami. Ale nie mogę wyjść, dopóki nie dostanę z powrotem swojej komórki. To już drugi raz. Mamy takie same – dodaje i wyciąga iPhone’a. – Chociaż ta moja jest nowsza, rzecz jasna.

Coś sprawia, że Karen dębieje. W ułamku sekundy przelatują jej błyskawicznie przez głowę ostatnie dni. Przelatuje przez nią każde spotkanie, każda rozmowa, każda informacja. Wszystko wskazuje uporczywie jeden kierunek.

Niemożliwe. A jednak.

Kiedy zadaje następne pytanie, odgłos wiatru za oknem i trzaski drewna w kominku cichną. Wszystko się wycofuje, żeby nie umknęło jej ani słówko, ani jeden szczegół odpowiedzi, którą otrzyma.

– A więc wziął twoją komórkę przez przypadek – mówi takim beztroskim tonem, na jaki tylko ją stać. – Potworna sytuacja. Kiedy to się stało poprzednio?

– W Boże Narodzenie – mówi Alvin i wzdycha. – Tata wziął przypadkiem moją komórkę, a potem jeszcze utopił ją w kłocie, tuż przed naszym wyjazdem. Musiałem pożyczyć jego, ale nie było nic, kurna, fajnego w siedzeniu z nią przez cały dzień w pracy. Pilnuję starców w domu opieki w Lysvik – wyjaśnia.

– Tak, rozumiem, człowiek potrzebuje swoich apek. Ale chociaż mogłeś zadzwonić do któregoś z kumpli.

– My tylko do siebie piszemy.

– Ale do nikogo nie dzwoniłeś? Do domu na przykład, do mamy?

– Tak, może i dzwoniłem. Hmm, tak właśnie, faktycznie dzwoniłem... Obiecałem mu, że zadzwonię do mamy o ósmej i ją obudzę. Ale skąd może pani wiedzieć...?

Alvin zdaje się zdezorientowany, ale w tej samej chwili rozlega się głos Williama Trystego.

– Tutaj jest twoja komórka, Alvin. Zbieraj się, twoi kumple siedzą w samochodzie przed domem i na ciebie czekają.

I kiedy Alvin szybko odbiera komórkę, Karen odnotowuje jeszcze wzrok Heleny, który bezsilnie krąży między mężem a policjantką, potem kobieta odwraca się i idzie za synem.

William wciąż stoi spokojnie w progu ze skrzyżowanymi na piersi rękami. Przez moment patrzą sobie prosto w oczy. Prawda wyszła



na jaw równie nieoczekiwanie dla nich obojga, uświadamia sobie Karen. Ale teraz już tu leży jak śmierząca hałda między nimi. To nie William Tryste dzwonił do domu z Lysvik w czasie, gdy doszło do morderstwa Fredrika Stuuba. To Alvin.

Ty draniu, myśli Karen. Wykorzystujesz własnego syna, żeby sfabrykować sobie alibi.

– Dlaczego? – pyta spokojnie.

William Tryste nie odpowiada. Stoi tylko i przygląda się jej zamyślony. I dopiero wtedy dostrzega ubolewający, niemal zasmucony uśmiech na jego twarzy i zdziwienie przechodzi w strach. Powoli Karen cofa się o kilka kroków, odwraca o sto osiemdziesiąt stopni i szybko się pochyla, żeby podnieść torebkę z podłogi przed kominkiem. Prawie się jej udaje.

W tym samym czasie słyszy, jak drzwi wejściowe się zamykają, i kątem oka dostrzega ruch. Potem twarda dłoń na jej karku i oglądany w zwolnionym tempie gzyms kominka zbliża się coraz bardziej.

Robi się ciemno.

Kiedy otwiera oczy, nie widzi nic. Zamyka je ponownie i stara się stłumić panikę.

Później wyostrzają się jej inne zmysły. Słaby zapach pleśni, poczucie, że leży na czymś twardym. Nie ważąc się nawet poruszyć, przykładła opuszki palców do ziemi. Nierówne, zimne. Skała? Nie, coś płystsze, równiejsze, regularne płyty. Poziome nagrobki w Gudheim. Czy ja nie żyję?

Nie, te kamienie są mniejsze, regularne i połączone ze sobą. Karen czuje opuszkami małe zagłębione nacięcia. Ja to znam, wiem, co to, myśli. Cegła. Z trudem napina mięśnie szyi i podnosi głowę. Ból. Stłumiony, łomoczący nad czołem. I światło, teraz je dostrzega. Słabe, migoczące światło. Mdłości i ulga ogarniają ją jednocześnie. Jeszcze nie umarłam.

Przejeżdża ręką po czole i na dłoni czuje jakąś ciecz. Waha się, potem przytrzymuje rękę przed ustami, ostrożnie ją liże i czuje smak żelaza. Gdy jej świadomość rejestruje krew, pojawiają się niewielkie, krótkie i bezlitosne urywki wspomnień. Strach, próba ucieczki bez jakichkolwiek szans, chwyt za szyję, czoło uderzające o ostry kant gzymsu kominkowego. I nagle wyczuwa czyjaś obecność.

Nie jest tutaj sama.

Najszybciej, jak tylko to możliwe, Karen odwraca się do pozycji na czworakach, a potem kuca. Czeka kilka sekund i wstaje. Kręci się jej w głowie i po omacku szuka czegoś, czego mogłaby się złapać.

William Tryste siedzi na fotelu, nogę ma założoną na nogę, a dłoń zaciska na szklance, którą postawił na kolanie. Siedmioramienny mosiężny świecznik ze stolika obok oświetla pół jego twarzy.

– Tak, Karen. Co my teraz z tobą zrobimy?

Karen przygląda mu się i nic nie odpowiada. Wodzi wzrokiem, rejestruje półki z rzędami butelek wina i kieliszków, dębowy stół z sześcioma krzesłami, drewniane beczki dalej pod ścianą. Odruchowo odwraca się i szuka wzrokiem wyjścia.

– Zapomnij – słyszy głos Trystego. – Nie wyjdiesz stąd.

– Co zamierzasz?

Czy to jej głos? Słaby, chropowaty, obcy.

– Naprawdę mi przykro, Karen, ale sama się w to wpakowałaś. Nie powinnaś była wciągać w to mojego syna.

To ty sam go w to wciągnąłeś, myśli Karen. Podpuściłeś własne dziecko, żeby mieć alibi. „Przez przypadek” upuściłeś jego komórkę do toalety, żeby musiał wziąć twoją. Poprosiłeś, żeby zadzwonił do domu z Lysvik w czasie, gdy sam znajdowałeś się koło szkody górniczej. A wizyta u twojego biednego ojca nie zajęła ci więcej niż pięć minut zamiast godziny, jak sam twierdziłeś. Ty przekłety psychopato. Dlaczego, do cholery, tego nie widziałam? Wybujalego, udawana pokora, czar. Umiejętność manipulowania otoczeniem, zagadywania. Wszystko się zgadza.

I z narastającym niepokojem Karen myśli o punkcie na samej górze listy cech szczególnych: niezdolność do odczuwania empatii.

Na głos mówi:

– Dlaczego to zrobiłeś? Co ty możesz z tego mieć?

– Co mogę z tego mieć? Wszystko, rzecz jasna. Grothowie nie mają szansy dostać zgody na rozbudowę na czas, żeby spłacić kredyt. Sprawa utknie we władzach prowincji. Alzheimer, zaraz za nowotworami, napawa największą zgrozą. Sama wzmianka o podejrzeniach wystarczy, żeby politycy pociągnęli za hamulec bezpieczeństwa.

Karen znów się kołysze i robi krok w bok. Nie zapytawszy o pozwolenie, podchodzi do stołu i opada na jedno z krzeseł. William patrzy na nią i nie protestuje.

– Ale dlaczego zabiłeś Fredrika? To przecież on miał te badania.

– Dlatego że nie chciał ich opublikować. Mówił, że wyniki nie są potwierdzone. A ja chciałem tylko, żeby ogłosił to, co ma, to by wystarczyło. Ale stary, jak już mówiłem, opierał się.

– Mimo wszystko napisał do Björna Grotha maila z pogrózkami – mówi Karen i ma nadzieję, że Tryste złapie przynętę.

Udawaj, że nic nie rozumiesz, myśli. Zgrywaj głupią, łechtaj jego próżność. Niech się rozkoszuje tym, jaki jest sprytny. Graj na czas.

William Tryste patrzy na nią i cicho się uśmiecha.

– To ty wysłałeś tego maila w imieniu Fredrika? – pyta powoli.

Tryste parska śmiechem.

– Znowu pudło. Technicznie rzecz biorąc, wysłał go Gabriel. Wiedział, gdzie stary chowa komputer. Bóg mi świadkiem, że szukałem wszędzie, zanim skorzystałem z jego pomocy. Ale Gabriela nie było wcale trudno przekonać.

A potem odłożyliście komputer z powrotem do skrytki, byśmy sądzili, że to Björn Groth tam był i go szukał, ale nic nie znalazł, myśli Karen. Nawet nie przypuszczasz, jak mało brakowało, żebyśmy go przeoczyli.

– Kiedy Fredrik zrozumiał, co zrobiłeś? – pyta zamiast tego.

– Jak Björn do niego zadzwonił. Wściekł się, rzecz jasna, wiedział przecież, że nie wysyłał żadnych pogroźek. Ale z czasem złożył wszystko do kupy i doszedł do tego, że to musiałem być ja. W końcu od miesięcy starałem się go przekonać. I w Wigilię wziął mnie u Gertrud na stronę i przyparł do muru. Zażądał, żebym porozmawiał z Björnem, inaczej sam to zrobi. Nie mogło do tego dojść, to oczywiste.

– Wiedział, że wciągnąłeś w to wszystko także Gabriela?

William wzdycha. Potem bierze spory łyk.

– Chcesz się napić?

Karen kręci głową. Nieznaczny ruch sprawia, że dudni jej pod kością czołową.

– Jeśli chcesz, wszystko ci opowiem, ale najpierw musimy się razem napić.

Wstaje i podchodzi do jednej z beczek, która leży wsparta na drewnianym stelażu, przechyla ją trochę i nią wstrząsa. Potem bierze coś, co według Karen wygląda jak wąska chochła na długiej rączce, i wprowadza to przez wlot do beczki. Nabiera kilka centylitrów i wlewa do szklanki wraz z paroma kropelkami wody z małego szklanego dzbanka, który stoi na stole.

– Pij z nabożeństwem. Wiesz, ile to ma lat? – pyta.

Nic nie odpowiedziawszy, Karen bierze podaną jej szklankę.

– Spróbuj – mówi. – Spróbuj i powiedz później, co myślisz o Huss & Groth, rocznik tysiąc dziewięćset czterdziesty siódmy.

Na dźwięk dochodzący z torebki drży jej ręka i rozlewa whisky. Jedna szklaneczka, powiedział, tylko jedna, żebyś się nieco uspokoiła, nie więcej. Rozedrganymi rękami Helena Tryste trzyma teraz mocno butelkę i nalewa sobie trzecią szklaneczkę.

Znów patrzy na zegarek. Za kwadrans muszą jechać, jeśli mają zdążyć. Za dziesięć minut musi zejść do piwnicy i powiedzieć, że wszystko gotowe. Została jej już tylko jedna rzecz do zrobienia, zanim przyjdzie pora. Bierze głęboki łyk i otwiera torebkę na stole kuchennym.

Coś wewnątrz niej liczyło, że będzie trzeba wpisać PIN, że nie będzie musiała tego zrobić, że się nie da. Ale w chwili, gdy podnosi telefon, ekran się rozświecila: cztery nieodebrane połączenia, dwie wiadomości głosowe. W rogu małego symbolu wiadomości widnieje czerwona szóstka. Wszystko w jej wnętrzu krzyczy, że powinna odpuścić. Nie patrz, drze się, będzie tylko trudniej. Zaciskając usta, naciska dymek i patrzy na listę nieprzeczytanych wiadomości i ich pierwsze słowa.

*Leo > Zadzwoń do mnie. Teraz! > 18:03*

*Marike > Gdzie się, kurna, podziewasz?? Zadzwoń... > 17:54*

*Marike > Znalazł ją. Zaraz będziemy... > 17:37*

*Leo > BR znów świruje. Aylin kompletnie przerażona... > 17:14*

*Mama > Tutaj 14+ i słońce. Harry pozdrawia. Buziaki... > 16:59*

*Sigrid > Odebrałam podręczniki. Zadowolona? XX... > 16:41*

I jeszcze jedna otwarta wiadomość:

*Jounas > Wciąż czekam na codzienny raport > 16:27*

Zamyka listę i odkłada telefon. Przejeżdża drżącą ręką po dzinsach, jakby chciała wytrzeć z niej obrzydzenie. W głowie

powtarza słowa, wiadomość, którą podyktował jej William, teraz ma ją napisać, żeby potem nie zapomnieć.

– Ale nie wysyłaj jej, aż przepłyniesz promem na drugą stronę. Sprawdź, z kim ma największy kontakt, i wyślij to tylko do tych osób.

Jeszcze jeden łyceczek, wyłącznie po to, żeby przestać drzeć. Patrzy na komórkę, pochyla się i przygląda podświetlonemu ekranowi, cyfry obok zielonej słuchawki sygnalizującej nieodebrane połączenia. Zniecierpliwieni, podenerwowani ludzie, przyjaciele, którzy wkrótce poczują, jak irytację zastępuje niepokój. A potem coś jeszcze gorszego.

„Do tych, z którymi miała największy kontakt”.

Do tych, którzy zapewne najbardziej ją kochają.

– Musimy poczekać na prom o wpół do ósmej – powiedział. – Nie wcześniej, nie może być za dużo ludzi. Pojadę z tobą do Lysvik, ale później musisz radzić sobie sama. I spróbuj się, kurna, wziąć w garść, inaczej nic z tego nie będzie.

Znów patrzy na zegarek. Musi już schodzić, jeśli mają zdążyć. Rób tak, jak on chce, myśli. Napisz tę przeklętą wiadomość i zejźdź potem do piwnicy.

Przestań myśleć!

Nie podnosząc telefonu ze stołu, stuka trzęsącym się palcem na ikonkę nowej wiadomości i zaczyna pisać.

Karen wpatruje się w Williama Trystego, w alkohol w swojej ręce i znów w niego. Potem podnosi szklanę i przykłada ją sobie do ust. Czuje wyraźny smak whisky, dymu i dębowej beczki. Dziwna mieszanka mocy i łagodności.

– Pierwszy powojenny rocznik – mówi Tryste. – Ojciec mojej babki dostał od Grothów dwanaście beczek jako wyrównanie. Dziś są warte tyle złota, ile ważą. Znalazłem w przejściu jedenaście sztuk.

Wykonuje ruch głową w stronę drugiego końca pomieszczenia i się uśmiecha.

– Jako wyrównanie?

– Grothowie zmusili Albina Husa do odejścia z gorzelni, którą wspólnie kierowali. A może sądziłaś, że Grothowie sami zawsze zasiadali na whiskyowym tronie?

Karen zastanawia się przez moment. Chyba Byle nic jej nie wspominał o tym, że Albin Huss, stary baron z kopalni, miał też udziały w destylarni?

– Dlaczego więc zrezygnował?

– Przez szantaż – mówi krótko William Tryste. – Albin Huss i Jocken Groth założyli to wszystko razem blisko sto lat temu. Ale Albin prowadził podczas wojny interesy z Niemcami i gdy Jocken się o tym dowiedział, zwietrzył szansę, żeby zostać jedynym właścicielem. Albin miał w końcu kopalnię i miejsce we władzach prowincji i mógł to wszystko stracić, gdyby ta sprawa wyszła na jaw. Ale Jocken Groth obiecał milczeć, jeśli Albin zostawi mu whisky. Inaczej połowa byłaby teraz moja, rozumiesz? Nie musiałbym pracować dla tych obłudnych sukinsynów.

Karen myśli o tym, co mówiła jej ciotka. Współpraca Albina Husa z Niemcami była bezsprzecznie dobrą podstawą do szantażu. Definitywnie straciłby pozycję najpotężniejszego człowieka na Noorö, a państwo skorzystałoby zapewne z okazji i znacjonalizowało kopalnię za jakąś śmieszna sumę. Coś podobnego stało się tuż po wojnie z pewną fabryką linoleum spod Ravenby, gdy niewygodna

prawda ujrzała światło dzienne. Rezygnacja z destylarni była prawdopodobnie niewielką ceną dla przodków Williama Trystego.

– Więc Grothowie położyli na tym łapę, zachowując dla siebie to, co wiedzieli – mówi Karen. – Nie sądzę, żeby przysłużyło się to ich marce, gdyby prawda wyszła na jaw.

– Pewnie nie. I mnie to jest na rękę. Ale ta tajemnica pozostanie już między nami.

Znaczenie tych słów wyzwala dreszcz przerażenia, który wędruje Karen po kręgosłupie. Muszę zyskać na czasie, powtarza sobie w myślach. Skłonić go do zwierzeń. Udawać głupią. Dać mu się popprzechwalać.

– Gabriel – mówi szybko. – Jak on pasuje do tej układanki? Tego mi jeszcze nie zdradziłeś.

– Nie mogłem przekabacić Fredrika, więc zamiast tego, co dość logiczne, spróbowałem z Gabrielem. Nie było wyjątkowo trudno przekonać go do tego, że powinniśmy odebrać to, co prawowicie należy się naszej rodzinie. Chyba go spotkałaś.

Karen kiwa głową oniemiała.

– W takim razie z pewnością się domyślasz, jak niewiele było trzeba. Ślinił się na samą myśl o wykiwaniu rodziny Grothów i przejęciu planu rozbudowy. Pieniądze i władza bez kiwnięcia małym palcem. Tak, do tego krótka pogadanka o tym, jak to Groth szantażował kiedyś Albina Husa. Myślę, kurczę, że chłopak nawet nie wiedział, że jest spokrewniony ze starym Hussem, dopóki mu o tym nie powiedziałem.

– Ale domyślał się, że zabiłeś jego dziadka? – pyta nieufnie Karen i myśli o tym, jakie wrażenie zrobił na niej Gabriel Stuub. Wprawdzie dawał do zrozumienia, że dziadek jest pomyłony i męczący, ale czuć było, że darzył go pewnego rodzaju szacunkiem.

– Nie, ale był na tyle głupi, żeby uwierzyć, że zrobił to Björn Groth. Poza tym miałem szczęście. Gabriel zajechał na wysypisko w dzień Bożego Narodzenia i zobaczył firmowy samochód Grothów. Oczywiście wybrałem ten, którym zazwyczaj jeździ Björn, nie było więc trudno wmówić mu, że to Björn musiał nim tam przyjechać.

Nie mogło to być wcale aż tak proste, myśli Karen. I na widok jej sceptycznej miny William Tryste dodaje:



– Pomogły, rzecz jasna, wyrzuty sumienia. To przecież Gabriel wysłał z komputera Fredrika maila z pogrózkami do Björna i kilka dni później jego dziadek już nie żył. Ochocho więc, że tak powiem, połknął haczyk. Dokładnie tak jak ty. Przed chwilą dzwoniła Laura i mówiła, że zatrzymaliście w końcu Björna Grotha. Jest zrozpaczona, biedactwo.

Karen zamyka oczy i czuje, jak fala wstydu miesza się z wściekłością. William Tryste bawił się nimi wszystkimi jak marionetkami. Pociągał za sznurki i patrzył, jak posłusznie się miotają. Pracował metodycznie, na różne sposoby oczerniał rodzinę Grothów, podczas gdy sam odgrywał rolę oddanego pracownika. Poczynając od tego, jak naciskał na Fredrika Stuuba, żeby ten opublikował niedokończone badania, a przy tym nie wypłynęło jego własne nazwisko, aż po przekonanie Gabriela do swojego planu pogrążenia Grotha, żeby ten w imieniu Fredrika wysłał maila z pogrózkami i uwierzył, że to Björn Groth odebrał życie jego dziadkowi.

Kiedy Karen przechodzi po raz kolejny przez rozmowy z Williamem Trystem, wzorzec ten staje się jeszcze wyraźniejszy. Przekonujące przedstawienie, w którym odgrywał rolę oddanego znawcy whisky i udawał, że może wiele zyskać na dalszych sukcesach Grothów, zarazem metodycznie podkopując ich plany. Jak wybrnął z pytań o groźby przeciwko Grothom i o ich plany rozbudowy, jak z zatroskaną miną wymusnęło mu się „przypadkiem”, że w magazynie znalazł cement ekspansywny. Ani przez chwilę Karen nie wątpi, że to Tryste zainscenizował wiercenia i cement. Plan genialny, myśli. Wywrócić dom do góry nogami, żeby wyglądało to tak, jakby morderca czegoś w nim szukał. Posłużyć się policyjnym śledztwem, żeby ujawnić wyniki badań Fredrika i spokojnie patrzeć, jak pętla się zaciska.

Dlaczego tego nie dostrzegłam? – zastanawia się Karen.

– Ale dlaczego odebrałeś życie Gabrielowi? Miałeś go przecież na posyłki.

– Tak, to mój jedyny błąd – mówi Tryste i cicho wzdycha. – Plan był taki, że się przyczaję i pozwolę, żeby śledztwo toczyło się swoim rytmem. Kiedy już znajdziecie badania, staną się one powszechnie znane, a podejrzenia w stosunku do Björna Grotha pozostaną, nawet

jeśli on sam zostanie uniewinniony. Plotki o mailu z pogrózkami i wierceniach dokończą dzieło. Jego marka pójdzie na dno, a ja wykupię wszystko za jakąś śmieszna sumę i odbuduję pod własnym nazwiskiem. Gabriel naprawdę sądził, że będzie współwłaścicielem. Trochę to nawet przykre, nie sądzisz?

– Ale dlaczego go zabiłeś? – powtarza Karen.

– Z dwóch powodów. Włączając go w to, nie miałem pojęcia o jego kontaktach z OP. Kiedy się dowiedziałem o kradzieżach i bazgrołach, postawiłem go pod ścianą. Dotarło do mnie, że może prowadzić własną grę, i zarazem rozumiałem, że stanowi pewne ryzyko.

– Masz na myśli to, że ciebie też starałby się wydymać?

William Tryste jakby nie słyszał jej pytania.

– Zaczął być nerwowy – ciągnie. – Podobno któryś z ludzi z OP dowiedział się, czym się para, i dał mu wycisk. Realne było ryzyko, że zacznie rozpowiadać o naszych planach, żeby zjednać sobie chłopaków w klubie. Albo co gorsza, że obieca ich włączyć do naszego interesu.

Karen milczy.

– Poza tym – kontynuuje Tryste – ubzdurał sobie, żeby dopaść Björna Grotha za zabicie Fredrika. Wyjaśniałem mu, że najlepiej będzie dla nas siedzieć cicho, że tylko kwestią czasu jest to, kiedy Björn pójdzie siedzieć. Że wszystko na niego wskazuje i że powinniśmy pozwolić policji robić swoje. Ale w sylwestra zrozumiałem, że nie będzie w stanie trzymać języka za zębami. Chłopak był jak odbezpieczony pistolet, tyle.

I wtedy zaczęło ci się spieszyć, myśli Karen. Jeśli Gabriel zaczęłby gadać, znacznie wzrosłoby ryzyko, że twoje nazwisko wcześniej czy później wypłynie.

Karen wpatruje się w Trystego, nie mogąc ukryć obrzydzenia.

– Zapomniałeś o jednym – mówi. – Jeśli badania Fredrika ujrzą światło dzienne, tobie będzie równie ciężko uzyskać zgodę na rozbudowę. Lęk przed tym, co może powodować *Baudoinia*, odbije się też na tobie.

– Nic podobnego, moja droga. Jestem zbawcą mogącym zaradzić na to wszystko. To ja uratuję dumę tej okolicy, zapewnię miejsca

pracy i sprawię, że Noorö zasłynie na całym świecie. I to jest właśnie w tym wszystkim takie piękne.

– I jak miałyby ci się niby udać ta sztuka?

– Dzięki kopalniom, oczywiście. Wsławimy się tym, że przechowujemy whisky pod ziemią.

William Tryste wykonuje gest w stronę beczek pod ścianą.

– To, że znalazłem siedemdziesięcioletnią whisky w jednym z przejść kopalni, nie zaszkodziło jej, jak się zdaje, ani ekonomicznie, ani reklamowo. Sama możesz zaświadczyć o jej jakości, prawda?

Mogłabym, myśli Karen.

Na dźwięk otwieranych drzwi Karen wzdryga się i odwraca. William Tryste opróżnia szklanę i się podnosi.

– No wreszcie. Jesteś gotowa? – pyta.

Pytanie kieruje do stojącej w drzwiach Heleny Tryste. W jednej ręce ma ona torebkę Karen, w drugiej mocno trzyma jej czapkę z uszami i szalik w szkocką kratę. W odpowiedzi kiwa tylko głową.

– Dokąd jedziemy? – pyta Karen.

Tryste nie odpowiada. Zwraca się zamiast tego do żony.

– Są w torbie? – dopytuje się Tryste, a Helena kręci głową. Odwraca się więc do Karen i wyciąga rękę.

– Daj mi swoją kurtkę.

Karen zwleka chwilę. Świdruje go wzrokiem, ale dochodzi do wniosku, że nie ma sensu protestować. Powoli zdejmuje kurtkę, podaje ją Trystemu, a ten szybko sprawdza kieszenie. Potem wyciąga kluczyki do samochodu, które połyskują w świetle świec. Karen znów odwraca się do drzwi. Zrozpaczona szuka wzroku Heleny. Ale ta pochyla głowę, długie ciemne włosy zasłaniają jej twarz.

W tym momencie Karen już rozumie.

Kiedy drzwi za małżeństwem się zamykają, pod Karen uginają się nogi. Prowadzenie na pozór normalnej rozmowy z Williamem Trystem, przy jednoczesnym gorączkowym wirowaniu w głowie myśli o tym, jaki będzie jego kolejny krok, wywołało napięcie, które teraz puszcza. W reakcji na to cała drży. Chwyta krzesło i stoi nieruchomo, głęboko oddychając.

Była przekonana, że ją ze sobą zabiorą. Wywiozą gdzieś i tam odbiorą jej życie, a potem pozbędą się jej ciała. Prawdopodobnie wyrzucą do morza, zakładała. I na tym opierała swoją nadzieję; zabierając ją stąd, Tryste narazi się na ryzyko. Ktoś może coś zobaczyć, ktoś może coś usłyszeć. Będę mogła uciec, myślała. Wystarczy, że choć przez sekundę się zdekoncentruje, a będę miała szansę.

A potem pojawiła się inna myśli. Taka, że mu się uda. Że to mogą być jej ostatnie chwile w życiu.

Trop w końcu kogoś tu zaprowadzi, myślała. Wystarczająco wiele osób wie, dokąd pojechałam. Mówiłam przecież Lootsowi i Bylemu, że będę rozmawiać z Trystem, i Karłowi chyba też? Nie zdążą mnie uratować, ale po jakimś czasie ktoś będzie mnie tu szukał. Tryste się nie wywinie, wcześniej czy później domyślą się, co zrobił.

W chwili, gdy zobaczyła w drzwiach Helenę Tryste, zrozumiała, że wcale tak nie będzie.

Nikt mnie nie będzie tutaj szukał, myśli i czuje, jak ulga, że jest sama, powoli przechodzi w panikę. Gdy będą rozmawiać z państwem Tryste, bo będą, William powie, że wpadłam na chwilę, a potem odjechałam. Że tak, mówiłam coś o promie, może nawet wspomni godzinę.

Karen patrzy na zegarek i słyszy w głowie Williama Trystego: „Mówiła, że spróbuje zdążyć na prom o wpół do ósmej”.

Będą rozmawiać z personelem armatora, sprawdzą, że taki numer rejestracyjny był na promie. Może sprawdzą też monitoring i zobaczą, że siedziałam tam za kierownicą. Będę miała pochyloną

głowę, może będę wyglądać tak, jakbym coś robiła na telefonie. Ale rozpoznają moje długie ciemne włosy pod czapką. Rozpoznają kurtkę i szalik w szkocką kratę.

Znajdą samochód gdzieś na Heimö. Prawdopodobnie niedaleko morza. Torebka będzie leżała na siedzeniu, sprawdzą, czy do kogoś dzwoniłam. Nie dzwoniłam, ale może wysłałam esemesa, może do mamy. Prawdopodobnie coś w stylu, że dłużej już nie wytrzymam.

Wydziera się na całe gardło.

Dźwięk odbija się od sklepionego sufitu i ceglanej podłogi, potęgując świadomość, że jest zamknięta. W czystej desperacji podnosi się i podchodzi do drzwi. William Tryste mógł się jednak czuć pewnie, zostawiając ją tutaj; drzwi są nowe, ze stali, wybrane chyba po to, żeby chronić majątek, który stanowi jedenaście beczek whisky z czterdziestego siódmego.

Opróżnię to gównem, myśli Karen. Rozbiję wszystkie butelki wina i wyleję cały alkohol. Pozwolę milionom popłynąć. Taka będzie moja zemsta. Nie ostanie się ani jedna cholerna kropelka. On nie może zrobić nic więcej, niż mnie zabić. Poza tym przed jego powrotem mogę się upić do nieprzytomności. Nic nie będę czuła.

Podchodzi do beczki leżącej na drewnianym stelażu. Podnosi białą szmatkę i wyciąga drewniany kołek. Czuje, jak lekko puścił. Pozostałe pewnie siedzą mocniej, myśli i rzuca okiem na dziesięć beczek, które nadal stoją jedna na drugiej. Wtem widzi przed sobą zadowoloną minę Williama Trystego opowiadającego jej o beczkach, które znalazł w jednym z korytarzy w kopalni. Widzi przed sobą delikatny, mimowolny ruch, który wykonał głową. Skinął w kierunku ściany za sobą, w kierunku ściany pokrytej długą półką z rzędami butelek wina.

Półka jest solidna i ciężka, ale nieprzykręcona do ściany. Kiedy Karen czuje, jak w końcu puszcza, i słyszy pięćdziesiąt butelek wina rozbijanych o podłogę, co poprzedza huk masywnej półki lądującej na potłuczonym szkłem i w kałuży wina, znów krzyczy. Nie dlatego, że zamoczyły się jej nogawki dżinsów, nie dlatego, że odbite odłamki poraniły jej policzek i obie ręce. Karen ma wrażenie, że jej modły zostały wysłuchane.

Drzwi są szerokie, ale niskie. Musi się pochylić, żeby się im przyjrzeć, i czuje, że znów podupada na duchu. Kłódka. Oczywiście, Tryste nigdy nie zostawiłby ich otwartych, nawet w ukryciu. I oczywiście klucza nie ma w piwnicy. Ale zamek wydaje się Karen stary, kiedy przejeżdża po jego szorstkiej powierzchni, może równie stary co same drzwi. Kilka szybkich kroków i Karen przynosi mosiężny świecznik i oświetla nim pordzewiałą kłódkę. Tak, jest stara, myśli, i prawdopodobnie dałoby radę ją wyłamać, gdyby tylko były tu odpowiednie narzędzia. Jakiegokolwiek pieprzone narzędzia. Unosi świecznik i się rozgląda, stara się dojrzeć jakiś wąski, ostry przedmiot, który mógłby być pomocny, ale nic takiego nie znajduje.

Tryste może wrócić lada chwila, myśli i ma wrażenie, że serce podchodzi jej do gardła. Zapewne odwiezie tylko Helenę, żeby upewnić się, że postąpiła tak, jak jej przykazał. Że włożyła swoją kurtkę, czapkę i szalik i wjechała na prom moim samochodem. Ale później tu wróci. Jeśli Helena zdąży na prom o wpół do ósmej, będzie tu w ciągu godziny, dociera do Karen. Czuje, jak w desperacji jej ręce robią się lodowato zimne. Nie zdąży.

Wzrok błądzi wokół w słabym świetle, Karen szuka czegoś, czegokolwiek. Zerka na stalowe drzwi, oczami wyobraźni widzi, jak lada chwila się otwierają, jak dostrzega zarys jego sylwetki we wpadającym zza niego świetle. Nachodzi ją nowa myśl. Może się zabarykadować, zyskać na czasie? Drzwi otwierają się do środka, jeśli przestawię stół i zerwę pozostałe półki...

I właśnie przy tej myśli jej wzrok pada na najniższą półkę na ścianie naprzeciwko niej. No jasne.

Nie da się, spostrzega po kilku próbach, bezowocnie starając się wprowadzić pod kątem czubek korkociągu do dziurki od klucza. Sfrustrowana puszcza pordzewiałą kłódkę i klnie. Tak blisko. Tak cholernie, irytująco blisko. Karen wali zaciśniętą pięścią w drzwi i czuje w ręce ból. I coś jeszcze. Znów sięga po ciężki mosiężny świecznik, unosi światło i się pochyła. Tym razem nie krzyczy, gdy nadzieja znów odżywa. Może i nie sposób wyłamać tego zamka i może zawiasy w starych drzwiach są potężne. Wszystkie śruby wciąż siedzą na swoich miejscach, ale upływające lata odcisnęły

piętno na drewnie dookoła nich. Karen maca drzwi. Tak, drewno lekko się porusza.

Nie ma odwagi ich podważyć, boi się, że korkociąg się wygnie i złamie. Zamiast tego dłubie czubkiem wokół dwóch śrub, kręci nimi i ciągnie. Kontynuuje, nie patrząc na zegarek, zaczepia, dłubie, kręci.

Kiedy pierwsza śruba z brzdękiem ląduje na ceglanej posadzce, Karen Eiken Hornby jest cała mokra od potu, wina, łez i smarków.

Kiedy następna śruba podąża tą samą drogą, Karen podnosi się, łapie mosiężny świecznik i kopie w drzwi.

Karl Björken stuka nerwowo palcami o kierownicę. Normalnie nie miałby żadnych uwag co do tego, że śnieg i wichura mogą oznaczać opóźnienia w ruchu promowym. Każdego innego dnia stwierdziłby ze stoickim spokojem – tak jak pozostali Doggerlandczycy – że nie zostaje mu nic innego, jak ugiąć się przed siłami natury.

W tej chwili myśli jednak o tym, że każda minuta potęguje wściekłość Ingrid. Z każdą minutą ona po raz kolejny zadaje sobie pytanie, dlaczego jej mąż, skoro dostał wolne na Trzech Króli, nie mógł jak normalny człowiek pojechać do domu o rozsądnej porze. Dlaczego, na miłość boską, dobrowolnie zostawał do nocy w pracy, zamiast zebrać się do domu. I z każdą upływającą minutą Ingrid Björken utwierdza się w przekonaniu, że to wiadomość o tym, że zaprosiła swoich rodziców, sprawiła, że jej mąż lękliwie trzyma się z dala od domu. Z każdą minutą wzrasta ryzyko, że ona zacznie się zastanawiać, czy nie wyszła za jakiegoś dupka.

Może i wyszła, myśli Karl i opiera się impulsowi, żeby zacząć trąbić z czystej frustracji. Zamiast tego pochyła się i spogląda na elektroniczną tablicę nad rampą wjazdową. Tekst, który dwadzieścia minut temu anonsował: „Poważne opóźnienia. Ruch nieregularny”, teraz zniknął. Ekran jest ciemny.

Mógłby już być w domu, gdyby odpłynął pół godziny temu. Ale nieregularny ruch promowy spowodował, że kolejki tak się rozrosły, że samochód przed nim załapał się na poprzedni rejs jako ostatni. Wszystkie jego argumenty, że da się jeszcze upchnąć jeden samochód, jeśli tylko wszyscy by się odrobinę ścisnęli, były jak rzucanie grochem o ścianę.

– Prom jest pełen, musi pan poczekać na następny – powiedział facet w pomarańczowej kamizelce z logo armatora.

Karl rozważał, czy nie wyciągnąć odznaki policyjnej, ale w ostatniej sekundzie się pohamował. Nie on jeden był sfrustrowany i nie zamierzał się zachowywać jak prowincjonalni lekarze tutaj na wyspach: wystawiać tabliczki i przejeżdżać poza kolejnością, nawet



kiedy nie spieszyli się do chorego na jakąś pilną wizytę, tylko chcieli pojechać na targ zrobić zakupy na weekend. Wszyscy o tym wiedzieli, nikt nic nie mówił. Pewnego dnia człowiek mógł sam leżeć i dziękować za to, że we wsi w ogóle jest lekarz.

Szybko rzuca okiem na prom, który wreszcie nadpływa, i zerka w lusterko wsteczne. Kolejka za nim tak się wydłużyła, że pewnie tylko połowa samochodów zmieści się tym razem. Jeszcze jedno spojrzenie na prom, który teraz cumuje, gwałtownie kołysząc się na falach, a potem na personel, który macha rękami w stronę samochodów zjeżdżających na ląd. Przez okno Karl widzi, że obsługa coś do siebie krzyczy i wskazuje na jakiś punkt na promie zasłonięty tablicą informacyjną.

W tym momencie tablica znów się zapala:

„Ruch wstrzymany do odwołania. Problemy techniczne”.

Nadużywanie władzy czy nie, myśli Karl, po czym otwiera drzwi i wysiada. Śnieg przestał padać, ale kiedy siedział w samochodzie, wiatr wzmógł się bardziej, niż przypuszczał. Teraz przez te podmuchy Karl z trudem łapie oddech.

– Ile jeszcze? – krzyczy, zbliżając się z policyjną odznaką przed sobą do ubranego na pomarańczowo mężczyzny.

– Skąd mam to, kurna, wiedzieć. Sam pan chyba widzi – mówi mężczyzna i wskazuje ręką. – Zdmuchnęło całe to gówno.

I kiedy Karl się odwraca i patrzy na prom, uświadamia sobie, że długo potrwa, zanim Ingrid mu wybaczy. Mostek kapitański pochyla się niepokojąco, przesuwając tam i z powrotem na wietrze i wygląda tak, jakby miał się zaraz wygiąć.

– Wystąpili o przysłanie promu z Frisel, ale potrwa kilka godzin, zanim przyplynie tu przy takiej pogodzie. Musicie zawrócić.

Karl odwraca się i patrzy na kolejkę samochodów, w której ostatnie pojazdy dały już za wygraną i zaczynają cofać. Wzdycha i wraca do samochodu, siada za kierownicą i skupiony wpatruje się w lusterko wsteczne.

Nic się nie dzieje. Żaden z pojazdów bezpośrednio za nim nie rusza się nawet o milimetr. Słychać z kolei coraz natarczywsze trąbienie i podniesione głosy. Posyłając długą wiązkę przekleństw, Karl jeszcze raz otwiera drzwi i wysiada. Tym razem odznaka policyjna zdaje się mile widziana.

– Świetnie, mógłby pan spróbować ściągnąć tu kogoś, kto nam pomoże – mówi jedna z tych w pomarańczowych kamizelkach.

– Co tu się, kurna, dzieje? Dlaczego ludzie po prostu się nie cofną?

– Dlatego, że stoi tam wielki, pieprzony ford i blokuje całą kolejkę. Jakiejś babie coś odbiło i najwyraźniej po prostu się stąd wyniosła. Ale kluczyki zabrała ze sobą. Musimy chyba zadzwonić do kogoś, żeby odholował ten samochód.

Karl wyteża wzrok w stronę kolejki, ale ze swojego miejsca nie widzi forda.

– Albo odpalić z kabli – mówi. – Tak będzie pewnie dużo szybciej.

Wzdycha i rusza w stronę końca kolejki. W wąskim korytarzu lawiruje między stalowymi barierkami, otwartymi drzwiami samochodów i poirytowanymi kierowcami.

Trzydzieści sekund później Karl Björken zatrzymuje się w pół kroku. Ostatni w kolejce, jak efektywny czop między barierkami, stoi zielony ford ranger. Drzwi od strony kierowcy są otwarte i nawet z jego miejsca wyraźnie widać wgniecenie. Już od pół roku suszył Karen głowę, żeby to wyklepała.

Helena Tryste, nie oglądając się, idzie prosto przed siebie. Ludzie krzyczeli do niej, coś wołali, pytali, co ona, kurna, wyrabia, ale nikt nie próbował jej zatrzymać. Nie odpowiadała. Co im miała powiedzieć? Sama nie wiedziała, co wyrabia. Ani dokąd idzie, ani co teraz będzie. Ona nigdy nic nie wiedziała, to zawsze William wszystko wiedział.

On zawsze wie, co się wydarzy.

Nawet wtedy, kiedy pojawiła się ta policjantka, Karen jakaś tam, nie stracił zimnej krwi. Hmm, no może przez chwilę, akurat kiedy wyszedł z piwniczki i usłyszał, jak ona rozmawia z Alvinem. Wtedy, kiedy Karen odwróciła się i popatrzyła na niego dziwnym wzrokiem. Hmm, wtedy chyba jego świat na moment zatrzęsł się w posadach, widziała to. Tylko przez kilka sekund, potem już wiedział, co trzeba zrobić.

William zawsze wie, co robić.

Chyba sprawiło mu to przyjemność, myśli. Ten krótki moment, kiedy został zmuszony, by wszystko jeszcze raz przemyśleć, musiał poczuć mały dreszcz niepokoju w związku z ryzykiem, że wszystko się wyda, że wszystko pójdzie w diabły. A potem to upojenie, kiedy znalazł sposób, żeby obejść problem. Tak, chyba sprawiło mu to przyjemność. Już taki po prostu jest, zawsze to wiedziałam. Przejrzałam go na wylot.

– Pasujecie do siebie jak ulał – powiedziała jego matka. – William jest przeciwieństwem swojego ojca, ma ambicję, mierzy wysoko. Ale potrzebuje kogoś, kto go zbalansuje.

Jej rodzice nie byli równie zachwyceni. Mimo że William był precudownie miły, kiedy zaprosili go po raz pierwszy do domu na kolację. Mimo że pocałował jej matkę i babkę w rękę, przyniósł osiemnastoletnią whisky dla jej ojca i wychwalał jedzenie pod niebiosa, zdawali się sztywni i skępowani. Ale jakie to miało znaczenie? Mama Williama uważała, że pasują do siebie jak ulał, a ona przecież znała swojego syna.

Ale babka Heleny wzięła wnuczkę na stronę, położyła rękę na jej dłoni i popatrzyła na nią z zatroskaną miną.

– Bądź ostrożna, moja droga. Inaczej on cię pozre.

Wtedy Helena tylko się roześmiała.

Teraz idzie ze wzrokiem wlepionym w ziemię i nie ma pojęcia, dokąd zmierza. Nie do domu, nie stąd. Gdziekolwiek. To już koniec, wszystko zepsuła. On nigdy jej nie wybaczy.

„Co miałam zrobić?” – krzyczy coś w jej wnętrzu. Nie mogłam tam zostać w samochodzie, nie, kiedy wstrzymano ruch. Ktoś z kolejki mógł rozpoznać ten samochód, może podejść i chcieć z nią porozmawiać. Zobaczyłby, że to nie ona.

Mogłaś pojechać z powrotem, mówi inny wewnętrzny głos. Głos Williama. Po prostu zawrócić, odjechać z powrotem do domu. Mówiłem przecież, że masz od razu dzwonić, gdyby coś poszło nie tak. Dlaczego nigdy nie możesz robić tego, co ci powiedziałem?

Dlatego, że już nie mam dłużej siły. Powinieneś być to zrozumieć.

Może mówi to na głos, wykrzykuje prosto w wiatr, nie wie. Nic nie wie, Helena czuje, jak myśli wirują coraz szybciej w jej głowie i jak nie jest w stanie przechwycić żadnej z nich. Wie, że nie ma to już żadnego znaczenia. Teraz nie może już nic zrobić, tylko iść dalej.

Wpada w poślizg na ubitym śniegu i wychodzi na jezdnię. Głośny klakson jakiegoś samochodu zmusza ją, by w ostatniej chwili zrobiła unik. Zdąza się jeszcze wystraszyć, zanim dopada ją znów ta świadomość. Zanim ta jedyna prawda znów wybija się z chaosu.

William w końcu jakoś wygra. Zawsze wygrywa. Taki już jest.

Karen napotyka zwartą ścianę czerni. Totalnej ciemności i smrodu zamkniętej wilgoci. Stęchlizna. Przez moment się waha. Gdzieś musi przecież być jakieś wyjście z kopalni? Może kilka? Widziała je w końcu od drugiej strony, kiedy była dzieckiem i chodziła z ciotką Ingeborg po lesie, zbierając grzyby. Czasem niedbale zagrodzone, czasem starannie zamurowane. Ostrzegawcze słowa Ingeborg wciąż dzwonią jej w uszach: „Ten, kto się tam zapuści, nigdy już nie wyjdzie”.

Karen rzuca okiem przez ramię w stronę piwniczki z winem i widzi spustoszenie, rozbite butelki, a w głębi stalowe drzwi. Może mimo wszystko lepiej tutaj zostać niż ryzykować, że się zgubi w podziemnych korytarzach kopalni. W szybie, poprawia samą siebie, kopalnia znajduje się co najmniej sto metrów niżej.

Potem się odwraca i robi pierwszy krok. Unosi mosiężny świecznik i zatrzymuje się. Świecznik jest za ciężki, będzie ją spowalniał. Wsuwa rękę do kieszeni dżinsów i wyczuwa zapalniczkę. Potem gasi sześć z siedmiu świeczek i wkłada je sobie za pasek. Bierze siódmą świeczkę do ręki i puszcza metal, który z głośnym hukiem ląduje na ziemi. Kilka kroków dalej Karen dostrzega, że płomień migocze. Przystaje i myśli. Musi znaleźć jakiś sposób, by osłonić świeczkę; żeby ta od razu nie zgasła, ręka nie wystarczy. Potrzebny jej klosz albo jakaś osłonka. Karen zawraca do piwniczki z winem.

Czuje, że skaleczyła się w rękę, kiedy przy świetle tylko jednej świeczki przeszukuje stertę potłuczonych butelek. W końcu znajduje jedną, która musi się nadać. Górna część butelki jest cała, ale brzegi, gdzie odpadło dno, są ostre. Potrzebuje jeszcze czegoś, żeby obwiązać rękę, jakiegoś materiału. Bluzka, myśli, mogę okręcić dłoń koszulką i iść w samym staniku. Wytrzymam. Jest zimno, ale wytrzymam.

– Kurwa – krzyczy bezsilnie przed siebie. – Zostanę tutaj w cieple, upiję się w trupa. Nie dam rady.

W tym momencie dostrzega białą ściereczkę przy beczce z whisky. Okręca dłoń i kawałek przedramienia mocnym materiałem, klinuje świeczkę między kciukiem a palcem wskazującym i ostrożnie stawia na to obtłuczoną butelkę. Kilka razy porusza ręką tam i z powrotem. Działa, knot pali się spokojnie.

Podpierając się jedną ręką o chropowatą ścianę i ze świeczką w drugiej, robi kilka kroków szybem kopalni. Tłumi w sobie nieprzyjemne uczucie i idzie dalej. Krok za krokiem, myśli. Idź po prostu przed siebie, gorzej już nie będzie.

Dwadzieścia minut później uświadamia sobie, że jednak jest.

Karen Eiken Hornby nigdy wcześniej nie miała klaustrofobii. Teraz ma. Ta zwarta ciemność przed nią, za nią. Nagle zdaje sobie sprawę, że czuje jedną ścianę ramieniem, kiedy przykłada rękę do drugiej. Uświadamia sobie, że najpewniej dosięgłaby stropu, gdyby tylko wyciągnęła rękę. Nieprzenikniona skała dookoła niej, a powyżej grube warstwy ziemi i śniegu.

Chce machać rękami. Krzyczeć. Ale strach na samą myśl o tym, jak ciasny korytarz ją otacza, jak zatechłe powietrze wciska się jej coraz głębiej w płuca, sprawia, że Karen daje sobie z tym spokój. Idzie dalej, tylko ruch powstrzymuje ją przed tym, by całkiem poddać się panice. Z powodu nierównego podłoża przy każdym kroku szuka stopą dziur i kamieni. Musi być jakieś wyjście, powtarza cicho. Musi być.

Nagle ściana się kończy i ręka wodzi na oślep.

Karen podnosi świeczkę i spostrzega, że korytarz się rozdziela. Ostrożnie maca ręką narożnik. Zwleka. Szyb, w którym się znajduje, wygląda tak, jakby ciągnął się dalej prosto, ale na lewo jest jeszcze jeden korytarz. Z narastającą paniką Karen stara się sobie uzmysłować, w którym kierunku szła. Wejście do Kompleksu wychodzi na wschód, podczas pierwszej wizyty widziała schody na dół, piwnica musi być na północy. Ale może zakręca. Zapewne zakręca. A może nie?

Nie mam bladego pojęcia, myśli i czuje, jak płacz ściska ją za gardło. Jakie to ma, kurna, znaczenie, w jakim kierunku geograficznym idę.

Wodząc ręką po ścianie, obchodzi róg i idzie dalej korytarzem. Wydaje się on szerszy od tego, którym szła dotychczas, i na moment

klaustrofobia trochę puszcza. Chwilę później Karen staje jak wryta. W świetle dostrzegła przed sobą ścianę, tuż przed tym, jak na nią wpadła. Ślepy zaułek.

W tym samym momencie światło gaśnie.

Karl Björken spogląda na fotel kierowcy w porzuconym samochodzie i czuje, jak wszelkie jego płonne nadzieje, że mimo wszystko się myli, znikają. To bezsprzecznie samochód Karen. I na siedzeniu leży jej torebka. Karl ją poznaje, nie ma żadnych wątpliwości.

Nie ma z kolei śladu samej Karen, stwierdza, odwróciwszy się i rozejrzawszy we wszystkie strony.

Nie zdejmuje rękawiczek, otwiera torebkę, grzebie w niej, ale nie znajduje tego, czego szuka. Bierze więc swoją komórkę i wybiera numer Karen. Dwie sekundy później słyszy dobrze znany sobie sygnał z wnętrza samochodu. W momencie, gdy wyciąga telefon z przestrzeni między siedzeniami, słyszy za sobą poirytowany głos.

– Co za cholerne babsko. Po prostu otworzyła drzwi i sobie poszła. Zdawało się, kurna, że całkiem odpłynęła.

Karl się odwraca.

– Jak wyglądała? – pyta faceta, który stoi za nim i teraz wyciąga szyję, żeby zajrzeć do samochodu.

Mężczyzna ma na sobie grubą granatową pikowaną kurtkę, jakby nadętą na silnym wietrze. Jego spojrzenie wyraża wściekłość przemieszana z ciekawością.

– Czy ja wiem – mówi powoli. – Ciemna, tak sądzę. Długie włosy, tak, miała długie. Pamiętam, że unosiły się na wietrze.

– Widział pan, w którym kierunku poszła?

– Tak, a jak pan, kurna, myśli? Jest chyba tylko jeden, jeśli ktoś nie chce się rzucić do morza?

Mężczyzna kiwa głową w stronę wyasfaltowanego placu i budynku terminalu.

– Chodziło mi o to, dokąd poszła potem – mówi Karl i zagryza zęby. – Widział pan, w którą stronę później poszła?

Mężczyzna kręci głową i Karl daje mu spokój.

Zamiast tego zatrzaskuje drzwi i zwraca się do chłopaka w żółtej kamizelce, który do nich dołączył.



– Proszę zadzwonić po lawetę. Niech nikt nie wchodzi do tego samochodu.

– Mieliśmy go próbować odpalić z kabli, sam pan mówił, co nie?

– Niech nikt nie wchodzi do środka – powtarza Karl. – Proszę uznać to za miejsce przestępstwa.

Chłopak nieufnie mu się przygląda.

– Miejsce przestępstwa? Przecież, kurna, tylko jakiejś babie odbiło.

Nie, myśli Karl. To coś zupełnie innego.

Pół godziny później Karl Björken opuszcza policyjny garaż w Lysvik oznakowanym radiowozem. Przebiegł prawie kilometr z terminalu do komisariatu tutejszej policji, próbując najpierw skontaktować się telefonicznie z Cornelisem Lootsem i klnąc, gdy naciął się na pocztę głosową, potem wybrał kolejny numer.

Thorstein Byle odebrał natychmiast.

– Poślę tam od razu kilku ludzi – powiedział, kiedy Karl, sapiąc, wyjaśnił mu sytuację. – Ale nie rozumiem, co twoim zdaniem mogło się wydarzyć.

– Nie mam zielonego pojęcia! – wydarł się Karl. – Ale coś jest nie tak. Karen nigdy by tak nie postąpiła. Nie wyszłaby i nie zostawiła wszystkiego.

Kiedy wpadł do pubu, Ellen Jensen była pewna swego. Nie, nie widziała Karen od samego rana. Jeśli chce, może oczywiście pójść na górę i sam sprawdzić jej pokój. Tak też zrobił. Z narastającym niepokojem wbiegł po schodach, przeskakując po dwa stopnie. Gdzie ona się, do cholery, podziewa? W pokoju jej w każdym razie nie ma, stwierdził.

Teraz metodycznie krąży po ulicach Lysvik i oświetla reflektorami każdy zaułek. Przejeżdża tymi samymi bocznymi uliczkami, którymi szedł z Karen, uciekając przed dziennikarzami kilka dni temu. Ani śladu. Tak w ogóle ani śladu żywej duszy, która wyszłaby z domu w taką burzę.

Karl zawraca i zatrzymuje się przed Rindlersem. Pokonuje kilka schodków i wnosi do środka dużą bryłę śniegu pod grubymi

złobieniami butów. Recepcjonistka patrzy zdziwiona, jak postawny mężczyzna wpada przez drzwi, zaczyna się ślizgać na gładkiej posadzce i w ostatniej chwili łapie równowagę. Karl szybko przechodzi do pytań i czuje, jak z każdą odpowiedzią traci nadzieję. Nie, nikt o tym nazwisku się nie meldował. Nie, żadna kobieta o ciemnych włosach też nie.

– W ogóle żadna kobieta się nie meldowała. Przez cały dzień – mówi w końcu recepcjonistka głosem, który zdradza, że kończy się jej cierpliwość.

I kiedy Karl znów siada za kierownicą, dopuszcza wreszcie do siebie myśl, którą dotąd odrzucał. Nie, Karen by czegoś takiego nie zrobiła. Nie zostawiłaby samochodu i nie uciekła. Nie w normalnych okolicznościach. Ale widzi ją w pubie, kiedy chlapanął coś przy Sigrid. Widzi przed sobą twarz Karen w restauracji w porcie, kiedy namówił ją do zwierzeń. Zmusił ją, żeby powiedziała o tym, o czym nie chciała nikomu powiedzieć.

„Proszę uznać to za miejsce przestępstwa”, powiedział chłopakowi w porcie. Prawda jest taka, że Karl Björken obawia się w głębi duszy czegoś zupełnie innego.

Wzdryga się, kiedy dzwoni jego komórka. Sekundę później czuje ściskającą za gardło ulgę.

– Znaleźliśmy ją – mówi Thorstein Byle. – Samochód jadący na południe zgarnął ją na drodze krajowej. Już tu jadą.

Karen wyciąga świeczkę zza paska. Stearyna pękła i światło się kołysze, gdy ostrożnie zakłada osłonę na rękę, ale płomień pali się jasno. Później Karen odwraca się i zaczyna iść. Zatrzymuje się, nie jest pewna. Chyba powinnam pójść w lewo? Czy może stamtąd przyszedłam? Nie, Boże, nie wiem.

Myśl, do cholery!

Ze strachu kręci się jej w głowie, gdy jej myśli umykają i czuje, jak opuszcza ją zdrowy rozsądek. Próby, żeby spokojnie oddychać i myśleć pozytywnie, przemieniają się w malstrom lęku, gdy idzie dalej, krok za krokiem, metr za metrem. Godzina za godziną? Czy chodzi tylko o minuty? Zdaje się, że ciemność pochłania wszelką orientację w czasie i przestrzeni.

Tama pęka i zakazane pytanie przebija się do świadomości. Jak długo dam radę przeżyć, jeśli nie znajdę tu wyjścia? Co się zwykle mówi? Trzy doby bez jedzenia? Trzy doby bez picia? I nagle to nie lęk przed śmiercią sprawia, że ściska ją w piersi, ale myśl o tym, co ją czeka. Trzy dni piekła, nim wreszcie umrze.

Przez te obawy serce jej wali, a czucie jakby opuszcza ręce i nogi. Gdy traci kontrolę nad tym, gdzie stawia stopy, potyka się i ląduje na kolanach. Instynktownie podpira się lewą ręką, drugą trzyma świeczkę. Pod wpływem upadku światło dygocze i znowu gaśnie, a w ciemności wszystko zmienia się w mętlik bez początku i końca. Wszystko ją teraz boli, wszystko jest ciemne. Cały ten plan był od samego początku skazany na niepowodzenie, nie powinna była nawet próbować. Ciotka Ingeborg miała rację.

Nie wyjdę z tej kopalni żywa.

Świadomość ta jest jak rażenie gromem. Myśl o tym, żeby znów zapalić świeczkę, podnieść się i przeć dalej, tonie w fali wyzwalającej rezygnacji. Nie dam rady, myśli i przekręca się do pozycji siedzącej. Opiera się plecami o ścianę i ostrożnie odstawia szklaną osłonę, palcami wyczuwa ostre brzegi. Czuje, jak korkociąg wbija się jej w tylnej kieszeni. Twardy, ostry przedmiot. Jakieś

wyście, mimo wszystko. William Tryste jej nie zabije. Zrobi to sama.

Podetnę sobie żyły, myśli. Albo tętnicę szyjną. Ten pomysł przynosi jej niespodziewany spokój i Karen się odpręża, a pod wpływem ulgi zaczyna szlochać. Łatwiej się jej oddycha. Świadomość, że ma możliwość stąd uciec, sprawia, że serce przestaje tak łomotać. Jest wyjście. Nie w lesie przez otwór z kopalni, ale mimo wszystko znalazła jakieś wyjście. Pójdzie szybko, myśli i mruży oczy w ciemności. Potem już samo ciało zostanie w tym piekle.

Będę wolna.

I gdzieś w głębi duszy słyszy głos matki: „Ty się możesz pochować, gdzie chcesz, ale ja mam leżeć koło kościoła w Langevik”. W tej samej chwili czuje lekki powiew wiatru, niczym pieszczotę na policzku. Mama...

Karen uśmiecha się i opiera głowę o skalną ścianę.

Sekundę później zamiera.

Powoli, niemal niechętnie otwiera oczy i obraca głowę na bok. Musiało ci się wydawać, nie rób sobie znowu nadziei, upomina się. Niedługo wszystko się skończy, pójdzie szybko.

Potem znów to czuje, słaby powiew na twarzy.

Szybko się podnosi i krzyczy, gdy przenosi ciężar na kolano. Kręci się jej w głowie z bólu i od spadku ciśnienia, opiera się o ścianę. Wydawało się jej? Na stojąco nic nie czuje. Karen wsadza desperacko rękę w spodnie i wodzi nią wśród tłustych odłamków stearyny i odsłoniętych knotów, przy czym uświadamia sobie, że świeczki się pokruszyły. Grzebie, szuka i w końcu chwytą jedną palcami. Ostrożnie wyciąga dziesięciocentymetrowy kikut, w kieszeni znajduje zapalniczkę i patrzy, jak płomień bucha, gdy przykłada ją do knotu. Karen przewycięża ból i kuca.

Moment później, gdy ta świadomość się ugruntuje, Karen słyszy, jak sama wydaje z siebie obcy dźwięk. Nie ma wątpliwości: płomień pochyła się w jej stronę. I znów czuje na twarzy słaby powiew.

Gdzieś dalej przed nią jest wyjście.

– Okej, już jadę. Postaraj się też ściągnąć lekarza – krzyczy Karl do Thorsteina Bylego, a potem rzuca komórkę na siedzenie.

Opony ślizgają się po śniegu, gdy z piskiem rusza do komisariatu. Ulga spowodowana tym, że Karen się znalazła, miesza się z palącą, nieprzejednaną złością. Jak ona, kurna, mogła tak postąpić?

Osiem minut później Karl Björken wpatruje się zdezorientowany w kobietę przed sobą, która siedzi z pochyloną głową na jednej z sof w recepcji, a długie ciemne włosy zakrywają jej twarz. Kurtka Karen, czapka i szalik Karen, mimo to wystarczyło jedno spojrzenie. To nie jest jego koleżanka.

Kolejne dziesięć sekund zajmuje mu rozpoznanie, kto to właściwie jest.

– Helena Tryste? – mówi nieufnie. – Co pani, do diaska, wyrabia? Gdzie Karen?

Kobieta patrzy w ziemię i nie odpowiada. Obok przysiadła posterunkowa i troskliwie otoczyła ją ramieniem, Karl słyszy za sobą głos Thorsteina Bylego.

– Ależ...?

– Tak, wiem – mówi Karl. – To nie ona. Ale ma na sobie ubrania Karen. I prowadziła jej samochód.

Byle podchodzi do Heleny. Staje przed nią, a jego obecność skłania ją do podniesienia wzroku.

– Co to ma znaczyć, do cholery? – pyta surowo.

Helena Tryste apatycznie odwzajemnia jego spojrzenie.

Próbują przez dwadzieścia minut. Dwadzieścia minut, które nie przynoszą żadnego rezultatu. Zdaje się, że nic nie jest w stanie przezwyciężyć paraliżu – ani ciepła herbata, ani przyjacielskie pytania, ani te surowe. Nikomu nie udaje się wyciągnąć z Heleny Tryste choćby jednego słowa. Ani Karlowi Björkenowi, ani Cornelisowi Lootsowi, ani Thorsteinowi Bylemu. Helena Tryste nie

pije herbaty, nie płacze, nie porusza rękami na kolanach. Dwadzieścia minut, a wydaje się, że nawet nie mruga.

Potem przyjeżdża lekarz.

– Do szpitala z nią – oświadcza Sven Andersén, rzuciwszy szybko okiem na kredowobiałą twarz i pozornie martwe ciemne spojrzenie.

– Nie. Najpierw musi z nami porozmawiać – protestuje Karl i znów się do niej zwraca. – Gdzie ona, kurwa, jest? – ryczy. – Otwórz wreszcie tę pieprzoną jadaczkę!

– Czy twoim zdaniem to coś daje? – mówi spokojnie lekarz i otwiera torbę.

Wyjmuje strzykawkę i szklaną ampułkę. Nabiera płynu, naciska tłok i popuszcza cienką, krótką strużkę. Potem kuca koło Heleny Tryste.

Karl wpada w szal.

– Nie dociera do ciebie, że kiedy ty zajmujesz się tą kobietą, gdzieś tam jest Karen? Zapewne w niebezpieczeństwie i musimy się dowiedzieć gdzie.

– Rozumiem, ale ta kobieta jest teraz moją pacjentką – mówi spokojnie Andersén i wyciąga strzykawkę, przyciskając mały biały wacik do ramienia Heleny Tryste.

Nie widać żadnej reakcji. Po zastrzyku nic się nie zmienia na bladej twarzy.

– Czy William Tryste dalej nie odbiera telefonu? – pyta Karl.

Byle kręci głową.

– Posłałem do nich samochód, ale nie jest jeszcze nawet w połowie drogi. Śnieg zasypał szosę – dodaje.

– Wyślij tam wszystko, co mamy. Połowę do Trystego, resztę do gorzelni, równie dobrze mógł pojechać tam. My trzej się rozdzielimy i też pojedziemy. Raz-dwa!

Karl podnosi kurtkę, którą rzucił wcześniej na podłogę.

– Musisz otworzyć szafę z bronią, nic ze sobą nie wziąłem – mówi do Thorsteina Bylego, który kiwa głową.

Karl posyła jeszcze jedno pogardliwe spojrzenie Helenie Tryste i odwraca się w progu.

– No chodźcie, do cholery, na co czekacie?

Cornelis Loots, który po pokonaniu krótkiego odcinka z hotelu do komisariatu został w kurtce i czapce, zatrzymuje go, chwytając za

ramię, i Karl poirytowany się odwraca.

– Co pani powiedziała? – pyta Cornelis.

Patrzy na Helenę. Robi krok w jej stronę, kobieta teraz jakby odzyskała słaby, ale mimo wszystko ludzki kolor na twarzy.

– Piwniczka z winem – mówi słabym głosem. – Zamknął ją tam do czasu... Plan był taki, że ja miałam...

Przerywa.

– Co miałas? – wydziera się Karl i po zrobieniu jednego kroku zostaje zatrzymany przez Anderséna.

Helena jednak patrzy Karlowi w oczy.

– I tak jest za późno – mówi. – On już pewnie zdążył wrócić.

Robi dwanaście kroków. Zatrzymuje się i podnosi szklaną osłonkę, żeby upewnić się, czy płomień zareaguje. Z minuty na minutę robi się coraz zimniej i Karen już wyraźnie czuje na twarzy powiew, nie musi się pochylać. Seria dwunastu kroków. Potem jeszcze jedna. Karen czuje, jak ręka znika za winklem, i domyśla się, że korytarz znów się dzieli, ale tym razem nie ma wątpliwości, w którą stronę iść.

Nie zastanawiając się dlaczego, dalej liczy kroki do dwunastu, zatrzymuje się i korzysta ze wszystkich dostępnych zmysłów. Nasłuchuje odgłosów, wyteża wzrok, szuka jaśniejszego miejsca w ciemności i znowu wyczuwa powiew powietrza na twarzy, za każdym razem silniejszy. Osłony chroniącej świecę już nie podnosi. Idzie, zatrzymuje się, rusza dalej. Idzie, zatrzymuje się. I nagle jej ucho coś wychwytuje. Dochodzi do niej lekkie zawrotenie. Kolejna seria kroków i kolejna, teraz słyszy to wyraźnie, lecz także coś innego. Szkwały na zewnątrz sprawiają, że coś przed nią się porusza. Stłumione skrzypienie.

Wie, co to, jeszcze zanim to zobaczy.

Lekka zmiana koloru jest ledwie widoczna. Mimo to stearynowa świeca wyłapuje słaby szary niuans w całkowitej czerni. Szary prostokąt zaledwie kilka metrów przed nią. Otwór jest starannie zabity od zewnątrz. Osiem desek na sześć palców z jedną poprzeczną od wewnątrz i prawdopodobnie jedną od zewnątrz, ulga sprawia, że serce zaczyna bić jej szybciej. Zabite, ale nie zamurowane.

Deski zbito blisko siebie, ale milimetrowa szpara wystarczy. Karen opada na kolana i przykłada oko do jednej ze szczelin. Kolejny podmuch, szybko zabiera twarz. Zdążyła jednak wyrzeć. Na zewnątrz panuje ciemność, wieje silny wiatr, pewnie jest sztorm, myśli. Mimo że jest zupełnie ciemno, nie jest to taka złożona, nieprzejednana czerń, jaka panuje w szybie za nią. Od śniegu musi się odbijać podświetlenie masztu telewizyjnego w Skreby, myśli



i trzęsie się z zimna. Nie może więc być daleko. Może kilometr, góra dwa. Mróz nie zdąży mnie dopaść. Chociaż? Lodowate zimno przedziera się przez szczeliny i owiewa jej ciało, a ona przypomina sobie mapę meteorologiczną. Cienka koszulka przy minus siedemnastu.

Wytrzymam, powtarza sobie i bierze głęboki wdech, żeby uodpornić się na ból. Podnosi stopę i wymierza kopniaka. W tym momencie zamiera. Nagły mocny powiew owiewa ją i znika za nią w korytarzu. Instynktownie, nie musząc się nawet zastanawiać, wie, co to. Tym razem to nie tylko wiatr, który wdarł się tu przez szczeliny. To przeciąg. William Tryste wrócił i otworzył drzwi na górze w domu, żeby zejść do piwnicy.

Karen stara się oszacować, ile ma jeszcze czasu. Tryste zna te korytarze i pewnie może pokonać ten odcinek w ułamku czasu, którego ona potrzebowała. Poza tym, jeśli będzie miał ze sobą latarkę, Karen nie da rady się ukryć. Ogarnia ją panika pozostawiająca miejsce tylko na jedną myśl: „Muszę się stąd wydostać. Natychmiast”.

Kiedy kopie, ból dochodzi aż do szyi. Zaciska zęby i bierze kilka szybkich oddechów. Znów kopie. Rzuca się na wyjście barkiem. Jeszcze raz. Staje do niego plecami i napiera, kopie od tyłu.

Dlaczego, do cholery, nie wzięłam ze sobą świecznika, myśli, gdy kopnięcia rozchodzą się po jej ciele. Czegoś, czym mogłabym uderzyć. Ale teraz może liczyć już tylko na własne siły, na swoją zdolność ignorowania przerażającego bólu, kiedy stare obrażenia się pogarszają i dochodzą do nich nowe. Zmusza się do odpoczynku, dyszy i szuka w kieszeni dzinsów zapalniczki. Osłaniając płomień ręką, dostrzega, że kilka szpar zrobiło się nieco szerszych. Parę desek chyba odstaje.

Dalej kopie, koncentrując się cały czas na dwóch deskach, uderza w nie ramieniem i przechodzi do końskich kopniaków, a jednocześnie narasta w niej poczucie, że lada chwila może usłyszeć za sobą głos Trystego. Strach pompuje w nią adrenalinę, która dodaje jej sił, Karen domyśla się, że ten chwilowy przypływ energii, który ją teraz niesie, w każdej chwili może wyschnąć. Wie, że tak to działa. Lęk przemija i przechodzi w kapitulację.

Ale jedna z desek wreszcie ustępuje i kiedy Karen słyszy, jak pęka, jej organizm wytwarza dodatkową dawkę energii, co daje jej poczucie, że jest nie do pokonania. Histeryczny śmiech ciśnie się jej na usta, gdy przy kolejnym kopnięciu deska łamie się i puszcza pośrodku. Dwa kolejne kopnięcia i kolejna deska jest złamana.

Karen ciągnie i szarpie ostre krańce desek, porusza nimi tam i z powrotem, wypycha je na zewnątrz i jeszcze jeden kawałek drewna odpada. Potem się prostuje i patrzy na otwór; jest na styk, ale może się uda. Ostrożnie wystawia głowę, wysuwa prawe ramię, odwraca się i powoli zaczyna przeciskać się przez otwór. Czuje, jak koszulka się o coś zaczepia i rwie, rejestruje, jak plecy i barki trą o chropowate drewno. Ale nic już jej nie boli, cały ból odpłynął. Później go poczuje, podobnie jak zimno. Teraz tylko oszołomienie zwycięstwem wybija w niej jak szampan i Karen krzyczy z radości, gdy po ostatnim wysiłku niezdarnie ląduje na śniegu.

Do Karen Eiken Hornby nie zdąża dotrzeć, co oświetla śnieg, co sprawia, że na zewnątrz ciemność nie jest równie nieprzenikniona jak to czarne piekło, które właśnie opuściła. Nie ma czasu zastanowić się nad tym, że to nie oświetlenie masztu telewizyjnego w Skreby. Nie zdąża dojrzeć świateł postojowych samochodu stojącego dwadzieścia metrów dalej. Nie ma siły myśleć, rejestruje tylko odruchowo obecność kogoś innego.

W chwili, kiedy ten ktoś nabiera powietrza, dociera do niej, że on wcale nie poszedł za nią korytarzem. Oczywiście wiedział dokładnie, gdzie jest wyjście, poszedł naokoło i tam w spokoju na nią zaczekał. Przelewa się przez nią ostatnia fala nienawiści. Ten sukinsyn musiał stać przy wyjściu i patrzeć, jak ona walczy.

Głos dobiega zza niej.

– Nie sądzisz, że pora już zakończyć to przedstawienie? – mówi William Tryste.

Sznur samochodów, które musiały opuścić terminal, wlecze się boleśnie wolno na północ. Opady śniegu wprawdzie osłabły, ale wiatr robi z tymi kilkudziesięcioma centymetrami, które spadły, co tylko może. Wzbija je i unosi z pobliskich gruntów, przenosi i układa na szosie.

– Teraz masz, kurna, prosty odcinek, spróbuj to przynajmniej objechać – mówi Karl Björken i sfrustrowany zauważa, że Thorstein Byle po raz kolejny ignoruje jego prośbę.

Tym razem nawet nie odpowiada. Ten prosty odcinek, na który kierował go Karl, ma co najwyżej trzydzieści metrów, później droga musi wygiąć się przed kolejną skalną ścianą. Karl racjonalnie ocenia światła nadjeżdżających samochodów, które potwierdzają, że Thorstein Byle podjął słuszną decyzję. Przeklina siebie za to, że siedzi w samochodzie kolegi, a nie sam prowadzi.

Zajął im blisko czterdzieści pięć minut pokonanie odcinka, który przy suchej nawierzchni powinni przejechać w mniej niż połowę tego czasu. Przynajmniej z włączonym kogutem i przymykając oko na wszystkie ograniczenia prędkości. Teraz jednak wloką się i nie mają nawet włączonej lampy ostrzegawczej. Byle wyłączył ją, gdy droga przeszła w kręty fragment bez możliwości wyprzedzenia kogokolwiek. Jego zdaniem nie ma sensu stresować ludzi przy tej już i tak niebezpiecznej sytuacji na drodze.

– Uspokój się, chłopcze – mówi Byle. – Chyba lepiej, żebyśmy tam w ogóle dojechali.

Karl posyła poirytowane spojrzenie w lusterko wsteczne i niechętnie stwierdza, że Byle ma chyba rację. Zarówno przed nimi, jak i za nimi stoją radiowozy z szalejącym dyskotekowym światłem i nie przesuwają się ani trochę po wąskiej drodze. Patrol, który znajdował się w pobliżu Gudheim, gdy nadeszło wezwanie, zapewne przyjął tę samą szczeniacką strategię i z włączonym kogutem i wyjącą syreną na pełnym gazie wypadł z drogi po przejechaniu ledwie paru kilometrów. „Bez obrażeń, ale trochę potrwa, zanim go

wyciągniemy” – powiadomili przez radio. Zostały trzy samochody. Po dwie osoby w każdym. I jeszcze Cornelis Loots, którego prywatny wóz stał na ulicy przed komisariatem i dlatego udało mu się wyjechać trochę wcześniej niż pozostałym. Prawdopodobnie jest jakieś sto metrów przed nimi, myśli Karl.

Pytanie tylko, jak daleko zajechał William Tryste.

Zajęło im osiem cennych minut nakłonienie Heleny Tryste do tego, by wydusiła z siebie tyle, żeby wszystkie jednostki skierowano do domu Trystego na północ od Skreby. Nie udało im się z niej wydobyć, jak dokładnie mają rozumieć urywane słowa i niepełne zdania „pożyczył Alwinowi komórkę”, „beczki z czasów tuż po wojnie”, „nie od początku Grothów”. Reszta była klarowniejsza. „Zabije ją. Gdy tylko zadzwonię, on ją zabije”.

Karl wciąż nie ma pojęcia jak, ale najwyraźniej w jakiś sposób Karen Eiken Hornby dowiedziała się, że to William Tryste jest winny obu morderstw, i teraz znajduje się u niego w domu, zamknięta. To wystarczyło – wszystkie dostępne siły ruszyły do Kompleksu.

„Wszystkie dostępne siły”, myśli przygnębiony Karl i maca kaburę z glockiem, którego dostał za pokwitowaniem. Chociaż pokwitowanie nie jest właściwym słowem. Zgarnął raczej broń i amunicję z szafy pancерnej, jakby była na poświętecznej wyprzedazy, a potem pognali do samochodów. Byle krzyczał do dyżurnych, żeby „do cholery, najszybciej, jak to, kurwa, możliwe, spróbowali się skontaktować z Vredem”. Dopiero w samochodzie Karl dowiedział się, że Olaf Vrede jest emerytowanym policyjnym przewodnikiem, który mieszka pod Skreby. Już nie na służbie, ale możliwe, że jest w domu, psa wciąż ma.

Ośmiu ludzi, sześć sztuk broni i jeden pies. W korku na zasypanej śniegiem drodze. Za nic nie zdążymy, myśli Karl Björken.

Gdy po raz kolejny otwiera usta, żeby zwrócić uwagę, że droga się poprawiła, zauważa, że Thorstein Byle uznał najwyraźniej, że kogut i syrena znów są uprawnione.

W tej samej sekundzie dociska pedał gazu i zjeżdża na przeciwległy pas.

– Przykro mi, ale teraz musisz wrócić do środka.

William Tryste kiwa głową w stronę rozwalonego wejścia. Pełznąca po śniegu Karen usiłuje wstać, ale ślizga się i w końcu zostaje na siedząco z rękami na ziemi za sobą. Niech się dzieje, co chce, ale tam nie wejdzie – tak coś w niej krzyczy, kiedy wpatruje się w rękę Trystego. W ciemności nie może dostrzec, co on dokładnie trzyma, widzi tylko, że to jakaś broń palna z długą lufą, prawdopodobnie strzelba myśliwska.

Tryste wykonuje popędzający ruch lufą.

– Podnoś się – mówi.

– Nie! – krzyczy Karen. – Nie wejdę tam. Możesz mnie zastrzelić tutaj.

– Niestety, nie ma takiej możliwości, ktoś mógłby usłyszeć strzał... I tylko pomyśl o krwi... Z pewnością sama rozumiesz, że nie mogę ryzykować i zostawiać na zewnątrz żadnych śladów.

– Nikt mnie tu nie będzie szukał. Wiem, co zamierzacie zrobić.

– Ach tak, przejrzałaś nas. Wstawaj, ale już.

– Nie będą mnie tutaj szukać – powtarza desperacko. – Helena musiała już przejechać na Heimö moim samochodem.

Zdaje się, że Tryste sztywnieje i rzuca okiem na zegarek na ręce, cały czas mierzy jednak do Karen ze strzelby. Czymś się niepokoi, myśli Karen. Sekundę później dociera do niej czym.

– A więc nie zadzwoniła? – mówi spokojnie. – Wciąż czekasz na zielone światło.

– Morda w kubek, podnoś się – ryczy Tryste.

Karen nadal siedzi bez ruchu. Świadomie go prowokuje. Proszę bardzo, może mnie tu zastrzelić, myśli. Nie wrócę tam.

– Hmm, skoro do tej pory się nie odezwała, coś musiało się wydarzyć – cedzi słowa. – Minął już szmat czasu, odkąd wyjechała. Powinieneś był chyba zaczekać w Lysvik, upewnić się, że na pewno wjedzie na pokład promu...

Tryste robi kilka kroków w jej stronę. Karen dalej siedzi.

– Chyba nie potrafisz już zmusić do czegokolwiek nawet swojej żony. Może Helena siedzi teraz na policji i opowiada im o wszystkim. Myślałeś o tym?

– Wstawaj – powtarza lodowatym głosem.

Pochyliła się, próbuje złapać jej ramię, ale Karen przewraca się na bok i toczy, a on nie trafia. Macha w powietrzu ręką i zdaje się, że się poślizgnął, ale w ostatniej chwili odzyskuje równowagę. Karen, gramoląc się, stara się wstać, ale nie ma siły go powstrzymać. Cios kolbą w szczękę i Karen się chwieje. Tryste trzyma jej głowę pod pachą, jakby chciał jej skrócić kark, i ze strzelbą w drugiej ręce ciągnie ją wpółleżącą do wejścia.

William Tryste jest wysoki, a jego chwyt – żelazny. Karen wierzga, ale próby uwolnienia się nie przynoszą żadnego skutku. Zamiast tego czuje, że zaczyna się dusić. Desperacko macha rękami, stara się dosięgnąć tej jednej rzeczy, która może ją uratować, ale ruch Trystego, gdy ten zaczyna kopać deski, żeby poszerzyć otwór, sprawia, że jego uścisk staje się mocniejszy, i Karen wydaje się, że krew rozsadza jej twarz.

Zaraz będzie koniec, myśli i wykonuje ostatnią próbę sięgnięcia do kieszeni dzinsów.

To się mogło skończyć inaczej, myśli zaledwie kilka sekund później. Gdyby William Tryste nie wyłamał akurat w tym momencie jeszcze kilku desek. Gdyby nie musiał zmienić chwytu, żeby wciągnąć Karen tyłem przez otwór. Gdyby właśnie dzięki temu nie odetchnęła i nie nabrała powietrza potrzebnego jej, żeby go dosięgnąć. Gdyby nie udało się jej odwrócić korkociągu we właściwą stronę. Gdyby jej ręka była krótsza, kąta niewłaściwy, a ruch niewystarczająco szybki.

Nie słyszy krzyku i myśli, że się nie udało. Nie wyczuwa oporu skóry i chrząstek. Nie słyszy cichego trzaśnięcia, bo pochłania je wiatr.

Dopiero gdy czuje, jak chwyt na szyi słabnie, a ciało Trystego się osuwa, Karen rozumie. Dysząc, staje chwiejnie na nogach i się odwraca.

Tryste leży częściowo na boku i wciąż porusza jedną ręką. Jakby próbował jeszcze sięgnąć korkociągu, który wbiła mu w oko.

Ogarnia ją zimno w chwili, gdy widzi, jak krew Williama Trystego roztapia śnieg pod jego policzkiem. Lodowaty wiatr wywiewa z niej resztki adrenaliny i cienka przepocona koszulka przykleja się jej do pleców. Myśli pędzą jej przez głowę jak pociąg ekspresowy. Nie mogę umrzeć, nie, kiedy tyle wytrzymałam. A potem co innego domaga się uwagi, ale nie znajduje odpowiedzi: Jak długo można przeżyć podczas sztormu w cienkim ubraniu przy minus siedemnastu? Jak ma się przedostać przez ciemny las z dołami po wywróconych drzewach i wysokimi sosnami, które w każdej chwili może powalić sztorm? Od zimna bolą ją płuca i bierze krótkie sapiące oddechy. Jak cichą mantrę powtarza jedyną rzecz, którą wie: muszę utrzymać ciepło, pozostać w ruchu, nie dopuszczać do siebie szoku.

A potem wniosek: muszę ściągnąć z niego kurtkę.

Dopiero gdy po raz kolejny zmusza się, żeby spojrzeć na zwłoki Trystego, na krew, która wciąż ścieka z jego oka i zabarwia na czerwono śnieg, dociera to do niej. Śnieg jest czerwony. Powinien być ciemny, nie powinna w ogóle widzieć kolorów. Szybko się obraca i mruży oczy w kierunku samochodu zaparkowanego ledwie dwadzieścia metrów od niej. Ulga jest tak silna, że Karen aż się chwieje.

Zostawił drzwi niezablokowane, a kluczyki są w stacyjce. Gwałtownym ruchem Karen zamyka za sobą drzwi i próbuje uruchomić silnik, musi jednak przestać. Dłonie trzęsą się jej niekontrolowanie, mimo że w środku jest względnie ciepło, czuje, jak jej organizm zaczyna dawać za wygraną. Trzęsie się tak potwornie, że jej głowa stuka o zagłówek. Karen Eiken Hornby stwierdza bezsilnie, że ciało już jej nie słucha. Uleciała z niego cała siła, wszystkie zasoby zostały wykorzystane.

I myśli o tym, że jest tak potwornie zmęczona, tak bardzo zmęczona, że musi odpocząć. Nie spać, tylko na chwilę zamknąć oczy.

Znajduje ją Olaf Vrede. Lub raczej należałoby powiedzieć: jego dziewięcioletni owczarek. Lub jeszcze inaczej: pies znajduje zwłoki Williama Trystego, zwabiony ciepłą krwią. Mija jeszcze kilka sekund i Cornelis Loots dostrzega, że samochód Trystego, zaparkowany dwadzieścia metrów dalej, nie jest pusty. Kiedy Karl Björken i Thorstein Byle do nich dołączają, Loots zdążył już owinąć Karen w swoją kurtkę i próbuje skłonić ją, żeby otworzyła oczy.

– To ona. Wyczuwam puls, ale słaby i spowolniony! – krzyczy.

Wspólnymi siłami układają Karen na tylnym siedzeniu, Karl trzyma jej głowę na kolanach, a Cornelis Loots siada za kierownicą i wrzuca wsteczny.

Thorstein Byle widzi, jak tylne światła samochodu Williama Trystego znikają, a światła zbliżających się radiowozów oświetlają śnieg między prostymi sosnami. Potem się odwraca i przygląda owczarkowi, który mocno trzymany za obrozę przez swojego pana dyszy kawałek dalej. Ani na moment nie spuścił wzroku z ciała leżącego na śniegu.

Nie marnują czasu na zamianę samochodu, jadą dalej firmowym wozem Trystego z logo whisky Grotha na obu przednich drzwiach. Ręce Karen są zimne jak lód, ale jest przytomna, stwierdza Karl, kiedy kilka minut później skręcają na drogę krajową.

– Jak się czujesz? – pyta, gdy Karen otwiera oczy. – Boli cię?

Jej wzrok krąży po ciemnym wnętrzu samochodu i Karla zaskakuje to, że Karen próbuje usiąść. Nie zdąża złapać jej rąk, gdy ona zaczyna uderzać nimi na oślep, Karl odsuwa się, gdy dostaje w twarz.

– Muszę stąd wyjść – mówi drżącym głosem Karen. – Brakuje mi tlenu.

Karl przygląda się jej klatce piersiowej, która zdecydowanie za szybko się unosi, słyszy krótki duszący oddech, widzi jej palce wędrujące w stronę drzwi i szukające po omacku klamki.

– Zapal światło, do cholery – krzyczy do Cornelisa.

Potem naciska przycisk otwierający okno i czuje, jak do środka wpada lodowate powietrze. Widzi, jak panika powoli opuszcza Karen. Ostrożnie obejmuje ją ramieniem.



Leo Friis budzi się i czuje, jak światło lampki nocnej razi go po oczach. Oddechy dochodzące z drugiej połowy łóżka są spokojne i równe, kołdra leży jednak w nogach, a czoło pod długą ciemną grzywką jest mokre od potu. Rzuca okiem na radiobudzik. Kwadrans po siódmej. Za godzinę będzie mógł wyłączyć lampę. Jeśli wtedy Karen się obudzi, nie będzie całkiem ciemno.

Jest już lepiej, myśli. Wystarcza sama lampka bez światła pod sufitem i lekko uchylone okno, a nie cały pokój wychłodzony jak tuż po jej powrocie do domu. I tak przez kolejne tygodnie.

Wtedy, gdy nie mogła w ogóle spać, tylko upijała się, aż zasnęła. Zasypiała dopiero nad ranem na sofie ze wszystkimi światłami włączonymi. Tamte tygodnie były najgorsze. Potem było lepiej. Zbierała się na odwagę, żeby wejść na górę do sypialni, jeśli światło pod sufitem było zapalone, drzwi nie były zamknięte, a okno otwarte na oścież. Zamykała oczy i pozwalała, żeby sen zawładnął nią tak długo, jak on lub Sigrid leżeli obok i czuwali w ciemności. Co noc budziła się z paniką w oczach, zlna zimnym potem, a oni spokojnie do niej mówili, przywoływali ją do rzeczywistości. Jest już lepiej, myśli Leo i delikatnie odsuwa wilgotną grzywkę z czoła Karen. Tylko lampka nocna i ja, i lekko uchylone okno. I wtedy ona znów śpi.

I coś się stało z nim samym. Nie zerka już w stronę najbliższego wyjścia, nie sprawdza nieustannie, w jak małym pomieszczeniu się znajduje, jak blisko są ściany. Już nie reaguje – hmm, w każdym razie nie paniką – gdy słyszy dźwięk zamykających się za nim drzwi. W zeszłym tygodniu praktycznie nie myślał o tłumie przy kontuarze w Linie, a w kiblu wybrał kabinę, gdy wszystkie pisuary były zajęte. Okej, nie zamknął za sobą drzwi, ale jednak.

Leo Friis wie dokładnie, dlaczego wspomnienie o pomieszczeniu pod schodami nagle utraciło swoją moc. Nie dlatego, że minęło blisko trzydzieści lat, odkąd ojczym po raz ostatni go tam zamknął. Nie dlatego, że sukinsyn spadł ze schodów i zabił się dwa dni

później. Nie dlatego, że Leo stał zdyszany na najwyższym stopniu i myślał, że to wreszcie koniec. Mylił się. Wspomnienia ekscesów przetrwały upadek. Lęk przed zamkniętymi pomieszczeniami trzymał go w żelaznym uścisku. Aż bez uprzedzenia się cofnął i zniknął za kulisami.

Leo wiedział to już w chwili, gdy blisko sześć tygodni temu wszedł do sali w szpitalu w Ravenby. Karl Björken zadzwonił i w kilku słowach streścił, co się stało. Karen trafiła do szpitala w Ravenby.

– Nie ma ciężkich obrażeń, ale nie czuje się za dobrze – powiedział. – Myślisz, że dalibyście radę tu przyjechać?

Od razu wsiedli w samochód. Sigrid i on. Jechali w ciszy, zdecydowanie za szybko. Sapiąc, po wbiegnięciu na siódme piętro otworzył drzwi zaraz za Sigrid, która pojechała windą, i zobaczył Karen pod oknem. Jej mokrą na plecach jasnoniebieską koszulę szpitalną, pokój wypełniony paniką.

Ona się boi bardziej ode mnie, pomyślał.

Jeszcze raz zerka na radiobudzik: niedługo będzie wpół do ósmej, nie ma sensu znów zasypiać. Nie ma sensu się też zrywać, myśli, odwracając wzrok do twarzy na poduszce obok. Widzi poruszające się powieki, słyszy cichutkie chrapanie, przygląda się nagim stopom, które wystają spod flanelowych spodni w kratę. Pod nimi wciąż są blizny, wyglądają jak jasne pręgi na kostce, wiją się jak różowy robak wokół kolana. Stare blizny, kolejna operacja nie była potrzebna. Miała szczęście, rany były płytkie, powiedział lekarz.

Nie wszystkie, pomyślał Leo. Wtedy, kiedy w szpitalu, ledwie łapiąc oddech, popatrzył w spanikowane oczy Karen i sam się całkowicie uspokoił.

Ale to się zaleczy, myśli teraz.

Niedługo się obudzi i wszystko będzie jak zwykle. Będzie kłąć, że nikt nie odkamienił ekspresu do kawy, gorzko zauważać, że ręczniki są brudne i leżą na podłodze w łazience, wzdychać, że Sigrid, zamiast się uczyć, spędza zdecydowanie za dużo czasu ze wzrokiem wbitym w ekran telefonu.

Ale nic nie będzie mówić o tym, że mają się wyprowadzić.

Bo Ramnes podnosi się poirytowany z sofy.

Że też człowiek nie może sobie, kurna, pobyć w spokoju nawet na wsi, myśli i pogłaska telewizor. Nie dość, że siedzi sam jak jakiś *loser* w sobotni wieczór, to czy naprawdę musi jeszcze znosić wiejskich gówniarzy z chowu wtórnego, którzy nie mają nic lepszego do roboty, tylko jeździć na przeklętych motorach i potwornie drogich quadach?

W zasadzie w ogóle nie powinien oglądać telewizji, tylko czytać materiały przed jesiennymi egzaminami. Nie powinien sobie nalewać tej drugiej whisky. A może to trzecia? Wszystko jedno. Mniejsza o to. Ma prawo zrelaksować się po tym, co się stało.

Rozmowa z Yngve Kroon nie była łatwa, zajęło mu prawie godzinę przekonywanie sekretarz partii, że to wszystko to nieporozumienie, że nadal chce i będzie się starał znaleźć na miejscu wchodzącym. Godzinę stał przepytywany jak uczeń. Odpowiadał posłusznie i adekwatnie. Tak, Aylin źle się czuła przez jakiś czas, ale teraz jest z nią zdecydowanie lepiej. Jest tylko zestresowana, dużo się działo z dziećmi, a poza tym jej matka zachorowała, rak, tak, to naprawdę okropne, ale zdaje się, że już z tego wyszła. I teraz Aylin wyjechała z matką, żeby odpocząć, żeby obie porządnie odpoczęły. Tak, dzieci są z nimi, oczywiście.

Tak, jasne, oni też mają swoje problemy, zwłaszcza przez ostatnie pół roku, gdy Aylin kiepsko się czuła. Tak, to prawda, faktycznie złożyła na niego doniesienie w związku z pobiciem. W czystej dezorientacji, ma się rozumieć. Potwornie tego później żałowała. I przecież dlatego je wycofała już następnego dnia, czyż nie?

Prawda jest taka, że może się to przysłużyć partii. Gdybyś tylko wiedziała, ilu mężczyzn jest codziennie narażonych na podobne oskarżenia, nie mówiąc o tym, ilu siedzi niesłusznie skazanych. Tak, jasne, zdarzają się prawdziwe świny, które biją żony i partnerki, ale to zdecydowanie nie dotyczy wszystkich, którzy są o to oskarżani. Tak, on wciąż uważa, że należy podnieść minimalną karę

pozbawienia wolności. Tak, ogólnie, rzecz jasna, ale przede wszystkim jeśli dotyczy to naprawdę poważnych przestępstw: morderstwa czy handlu narkotykami. Tak, oczywiście także w przypadkach przemocy domowej, do której faktycznie dochodzi w tym kraju. Ale powinno się też ograniczyć liczbę fałszywych zgłoszeń na policję.

Tak, Aylin i on dalej będą razem. Oczywiście. Tylko Aylin potrzebuje trochę czasu, żeby odpocząć. Rzecz jasna, będzie go wspierać w domu i w mediach, jeśli zajdzie taka potrzeba. To i dzieci zawsze stanowiły jej priorytety, nigdy nie postawi swojego dobra przed dobrem dzieci i męża. Nie, oczywiście, przed dobrem partii też nie.

Po prostu cholerne przesłuchanie, tym to właśnie było.

– Ty pieprzona szmato – mamrocze cicho Bo Ramnes i idzie do kuchni.

Tym razem wytrzymałaś ponad sześć tygodni. Poszłaś w zaparte i ciągnęłaś to małe przedstawienie. Nawet wtedy, gdy udało mu się ją znaleźć, żeby przemówić jej do rozumu, nie dała się, chociaż niemal posikała się ze strachu na jego widok. Wyjaśnienia nie pomogły, przeprosiny też nie, wymierzone policzki również ani groźby. Po prostu to znosiła. A potem przeprowadzała się do kolejnego miejsca. Tym razem najwyraźniej do małego M2 w Sande. Dzięki ci, Boże, za lojalnych przyjaciół, którzy informują go na bieżąco.

Z kolei przyjaciele Aylin nigdy nie zrozumieli, co jest dla niej najlepsze, myśli Bo Ramnes i nalewa sobie kolejną szklaneczkę. Nie znają jej, nie wiedzą, czego tak naprawdę jej trzeba. Mimo to udaje im się nią manipulować od ponad miesiąca, ta sucz z policji, Dunka i dwa pedały. Zdaje się, do cholery, że do reszty wyprali jej mózg. Dzięki Bogu obeszło się przynajmniej bez kolejnych zgłoszeń na policję, tak daleko nie ważyła się posunąć. Zdaje sobie sprawę, że nie miałyby najmniejszych szans.

A może to to, co powiedział ostatnim razem, gdy ją znalazł, to, co sprawiło, że jej twarz skamieniała z przerażenia. Może nie powinien był tego mówić, ale miał na myśli dokładnie to, co powiedział.

„Martwa żona jest lepsza niż żadna, Aylin. Nie masz za dużo czasu na zastanowienie”.

Wycie za oknem. Hałas tak wielki, że Bo aż się wzdryga i szklanka whisky wyślizguje mu się z rąk.

– Dość tego, szmaciarze – mówi i wychodzi do przedpokoju.

Gdy tylko otwiera drzwi, uświadamia sobie, że nie chodzi wcale o małodatów z okolicy, o ich stuningowane motory ani cholernie drogie quady. Świadomość ta przychodzi jednak zbyt późno.

Bo Ramnes nie zdąża zaprotestować, nim jakiś mięśniak odziany w czarną skórę przypiera go do jednej ze ścian.

Kiedy kwadrans później słyszy warkot odpalanego motocykla, nie rusza się. Leży dalej w pozycji embrionalnej na podłodze w kuchni i czuje zapach własnych wymiocin. Dopiero gdy hałas dawno już ucichnie, otwiera oczy i powoli siada. Nic mu się nie stało, wystarczył im jeden cios, to nie po to przyszli. Nie tym razem. Ostrzeżenie było wystarczająco jasne.

Po raz pierwszy w dorosłym życiu Bo Ramnes czuje, jak strach pełźnie mu po kręgosłupie, obezwładnia ręce i nogi, i Bo zostaje na podłodze. Siedzi, czując nieokrzesany, nieprzejednany, opróżniający żołądek strach. Jeszcze raz czka, ale tym razem na czkaniu się kończy. Kręci mu się w głowie, wkłada rękę w coś mokrego. Jeszcze jedna ciepła kałuża. Bo nie musi spoglądać na jasnoszare spodnie, żeby wiedzieć, że pociemniały od moczu.

## Epilog

Na zewnątrz zapada lutowy, mętny, szary zmierzch. Przykrywa morze, klify i skały, nagie gałęzie jarzębiny i skrzypiącą cienką warstwę śniegu. Rozmywa kontury, wzywa do opamiętania. Jeszcze nie pora. Może da się już dostrzec różnicę w świetle, może cienie nie są już tak długie jak raptem kilka tygodni temu. Może pierwsza czajka już wróciła do domu, ale prawdę mówi przyśpiewka: „jeszcze długa droga, nim jagnię pobawi się z ukleją”.

Dochodzące z kuchni syczenie przełamuje ciszę, nikt się jednak nie rusza. Leo siedzi w fotelu z gitarą na kolanach, na stoliku trzyma notatnik. Uszy zakrywają mu duże czarne słuchawki, a usta poruszają się bezdźwięcznie, kiedy pozoruje akordy. Sigrid leży na plecach na sofie i wygląda tak, jakby była równie daleko, w innej krainie, z jedną nogą na oparciu studiuje swoją komórkę, a jej palce nieprzerwanie dziobią po wyświetlaczu.

– Noż do diabła – mówi Karen i opuszcza książkę. – Nie słyszycie, że kipi?

Czy tego dnia gotuje Leo czy Sigrid, nie pamięta. Tylko tyle, że to nie jej kolej. Znów skwierczy. Karen wzdycha i wstaje, po czym idzie do kuchni.

Specjalnie tupie stopami w wełnianych skarpetkach o drewnianą podłogę.

Oprócz smrodu wody nasyconej skrobią z gotującego się ryżu, która przywiera do płyty grzewczej, wyczuwa zapach czosnku, tymianku i jagnięciny. Szybko zdejmuje kipiący garnek i zmniejsza temperaturę o kilka oczek. Podnosi pokrywkę z garnka obok, miesza i z ulgą stwierdza, że nic się nie przypaliło. Odwraca się i znów wzdychając, przygląda się stołowi kuchennemu. Kogoś, kto najwyraźniej miał ambicję, żeby nakryć do posiłku, z jakiegoś powodu naszła w połowie tego procesu inna myśl. Stos talerzy z brzegu stoi ukoronowany stertą sztucców, jednak okruszki po śniadaniu wciąż nie zostały uprzątnięte.

Sigrid, zgaduje i otwiera szafkę. Sięga po szklanki, ale zmienia zdanie i patrzy na najwyższą półkę. Czerwone wino, myśli. Nie można jeść gulaszu jagnięcego bez wina.

– Sorry, ale napisała Hanne z klubu, a potem zapomniałam...

Sigrid najwyraźniej przebudziła się z telefonicznej śpiączki i przysłała za nią do kuchni. W miejsce końcówki zdania Karen słyszy, jak zaczyna rozkładać talerze, noże i widelce.

– Hmm, dla tego, kto nie wypełnia swoich obowiązków, nie będzie wina – mówi, nie odwracając się. – Zasady, sama rozumiesz. Kto, do cholery, postawił kieliszki tak wysoko, że nie da się do nich sięgnąć? – dodaje i staje na palcach.

Sigrid patrzy na plecy Karen z taką miną, jakby właśnie się dowiedziała, że roztopiły się ostatnie resztki lodowców na biegunach.

– Ona żartuje. Przyłącz się i udawaj, że to zabawne.

Dołączył do nich Leo i staje za Karen. Przyciśnięty mocno do jej pleców z łatwością zdejmuje kieliszki, odstawia je, a później opiera ręce o blat i kładzie brodę na ramieniu Karen.

Wie, że ta się uśmiecha. Wie, że Sigrid przewraca za nimi oczami.

– Które wino bierzemy? – pyta z ustami przy prawym uchu Karen.

– *Ja* przyniosę – odpowiada szybko i wykręca się z tego uścisku. Leo jak pozbawiony jakiegokolwiek rozeznania buldożer spustoszył już jej składzik z winem i Karen nie zamierza roztrwonić tych ostatnich kilku butelek brouilly w zwykły czwartek.

Udało się jej zejść tylko do połowy schodów, gdy w kieszeni zawibrowała komórka. Przystaje w pół kroku. Jedno spojrzenie i gdy na wyświetlaczu widzi numer, przyspiesza jej puls. To rozmowa, na którą czekała z trwogą przemieszana z nadzieją przez wszystkie sekundy na jawie przez ostatnie dwa tygodnie.

Rozmowa, na którą czekała, odkąd zdecydowała się wszystko zaryzykować.

Godzinami człapała po kuchni, zanim podjęła decyzję. Słuchała zwodniczego głosu, który jej mówił, że nie musi, tego surowego, który mówił, że nie powinna. Naprawdę nie powinna. A potem jej własny głos, który powiedział, że przecież wie, że to robi. Że te wątpliwości są tylko sposobem na to, żeby odsunąć od siebie to, co

nieuniknione. Że i tak weźmie telefon ze stołu i zadzwoni, chociaż nie musi i nie powinna. Ta rozmowa będzie kosztować ją pracę, jeśli ktoś się kiedykolwiek dowie.

Będą starali się ją zrozumieć. Może będą myśleć, że wciąż była w szoku po tym, co się stało. Że zaledwie dwa tygodnie wcześniej walczyła o życie w szybie w kopalni. Że nie była sobą, nie zdawała sobie sprawy z konsekwencji. Tak, tak zapewne będą myśleć.

I będą się całkowicie mylić.

Karen Eiken Hornby wiedziała dokładnie, co robi, tamtego dnia dwa tygodnie temu, kiedy wykonywała ten telefon, który miał ją kosztować więcej niż tylko pracę, jeśli ta osoba po drugiej stronie zawiedzie.

Teraz ten ktoś oddzwania.

Karen odwraca się i wychodzi na ganek, a potem naciska zieloną słuchawkę. Tej rozmowy nie może słyszeć ani Leo, ani Sigrid.

– No? – rzuca krótko.

– Zrobione – mówi Odd.

– Ale żyje?

– Tak, tak jak chciałaś. Ale nie będzie jej więcej niepokoił.

– Na pewno?

– Powiedzmy, że wyjaśniliśmy mu cholernie wyraźnie, co się stanie, jeśli przyjdzie mu coś takiego do głowy. Jesteśmy kwita, Krakan?

– Jasne, *Odd one* – odpowiada.

I z ledwie zauważalnym uśmiechem Karen Eiken Hornby kończy rozmowę i wraca do domu.



Redaktor inicjujący: Magdalena Gołdanowska, Joanna Maciuk  
Redaktor prowadzący: Magdalena Matuszewska

Przekład: Agata Teperek  
Redakcja: Agnieszka Trzeszkowska  
Korekta: Małgorzata Kuśnierz, Milena Domańska

Projekt okładki: Martyna Leszek  
Zdjęcie wykorzystane na I stronie okładki: © GaudiLab/Shutterstock

Skład i łamanie: Cyprian Zadrozny

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.  
02-672 Warszawa, ul. Domaniewska 48  
tel. (22) 828 98 08  
faks (22) 395 75 78  
[biuro@gwfoksal.pl](mailto:biuro@gwfoksal.pl)  
[www.gwfoksal.pl](http://www.gwfoksal.pl)

ISBN 978-83-280-8341-7

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](http://www.gwfoksal.pl)  
i Michał Latusek / [Virtualo Sp. z o.o.](http://www.virtualo.pl)

**virtualo**